MISTRZOWIE SF I FANTASY

ISAAC ASIMOV

Powieść uhonorowana nagrodami Hugo i Nebula

RÓWNI BOGOM

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Wiek XXI. Wykorzystanie niezwykłej technologii Obcych umożliwia transfer materii między Ziemią a światami równoległymi i zapewnia ludzkiej cywilizacji niewyczerpane zasoby energii. Wydaje się, że darmowa energia rozwiąże wszystkie problemy. I tylko kilku ludzi wie, że może oznaczać zagładę planety...

- Isaac Asimov
- I. Przeciw głupocie…
- 6[1]
- 1
- 6 (c.d.)
- 2
- 6. (c.d.)
- 4
- 5
- 6. (dokończenie)
- 7
- 8
- 9
- 10
- II…nawet bogowie
- 1a
- 1b
- 1c
- 2a
- 2b
- 2c
- 3a
- 3b
- 3c
- 4a
- 4b
- 4c
- 5a
- 5b
- 5c
- 6a
- 6b
- 7abc
- III…na próżno walczą?
- 1

- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- notes
    - 1
    - 2

Isaac Asimov
Równi Bogom

The Gods Themselves
Isaac Asimov, 1972
Przełożył: Romuald Pawlikowski

I. Przeciw głupocie…

6 [1]

— Nic! — powiedział ostro Lamont. — Absolutnie nic z tego nie wynika. — I — jak często robił — pogrążył się w myślach. Pasowało to zresztą do jego głęboko osadzonych oczu i lekko asymetrycznego wydłużonego podbródka. Zaduma towarzyszyła mu więc często, nawet wtedy, kiedy bywał w świetnym humorze. Teraz jednak daleko było mu do pogody ducha. Jego drugie oficjalne spotkanie z Hallamem okazało się jeszcze większą klęską niż poprzednie.

— Nie dramatyzuj — uspokajał Myron Bronowski. — Nie oczekiwałeś niczego innego. Sam mi to mówiłeś. — Podrzucał orzeszki ziemne w powietrze i łapał je w locie swymi mięsistymi wargami. Perfekcyjnie. Każde ziarnko. Był niewysoki i bynajmniej — nie chudy.

— To wcale nie czyni tego przyjemniejszym. Ale masz rację, to bez znaczenia. Są jeszcze inne rzeczy, które mogę zrobić i zrobię, a poza tym — liczę na ciebie. Gdybyś tylko dowiedział się…

— Nie kończ, Pete. Słyszałem to już tyle razy. Mam poznać sposób myślenia inteligencji — nie ludzkiej.

— Nadludzkiej. Istoty z paraświata usiłują nam przekazać jakąś informację.

— Możliwe — westchnął Bronowski — ale próbują to osiągnąć korzystając z mojej inteligencji, która — jak czasami mi się wydaje — też jest nadludzka, ale tylko troszeczkę. Niekiedy, zwykle późną nocą, leżąc w łóżku, zastanawiam się, czy obce, różne inteligencje w ogóle mogą się porozumieć. Albo, po szczególnie złym dniu, usiłuję dociec, czy zwrot „różne inteligencje” cokolwiek jeszcze znaczy.

— Coś na pewno — gwałtownie powiedział Lamont, zaciskając ręce w kieszeniach swego laboratoryjnego kitla. — To Hallam i ja. Klaun-bohater, doktor Frederick Hallam, i ja. Jesteśmy istotami o odmiennych intelektach, bo kiedy mówię do niego, nic nie rozumie. Czerwieni się coraz bardziej, oczy wyłażą mu z orbit, a uszy pozostają głuche na wszelkie argumenty. Zaryzykowałbym twierdzenie, że jego umysł przestaje funkcjonować. Jednak brakuje dowodów na to, iż istnieje w ogóle stan, w którym funkcjonuje.

Bronowski wyszeptał: — Oho, żeby tak się wyrażać o Ojcu Pompy Elektronowej.

— No, właśnie: Szacowny Ojciec Pompy Elektronowej. Jego dziecko to bękart, o ile w ogóle Hallam jest ojcem. Jego wkład w prace nad Pompą był najmniej wymierny. Wiem o tym najlepiej.

— Ja też o tym wiem — powiedział Bronowski. — Tyle razy mi to już mówiłeś. — I podrzucił następny orzeszek w powietrze. Korpulentny naukowiec nigdy nie chybiał.

1

A wszystko rozpoczęło się trzydzieści lat wcześniej, gdy Frederick Hallam został radiochemikiem. Farba drukarska nie zdążyła jeszcze wtedy wyschnąć na jego pracy doktorskiej i nic nie wskazywało na to, że już wkrótce Hallam zatrzęsie światem w posadach.

Powodem światowego wstrząsu okazała się stojąca na biurku Hallama zakurzona butla na odczynniki z napisem „Wolfram". Nie była jego własnością, nigdy jej nie używał. Był to spadek z zamierzchłych czasów po jednym z wielu użytkowników pokoju, który potrzebował wolframu z jakiegoś dawno zapomnianego powodu. To nawet nie był już wolfram. Butla zawierała kuleczki czegoś, co pokrywała już w tym czasie gruba warstwa tlenku — szarego i zakurzonego. Do niczego się to nie nadawało.

Pewnego dnia jednak — dokładnie było to 3 października 2070 roku — Hallam wszedł do laboratorium i zabrał się do pracy. Niespodziewanie jego wzrok przykuła butla. Podniósł ją. Była od niepamiętnych czasów zakurzona i miała wyblakłą nalepkę. On wtedy jednak ryknął: — Do jasnej cholery, kto u diabła tu grzebał!

Tak w każdym razie relacjonował to Denison, który usłyszał wściekły głos Hallama, i który pokolenie później opowiedział o tym Lamontowi. Oficjalna wersja opowieści o odkryciu, przedstawiana w książkach, nie podaje dokładnie frazeologii użytej przez odkrywcę. Kreuje jednoznaczny obraz chemika, człowieka o bystrym spojrzeniu, świadomego zmian, wyciągającego daleko idące wnioski na podstawie wnikliwej dedukcji.

Ale nie było to tak. Rzeczywistość daleka była od ideału. Hallam bowiem do niczego nie potrzebował wolframu. Zawartość butli nie przedstawiała dla niego żadnej wartości i jakiekolwiek grzebanie w niej nie miało dla niego znaczenia. Jednakże nienawidził, gdy ktoś zmieniał coś na jego biurku (nie tylko on zresztą…), a wręcz podejrzewał innych o szczere chęci zawładnięcia jego własnością z czystej li tylko złośliwości.

Nikt w owym czasie nie przyznał się do tego przestępstwa. Jedynie Benjamin Allan Denison, którego pokój znajdował się po drugiej stronie korytarza, tuż naprzeciw — otwartych tego dnia — drzwi Hallama, miał wątpliwą przyjemność usłyszeć subtelną uwagę radiochemika, a spojrzawszy znad papierów — natknąć się na jego pełen wyrzutu oskarżycielski wzrok.

Nie przepadał za Hallamem, podobnie jak większość pracowników instytutu, a ponadto źle spał zeszłej nocy; był więc raczej zadowolony — jak później wspominał — że będzie mógł na kimś wyładować swe rozdrażnienie, Hallam nadawał się do tego

doskonale.

Denison czekał więc tylko na niego, a gdy ten prawie że przycisnął mu butlę do twarzy, odsunął się z oczywistym niesmakiem. — Dlaczego, u diabła, miałbym się interesować twoim wolframem? — zapytał. — Dlaczego ktokolwiek miałby się nim interesować? Przyjrzyj się tylko tej butelce, a zobaczysz, że nie była otwierana przez dwadzieścia lat. Gdybyś nie położył na niej swych brudnych łap, mógłbyś się przekonać, że nikt jej nie dotykał.

Twarz Hallama poczerwieniała z wściekłości. Zaciskając zęby, wycedził: — Słuchaj, Denison, ktoś podmienił jej zawartość. To nie jest wolfram. — Denison pozwolił sobie wtedy na leciutki, ale wyraźnie pogardliwy uśmieszek. — Skąd TY to wiesz?

Właśnie z takich elementów, małostkowych gniewów i wymierzonych na oślep ciosów tworzy się historia.

Uwaga Denisona zabrzmiała dość szczególnie, bowiem jego dorobek naukowy, równie świeży jak Hallama, był o wiele bardziej imponujący i dlatego właśnie Denison był nadzieją wydziału. Hallam wiedział o tym i, co gorsza, wiedział to Denison. Nie robił zresztą z tego tajemnicy. „Skąd TY to wiesz?" Denisona z dokładnym i pewnym akcentem na „ty" było więcej niż wystarczającym powodem późniejszych wydarzeń. Gdyby nie ów incydent, Hallam nigdy nie zostałby największym i najszacowniejszym naukowcem w historii ludzkości, tak przynajmniej skomentował ten fakt Denison, udzielając wywiadu Lamontowi.

Zgodnie z wersją oficjalną, tego pamiętnego poranka Hallam przyszedł do biura i zauważył, że zakurzone ciemnoszare kulki zniknęły. Nie pozostał nawet po nich pył na wewnętrznych ściankach butli, a ich miejsce zajęła czysta stalowoszara substancja. Naturalnie Hallam od razu podjął prace badawcze.

Pomińmy jednak wersję oficjalną. Tak naprawdę to przecież Denison nadał bieg sprawie. Gdyby ograniczył się do prostego przeczenia lub wzruszenia ramionami, być może Hallam pytałby innych, aż w końcu zmęczony detektywistycznymi zabiegami odłożyłby butelkę na bok. Tym samym

— dopuściłby do katastrofy, mniej lub bardziej gwałtownej w zależności od tego, jak bardzo odkrycie to odwlekłoby się w czasie. W każdym razie jedno jest pewne — nie Hallam znalazłby się na piedestale.

Ale na ścinające go z nóg „Skąd TY to wiesz?" Hallam mógł jedynie wściekle odpowiedzieć: — Ja ci jeszcze pokażę, że wiem!

Później nic już nie mogło go powstrzymać przed działaniem, gotów był nawet posunąć się do ostateczności. Analiza metalu znajdującego się w wysłużonej butelce stała się dla Hallama zadaniem pierwszoplanowym, a jego życiowym celem — zdarcie wyniosłej

dumy z cienkonosej twarzy Denisona i wiecznego śladu pogardy z jego bladych warg.

Denison nigdy nie zapomniał tej chwili, bo jego uwaga spowodowała, że Hallam otrzymał Nagrodę Nobla, on natomiast — skazał siebie na zapomnienie. Nie wiedział (a nawet gdyby wiedział, tak naprawdę nic by go to nie obchodziło), że w Hallamie spoczywały niewyczerpane pokłady uporu, że posiadał cechującą średniaków bojaźliwą potrzebę osłaniania swej dumy, która w owym czasie miała mu przynieść zwycięstwo i która okazała się znacznie skuteczniejsza niż wrodzona inteligencja Denisona.

Hallam zaczął od razu, nie tracił czasu. Zaniósł metal do Zakładu Spektografii Masowej. Było to posunięcie naturalne dla radiochemika. Poza tym znał tamtejszych techników, z którymi pracował wcześniej, i na których mógł wywrzeć pewien nacisk. Presja okazała się tak silna, iż zadanie to uznano za pilniejsze od wielu — zdawałoby się — bardziej istotnych badań.

W końcu specjalista od spektografii masowej powiedział:

— No, więc, to nie jest wolfram.

Szeroka, posępna twarz Hallama skrzywiła się w nieporadnym uśmiechu. — Dobrze. Powiem to temu mądrali Denisonowi. Chcę mieć raport i…

— Ale chwileczkę, doktorze Hallamie. Mówię, że to nie jest wolfram. To wcale nie znaczy, że wiem, co to jest.

— Nie rozumiem. Nie wie pan, co to jest?

— Uważam, że wyniki są dziwaczne. — Technik zamyślił się przez chwilę. — To może się wydać niewiarygodne, ale… ładunek właściwy całkowicie się nie zgadza.

— Jak to: nie *zgadza* się?

— Jest za wysoki. Po prostu nie może być taki.

— W tej sytuacji — powiedział Hallam i wydał następne polecenie, które otworzyło mu drogę ku Nagrodzie Nobla; można by nawet posunąć się do stwierdzenia, że tym właśnie na nią zasłużył, niezależnie od motywacji, jaka nim kierowała. — Należy zbadać częstotliwość promieniowania rentgenowskiego charakterystycznego i oszacować ładunek. I jeszcze… proszę się nie obijać i nie gadać, że coś tam jest niewiarygodne.

Kilka dni później w gabinecie Hallama znowu pojawił się zakłopotany technik.

Hallam zignorował wyraz zafrasowania na twarzy gościa (nigdy zresztą nie był obdarzony zbytnią wrażliwością) i powiedział: — Czy określił pan… — Wtedy to właśnie rzucił zakłopotane spojrzenie w kierunku Denisona, siedzącego przy biurku w laboratorium naprzeciw i… zamknął drzwi. — Czy określił pan atomowy ładunek właściwy?

— Tak, ale on się nie zgadza.

— W porządku. W takim razie powtórzcie doświadczenie.

— Już je powtarzałem, chyba z dziesięć razy. Wyniki wciąż są te same.

— Jeśli dokonaliście pomiarów, to nie ma sprawy. Nie można przeczyć faktom.

Trący podrapał się za uchem i powiedział: — Nie mam wyboru, panie doktorze. Jeśli miałbym te wyniki potraktować poważnie, to dał mi pan pluton 186.

— Pluton 186? Pluton 186?

— Ładunek +94, a masa 186.

— Ale to niemożliwe. Nie ma takiego izotopu. Nie może być.

— Właśnie to panu mówię. Takie są wyniki pomiarów.

— Ale przecież w jądrze brakuje co najmniej pięćdziesięciu neutronów. Istnienie plutonu 186 jest niemożliwe. Nie da się wpakować dziewięćdziesięciu czterech protonów w jedno jądro tylko przy dziewięćdziesięciu neutronach. Nie przetrwałoby ono nawet jednej bilionowej części bilionowej części sekundy.

— Cały czas to panu mówię, panie doktorze — przytaknął cierpliwie Trący.

W tym momencie Hallam przerwał. Musiał się zastanowić. Zniknął wolfram — myślał — a jeden z jego izotopów, wolfram 186, jest trwały. Jądro wolframu 186 ma 74 protony i 112 neutronów. Czy coś mogło zamienić dwadzieścia neutronów w dwadzieścia protonów? Z całą pewnością było to niemożliwe.

— Czy wystąpiły ślady promieniotwórczości? — zapytał szybko, szukając po omacku jakiejś drogi wyjścia z tego labiryntu.

— Pomyślałem o tym — powiedział technik. — Jest to izotop trwały. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

— W takim razie — to nie może być pluton 186.

— Cały czas to mówię, doktorze.

W końcu Hallam powiedział bezradnie: — Dajcie mi tę próbkę.

Ale kiedy został sam, usiadł i spojrzał na butelkę tępym wzrokiem. Najtrwalszym izotopem plutonu był pluton 240, w którym trzeba było 146 neutronów, by utrzymać 94 protony w stanie względnej trwałości.

Co miał teraz zrobić? Zadanie go przerastało i już żałował, że w ogóle podjął się je rozwiązać. Bądź co bądź ma tyle poważnych zajęć, a to… to tajemnicze coś nie ma z nim nic wspólnego. Trący popełnił na pewno jakiś głupi błąd albo wysiadł spektograf… Cóż, po co się tym przejmować? Nie moja sprawa!

Nie mógł już jednak tego zostawić. Prędzej czy później Denison wstąpiłby do niego i z tym swoim drwiącym uśmieszkiem na twarzy zapytałby o wolfram. I co wtedy? Czy mógłby mu odpowiedzieć: „To nie wolfram, przecież ci mówiłem”.

Denison drążyłby dalej. — Aha, w takim razie co to jest? — Hallam wiedział, że nic na świecie nie skłoniłoby go do narażenia się na politowanie, którym z pewnością potraktowałby go Denison, gdyby tylko odważył się stwierdzić, że to pluton 186. Musiał dowiedzieć się, co to jest. Sam. Bez niczyjej pomocy. Oczywiście — nikomu nie mógł ufać.

Tak więc dwa tygodnie później wszedł do laboratorium Tracy'ego w stanie, który można by określić w przybliżeniu: kotłująca się furia.

— Mówiliście, że ten materiał nie jest radioaktywny.

— Jaki materiał? — zapytał odruchowo Trący, zanim cokolwiek sobie przypomniał.

— To, co nazwaliście plutonem 186 — powiedział Hallam.

— No, tak. Był przecież trwały.

— Chyba równie trwały jak pańska głupota. Jeśli nazywacie go niepromieniotwórczym, to powinniście byli zostać hydraulikiem.

Trący zmarszczył brwi. — No dobrze, doktorze. Niech pan da go tutaj. Sprawdzimy. — Po chwili dodał: — Nie rozumiem! On jest radioaktywny. W niewielkim stopniu, ale jednak. Doprawdy nie wiem, jak mogłem to przeoczyć.

— W takim razie, jak mam uwierzyć w tamte brednie o plutonie 186?

Od tej chwili Hallamowi wydawało się, że znalazł się w potrzasku. Tajemnica wolframu-plutonu stała się tak intrygująca, iż zaczął ją traktować jako osobisty afront, wymierzony w niego policzek. Ktokolwiek zamienił butelki lub ich zawartość, musiał je ponownie wymienić albo też wynalazł metal w konkretnym celu — zrobienia z niego, Hallama, głupca. W każdym razie początkujący radiochemik gotów był rozwalić cały świat, by rozwiązać zagadkę. Oczywiście, jeśli będzie musiał… i jeśli zdoła. Bez wątpienia był uparty i zapalczywy, i nie dawał się zbywać byle czym, poszedł więc prosto do G.C. Kantrowitscha, który wtedy właśnie zaczynał ostatni rok swej znakomitej kariery. Nakłonienie Kantrowitscha do współpracy nie było łatwe, ale kiedy już dał się namówić, długo pałał entuzjazmem.

Dwa dni później faktycznie to on właśnie wpadł szalenie podekscytowany do gabinetu Hallama. — Czy dotykałeś tego gołymi rękami?

— Raczej nie — odpowiedział Hallam.

— W takim razie lepiej tego nie rób. Jeśli masz jeszcze jakieś próbki, nie dotykaj ich. Ta substancja emituje pozytony.

— Co?!

— Najbardziej energetyczne pozytony, jakie w życiu widziałem… A i twoje szacunki radioaktywności są za niskie.

— Za niskie?!

— Jak najbardziej. Co więcej, niepokoi mnie, że za każdym razem, gdy przeprowadzam pomiary, odczyty są trochę wyższe niż poprzednie.

6 (c.d.)

Bronowski wyszperał w obszernej kieszeni marynarki jabłko, wyciągnął je i ugryzł. — Okay, właśnie widziałeś Hallama i zostałeś przez niego wyrzucony. Nie było to zresztą dla ciebie niespodzianką. I co teraz?

— Nie zdecydowałem jeszcze, ale cokolwiek to będzie, spowoduje, że Hallam wyląduje na tym swoim grubym zadzie. Widzisz, byłem kiedyś u niego, wiele lat temu, kiedy znalazłem się tu po raz pierwszy i kiedy myślałem, że jest wielkim człowiekiem. Wielkim człowiekiem… To największy łajdak w historii nauki. Napisał na nowo historię Pompy, wiesz, przeredagował to tu… — Lamont postukał się w skroń. — A najgorsze, że wierzy w te swoje fantazje i walczy o nie z chorobliwą zaciętością. To Pigmej z jednym talentem — zdolnością do przekonywania innych, że jest gigantem.

Lamont spojrzał w szeroką, spokojną twarz kolegi, na której gościło teraz nie skrywane rozbawienie, i zmusił się do śmiechu.

— Dobra, wiem, że to nic nie da, a już ci to zresztą kiedyś mówiłem.

— Nie raz.

— Ale nie mogę zrozumieć, jak cały świat…

2

Peter Lamont miał dwa latka, kiedy Hal lam dotykał po raz pierwszy zmienionego wolframu. Kiedy miał lat dwadzieścia trzy, i kiedy na jego dysertacji doktorskiej schła jeszcze farba drukarska, rozpoczął pracę w Stacji Pomp Numer Jeden, równocześnie przyjmując stanowisko asystenta na wydziale fizyki tamtejszego uniwersytetu.

Były to całkiem poważne osiągnięcia w karierze początkującego naukowca. Stacja Pomp Numer Jeden może nie była tak imponująca jak inne, ale była przecież prababką wszystkich: sieci stacji, które — mimo że nowa technologia miała zaledwie kilkadziesiąt lat — pokrywały już całą powierzchnię globu. Żaden przewrót w technice nigdy się nie przyjął tak szybko i w takim stopniu, jak ten. Ale nie istniały przecież żadne przeciwwskazania. Ta rewolucyjna technologia pozwalała uzyskiwać za darmo i bez kłopotów niewyczerpane zasoby energii. Była więc dla całego świata jak lampa Alladyna i święty Mikołaj zarazem.

Lamont przyjął pracę w Stacji Pomp Numer Jeden, by móc rozwiązywać problemy o najwyższym stopniu teoretycznej abstrakcji. Poza tym — zainteresowany był zadziwiającą historią Pompy Elektronowej. Szczegółowe zasady jej działania nie zostały nigdy opisane. Nie znalazł się nikt, kto — znając teoretycznie mechanizm jej funkcjonowania (na tyle, na ile w ogóle mógł być zrozumiany) — podjąłby się objaśnienia jej złożonych zagadnień przeciętnemu odbiorcy. Nawiasem mówiąc, Hallam napisał wiele artykułów dla popularnych mass mediów, ale nie stanowiły one spójnej, przemyślanej całości — czegoś przynajmniej, co pragnął stworzyć Lamont.

Na początku skorzystał z artykułów Hallama oraz opublikowanych relacji innych osób (relacji traktowanych oficjalnie jak dokumenty), dochodząc do spostrzeżenia Hallama — wiekopomnej myśli, która ruszyła świat z posad, Wielkiego Pomysłu, jak często go nazywano (zawsze zresztą pisząc wielkimi literami).

Później oczywiście, kiedy przyszło rozczarowanie, Lamont rozpoczął bardziej wnikliwe poszukiwania, a w jego umyśle zrodziła się wątpliwość, czy rzeczywiście Wielki Pomysł Hallama był jego autorstwa. Zaczęło się niewinnie. Od seminarium, które znaczyło prawdziwy początek Pompy Elektronowej w nauce, a z którego jednak — jak się okazało

— bardzo trudno było otrzymać protokoły, a już całkowicie niemożliwe było uzyskanie zapisów magnetofonowych. Wtedy właśnie Lamont zaczął podejrzewać, że niewyraźność śladów pozostawionych

przez to seminarium nie była jedynie dziełem przypadku. Po zestawieniu pewnych faktów był prawie pewien, że John F.X. McFarland powiedział coś bardzo podobnego do epokowego stwierdzenia Hallama — tyle że zrobił to wcześniej.

Lamont udał się więc do McFarlanda, którego nazwisko w ogóle nie figurowało w żadnym z oficjalnych sprawozdań, a który w tym czasie zajmował się badaniem wiatru słonecznego w górnych warstwach atmosfery. Nie była to praca szczególnie eksponowana, ale miała swoje zalety i związana była z działaniem Pompy. McFarland najwyraźniej uniknął całkowitego zapomnienia, na które skazany został Denison.

Był dla Lamonta uprzejmy i chętnie rozmawiał z nim o wszystkim oprócz wydarzeń tamtego pamiętnego seminarium. Tego po prostu nie pamiętał.

Lamont jednak naciskał. Przytaczał argumenty. Dowodził.

McFarland wyjął w końcu fajkę, napełnił ją, dokładnie przyjrzał się jej zawartości i powiedział z podejrzanym naciskiem: — Wolę nie pamiętać, bo to nie ma znaczenia — naprawdę. Załóżmy, że twierdziłbym, iż coś tam powiedziałem. Nikt by w to nie uwierzył. Wyszedłbym na idiotę i do tego megalomana.

— A Hallam by się postarał, żeby pan dostał dymisję?

— Ja tego nie mówiłem. Poza tym nie sądzę, by się panu udało zmienić cokolwiek. Zresztą — to bez różnicy.

— A co z prawdą historyczną? — zapytał Lamont.

— O czym pan mówi? Prawda historyczna? Hallam nigdy się na nią nie zgodzi. Wciągnął wszystkich w badania, zupełnie nie licząc się z naszym zdaniem. Bez niego tamten wolfram w końcu by eksplodował. Spowodowałoby to, nie wiem nawet jak wielkie, straty. A czy byłaby możliwa następna taka próbka wolframu? Może nigdy nie mielibyśmy Pompy. Hallam zasłużył sobie na sławę, a nawet, nie ma to większego znaczenia, jeśli sobie nie zasłużył, nic na to nie poradzę, bo kto powiedział, że historia ma w ogóle jakiś sens.

Odpowiedź ta wcale nie zadowoliła Lamonta, ale musiała wystarczyć, bo McFarland zakończył na tym rozmowę.

Prawda historyczna!

Częścią prawdy historycznej, nie podlegającą dyskusji, był fakt, że to dzięki promieniotwórczości „wolfram Hallama” — tak go nazwano z wiadomych powodów — znalazł się w centrum światowej uwagi. Nie miało znaczenia, czy był to wolfram, czy nie. Nikogo nie interesowało też, czy ktokolwiek coś w nim zmienił, a nawet czy istnienie takiego pierwiastka było w ogóle możliwe. Wszystko to niknęło wobec faktu, że owa substancja wykazywała ciągle rosnącą radioaktywność w warunkach wykluczających zachodzenie jakiegokolwiek typu rozpadu radioaktywnego, w jakiejkolwiek liczbie

znanych wtedy etapów.

W owym czasie Kantrowitsch zdołał tylko wymamrotać:

— Powinniśmy to rozdzielić. Jeśli będziemy to trzymać w dużych kawałkach, będzie parować albo wybuchnie, albo jedno i drugie, i zniszczy połowę miasta.

Na początku więc substancja została zmielona, rozdzielona i wymieszana ze zwykłym wolframem, później natomiast, kiedy wolfram stawał się radioaktywny, wymieszano ją z grafitem, który ma mniejszy przekrój czynny na promieniowanie.

Po upływie prawie dwóch miesięcy od spostrzeżenia przez Hallama zmiany zawartości butelki, Kantrowitsch, w liście do redaktora „Nuclear Review", ogłosił istnienie plutonu 186. Nazwisko Hallama figurowało w nim jako nazwisko współautora. W ten sposób początkowa zaciętość Tracy'ego została nagrodzona, ale on sam — zapomniany. Taki był początek „wolframu Hallama", o którym szybko zaczęło być głośno w świecie. Denison mógł już tylko obserwować zmiany, które powodowały, że stawał się nikim.

Poważnym problemem było już istnienie plutonu 186. A fakt, że nie był on izotopem trwałym i że wykazywał zadziwiający wzrost radioaktywności, pogarszał sprawę.

Dlatego też w krótkim czasie zorganizowano seminarium w celu rozważenia najtrudniejszych kwestii problemu. Przewodniczył Kantrowitsch, co warte jest uwagi ze względów czysto historycznych. Ostatni raz bowiem w historii Pompy Elektronowej ważnej konferencji dotyczącej tego wiekopomnego odkrycia przewodniczył ktoś inny niż Hallam. Kantrowitsch zmarł pięć miesięcy później i — prawdę mówiąc — była to jedyna osobistość, której prestiż mógł dystansować Hallama i pozostawiać go w cieniu.

Seminarium poświęcone plutonowi 186 było wyjątkowo bezowocne do momentu, gdy Hallam ogłosił swój Wielki Pomysł. Jednak w wersji zrekonstruowanej przez Lamonta prawdziwy punkt zwrotny nastąpił w czasie przerwy na lunch. Wtedy właśnie McFarland, o którego spostrzeżeniach zapisy oficjalne nic nie mówią (mimo że był na liście obecnych), rzekł: — Wiecie co, potrzeba nam odrobiny fantazji. Załóżmy, że…

Mówił do Didericka van Klemensa, a Van Klemens zapisał to z grubsza w swoich notatkach, stenografując w sposób bardzo osobisty. W momencie, gdy Lamont zdołał odszukać ów stenogram, Van Klemens dawno już nie żył. I chociaż jego notatki przekonały Lamonta, musiał jednak przyznać, że nie były wystarczającym dowodem. Należało szukać innych. Co więcej: nie można było dowieść tego, że Hallam słyszał uwagę McFarlanda. Lamont gotów był założyć się o majątek, że Hallam słyszał ją. Ale same chęci i przypuszczenia Lamonta nie stanowiły zadowalającego dowodu. A nawet gdyby

Lamont mógł to udowodnić, właściwie nic z tego nie wynikało. Być może zraniłby nadętą dumę Hallama, ale nie mógłby tak naprawdę zachwiać jego pozycją. Z pewnością argumentowano by w ten sposób, że McFarland spekulował jedynie, Hallam natomiast odważył się stanąć przed zgromadzeniem i publicznie zaprezentować swoją teorię, ryzykując, że stanie się przedmiotem drwin. McFarland nigdy nie zdobyłby się na takie ryzyko. Lamont zapewne sprzeciwiłby się twierdząc, że McFarland był dobrze znanym fizykiem jądrowym, który rzeczywiście ryzykowałby swe dobre imię, zaś Hallam — młodym radiochemikiem, który mógł powiedzieć, co mu się żywnie podobało i jako człowiekowi spoza kliki uszłoby mu to na sucho.

Według urzędowego sprawozdania Hallam powiedział, co następuje:

„Panowie, cały czas stoimy w miejscu. Toteż pozwolę sobie coś zasugerować, nie dlatego, że będzie to coś, co ma sens, ale dlatego, że będzie to mniejszy nonsens niż wszystko inne, co tu słyszałem. Mamy do czynienia z substancją, nazwaną plutonem 186, która nie powinna istnieć, a już na pewno nie jako substancja trwała, jeśli prawa naturalne naszego Wszechświata miałyby w ogóle obowiązywać: Jednak bez wątpienia substancja ta istnieje i do tego na początku była nawet trwała, w takim razie musiała istnieć, przynajmniej na początku, w miejscu, czasie lub warunkach, gdzie prawa przyrody są inne niż nasze. Krótko mówiąc, substancja, którą badamy, nie powstała w ogóle w naszym Wszechświecie, ale w innym — alternatywnym Wszechświecie — w paralelnym uniwersum. Nazwijcie to sobie *zresztą,* jak chcecie.

Kiedy znalazła się tutaj — nie mam zamiaru udawać, że wiem, jakim sposobem — była jeszcze trwała, jak sądzę, dlatego, iż ta substancja przeniosła ze sobą prawa przyrody swego własnego Wszechświata. Fakt, że stawała się powoli radioaktywna, by później zmienić się w silnie promieniotwórczą, może oznaczać, że prawa naszego świata powoli przeniknęły substancję. Mam nadzieję, że panowie wiedzą, o co mi chodzi.

Chciałbym podkreślić, że w tym samym czasie, gdy pojawił się tu pluton 186, próbka wolframu, składająca się z kilku trwałych izotopów, między innymi wolframu 186, zniknęła. Mogła prześliznąć się do świata równoległego. W końcu logiczne i znacznie prostsze zdaje się twierdzenie, że aby taka sytuacja mogła zaistnieć, musiała nastąpić wymiana mas, a nie jednostronny transfer. W świecie paralelnym wolfram 186 może być równie anormalny, jak pluton 186 tutaj. Swoją szczególną egzystencję może zaczynać jako substancja trwała, która powoli staje się coraz bardziej radioaktywna. Może tam służyć jako źródło energii, tak jak pluton 186 mógłby tutaj”.

Audytorium musiało się przysłuchiwać Hallamowi z niebywałym

zdumieniem, bo nie ma żadnych zapisów o przerwaniu mowy, przynajmniej do ostatniego zdania przytoczonego powyżej, kiedy to Hallam wziął przerwę na oddech i być może także po to, by się zastanowić nad swą własną śmiałością.

Ktoś spośród słuchaczy (całkiem możliwe, że Antoine Jerome Lapine, jednakże zapisy nie są tu całkowicie jasne) zapytał, czy profesor Hallam sugeruje, iż jakiś inteligentny sprawca w paraświecie świadomie dokonał wymiany w celu otrzymania nowego źródła energii.

Tym sposobem język ludzki wzbogacił się o wyrażenie „paraświat". Pytanie to zawierało pierwsze potwierdzone użycie tego wyrażenia.

Nastąpiła przerwa, po której Hallam, ośmielony bardziej niż kiedykolwiek w swoim życiu, przeszedł do sedna Wielkiego Pomysłu.

— Tak, tak właśnie sądzę i jestem przekonany, że to źródło energii znajdzie praktyczne zastosowanie tylko wtedy, jeśli nasz świat i paraświat podejmą współpracę. Po jej rozpoczęciu Pompa mogłaby tłoczyć energię z paraświata do nas i na odwrót, wykorzystując różnicę w prawach natury.

Właśnie w tym momencie Hallam przyjął słowo „paraświat" i oznajmił, że jest jego własnym. Co więcej, był pierwszą osobą, która nadała słowu „Pompa" (od tego czasu zawsze pisanemu z dużej litery) nowe znaczenie.

Oficjalne relacje stwarzają pozory, że koncepcja Hallama od razu znalazła aprobatę, ale tak nie było. Uczeni, którzy w ogóle skłonni byli o niej dyskutować, posuwali się nie dalej niż do stwierdzenia, że to zabawna spekulacja. Kantrowitsch nie wypowiadał się ani słowem. Sytuacja ta zaważyła na dalszej karierze Hallama.

Hallam sam nie podołałby analizie teoretycznych i praktycznych implikacji własnego pomysłu. Nieodzowne było stworzenie zespołu i… został on stworzony. Nikt jednak w całej ekipie badaczy nie przyznawał się otwarcie do swego udziału w badaniach. Toteż w momencie, gdy powodzenie koncepcji Hallama stało się już absolutnie pewne, ludzie kojarzyli je wyłącznie z jego osobą. Cały świat uznał, że to Hallam odkrył nową substancję, wpadł na Wielki Pomysł i rozpropagował go. Nic więc dziwnego, że nazwano go Ojcem Pompy Elektronowej.

W setkach laboratoriów wystawiano kulki wolframu. Raz na jakiś czas następował transfer i zapas plutonu 186 zwiększał się. Na przynętę wystawiano również inne pierwiastki, ale bez powodzenia… Niezależnie jednak od tego, gdzie plutonowolfram się pojawiał i kto dostarczał nowe zapasy do centralnej instytucji badawczej, dla szarych mas była to dodatkowa ilość „wolframu Hallama".

Hallamowi najlepiej powiodło się także przedstawianie

społeczeństwu pewnych aspektów nowej teorii. Ku swojemu zdziwieniu (jak później twierdził) odkrył w sobie talent pisarski i polubił popularyzację nauki. Co więcej, opinia publiczna, pod wrażeniem sukcesu młodego radiochemika, uznała go za niepodważalny autorytet i nikt inny nie był w jej oczach tak wiarygodny jak on.

W legendarnym już artykule opublikowanym przez „North American Sunday Tele-Times Weekly" Hal lam napisał: „Nie jesteśmy w stanie określić, jak bardzo prawa natury paraświata różnią się od naszych, ale możemy stwierdzić z dużym prawdopodobieństwem, że silne oddziaływania jądrowe, stanowiące najmocniejsze oddziaływania w naszym Wszechświecie, są jeszcze silniejsze w paraświecie. Szacuje się, że jądra atomowe wiążą tam siły sto razy większe niż w naszym świecie. Oznacza to, że jądro atomowe znacznie łatwiej utrzymuje się tam w całości, pomimo odpychania się protonów pod wpływem dodatnich ładunków elektrostatycznych, i że wymaga mniejszej liczby neutronów, aby utrzymać się w stanie trwałym.

„Pluton 186, izotop trwały w paraświecie, zawiera zbyt wiele protonów albo zbyt mało neutronów, aby mógł istnieć w stanie trwałym w naszym świecie, w którym oddziaływania jądrowe są o wiele słabsze. Stąd pluton 186, znalazłszy się w naszym świecie, promieniuje pozytony, a tym samym wydziela energię. Z każdym wyemitowanym pozytonem proton zamienia się w neutron. W rezultacie w każdym jądrze dwadzieścia protonów zmienia się w neutrony i pluton 186 staje się wolframem 186 — izotopem trwałym zgodnie z prawami naszego świata. W czasie tego procesu wyemitowane zostaje dwadzieścia pozytonów, które anihilują po zetknięciu z dwudziestoma elektronami, uwalniając dalszą energię, toteż na każde jądro plutonu 186 przesyłane na Ziemię, przypada dwadzieścia elektronów wyeliminowanych z naszego świata.

Wolfram 186 pojawiający się w paraświecie jest również nietrwały — z przeciwnych powodów. Według praw paraświata zawiera zbyt wiele neutronów albo zbyt mało protonów. Jądro wolframu 186 zaczyna emitować elektrony, uwalniając równocześnie energię. Z powodu emisji elektronów neutrony zmieniają się w protony, a rezultatem procesu jest jądro plutonu 186. Każde jądro wolframu 186, wysłane do paraświata, dodaje do niego dwadzieścia elektronów.

Plutonowolfram może być wykorzystywany bez końca jako nośnik energii między światami, przenoszący energię to do jednego, to do drugiego świata. W efekcie każde jądro użyte w cyklu wywoła transfer dwudziestu elektronów z naszego świata do ich. Dzięki Interświatowej Pompie Elektronowej obie strony zyskują energię."

Wprowadzenie tej koncepcji w życie i zaakceptowanie Pompy

Elektronowej jako wysoce wydajnego źródła energii dokonało się z niebywałą szybkością, a każdy kolejny sukces powiększał prestiż Hallama.

3. Lamont nie miał żadnych powodów, by wątpić w zasadność tego prestiżu, nic dziwnego, że pełen był czci dla legendarnego już odkrywcy (wspomnienie to żenowało go później, starał się je — dość skutecznie zresztą — wymazać z pamięci). W każdym razie myślał o nim jak o bohaterze, kiedy po raz pierwszy ubiegał się o wywiad z Hallamem. Spotkanie miało dotyczyć w znacznym stopniu dziejów Pompy, które Lamont zamierzał napisać.

Wielki uczony robił wrażenie człowieka rozsądnego. W ciągu trzydziestu lat osiągnął tak wysoką pozycję społeczną, że zaczęto się zastanawiać, czy prawa obowiązujące zwykłych śmiertelników jeszcze go dotyczą. Jego sylwetka osiągnęła imponujące rozmiary, toteż nadwaga uczonego rzucała się w oczy. Jego twarz była nalana, ale potrafił nadać jej wyraz intelektualnej powagi. Nadal łatwo się czerwienił, a jego przewrażliwienie na punkcie godności własnej było wręcz przysłowiowe.

Hallam przejrzał notatki o swym gościu przed jego przybyciem.

— Doktor Lamont?… Wspominano mi, że odwalił pan kawał dobrej roboty, jeśli chodzi o parateorię. O parasyntezę, prawda?

— Tak, proszę pana.

— Aha, czy mógłby mi pan opowiedzieć o swojej pracy? Oczywiście, unikając zbędnych szczegółów, jakby pan mówił do laika, w końcu — i tu Hallam zachichotał — na swój sposób jestem laikiem. Zapewnię pan wie, że jestem jedynie radiochemikiem, a nie jakimś tam wielkim teoretykiem. Co prawda, mam na swoim koncie parę koncepcji, które zdarzało mi się od czasu do czasu zaproponować…

Lamont przyjął wywód Hallama za szczere wyznanie (później wolał o tej przemowie myśleć, że była nieprzyzwoicie protekcjonalna). Wtedy też zrozumiał charakterystyczną dla Hallama metodę przyswajania najbardziej istotnych elementów pracy dokonanej przez innych. Potem wielki uczony potrafił żywo rozprawiać o danym zagadnieniu, pomijając szczegóły, zwłaszcza tak mało istotne jak prawdziwe pochodzenie niektórych koncepcji.

Jednak w czasie tego wywiadu młody Lamont czuł się zaszczycony uwagą światowej sławy uczonego i mówił z wielkim entuzjazmem, jakiego doświadcza się, przedstawiając innym swe odkrycia.

— Nie sądzę, bym dokonał wiele, doktorze Hallam. Dedukowanie praw natury paraświata — parapraw — to bardzo skomplikowany proces. Tak mało wiemy… Oparłem się na odrobinie wiedzy, którą już posiadamy i odrzuciłem wszystko, na co nie mamy niezbitych dowodów. W paraświecie występują silniejsze oddziaływania jądrowe,

stąd wydaje się oczywiste, że synteza pierwiastków o niskiej liczbie atomowej zachodzi tam łatwiej.

— Parasynteza — poprawił Hallam.

— O tak. Problem w tym, jak określić szczegóły tego procesu. Niezbędne jest zastosowanie do tego wysoce złożonej matematyki, ale po dokonaniu paru transformacji, trudności zdają się rozpływać. Okazuje się, na przykład, że wodorek litu może być poddany syntezie w temperaturach o cztery rzędy wielkości niższych niż na Ziemi. Tutaj trzeba temperatur wywołanych przez bombę atomową, aby spowodować eksplozję wodorku litu, tam natomiast wystarcza zwykły ładunek dynamitu. Oferowaliśmy im wodorek sądząc, że energia termojądrowa może być dla nich czymś atrakcyjnym, ale nawet go nie tknęli.

— Tak, słyszałem o tym.

— Najwyraźniej jest to dla nich zbyt ryzykowne — to jakby używanie nitrogliceryny w zbiornikach rakietowych — tyle, że jeszcze bardziej niebezpieczne.

— Bardzo dobrze… Podobno pisze pan historię Pompy.

— Tak, ale nieoficjalną. Kiedy już ukończę rękopis, poproszę pana o przeczytanie, jeśli można, jest pan w końcu osobą, która bezpośrednio brała udział w rozwoju wydarzeń. Właściwie, to chciałbym skorzystać z pańskiej wiedzy już teraz, o ile ma pan chwilę wolnego czasu.

— Znajdzie się trochę. Cóż chciałby pan wiedzieć? — Hallam uśmiechnął się. Był to ostatni raz, kiedy Hallam uśmiechał się w obecności Lamonta.

— Rozwój badań nad Pompą, profesorze Hallam, nastąpił z niesłychaną szybkością — zaczął Lamont. — Kiedy Projekt Pompy…

— Projekt Interświatowej Pompy Elektronowej — sprostował Hallam, nadal jeszcze się uśmiechając.

— Ależ oczywiście — powiedział Lamont, przełknąwszy ślinę. — Posłużyłem się potoczną nazwą. Kiedy więc rozpoczęto pracę nad projektem, bardzo szybko opracowano szczegóły techniczne.

— To prawda — powiedział Hallam, nie bez śladu samozadowolenia w głosie. — Ludzie podkreślają moje stanowcze i inspirujące kierownictwo, ale wolałbym, żeby pan nie podkreślał tego zbyt mocno w swojej książce. Tak naprawdę projekt był dziełem ogromnej rzeszy talentów i nie chciałbym, by przez wyolbrzymianie mojej roli pomniejszano wkład uczestniczących w nim badaczy.

Lamont potrząsnął głową z lekkim zniecierpliwieniem. Uwaga Hallama wydawała mu się całkowicie zbędna. — Wcale nie o to chodzi. Interesuje mnie inteligencja drugiej strony — jak to się potocznie mówi — paraludzi. To przecież oni zaczęli. Odkryliśmy ich dopiero po pierwszym transferze plutonu. Ale oni musieli nas odkryć

wcześniej, by dokonać transferu, opierając się na bazie czysto teoretycznej, nie mając wskazówek, których nam dostarczyli. A poza tym metalowe folie, które nam przysłali…

W tym właśnie momencie uśmiech opuścił twarz Hallama, by nigdy już nie pojawić się w obecności młodego amatora historii nauk. Wielki uczony zmarszczył brwi i powiedział głośno: — Ich symbole nigdy nie zostały odczytane. Nic, co o nich…

— Zinterpretowano figury geometryczne. Dokładnie je przeanalizowałem i wydaje mi się oczywiste, że za ich pomocą paraludzie przedstawili nam plany Pompy. Sądzę, że…

Rozgniewany Hallam odsunął swe krzesło ze zgrzytem. — Nie mam zamiaru tego słuchać, młody człowieku. To my do tego doszliśmy, nie oni.

— Tak, ale czyż nie jest prawdą, że paraludzie…

— Że co?

Lamont nagle uświadomił sobie, jaką burzę emocji wywołał, nie pojmował jednak jej przyczyn. Niepewnie wyszeptał: —…że oni są bardziej inteligentni niż my, że to oni wykonali najważniejszą część pracy. Czy można mieć co do tego jakieś wątpliwości?

Zaczerwieniwszy się, Hallam powoli wstał. — Mam ogromne wątpliwości! — krzyknął. — Nie pozwolę, by tu szerzono jakiś mistycyzm. Tego już za wiele! Słuchaj, młody człowieku — ruszył ku ciągle jeszcze siedzącemu i kompletnie zdezorientowanemu Lamentowi i pogroził mu palcem — jeśli twoja historia będzie nas przedstawiać jako marionetki w rękach paraludzi, nigdy nie zostanie wydana w tej instytucji… Ani w żadnej innej! O ile moje zdanie jeszcze coś znaczy. Nie pozwolę, by z paraludzi robiono bogów.

Lamontowi nie pozostało nic innego, tylko wyjść. Był oszołomiony, całkowicie wytrącony z równowagi tym, że wywołał wściekłość osoby, po której spodziewał się jedynie pełnego zrozumienia.

Wkrótce po spotkaniu zauważył, że jego źródła historyczne nagle zaczynają wysychać. Ludzie dość rozmowni tydzień wcześniej, nic teraz nie pamiętali i nie mieli czasu na dalsze wywiady. Z początku jedynie go to irytowało, potem jednak zaczął w nim powoli wzbierać gniew. Materiały, które zgromadził, zaczął postrzegać w innym świetle. Zmienił strategię — zaczął naciskać tam, gdzie dawniej jedynie prosił. Spotykał Hallama na zebraniach zakładowych, krzywiącego się i udającego, że go nie dostrzega, i rzucał mu pełne pogardy spojrzenia.

W końcu Lamont zrezygnował z kariery parateoretyka i oddał się całkowicie historii nauki.

6. (c.d.)

— Cholerny głupiec — wycedził Lamont, wspominając rozmowę. — Szkoda, że cię tam nie było i nie widziałeś, jak wpadał w panikę przy każdej sugestii, że to paraludzie zainicjowali pompowanie. Teraz kiedy o tym myślę, zastanawiam się, jak można, nawet po nie wiem jak pobieżnym poznaniu go, nie zorientować się, że tak właśnie zareaguje. Powinieneś się cieszyć, że nigdy z nim nie pracowałeś.

— Cieszę się — powiedział obojętnie Bronowski — chociaż ty też czasami nie jesteś aniołem.

— Nie narzekaj. Twoja praca nie naraża cię na żadne kłopoty.

— Ale nie cieszy się zainteresowaniem. Kogo obchodziło moje dzieło życia, oprócz mnie i pięciu innych na świecie? No, może sześciu innych — jeśli ty jeszcze o nim pamiętasz.

Lamont przypomniał sobie. — No, tak — powiedział.

4

Nieprzenikniona twarz Bronowskiego nie zmyliłaby nikogo, kto znał go choć trochę. Był to badacz niezwykle inteligentny i wytrwały. Każdy problem analizował tak długo, aż dochodził do rozwiązania albo rozłożył go na części i po prostu wiedział, że nie istnieje żadne rozwiązanie.

Weźmy pod uwagę choćby etruskie inskrypcje, dzięki którym zdobył światową sławę. Języka etruskiego używano do piątego wieku naszej ery, zniknął jednak prawie bez śladu, ponieważ nie zdołał przeciwstawić się kulturowemu imperializmowi Rzymian. Garść inskrypcji, które przetrwały rzymską wrogość i — co gorsza nawet — obojętność, zapisana była greckimi literami. Można je było wymówić, ale nic ponadto. Język etruski nie miał powiązań z żadnym z otaczających go języków, wyglądał na bardzo archaiczny, zdawał się nawet nie należeć do języków indoeuropejskich. Dlatego Bronowski zwrócił uwagę na inny język — również bardzo archaiczny, nie należący do rodziny języków indoeuropejskich — ale jak najbardziej żywy i używany całkiem blisko miejsca, gdzie kiedyś żyli Etruskowie.

A baskijski? — zastanawiał się Bronowski. I zastosował język baskijski jako podstawę porównawczą. Wcześniej inni też próbowali tego podejścia, ale poddali się. Bronowski nie dał za wygraną.

Zadanie uczonego było niezwykle trudne, bo baskijski, język sam w sobie niezwykle skomplikowany, wydawał się niezbyt pewną pomocą w odczytywaniu równie trudnego języka. W miarę postępu badań Bronowski znajdował coraz więcej powodów, by wierzyć, że istniało jakieś powiązanie kulturowe między mieszkańcami dawnej północnej Italii i Hiszpanii. Próba odtworzenia struktury języka baskijskiego z czasów cesarstwa i powiązania jej z językiem etruskim była nie lada intelektualnym wyczynem o niespotykanym stopniu trudności. Bronowski zadziwił filologów na całym świecie, gdy tego dokonał.

Tłumaczenia były perełkami nijakości. Ot, standardowe napisy nagrobkowe pozbawione większej wartości. Jednakże sam fakt przetłumaczenia ich był dużym zaskoczeniem i, jak się okazało, niezmiernie ważny dla Lamonta. Nie od razu jednak.

Szczerze mówiąc, upłynąć musiało dobrych pięć lat od przetłumaczenia etruskich inskrypcji, zanim Lamont w ogóle dowiedział się, że istniał lud Etrusków. A dowiedział się wtedy, gdy Bronowski pojawił się na uniwersytecie, by jako stypendysta związany z uczelnią wygłosić jeden z corocznych wykładów. Mimo iż były one obowiązkowe dla pracowników naukowych uczelni, Lamont zwykle ich unikał. Tym razem jednak poszedł. Udał się na wykład nie dlatego,

że doceniał jego znaczenie lub zainteresował się przedmiotem, ale dlatego, że umówił się z doktorantką z Wydziału Romanistyki. Musiał wybrać: albo odczyt, albo festiwal muzyczny, na który zupełnie nie miał ochoty. Więź towarzyska między nim a doktorantką była ledwie zadowalająca, z punktu widzenia Lamonta, i jedynie tymczasowa. Wystarczyła jednak, by wyciągnąć go na wykład.

Już w trakcie wykładu Lamont stwierdził, że problem jest interesujący. Początkowo nie przywiązywał wagi do tajemniczej kultury etruskiej, jednak problem rozwikływania tajemnic zagadkowego języka uznał za fascynujący. W młodości bardzo lubił rozwiązywać kryptogramy, ale odłożył je wraz z innymi dziecinnymi zajęciami po to, by rozwiązywać o wiele ważniejsze kryptogramy tworzone przez przyrodę. Dlatego skończył na parateorii.

Wykład Bronowskiego przypomniał mu dawne młodzieńcze uniesienia, emocje doznawane w czasie powolnego odczytywania tekstów, które zdawały się być zbiorami przypadkowych elementów. Zadania, które omawiał Bronowski, złożone i skomplikowane, nadawały szczególną rangę kryptografii. Bronowski był specjalistą najwyższej klasy i jego opis systematycznego postępowania w rozwikływaniu nieznanego sprawił Lamontowi ogromną radość.

Wszystko jednak poszłoby na marne — cały ten potrójny zbieg okoliczności, czyli pojawienie się Bronowskiego na uniwersytecie, dawne młodzieńcze zainteresowania Lamonta, towarzyska presja atrakcyjnej młodej kobiety — gdyby nie to, że następnego dnia Lamont zobaczył się z Hallamem i zdecydowanie popadł w jego niełaskę, jak się później okazało — trwałą.

W godzinę po rozmowie z Hallamem, Lamont zdecydował się spotkać z Bronowskim. Chciał z nim omówić to, co wydawało się oczywiste, a co obraziło Hallama i stało się przyczyną szykan. I, *co rzecz* jasna, zmusiło Lamonta do kontrataku. Paraludzie byli bardziej inteligentni od człowieka. Lamont uznał to już dawno za coś oczywistego, choć nieistotnego. Teraz udowodnienie tego stało się dla niego sprawą honoru. Czuł, że ów dowód musi stanąć Hallamowi kością w gardle. Lamont był już lata świetlne od kultu jednostki, od uwielbienia, jakim darzył wcześniej Hallama, toteż delektował się tą wizją.

Bronowski nadal przebywał na terenie kampusu. Lamont odnalazł go i usilnie prosił o spotkanie.

Archeolog — przyparty do muru, w końcu zdecydował się spotkać z Lamontem. Zaczął od wymuszonego, grzecznego przywitania się. Lamont krótko zbył uprzejmości, przedstawił się z nie skrywaną niecierpliwością i powiedział: — Doktorze Bronowski, cieszę się niezmiernie, że zdołałem pana złapać przed wyjazdem. Mam nadzieję, że uda mi się pana przekonać, by został pan tu na dłużej.

Bronowski odpowiedział: — Nie będzie to wcale trudne. Zaproponowano mi stanowisko na tym uniwersytecie.

— I pan się zgodzi?

— Zastanawiam się nad tym. Być może tak.

— Musi pan to zrobić. Z pewnością pan to zrobi, gdy tylko się dowie, co mam panu do powiedzenia. Doktorze Bronowski, czy zostało jeszcze coś do zrobienia po rozszyfrowaniu etruskich inskrypcji?

— Moja praca nie ogranicza się jedynie do tego, młody człowieku. — (Był pięć lat starszy od Lamonta). — Jestem archeologiem, a kultura etruska to coś więcej niż te inskrypcje, zaś kultura preklasyczna to znacznie więcej niż tylko Etruskowie.

— Ale z pewnością nie jest to nic ekscytującego, nie stanowi wyzwania, tak jak inskrypcje.

— Przyznaję panu rację.

— Więc z chęcią zająłby się pan czymś jeszcze bardziej ekscytującym, jeszcze większym wyzwaniem, czymś bilion razy ważniejszym niż tamte inskrypcje.

— Czym mianowicie, doktorze… Lamont?

— Istnieją inskrypcje, które nie są częścią martwej kultury ani niczego na Ziemi, ani też w tym Wszechświecie. Posiadamy coś, co nazwano tekstami parasymbolicznymi.

— Słyszałem o nich. Widziałem je nawet.

— W takim razie z pewnością zapałał pan chęcią rozwiązania tego problemu. Jestem pewien, że zapragnął pan rozpracować to, co nam przekazali.

— Nic z tych *rzeczy,* doktorze Lamont, ponieważ tu nie ma żadnego problemu. — Lamont przyglądał się podejrzliwie swemu rozmówcy. — To znaczy, że pan może je odczytać?

Bronowski pokręcił przecząco głową. — Źle mnie pan zrozumiał. Chodzi mi o to, że nie potrafię tego w żaden sposób odczytać, ani też nikt inny tego nie zrobi. Nie istnieje bowiem żadna płaszczyzna odniesienia. W przypadku martwych języków ziemskich zawsze jest jakaś szansa znalezienia żywego języka albo innego języka martwego, który został odszyfrowany, mającego, choćby ledwie widoczne, powiązanie z badanym. Ale nawet bez tego — proste założenie, że język ziemski stworzyły istoty ludzkie, o ludzkim sposobie myślenia, może stanowić — bardzo słaby, ale jednak — punkt wyjścia. Nie ma mowy o tym w przypadku parasymboli, toteż stanowią one problem, który oczywiście rozwiązania nie ma.

Lamont w trakcie tej przemowy nie mógł się pohamować i wreszcie wybuchnął: — Pan się myli, doktorze Bronowski. Nie chciałbym pana pouczać, ale nie zna pan pewnych faktów, które odkryto w mojej dziedzinie. Sądzimy, że istnieją paraludzie, o których

nie wiemy prawie nic. Nie wiemy, jak wyglądają, jak myślą, w jakim żyją świecie. Nie wiemy niczego, co dawałoby jakąś pewność, stanowiło fundament ich istnienia. Co do tego ma pan rację…

— Ale coś wiecie, tak? — Bronowski mu przerwał, nie wykazując większego zainteresowania. Wyciągnął paczkę suszonych fig z kieszeni, otworzył ją i zaczął jeść. Zaproponował Lamontowi, który pokręcił odmownie głową.

— Racja — powiedział Lamont. — Wiemy coś o kluczowym znaczeniu. Są inteligentniejsi od nas. Po pierwsze, to oni dokonali pierwszej wymiany przez okno międzyświatowe, a my odegraliśmy w tym jedynie bierną rolę. — Przerwał, by zapytać: — Czy wie pan coś o Interświatowej Pompie Elektronowej?

— Troszkę — powiedział Bronowski. — Dość, by nadążać za panem, o ile nie zacznie się pan zagłębiać w szczegóły techniczne.

Lamont ciągnął w pośpiechu dalej: — Po drugie, wysłali nam instrukcje dotyczące tego, jak skonstruować naszą część Pompy. Nie mogliśmy ich zrozumieć, ale domyśliliśmy się, co oznaczają schematy na tyle, by wyciągnąć z nich potrzebne informacje. Po trzecie, oni jakoś nas wyczuwają. A przynajmniej są świadomi tego, że wystawiamy im wolfram. Wiedzą, gdzie jest i działają. My nic podobnego zrobić nie potrafimy. Istnieją jeszcze inne dowody, ale już te wystarczają do stwierdzenia, że paraludzie są najwyraźniej bardziej inteligentni od nas.

— Sądzę — powiedział Bronowski — że reprezentuje pan mniejszość. Pańscy koledzy z pewnością nie akceptują tej teorii.

— Tak. Ale co skłoniło pana do takiego wniosku?

— To, że pan się po prostu myli.

— Fakty, które przedstawiłem, są prawdziwe. A skoro one są prawdziwe, jak mogę się mylić?

— Udowadnia pan jedynie, że technologia paraludzi jest bardziej zaawansowana niż nasza. Cóż to ma wspólnego z inteligencją? Niech pan posłucha. — Bronowski wstał, by zdjąć marynarkę, po czym usiadł wygodnie w fotelu. Jego obfite ciało zdawało się rozluźniać i fałdować w tej pozycji. Fizyczny luz pomagał mu myśleć. — Jakieś dwa i pół wieku temu komandor amerykańskiej floty wojennej, Matthew Perry, wprowadził swe statki do tokijskiego portu. Japończycy, do tego czasu odizolowani, znaleźli, się twarzą w twarz z technologią znacznie przekraczającą ich własne możliwości i zdecydowali, że stawianie oporu byłoby ryzykowne. Ten zaprawiony w wojnach naród był bezradny wobec kilku okrętów przybyłych z drugiej strony oceanu. Czy to dowodziło, że Amerykanie są bardziej inteligentni od Japończyków, czy raczej oznaczało, że kultura zachodnia wybrała inną drogę? Oczywiście, to drugie, bo w ciągu półwiecza Japończycy skutecznie imitowali zachodnią technologię, a

w następnym stali się jedną z głównych potęg przemysłowych, mimo że zostali doszczętnie pobici w jednej z ówczesnych wojen.

Lamont przysłuchiwał się temu z niewzruszoną powagą i w końcu powiedział: — Też o tym myślałem, doktorze Bronowski, chociaż nie wiedziałem o Japończykach. Żałuję, że nie mam czasu na studiowanie historii. Jednak analogia jest błędna. Chodzi mi o coś więcej, nie tylko o przewagę techniczną — o stopień inteligencji.

— Skąd pan może to wiedzieć, opierając się jedynie na domysłach?

— Stąd, że oni przesłali nam wskazówki. Chcieli, byśmy stworzyli naszą część Pompy; musieli nas do tego skłonić. Nie mogli fizycznie przekroczyć granicy między światami; nawet ich cienkie blaszki z żelaza — substancji najtrwalszej w ich świecie — na których wycięte były ich przekazy, stawały się zbyt radioaktywne, by można je było dłużej przechowywać w jednym kawałku; oczywiście, przed podzieleniem zdążyliśmy wykonać ich kopie z innych materiałów. — Zdając sobie sprawę, że jest zbyt podekscytowany, zbyt zapalczywy, przerwał, by zaczerpnąć powietrza. Wiedział, że nie może przedobrzyć.

Bronowski przyglądał mu się badawczym wzrokiem. — Zgoda, przesłali nam wiadomości. Co z tego pan wydedukował?

— Spodziewali się, że je zrozumiemy. Czy mogliby być takimi głupcami, by wysyłać do nas skomplikowane instrukcje, często bardzo długie, gdyby sądzili, że ich nie zrozumiemy?… Bez tych diagramów do niczego byśmy nie doszli. Z kolei, jeśli oczekiwali, że ich zrozumiemy, to mogło tak być jedynie dlatego, że wiedzieli, iż posiadamy technologię w przybliżeniu tak rozwiniętą, jak ich własna. Musieli więc być zdolni do oszacowania tego w jakiś sposób — to jeszcze jeden punkt na ich korzyść. Opierając się na założeniu, że istoty o podobnym poziomie cywilizacji technicznej muszą także w przybliżeniu mieć podobny stopień inteligencji, uznali, iż ludzie nie powinni napotykać większych trudności w dojściu do tego, co oznaczają parasymbole.

— Wszystko to może także świadczyć o ich naiwności — powiedział bynajmniej nie przekonany Bronowski.

— Chodzi panu o to, że oni myślą, iż istnieje tylko jeden język, pisany i mówiony, i że inna inteligentna rasa w innym Wszechświecie mówi i pisze tak jak oni? Bez przesady.

— Nawet gdybym panu przyznał rację — powiedział Bronowski — co chciałby pan, bym zrobił? Oglądałem parasymbole. Jak sądzę, każdy filolog na Ziemi je widział. Nie wiem, co miałbym zrobić, ani też nikt nie wie. Przez ostatnich dwadzieścia lat nie postąpiono nawet o krok w rozwiązaniu tej zagadki.

Lamont zapalczywie wyrzucił z siebie: — W rzeczywistości przez

dwadzieścia lat nikt tak naprawdę nie szukał rozwiązania. Kierownictwo Pompy nie chce, by problem symboli został rozwiązany.

— Dlaczego miałoby nie chcieć?

— Z powodu niepokojącej możliwości, że komunikacja z paraludźmł wykaże, że tamci są znacznie inteligentniejsi. Ponieważ może ona ukazać ludzi jako marionetki użyte do stworzenia Pompy, a to bez wątpienia zraniłoby ich dumę. A szczególnie dlatego, że (Lamont walczył, by w jego głosie nie pojawił się jad) Hallam utraciłby zaszczytne imię Ojca Pompy Elektronowej.

— Załóżmy jednak, że chcieliby osiągnąć jakiś postęp w rozwiązywaniu tego trudnego zagadnienia. Cóż więc można zrobić? Same chęci przecież nie wystarczą.

— Mogliby zacząć współpracę z paraludźmi, wysyłać wiadomości do paraludzi. Nigdy tego nie robiono, a to przecież jest możliwe. Można by umieścić na metalowej folii wiadomość i zostawić ją pod kulką wolframu.

— Ach, tak? Nadal więc szukają próbek wolframu, mimo że działa Pompa?

— Nie, ale z pewnością zauważyliby wolfram i uznaliby, że próbujemy go użyć, by zwrócić ich uwagę. Moglibyśmy nawet umieścić wiadomość na folii z samego wolframu. Jeśli odbiorą przekaz i potrafią go rozszyfrować, choćby w minimalnym stopniu, prześlą nam odpowiedź, uzupełniając ją własnymi informacjami. Może stworzyliby tablice ekwiwalencji wyrazów albo też używaliby mieszanki naszych i swoich wyrazów. Byłby to rodzaj wzajemnego stymulowania: najpierw ruch z ich strony, potem z naszej, potem znowu oni, i znowu my, i tak dalej…

— I ich strona wykonywałaby lwią część roboty?

— Tak — potwierdził Lamont. Bronowski potrząsnął głową.

— Żadnej intelektualnej łamigłówki. To mnie bynajmniej nie pociąga.

Lamont spojrzał na niego, kipiąc z gniewu. — Dlaczego nie? Czy uważa pan, że zbyt mało uwagi poświęcano by pańskiej osobie? Zbyt mało sławy? Kim pan jest, koneserem sławy? Co za sławę przyniosły panu inskrypcje, do jasnej cholery! Pokonał pan pięciu innych na całym świecie. Może sześciu. Tylko dla nich pański sukces i zwycięstwo coś znaczą i… oni pana nienawidzą. Co jeszcze? Wygłasza pan wykłady na ten temat przed kilkunastoosobową widownią, która na drugi dzień nie pamięta nawet pańskiego nazwiska. Czy o to panu naprawdę chodzi?

— Niech pan nie dramatyzuje.

— Dobrze. Nie będę. Znajdę kogoś innego. Być może potrwa to dłużej, ale, jak pan mówił, paraludzie i tak odwalą lwią część roboty. Jak będzie trzeba, sam się za to wezmę.

— Czy został pan oficjalnie wyznaczony do tego zadania?

— Nie. I co z tego? A może to jeszcze następny powód, dla którego pan nie chce się w to włączyć? Problemy dyscyplinarne. Nie ma przepisów zabraniających prób tłumaczenia, a ponadto — zawsze mogę postawie wolfram na swoim biurku. Pozwolę sobie jedynie nie składać raportów o przekazach, które się pojawią, i w ten sposób będę łamał zasady etyki badawczej. Kiedy już dokonam translacji, kto na to zwróci uwagę? A może zechciałby pan ze mną pracować, gdybym zapewnił panu bezpieczeństwo i utrzymywał pański udział w tajemnicy? Straciłby pan rozgłos, ale być może bardziej ceni pan sobie bezpieczeństwo. No, cóż — Lamont wzruszył ramionami — jeśli zrobię to sam, nie będę musiał przejmować się czyimś bezpieczeństwem.

Wstał, kończąc rozmowę. Obaj mężczyźni byli rozdrażnieni i odnosili się do siebie z drętwą kurtuazją, którą przyjmuje się zwykle w obecności kogoś wrogo nastawionego, nie chcąc okazać się niegrzecznym.

— Mam nadzieję, że przynajmniej tę rozmowę zachowa pan w tajemnicy — powiedział Lamont.

Bronowski również wstał. — Tego może pan być pewien — odparł zimno. Po czym nastąpił krótki uścisk dłoni.

Lamont nie spodziewał się już nigdy spotkać Bronowskiego. Już zaczął sobie nawet wmawiać, że lepiej będzie, gdy sam podejmie wysiłek translacji.

Jednak dwa dni później Bronowski pojawił się w laboratorium Lamonta i powiedział szorstko: — Opuszczam to miasto, ale wrócę we wrześniu. Przyjmuję stanowisko tutaj i, jeśli jest pan nadal tym zainteresowany, postaram się zbadać problem translacji, o którym pan wspomniał.

Niezmiernie zdziwiony Lamont ledwie miał czas wyrazić swą wdzięczność, bo Bronowski już wychodził, najwyraźniej rozgniewany na siebie za to, że ustąpił.

Z czasem, gdy stali się przyjaciółmi, Lamont dowiedział się, co naprawdę wpłynęło na zmianę decyzji Bronowskiego. Dzień po ich rozmowie Bronowski był na lunchu w klubie z grupą przedstawicieli władz uniwersytetu, z rektorem włącznie. Podziękował za złożoną mu propozycję i oświadczył, że przyjmuje ją i że wkrótce wyśle oficjalny list w tej sprawie.

Wtedy to rektor wygłosił kurtuazyjne: — Będziemy naprawdę zaszczyceni, że w naszym gronie znajdzie się wybitny tłumacz itaskich inskrypcji. To doprawdy ogromny zaszczyt.

Bronowski nie sprostował pomyłki, a z jego twarzy nie zniknął nawet z lekka wymuszony uśmiech. Później kierownik zakładu historii starożytnej wyjaśnił, że rektor jest raczej bardziej mieszkańcem Minnesoty niż uczonym o wykształceniu klasycznym, a ponieważ

jezioro Itasca było miejscem, z którego wypływa Missisipi, takie przejęzyczenie było u niego całkiem naturalne. W połączeniu jednak z drwiną Lamonta dotyczącą rozmiarów jego sławy, pomyłka ta rozgoryczyła Bronowskiego.

Nie da się ukryć, że Lamont był rozbawiony, kiedy w końcu usłyszał tę historię. — Nie musisz mówić, co było dalej — przerwał Bronowskiemu. — Sam coś takiego przeżyłem. Powiedziałeś sobie wtedy: „Na Boga, zrobię coś, czego nawet ten cymbał nie będzie mógł pomylić”.

— Coś w tym rodzaju.

5

Rezultaty ich całorocznej współpracy nie były imponujące. W końcu jednak przesyłki zaczęły przechodzić na drugą stronę i pojawiały się odpowiedzi stamtąd. I nic poza tym.

— Choćby zgadywać — mówił gorączkowo Lamont. — Nawet w ciemno. Żeby ich wypróbować.

— Dokładnie to robię, Pete. Po co się tak denerwujesz? Nad inskrypcjami etruskimi spędziłem dwanaście lat. Czy sądzisz, że to zadanie zajmie mniej czasu?

— Dobry Boże, Mike. To może trwać dwanaście lat?!

— Dlaczego nie? Słuchaj, Pete, nie uszło mej uwagi, że się zmieniłeś. Przez ostatni miesiąc byłeś po prostu niemożliwy. Myślałem, iż sobie wyjaśniliśmy na początku, że ta praca nie może posuwać się szybko i że musimy być cierpliwi. Myślałem, że zdajesz sobie sprawę z moich normalnych obowiązków na uniwersytecie. Słuchaj, pytałem cię już kilka razy. Pozwól, że zrobię to jeszcze raz. Dlaczego ci się teraz tak spieszy?

— Bo już nie mogę czekać — powiedział krótko Lamont. — Bo chcę, żeby to ruszyło.

— Gratuluję — sucho skomentował Bronowski. — Ja również. Czy ty przypadkiem nie oczekujesz przedwczesnej śmierci? A może twój lekarz powiedział ci, że masz raka?

— Nie, nie — zająknął Lamont.

— Więc o co chodzi?

— Nieważne — odpowiedział Lamont i odszedł szybkim krokiem.

Kiedy pierwszy raz próbował przekonać Bronowskiego, by połączyli swe siły, żal Lamonta odnosił się jedynie do małostkowego uporu Hallama dotyczącego sugestii, że paraludzie są bardziej inteligentni. To właśnie i jedynie to spowodowało, że Lamont gorąco pragnął przełomu. Nie zamierzał posunąć się dalej — ale tak było tylko na początku. W ciągu następnych kilku miesięcy skazany był na nie kończącą się frustrację. Jego prośby o sprzęt, pomoc techniczną, czas komputerowy zbywano niczym, prośby o fundusze na podróże służbowe wyśmiewano, a wypowiedzi na zebraniach międzywydziałowych niezmiennie pomijano. Miarka się przebrała, gdy Henry Garrison, człowiek o krótszym od niego stażu, a już z pewnością ustępujący mu zdolnościami, otrzymał stanowisko doradcy, o wysokim prestiżu, które tak naprawdę należało się Lamentowi. Duma i ambicja Lamonta zostały podrażnione do tego stopnia, że już samo wykazanie własnej racji przestało mu wystarczać. Marzył o tym, by zgnieść Hallama, doszczętnie go zdruzgotać. Uczucie to wzmagało się w nim z każdym dniem, prawie z godziny na godzinę, podsycane

przez nie dającą się zignorować postawę innych pracowników Stacji. Konfliktowa osobowość Lamonta nie budziła sympatii, ale nowa sytuacja, w jakiej się znalazł, potrafiła wzbudzić współczucie nawet dla niego.

Zresztą, sam Garrison był zakłopotany. Był to cichy, spokojny młody człowiek, który bez wątpienia chciał uniknąć kłopotów i który teraz stał w drzwiach laboratorium Lamonta, a jego twarz wyrażała więcej niż odrobinę obawy.

Garrison zaczął pierwszy: — Cześć, Pete. Czy mogę zamienić z tobą kilka słów?

— Ile tylko zechcesz — powiedział Lamont, marszcząc czoło i unikając kontaktu wzrokowego z rozmówcą.

Garrison wszedł do pokoju i usiadł. — Pete — zaczął — nie mogę odrzucić nominacji, ale chciałbym, żebyś wiedział, że się o nią nie starałem. Jestem kompletnie zaskoczony.

— A kto ci każe ją odrzucać? Mam to gdzieś.

— Pete, to Hallam. Gdybym ją odrzucił i tak dostałby ją ktoś inny, nie ty. A swoją drogą, ciekawe, czym tak zalazłeś staremu za skórę?

Lamont zaatakował wtedy: — A ty? Co myślisz o Hallamie? Kim jest ten wielki uczony według ciebie?

Garrison był zaskoczony. Ściągnął usta i potarł wskazującym palcem koniec nosa. — No… — głos zdawał się zanikać.

— Wielki człowiek? Błyskotliwy naukowiec? Inspirujący przywódca?

— No…

— Powiem ci. To szalbierz! Oszust! Zdobył reputację i pozycję, i teraz trzęsie się ze strachu. Wie, że przejrzałem go i dlatego jest przeciwko mnie.

Garrison skwitował wybuch Lamonta pełnym zażenowania śmiechem. — Chyba mu tego nie powiedziałeś…

— Nie, nie powiedziałem mu prosto w oczy — odparł Lamont z nie skrywanym smutkiem. — Ale kiedyś z pewnością powiem. On to zresztą wyczuwa. Wie, że jestem jedyną osobą, której nie zamydlił oczu, mimo że nic nie mówię.

— Ależ, Pete, chciałbyś mu to powiedzieć?! Jaki w tym sens? Nie powiem, żebym uważał go za najlepszego w świecie.

Ale po co zaraz to rozgłaszać? Poschlebiaj mu trochę. Twoja kariera spoczywa w jego rękach.

— Czyżby? To jego reputacja jest w moich rękach. Mam zamiar go zdemaskować. Zedrę z niego wszystkie naukowe maseczki.

— Jak?

— To moja sprawa! — wycedził Lamont, który w tym momencie nie miał najmniejszego pojęcia, jak tego dokonać.

— Ależ to śmieszne — powiedział Garrison. — Nie możesz wygrać. On cię po prostu zniszczy. Nawet jeśli nie jest Einsteinem ani Oppenheimerem, dla świata znaczy więcej niż tamci. Dla dwumiliardowej populacji ziemskiej on jest Ojcem Pompy Elektronowej i nic, cokolwiek byś zrobił, nie zmieni ludzi, dopóki Pompa Elektronowa jest kluczem do ziemskiego raju. Póki to będzie prawdą, nie zdołasz tknąć Hallama i musiałbyś być szalony, gdybyś sądził, że tego dokonasz. Do diabła, Pete, powiedz mu, że jest wielki i zjedz tę żabę. Nie bądź następnym Denisonem!

— Wiesz co, Henry — zaczął Lamont w przypływie wściekłości. — Zajmij się lepiej własnymi sprawami.

Garrison gwałtownie wstał i wyszedł bez słowa. Lamont przysporzył sobie następnego wroga, a w każdym razie — stracił kolejnego przyjaciela. Tę jednak niewygórowaną cenę, jak później stwierdził, warto było zapłacić za uwagę Garrisona, która nadała zupełnie inny kierunek jego dociekaniom. Uwaga ta zawierała krótką konstatację, że „dopóki Pompa Elektronowa jest kluczem do ziemskiego raju… nie zdołasz tknąć Hallama".

Myśl ta kołatała się po głowie Lamonta, który po raz pierwszy zwrócił uwagę nie na Hallama, lecz na Pompę Elektronową.

Czy Pompa Elektronowa była kluczem do ziemskiego raju? Czy nie kryje się za nią, na Boga, jakaś pułapka?

Historia roi się od pułapek. Jaką pułapkę kryje w sobie Pompa Elektronowa?

Lamont znał wystarczająco dobrze historię parateorii, by wiedzieć, że sprawa ta nie została zupełnie pominięta. Kiedy po raz pierwszy ogłoszono, że podstawową, ogólną zmianą, jaka zachodzi w Pompie Elektronowej, jest przemieszczanie elektronów ze świata do paraświata, od razu znaleźli się tacy, którzy zapytali: „Co się stanie, kiedy wszystkie elektrony zostaną przepompowane?"

Odpowiedź znaleziono bez trudu. Przy największym rozsądnym tempie pompowania zapas elektronów wystarczy przynajmniej na bilion bilionów bilionów lat — cały Wszechświat, prawdopodobnie jak i paraświat, nie będą istniały dłużej niż maleńki ułamek tego czasu.

Następny kontrargument był bardziej wymyślny. Nie istniała możliwość przepompowania wszystkich elektronów na drugą stronę. Wraz z pompowaniem elektronów paraświat zwiększałby swój ogólny ładunek ujemny, a świat ogólny ładunek dodatni. Z każdym rokiem — wraz ze wzrostem tej różnicy w ładunkach — coraz trudniej byłoby pompować dalsze elektrony. Oczywiście, przepompowywane były obojętne atomy, ale zniekształcenie orbitalnych elektronów w tym procesie tworzyło ładunek efektywny, który wzrastałby ogromnie wraz ze zmianami radioaktywnymi, które następowały potem.

Jeśli gęstość ładunku w punktach pompowania byłaby stała, jego

wpływ na atomy ze zniekształconymi orbitami spowodowałby zatrzymanie całego procesu prawie od razu. Należy jeszcze wziąć pod uwagę dyfuzję. Ładunek rozpraszał się na zewnątrz po całej Ziemi i skutek pompowania obliczany był przy uwzględnieniu tego zjawiska. Wzrastający ładunek dodatni Ziemi generalnie zmuszał dodatnio naładowany wiatr słoneczny do omijania Ziemi z większej odległości, w wyniku czego powiększała się magnetosfera. Dzięki pracy MacFarlanda (według Lamonta — prawdziwego twórcy Wielkiego Pomysłu) można było udowodnić, że określony punkt równowagi utrzymywał się, ponieważ wiatr słoneczny porywał cząsteczki dodatnie, odpychane od powierzchni Ziemi i uchodzące coraz wyżej w egzosferę. Wraz ze wzrostem intensywności pompowania i przybywaniem każdej następnej Stacji Pomp, wypadkowy ładunek dodatni na Ziemi nieznacznie zwiększał się, a magnetosfera powiększała się o kilka mil. Zmiana była jednak niewielka, a ładunek dodatni ostatecznie porywał wiatr słoneczny i rozprzestrzeniał na odległych krańcach Układu Słonecznego.

Ale — nawet przy najszybszej dyfuzji ładunku — należało założyć, że przyjdzie taki moment, gdy lokalne różnice ładunków pomiędzy światem i paraświatem w punktach Pompowania urosną wystarczająco, by zakończyć proces. Trwałoby to ułamek tego czasu, który musiałby upłynąć aż do zużycia wszystkich elektronów, z grubsza — jedną bilionową bilionowej części tego czasu.

Nadal to jednak oznaczało, że pompowanie możliwe będzie przez bilion lat. Tylko bilion lat, a właściwie — aż. Wystarczająco długo. Bilion lat to więcej niż człowiek, a nawet Układ Słoneczny, mógłby istnieć. A jeśli nawet człowiek jakimś sposobem przetrwałby (albo żyłyby jakieś inne istoty, będące jego następcami lub pogromcami), wtedy bez wątpienia by coś wymyślił, żeby ratować sytuację. W ciągu biliona lat można zrobić bardzo dużo.

Lamont musiał się z tym zgodzić.

Później jednak przyjął inny tok rozumowania, sugerowany przez Hallama w jednym z jego popularnonaukowych artykułów. Chcąc nie chcąc, musiał *znaleźć* ten artykuł. Musiał sprawdzić, co Hallam powiedział na ten temat, zanim sam posunie tę sprawę dalej.

Hallam pisał: „Z powodu wszechobecnej siły grawitacyjnej zaczęliśmy kojarzyć określenie» w dół«z rodzajem nieuniknionej zmiany, dającej się wykorzystać do uzyskiwania energii, którą możemy zamienić w pracę użyteczną. To właśnie woda spływająca w dół, w zamierzchłych czasach, obracała koła zasilające pompy i generatory. Ale co by się stało, gdyby woda spłynęła w dół całkowicie? Niemożliwa byłaby praca, aż do momentu, w którym nie zostałaby dostarczona z powrotem w górę. W rzeczywistości wyniesienie wody w górę wymaga większej pracy niż ta, którą można

zgromadzić, kiedy spływa w dół. Uzyskujemy tu pracę ze stałą stratą energii. Całe szczęście, że Słońce wykonuje tę pracę za nas. Dzięki niemu parują oceany, skąd woda unosi się wysoko w atmosferę, tworzy chmury i w końcu spada w postaci deszczu albo śniegu. Opady nasączają glebę na wszystkich poziomach, zasilają źródła i strumienie, i powodują, że woda spływa nieustannie w dół.

Ale zawsze tak nie będzie. Słońce może wznieść parę wodną, ale tylko dlatego, że jego energia — w znaczeniu nuklearnym — także płynie w dół. Słońce traci energię w tempie ogromnie przewyższającym jakakolwiek ziemską rzekę. Kiedy jednak ono wyczerpie swoje zasoby energetyczne, nie pozostanie nic, co mogłoby je uzupełnić.

Wszystkie źródła energii w naszym Wszechświecie wyczerpują się. Nie ma na to rady. Wszystkie zmiany zachodzą w jednym kierunku, w dół. Możemy wymusić chwilowy ruch w górę, do tyłu, tylko gdy w pobliżu coś większego będzie poruszać się w dół. Jeśli chcemy, aby użyteczna energia wciąż była dostępna, potrzeba nam drogi, która w obu kierunkach prowadzi w dół. To w naszym Wszechświecie brzmi jak paradoks, zdrowy rozum każe bowiem myśleć, że cokolwiek prowadzi w dół, prowadzi również z dołu do góry.

Ale czy musimy się ograniczać do naszego świata? Pomyślmy o paraświecie. Są w nim drogi, które w jednym kierunku prowadzą w dół, a w przeciwnym — w górę. Drogi te jednakże nie pasują do naszego wyobrażenia dróg. Można bowiem wyruszyć w dół drogą z paraświata do naszego świata, a droga ta, gdy ruszymy nią z powrotem, tzn. z naszego świata do paraświata, znów będzie prowadzić w dół, ponieważ obydwa mają inne prawa natury.

Pompa Elektronowa wykorzystuje drogę, która prowadzi w dół w obu kierunkach. Pompa Elektronowa…”

Lamont zaczął się zastanawiać. Cała ta koncepcja nie była mu obca, jak również jej termodynamiczne konsekwencje. Ale dlaczegóż by nie sprawdzić jej założeń? Mogą być przecież słabym punktem każdej teorii. A jeśli założenia przyjęte za słuszne z definicji, są błędne? Jakie konsekwencje towarzyszyłyby przyjęciu odmiennych założeń? Czy byłyby krańcowo inne?

Z początku szukał po omacku, ale po miesiącu miał już uczucie, które rozpoznaje każdy naukowiec i które można opisać jedynie jako nie kończące się pstrykanie towarzyszące wpadaniu poszczególnych elementów układanki we właściwe miejsca, kiedy to denerwujące anomalie przestają być anomaliami. Jest to poczucie Prawdy.

Od tego momentu Lamont zaczął wywierać dodatkową presję na Bronowskiego.

Aż któregoś dnia oznajmił: — Mam zamiar ponownie spotkać się z Hallamem.

Brwi Bronowskiego skoczyły w górę. — Po co?

— Żeby mnie wyrzucił.

— Tak, to do ciebie podobne. Jesteś nieszczęśliwy, kiedy twoje kłopoty choć trochę się zmniejszają.

— Nie rozumiesz. Muszę spowodować, by odmówił wysłuchania mnie. Nie chcę, by później mówiono, że go pominąłem, że nic nie wiedział.

— O czym? O tłumaczeniu parasymboli? Jak na razie nic takiego nie zaszło. Człowieku, nie mów hop…

— Nie, nie, to nie to — i Lamont nie powiedział już nic więcej.

Hallam nie ułatwiał mu zadania. Minęło dobrych kilka tygodni, zanim znalazł czas na spotkanie. Lamont jednak także nie zamierzał ułatwiać sprawy Hallamowi. Wszedł do gabinetu spięty i naburmuszony. Hallam czekał na niego w posępnym humorze, częstując wchodzącego lodowatym spojrzeniem.

Hallam zaczął ostro: — Cóż to za kryzys znowu pan odkrył?

— Coś mi się właśnie objawiło, proszę pana — powiedział Lamont bezbarwnym tonem — pod wpływem jednego z pańskich artykułów.

— Aha? — rzucił Hallam, po czym szybko dodał: — którego?

— „Droga, która w obie strony prowadzi w dół”. Opublikował pan go w „Teen-Age Life”.

— I co tam pan ciekawego znalazł?

— Sądzę, że Pompa Elektronowa nie pompuje „w dół” w obu kierunkach, że się posłużę pańską metaforą, która jak się zdaje, nie najlepiej oddaje istotę drugiej zasady termodynamiki.

Hallam skrzywił się. — Co ma pan na myśli?

— Najlepiej to panu wytłumaczę, wypisując równanie pola dla obu Wszechświatów i przedstawiając pewne współoddziaływanie, które jak dotąd, niestety — według mnie — nie zostało uwzględnione.

Po tym stwierdzeniu Lamont podszedł do thixobordu i szybko wprowadził do niego równania, nie przestając przy tym mówić. Wiedział, że Hallam będzie się czuł upokorzony i rozgniewany takim traktowaniem, ponieważ nie będzie w stanie pojąć użytych przez niego równań. Właśnie na to liczył.

Hallam zawarczał: — Słuchaj, młody człowieku, nie mam czasu zajmować się dogłębną analizą jakiegoś tam aspektu parateorii. Przyślij mi szczegółowe sprawozdanie, a teraz, jeśli możesz, pokrótce wyjaśnij, o co ci chodzi.

Lamont odszedł od thixobordu, z niemożliwym do przeoczenia wyrazem pogardy na twarzy. — Dobrze — powiedział. — Druga zasada termodynamiki opisuje proces, który nieustannie niweluje poziomy. Woda nie płynie w dół; tak naprawdę to poziomy potencjału grawitacyjnego zostają tu wyrównane. Woda mogłaby łatwo wpływać pod górę, gdyby została uwięziona pod ziemią. Można uzyskiwać

pracę, ustawiając obok siebie dwa ciała o różnych temperaturach, ale rezultatem końcowym jest to, że temperatura jest wyrównana na pośrednim poziomie. Gorące ciało się ochładza, a zimne się ogrzewa. Zarówno ochładzanie, jak i ogrzewanie są równoważnymi aspektami drugiej zasady termodynamiki i w odpowiednich warunkach — zachodzą równie spontanicznie.

— Nie ucz mnie elementarnej termodynamiki, młody człowieku. Czego chcesz? Mam bardzo mało czasu.

Lamont, nie zmieniając tonu, powiedział:

— Pracę Pompy Elektronowej otrzymujemy dzięki wyrównywaniu się ekstremalności. W tym przypadku poziomami są prawa fizyki naszych dwóch Wszechświatów. Warunki, które umożliwiają istnienie tych praw, jakiekolwiek one są, przenoszą się z jednego świata w drugi, a rezultatem końcowym są dwa światy o identycznych prawach natury, co oznacza, że w porównaniu z sytuacją wyjściową mają one pośrednie prawa. A ponieważ spowoduje to, jak sądzę, trudne do określenia, ale z pewnością katastrofalne zmiany w tym świecie, wydaje się, że poważnie powinno się rozważyć kwestię zatrzymania Pomp i całego projektu.

Lamont spodziewał się, że w tym momencie Hallam wybuchnie, ucinając jakąkolwiek możliwość dalszych wyjaśnień. Hallam nie zawiódł. Wyskoczył z krzesła, przewracając je. Odepchnął je kopniakiem i pokonał dwa kroki dzielące go od rozmówcy.

Lamont pospiesznie odsunął do tyłu swoje krzesło i wstał.

— Jesteś idiotą! — krzyczał Hallam, prawie że jąkając się z gniewu. — Czy nie przyszło ci na myśl, że wszyscy w tej stacji rozumieją problem wyrównywania się praw natury? Marnujesz mój czas, mówiąc mi o czymś, co wiedziałem, kiedy ty jeszcze uczyłeś się czytać! Wynoś się stąd, a jeśli tylko będziesz chciał złożyć rezygnację, wiedz, że już ją zaakceptowałem.

Lamont wyszedł, uzyskując dokładnie to, czego chciał, a jednak czuł złość na myśl o tym, jak został potraktowany przez Hallama.

6. (dokończenie)

— W każdym razie — powiedział Lamont — nie można mi nic *zarzucić*. Próbowałem mu powiedzieć. Nie chciał tego słuchać. Teraz mogę uczynić następny krok.

— A co to będzie? — zapytał Bronowski.

— Spotkam się z senatorem Burtem.

— Przewodniczącym Komisji do Spraw Technologii i Środowiska?

— Właśnie z tym. Chyba o nim słyszałeś?

— A kto nie słyszał. Ale po co to, Pete, pytam cię jeszcze raz. O co chodzi?

— Nie umiem ci tego wyjaśnić. Nie znasz parateorii.

— A czy senator Burt ją zna?

— Lepiej niż ty, jak sądzę.

Bronowski wycelował w niego palec. — Pete, przestań się bawić ze mną w kotka i myszkę. Być może ja wiem coś, o czym ty nie wiesz. Nie możemy razem pracować, jeśli pracujemy przeciwko sobie. Albo jesteś członkiem naszej dwuosobowej spółki, albo nie. Powiedz mi, co ci chodzi po głowie, a ja ci powiem coś w zamian. W przeciwnym razie lepiej z tym od razu skończyć.

Lamont wzruszył ramionami. — W porządku. Teraz, gdy mam już za sobą spotkanie z Hallamem, to i tak nie ma już znaczenia. Sprowadza się do tego, że Pompa Elektronowa przenosi prawa natury. W paraświecie oddziaływania silne są sto razy mocniejsze niż tutaj, co oznacza, że rozszczepianie jądra atomowego zachodzi łatwiej w naszym świecie, a z kolei synteza jądrowa — tam. Jeśli Pompa Elektronowa będzie działać wystarczająco długo, dojdzie do ostatecznego wyrównania, w którym silne oddziaływania jądrowe będą tak samo mocne w obu Wszechświatach i u nas będą dziesięć razy mocniejsze niż teraz, a u nich wynosić będą jedną dziesiątą obecnej siły.

— Czy nikt o tym nie wie?

— A jakże, wszyscy wiedzą. Było to od początku oczywiste. Nawet Hallam wiedział. Właśnie to go tak ekscytowało. Przedstawiłem mu sprawę szczegółowo, jakbym myślał, że nigdy na to nie wpadł, i wtedy wybuchł.

— To w czym problem? Czy istnieje niebezpieczeństwo, że oddziaływania jądrowe się wyrównają?

— Oczywiście. A jak myślisz?

— Nie myślę. Kiedy nastąpi wyrównanie oddziaływań?

— Przy obecnym tempie za około l030 lat.

— Ile to jest?

— Wystarczająco długo, by powstało, rozwijało się, zestarzało i

wygasło jeden po drugim bilion bilionów Wszechświatów takich jak ten.

— Do licha, Pete. Dlaczego się tym tak przejmujesz?

— Ponieważ, by osiągnąć tę cyfrę — mówił powoli i starannie Lamont — która została oficjalnie uznana, przyjęto pewne błędne założenia. I jeśli je zmienić na prawdziwe

— jak sądzę — okaże się, że już teraz mamy problem.

— Co za problem?

— Wyobraź sobie, że Ziemia zamienia się w obłok gazu w ciągu pięciu minut. Czy nie uważasz, że jest to problem?

— Z powodu pompowania?

— Z powodu pompowania.

— A co ze światem paraludzi? Czy oni też są w niebezpieczeństwie?

— Jestem tego pewien. W innym, ale w niebezpieczeństwie.

Bronowski wstał, zaczął chodzić tam i z powrotem. Miał bujne, długie, ciemne włosy, ścięte — jak dawniej mówiono

— „na pazia". Targał je nerwowo. — Jeśli paraludzie są bardziej inteligentni niż my — powiedział — czy używaliby Pompy? Z pewnością wiedzieliby, że jest niebezpieczna, zanim zaczęliby ją użytkować.

— Myślałem o tym — odparł Lamont. — Jak mniemam, było to ich pierwsze pompowanie i — podobnie jak my — uruchomili ten proces ze względu na pozorne korzyści, jakie miał przynieść, a konsekwencjami zaczęli się przejmować dopiero później.

— Ale mówisz, że ty znasz te konsekwencje już teraz. Dlaczegóż oni mieliby być powolniejsi niż ty?

— To zależy od tego, czy i kiedy zaczęli się przejmować. Pompa jest zbyt atrakcyjną zabawką, by ją — ot, tak sobie — wyrzucić w kąt. Ja sam nie próbowałbym szukać dziury w całym, gdyby nie… Ale czy nie chciałeś mi czegoś powiedzieć, Mike?

Bronowski przestał maszerować, utkwił spojrzenie w Lamoncie i rzekł: — Myślę, że coś mam.

Lamont spojrzał na niego dzikim wzrokiem, po czym skoczył do przodu i złapał go za rękaw. — Parasymbole? Mów, Mike!

— Zdarzyło się to wtedy, gdy byłeś z Hallamem, a właściwie kiedy byłeś u Hallama. Nie bardzo wiedziałem, co z tym począć. Nie byłem pewien, o co w tym wszystkim chodzi. A teraz…

— A teraz…?

— Nadal nie jestem pewien. Przysłali folię z czterema symbolami…

— Tak?

— …w łacińskim alfabecie. Można to wymówić.

— Co?

— Oto one.

Bronowski niczym magik wyciągnął folię. Na blaszce były wygrawerowane, różniące się zupełnie od delikatnych, skomplikowanych spirali oraz mieniących się kolorami tęczy parasymboli, cztery duże litery napisane niemal z dziecięcą pieczołowitością: FEER.

— Go to ma znaczyć? — powiedział Lamont głosem pozbawionym emocji.

— O ile to dobrze zinterpretowałem, jest to źle napisane słowo FEAR* [*strach albo bać się (wszystkie przypisy od tego miejsca — przyp. tłum.).].

— Czy dlatego mnie wypytywałeś? Sądziłeś, że ktoś po drugiej stronie odczuwa strach?

— I sądziłem, że to może mieć jakiś związek z twoim wzrastającym w ciągu ostatniego miesiąca podnieceniem. Szczerze mówiąc, Pete, nie podobało mi się, że coś przede mną ukrywasz.

— Okay. Jak na razie, powstrzymajmy się od przedwczesnych wniosków. To ty masz doświadczenie w rozszyfrowywaniu fragmentarycznych tekstów. Czy powiedziałbyś, że paraludzie zaczynają się obawiać skutków działania Pompy Elektronowej?

— Niekoniecznie — powiedział Bronowski. — Nie wiem, na ile mogą zrozumieć nasz Wszechświat. Czy rozpoznają wolfram, który im wystawiamy, czy wyczuwają naszą obecność, czy może odbierają stany naszych umysłów. Może próbują nas upewnić, mówiąc, że nie ma powodu do obaw.

— W takim razie dlaczego nie napisali NO FEAR* [*nie strach lub nie bać się]?

— Bo nie znają wystarczająco dobrze naszego języka.

— Hm, w takim razie nie mogę tego przedstawić Burtowi.

— Raczej bym tego nie robił. Ten przekaz jest niejednoznaczny. Właściwie darowałbym sobie wizytę u Burta, do momentu, gdy dostaniemy coś więcej od drugiej strony. Kto wie, co oni nam próbują powiedzieć.

— Nie, nie mogę czekać. Wiem, że mam rację i że nie mamy czasu.

— W porządku, ale jeśli spotkasz się z Burtem, spalisz za sobą mosty. Twoi koledzy nigdy ci tego nie wybaczą. Czy kiedykolwiek myślałeś o tym, by przedyskutować to z tutejszymi fizykami. Sam nie możesz wywrzeć nacisku na Hallama, ale cała grupa…

Lamont gwałtownie potrząsnął głową. — W żadnym razie. Ludzie z tej stacji przetrwali jedynie z racji swej uległości. Nie ma nikogo, kto by mu się przeciwstawił. Próbować nakłaniać innych, by wywarli nacisk na Hallama, znaczy tyle samo, co rozkazywać nitkom ugotowanego spaghetti, by stanęły na baczność.

W tej chwili łagodna twarz Bronowskiego wyglądała nadzwyczaj ponuro. — Może masz rację.

— Wiem, że mam — powiedział równie ponuro Lamont.

7

Minęło trochę czasu, zanim Lamont zdołał złapać senatora; czasu, którego miał tak mało, że każda strata doprowadzała go do szewskiej pasji, tym bardziej że nie nadchodziły żadne przekazy od paraludzi. Żadnej odpowiedzi, mimo że Bronowski przesłał chyba z pół tuzina przekazów, w każdym starannie zestawiając wybraną kombinację parasymboli, włączając w nie zarówno „FEER", jak i „FEAR".

Lamont nie do końca rozumiał, co miały znaczyć stosowane przez Bronowskiego wariacje, ale nie tracił nadziei.

Nic jednak się nie działo, a on — musiał w końcu spotkać się z Burtem.

Senator był już mężczyzną w sile wieku, miał szczupłą twarz, ostre spojrzenie. Od lat — całe wieki — przewodniczył Komitetowi do Spraw Technologii i Środowiska. Podchodził poważnie do swojej pracy, czemu wielokrotnie dał wyraz.

Właśnie zajmował się swoim staromodnym krawatem, który lubił tak bardzo i nosił tak często, że uznano go za jego znak firmowy. — Synu, mogę ci poświęcić tylko pół godziny. — Po czym znacząco spojrzał na zegarek.

Lamont nie przejmował się tym zbytnio. Sądził, że uda mu się zainteresować senatora Burta na tyle, że tamten zapomni o ograniczeniach czasowych. Nie zaczął też od sedna sprawy, nie miał zamiaru bowiem postępować z nim tak jak z Hallamem.

— Zostawmy na boku matematykę, senatorze. Zakładam jednak, że zdaje pan sobie sprawę, że przez pompowanie prawa natury dwóch Wszechświatów się mieszają.

— Przenikają — powiedział spokojnie senator — a punkt równowagi zostanie osiągnięty za około l030 lat. To chyba ta liczba? — Brwi wygięły mu się w łuk, nadając jego twarzy wyraz zaskoczenia.

— Zgadza się — potwierdził Lamont — ale została otrzymana przy założeniu, że obce prawa, przenikając do naszego Wszechświata, będą się rozprzestrzeniać z prędkością światła. Jest to założenie błędne.

— Dlaczego?

— Szybkość mieszania się została obliczona jedynie dla plutonu 186 przesłanego do tego świata. Ale szybkość dyfuzji jest początkowo bardzo mała — prawdopodobnie ze względu na dużą gęstość materii — i z upływem czasu zwiększa się. Jeśli pluton jest wymieszany z substancją o mniejszej gęstości, prędkość mieszania gwałtownie wzrasta. Na podstawie kilku pomiarów tego rodzaju obliczono, że tempo przenikania będzie się zwiększać aż do prędkości światła w

próżni. Mija bowiem trochę czasu, zanim obce prawa zdołają przejść przez atmosferę. Znacznie mniej czasu zajmuje im dotarcie do jej górnej warstwy, a stamtąd lecą już we wszystkich kierunkach z prędkością 300 000 kilometrów na sekundę, błyskawicznie rozrzedzając się, tym samym stając się absolutnie nieszkodliwe.

Lamont przerwał na chwilę, żeby się zastanowić, jak najlepiej rozegrać dalszą część rozmowy. — Jednakże… — ponaglił senator, w sposób zdradzający człowieka nie mającego czasu.

— To bardzo wygodne założenie, które jak najbardziej zdaje się mieć sens, pomijające jednak zasadnicze problemy. Ale co będzie, jeżeli założymy, że to nie materia stawia opór przenikaniu obcych praw, lecz podstawowa struktura samego Wszechświata?

— Co znaczy podstawowa struktura Wszechświata?

— Trudno mi to ująć w słowach. Myślę, że istnieje formuła matematyczna, za pomocą której dałoby się ją przedstawić, ale nie potrafię przełożyć tego na słowa. Podstawowa struktura Wszechświata dyktuje prawa natury. To właśnie ona powoduje konieczność zachowania energii. Podstawowa struktura paraświata, która w jakiś sposób różni się od naszej, czyni tamtejsze oddziaływania jądrowe sto razy silniejsze od naszych.

— Tak…

— Jeżeli to podstawowa struktura jest przenikana, panie senatorze, to obecność materii — nieważne gęstej czy nie — ma jedynie znaczenie drugorzędne. Prędkość przenikania w próżni jest zatem większa niż w ciałach stałych, ale tylko niewiele. Być może jest wielka w przestrzeni kosmicznej, w skali ziemskiej, ale to tylko niewielki ułamek prędkości światła.

— Co znaczy…?

— Struktura obca nie rozprzestrzenia się tak szybko, jak sądziliśmy, lecz nawarstwia się wewnątrz Układu Słonecznego, w znacznie większym stopniu, niż zakładaliśmy.

— Rozumiem — powiedział senator, przytakując głową. — A ile czasu mamy do momentu, kiedy przestrzeń wewnątrz Układu Słonecznego osiągnie stan równowagi? Mniej niż l030 lat, jak sądzę.

— O wiele mniej. Mniej niż l010. Może pięćdziesiąt miliardów lat, plus minus kilka miliardów.

— Stosunkowo niewiele, ale całkiem sporo, hę? To chyba nie powód do natychmiastowego alarmu?

— Obawiam się, że to jest powód do natychmiastowego alarmu, panie senatorze. Zanim zostanie osiągnięta równowaga, znacznie wcześniej powstaną szkody. Z powodu pompowania silne oddziaływania jądrowe w naszym świecie stają się z każdą chwilą coraz mocniejsze.

— Wystarczająco silne, by je zmierzyć?

— Chyba nie.

— Nawet po dwudziestu latach pompowania?

— Tak sądzę.

— Więc nie ma się czym przejmować?

— Jest. Od siły oddziaływań jądrowych zależy szybkość, z jaką wodór zamienia się w hel w jądrze Słońca. Jeśli oddziaływania te wzmocnią się, nawet niezauważalnie, szybkość fuzji wodoru w Słońcu może wyraźnie się zwiększyć. Równowaga między promieniowaniem i grawitacją na Słońcu jest sprawą niezwykle delikatną. Zachwianie tej równowagi na rzecz promieniowania, a to właśnie robimy…

— Tak?

— …spowoduje olbrzymią eksplozję. Prawa fizyki nie pozwalają, by gwiazda tak mała jak Słońce mogła stać się supernową. Ale jeśli one się zmienią, stanie się to możliwe. Wątpię, byśmy mogli liczyć na ostrzeżenie. Słońce skumuluje energię aż do momentu ogromnego wybuchu, osiem minut po nim, i pan, i ja będziemy martwi i Ziemia zamieni się w obłok pary.

— I nic nie można na to poradzić?

— Jeśli jest już za późno, by uniknąć naruszenia równowagi — nic. Jeśli nie, musimy zatrzymać pompowanie.

Senator odchrząknął. — Przed naszym spotkaniem, młody człowieku, ponieważ nie znam pana osobiście, zasięgnąłem informacji. Między tymi, z którymi rozmawiałem, był doktor Hallam. Pan go zna, nieprawdaż?

— Tak. — Kącik ust Lamonta zadrgał nerwowo. — Znam go bardzo dobrze.

— Powiedział mi — kontynuował senator, spoglądając na kartkę leżącą na stole — że jest pan szukającym guza idiotą o wątpliwej poczytalności i zażądał, bym nie zgodził się na spotkanie z panem.

Lamont, z trudem panując nad swym głosem, powiedział:

— Czy to jego słowa, senatorze?

— To są dokładnie jego słowa.

— Dlaczego więc zgodził się pan na spotkanie?

— Normalnie, po uzyskaniu tak niepochlebnej opinii od Hallama o osobie, z którą mam się spotkać, nie zgodziłbym się na rozmowę. Mój czas jest zbyt cenny, i Bóg jeden wie, ilu szukających guza idiotów o wątpliwej poczytalności spotykam ciągle, nawet między tymi, którzy przychodzą do mnie z najlepszymi rekomendacjami. W tym przypadku jednakże nie podobało mi się, że Hallam użył tu słowa „żądam”. Nikt nie ma prawa stawiać żądań senatorowi i Hallam powinien o tym dobrze wiedzieć.

— A więc pomoże mi pan?

— W czym?

— W zatrzymaniu pompowania.

— Kategorycznie odmawiam. To niemożliwe.

— Dlaczego? — zapytał Lamont. — Jest pan przewodniczącym Komisji do Spraw Technologii i Środowiska, i powinnością pana jest zatrzymanie Pomp i każdego procesu technologicznego, który grozi środowisku nieodwracalnymi szkodami. Nie ma większej szkody niż ta, którą może spowodować Pompa.

— Oczywiście. Oczywiście. Jeśli ma pan rację. Ale wydaje mi się, że pańska historyjka sprowadza się do tego, że pańskie założenia różnią się od powszechnie przyjętych. Kto może stwierdzić, czyje założenia są słuszne?

— Senatorze, moja teoria tłumaczy wątpliwości, które nie dały się wyjaśnić w świetle ogólnie przyjętych poglądów.

— Tak, rozumiem. Ale w takim razie, dlaczego pańscy koledzy nie zaakceptowali modyfikacji? Nie musiałby pan wtedy do mnie przychodzić.

— Moi koledzy nie chcą mi uwierzyć. Przeszkadza im interes osobisty.

— Tak jak panu interes osobisty przeszkadza uwierzyć, że może być pan w błędzie… Młody człowieku, teoretycznie mam ogromną władzę, ale mogę coś zdziałać tylko wtedy, gdy pozwala mi na to społeczeństwo. Pozwól, że dam ci lekcję praktycznej polityki.

Spojrzał na zegarek, rozparł się wygodnie w fotelu i uśmiechnął. Nie było to dla niego typowe, ale tego ranka „Terrestrial Post" w artykule wstępnym nazwał go „urodzonym politykiem, najzdolniejszym w całym Kongresie Międzynarodowym" i doznane zadowolenie jeszcze z niego promieniowało.

— Błędem jest — rozpoczął — zakładać, że społeczeństwo chce, aby jego środowisko albo życie jego członków były chronione, i że będzie wdzięczne jakiemuś idealiście, który poświęci życie, by walczyć o te cele. Tak naprawdę społeczeństwo chce osobistej wygody. Wiemy o tym dobrze z doświadczenia z czasu kryzysu ekologicznego w dwudziestym wieku. Kiedy dowiedziano się, że papierosy podnoszą zachorowalność na raka płuc, oczywistym środkiem zaradczym było zaprzestanie palenia, tymczasem żądano papierosa nie powodującego raka. Kiedy stało się jasne, że silnik spalinowy niebezpiecznie zanieczyszcza atmosferę, należało zaprzestać używania go, ale zażądano stworzenia silników nie zanieczyszczających atmosfery. Toteż, młody człowieku, nie proś mnie, bym zastopował pompowanie. Od niego zależy gospodarka i komfort całej planety. Powiedz mi raczej, jak uniknąć sytuacji, w której pompowanie miałoby spowodować wybuch Słońca.

— Na to nie ma rady, panie senatorze — powiedział Lamont. — Mamy do czynienia z tak elementarnym procesem, że nie możemy z tym igrać. Musimy z tym skończyć.

— Aha, i pan tylko proponuje, byśmy wrócili do sytuacji sprzed pompowania.

— Musimy.

— W takim razie musi pan mieć niezbity dowód, że ma pan rację.

— Najlepszym dowodem — otwarcie powiedział Lamont — byłoby spowodowanie eksplozji Słońca. Ale nie sądzę, żeby chciał pan, bym posunął się tak daleko.

— Może niekoniecznie. Dlaczego nie zwrócił się pan o poparcie do Hallama?

— Ponieważ to mały człowiek, który uważa się za Ojca Pompy Elektronowej. Czy może przyznać, że jego dziecko ma zniszczyć Ziemię?

— Rozumiem, mimo wszystko jest on dla całego świata Ojcem Pompy Elektronowej i tylko jego słowo tak naprawdę ma znaczenie w tej sprawie.

Lamont potrząsnął głową. — Hallam nigdy na to nie pójdzie. Już prędzej wolałby, żeby Słońce wybuchło.

— To niech go pan do tego zmusi. Ma pan teorię, ale teoria sama w sobie nie ma żadnego znaczenia. Z pewnością istnieje jakiś sposób na sprawdzenie jej. Szybkość rozpadu promieniotwórczego, powiedzmy uranu, zależy od oddziaływań wewnątrzjądrowych. Czy szybkość ta zmienia się zgodnie z pańską teorią, a nie ze standardową?

Lamont znowu potrząsnął głową. — Normalna radioaktywność zależy od słabych oddziaływań jądrowych i — niestety — eksperymenty tego rodzaju mogą stanowić jedynie marginalne dowody. Wyniki takich badań dostarczą przekonujących argumentów wtedy, gdy już będzie za późno na wszelkie działanie.

— Cóż innego pozostaje?

— Istnieją specyficzne oddziaływania pionów, które mogłyby dostarczyć koniecznych danych. Ale lepiej byłoby wykorzystać kombinacje kwarków, które dały ostatnio zadziwiające wyniki. Jestem przekonany, że mógłbym je wyjaśnić.

— No, proszę, to już coś.

— Tak, ale by otrzymać te dane, musiałbym skorzystać z wielkiego synchotronu protonowego na Księżycu, a tam kolejka została zajęta na kilka następnych lat. Sprawdziłem to. Chyba że ktoś użyłby specjalnych wpływów.

— Ten ktoś to ja?

— Tak, pan, senatorze.

— To niemożliwe, dopóki doktor Hallam ma o panu taką opinię. — Kościsty palec senatora Burta postukał w kartkę papieru, leżącą przed nim. — Nie mogę tego pominąć.

— Ale przecież istnienie całego Wszechświata…

— Proszę to udowodnić.

— Proszę zlekceważyć opinię Hallama, a ja dowiodę swoich racji.

— Niech pan to udowodni, to ja zlekceważę Hallama.

Lamont wziął głęboki oddech. — Senatorze! Przypuśćmy, że istnieje choćby małe prawdopodobieństwo, że mam słuszność. Czyż nie jest to warte walki, sprawdzenia? Oznacza przecież wszystko, ludzkość, całą planetę…

— Mam więc stanąć do walki? Chciałbym. Jest w tym jakiś patos, gdy się idzie na dno w walce o dobrą sprawę. Każdy przyzwoity polityk ma w sobie tyle z masochisty, by czasami marzyć o spadaniu przy wtórze anielskich chórów, ale, doktorze Lamont, żeby się na to ważyć, trzeba mieć choć cień szansy na zwycięstwo. Trzeba mieć coś, dzięki czemu można by wygrać. Jeśli pana poprę, przeciwstawiając pańskie słowo bezcennej wartości pompowania, nie osiągnę nic. Czy mogę żądać, by ludzie wyrzekli się osobistej wygody i dostatku, do których przywykli dzięki Pompie, tylko dlatego, że jakiś człowiek krzyczy „Koniec świata!", a wszyscy inni naukowcy temu przeczą i szacowny Hallam nazywa go idiotą? Nie, proszę pana, daremnie nie pójdę na dno.

— W takim razie, niech mi pan przynajmniej pomoże znaleźć dowód. Nie musi się pan ujawniać, jeśli się pan obawia…

— Nie boję się — przerwał Burt — jestem tylko realistą. Doktorze Lamont, pańskie pół godziny już dawno minęło.

Lamont wpatrywał się w rozmówcę w bezsilnej złości, ale wyraz twarzy Burta jasno wskazywał, że nie będzie kompromisów. Lamont wyszedł.

Senator Burt nie od razu zaprosił następnego petenta. Mijały minuty, a on spoglądał niepewnie na zamknięte drzwi i bawił się krawatem. Może tamten człowiek ma rację? Czy istnieje choćby niewielka szansa, że on ma rację?

Musiał przyznać, że podstawienie nogi Hallamowi, wrzucenie go w błoto i siedzenie na nim, dopóki profesorek się nie udławi, sprawiłoby mu przyjemność… ale tak się nie stanie. Hallam jest nietykalny. Burt miał tylko jeden zatarg z Hallamem blisko dziesięć lat temu. Racja była po jego stronie, absolutna, a Hallam kompletnie się mylił. Potwierdziły to zresztą wydarzenia, które nastąpiły później. A jednak w tamtym czasie Burt został upokorzony i w rezultacie omal nie przegrał następnych wyborów. Burt potrząsnął głową, jakby napominając się. Mógłby zaryzykować wybory w dobrej sprawie, ale nie mógł ponownie zaryzykować upokorzenia. Dał sygnał, by wprowadzono następnego gościa. Kiedy wstał, by go powitać, twarz jego wyrażała spokój i obojętność.

8

Gdyby Lamont czuł, że ma jeszcze coś do stracenia w karierze zawodowej, może by się zawahał. Joshua Chen był powszechnie nielubiany i każdy, kto się z nim zadawał, od razu popadał w niełaskę różnorodnych grup establishmentu. Chen był uosobieniem rewolucji. Jego samotny głos jakimś sposobem zawsze było słychać, bo wkładał w swe akcje tyle energii, że przytłaczał całkowicie. Aby działać jeszcze skuteczniej, stworzył organizację, funkcjonującą znacznie lepiej niż jakakolwiek grupa polityczna na całym świecie. Był jednym z tych ważnych polityków, którzy byli odpowiedzialni za szybkość, z jaką Pompa przejęła ziemskie potrzeby energetyczne. Zalety Pompy były oczywiste — nie zanieczyszczała środowiska, a jej koszty eksploatacji były bliskie zeru. Jednakże ci, którzy byli za energią jądrową, długo jeszcze stawialiby opór, i to nie dlatego, że dawne reaktory były lepsze, ale dlatego że przywykli do nich od czasu, kiedy jeszcze bawili się w piaskownicach. Ale kiedy zagrzmiały bębny Chena, świat nie zdołał się im oprzeć.

Teraz siedział tam. Jego szerokie kości policzkowe i okrągła twarz świadczyły o chińskim pochodzeniu.

— Może od razu ustalmy — powiedział. — Mówi pan tylko w swoim imieniu?

— Tak — odpowiedział Lamont — Hallam mnie nie popiera. Prawdę mówiąc, Hallam twierdzi, że jestem wariatem. Czy musi pan mieć jego aprobatę przed podjęciem działań?

— Nie potrzebuję niczyjej aprobaty — odpowiedział Chen z nietrudną do przewidzenia arogancją, po czym zamyślił się. — Mówił pan, że paraludzie mają bardziej zaawansowaną technologię niż my?

Lamont pozwolił sobie na tak daleko posunięty kompromis. Unikał mówienia, że są oni bardziej inteligentni. „Mają bardziej zaawansowaną technologię" było mniej obraźliwe, a również prawdziwe.

— To oczywiste — powiedział Lamont — choćby dlatego, że mogą przesyłać materię przez okno międzyświatowe, a my nie.

— Dlaczego zaczęli pompowanie, jeżeli to jest niebezpieczne? Czemu je kontynuują?

Lamont robił postępy i teraz umiał już pójść na kompromis. Mógłby powiedzieć, że Chen nie jest pierwszym, który o to pyta, ale zabrzmiałoby to niegrzecznie, a może nawet zbyt porywczo, dlatego stwierdził, że lepiej tego nie mówić.

— Zaczęli proces, który na pierwszy rzut oka wydawał się pożyteczny. Stanowił dla nich — podobnie jak dla nas — nowe źródło energii. Mam powody, by przypuszczać, że są równie zaniepokojeni

obecną sytuacją jak ja.

— Ale to nadal tylko pańskie słowa. Nie ma pan przekonywających dowodów?

— Niczego, co mógłbym w tej chwili przedstawić.

— Tak więc, to nie wystarcza.

— Czy możemy sobie pozwolić na ryzyko…

— Nie wystarcza, profesorze. Nie ma dowodów. Nie zyskałem swej reputacji, strzelając w ciemno. Moje pociski zawsze dosięgały celu, ponieważ wiedziałem, co robię.

— Ale kiedy będę miał dowody…

— Wtedy będzie pan miał moje pełne poparcie. Jeżeli mnie zadowolą, zapewniam pana, że ani Hallam, ani Kongres nie będą w stanie mi się oprzeć. Proszę więc zdobyć dowody i przyjść do mnie jeszcze raz.

— Ale wtedy będzie już za późno.

Chen wzruszył ramionami. — Możliwe. Ale wydaje się bardziej prawdopodobne, że dojdzie pan do wniosku, iż się pan mylił, tak więc nie będzie żadnych dowodów, bo takowe nie istnieją.

— Ja się nie mylę. — Zaczerpnąwszy powietrza, Lamont powiedział poufnym tonem: — Panie Chen, we Wszechświecie istnieją prawdopodobnie biliony bilionów zamieszkałych planet, a wśród nich miliardy z istotami inteligentnymi i wysoce rozwiniętymi technologiami. To samo jest prawdopodobne dla paraświata. W historii obu Wszechświatów musiało wystąpić wiele par planet, które wchodziły w kontakt i zaczynały pompowanie. Być może istnieją dziesiątki albo setki Pomp rozrzuconych w punktach połączeń obu Wszechświatów.

— Czyste spekulacje. Ale jeśli tak, to co z tego?

— Być może w dziesiątkach albo setkach przypadków wymieszane prawa naturalne opanowały ograniczone przestrzenie do tego stopnia, by słońca tamtych planet wybuchły. Skutki tego mogły się rozprzestrzeniać poza układy planetarne. Energia supernowej łącznie ze zmianami praw naturalnych mogła wywoływać eksplozje sąsiadujących ze sobą gwiazd, które z kolei mogą powodować zniszczenie następnych. Z biegiem czasu eksplodować może całe jądro albo ramię galaktyki.

— Ale to tylko przypuszczenia!

— Czyżby? We Wszechświecie występują setki tysięcy kwazarów, malutkich ciał niebieskich wielkości kilku Układów Słonecznych, ale promieniujących światłem setek pełnowymiarowych galaktyk.

— Twierdzi pan, że kwazary to pozostałości pompujących planet?

— Jedynie sugeruję. Przez półtora wieku od ich odkrycia astronomowie nie zdołali wyjaśnić pochodzenia ich energii. Nic we Wszechświecie nie pozwala tego wyjaśnić. Nic. Czyż nie wynika z

tego, że…

— A co z paraświatem, czy tam też pełno jest kwazarów?

— Nie powiedziałbym tego. Panują tam inne warunki. Parateoria wyjaśnia całkiem pewnie, że synteza jądrowa w paraświecie zachodzi łatwiej, toteż gwiazdy muszą tam być znacznie mniejsze niż nasze. Wytworzenie energii równej tej, którą wydziela Słońce, wymaga tam znacznie mniejszej ilości wodoru, a pierwiastek ten o wiele łatwiej wchodzi w paraświecie w fuzję jądrową. Ilość wodoru, jaką zawiera nasze Słońce, eksplodowałaby tam spontanicznie. Jeśli nasze prawa przenikają paraświat, reakcja fuzji wodoru w hel staje się tam trudniejsza; paragwiazdy zaczną się oziębiać.

— To jeszcze nic strasznego — powiedział Chen. — Mogą używać pompowania do uzyskania potrzebnej im energii. Według pańskich spekulacji nie wiedzie im się tak źle.

— Niezupełnie — powiedział Lamont. Jak dotąd nie przemyślał do końca sytuacji w paraświecie. — W momencie, gdy nastąpi nasz koniec, pompowanie ustanie. Nie będą mogli kontynuować bez nas, a to oznacza, że pozostanie im gasnąca gwiazda, bez energii dostarczanej przez Pompy. Mogą być nawet w gorszej sytuacji niż my, ponieważ my znikniemy w bezbolesnym błysku, kiedy ich agonia będzie się ciągnąć wieki.

— Ma pan naprawdę bujną wyobraźnię, profesorze. Ale ja tego nie kupuję. Nie widzę żadnej szansy na zatrzymanie Pomp na podstawie pańskich wymysłów. Czy wie pan, czym jest pompowanie dla ludzkości? To nie tylko darmowe, czyste i obfite źródło energii. Niech pan spojrzy dalej. To oznacza, że ludzkość nie musi już pracować wyłącznie na utrzymanie.

Po raz pierwszy w historii ludzie mogą zwrócić swą zbiorową inteligencję ku niezmiernie istotnemu zagadnieniu rozwijania swego prawdziwego potencjału. Dla przykładu, ostatnie dwa i pół wieku w medycynie pozwoliło przedłużyć ludzkie życie niewiele ponad granicę stu lat. Gerontolodzy ciągle mówią nam, że nic, teoretycznie przynajmniej, nie stoi na przeszkodzie ludzkiej nieśmiertelności, ale jak dotąd nie można było tym tak naprawdę się zająć.

— Nieśmiertelność! — rzucił gniewnie Lamont. — Jeszcze jedna mrzonka!

— Chyba pan doskonale nadaje się do tego, by oceniać mrzonki, profesorze — powiedział Chen. — Dopilnuję, by rozpoczęto badania nad nieśmiertelnością. Ale to nie nastąpi, jeżeli zatrzymamy pompowanie. Wtedy bylibyśmy znowu zdani na drogą energię, trudną do otrzymania i brudną. Dwa miliardy mieszkańców Ziemi musiałoby wrócić do zdobywania środków na życie i mrzonka o nieśmiertelności pozostałaby tylko mrzonką.

— I tak się stanie. Nikt nie będzie nieśmiertelny. Nikt nie osiągnie

nawet przeciętnej długości życia.

— Ach, to tylko pana teoria.

Lamont oszacował możliwości i zdecydował się na ryzyko. — Panie Chen, chwilę temu powiedziałem, że nie chciałbym wyjaśniać, skąd wiem, że paraludzie są zaniepokojeni. Pozwoli pan, że spróbuję to zrobić. Nawiązaliśmy kontakt. Otrzymaliśmy ich przesyłki.

— Tak, a czy potrafi pan je zinterpretować?

— Dostaliśmy słowo po angielsku.

Chen lekko się zmarszczył. Włożył nagłe ręce do kieszeni, wyciągnął przed siebie nogi i rozsiadł się wygodnie na swym fotelu. — Co to za słowo?

— „Fear”! — Lamont nie poczuwał się do napomknięcia o błędzie ortograficznym.

— „Fear” — powtórzył Chen — i co to znaczy według pana?

— Czy nie jest jasne, że pompowanie napełnia ich obawą?

— Wcale nie. Gdyby się obawiali, sami by je zakończyli. Myślę, że się boją, ale tego, że nasza strona zatrzyma Pompy, co zresztą dał pan im do zrozumienia. Jeśli my się zatrzymamy, tak jak pan tego chce, oni też musieliby to zrobić. Sam pan powiedział, że bez nas nie mogą kontynuować, to dwustronny układ. Nie może pan ich winić za to, że się niepokoją.

Lamont nic nie mówił.

— Rozumiem — stwierdził Chen — o tym pan nie myślał. No więc, w takim razie, zajmiemy się nieśmiertelnością. Jak mi się zdaje, cel ten zyska sobie powszechne poparcie.

— Poparcie — wycedził Lamont. — Nie wiedziałem, że ma dla pana jakieś znaczenie. Ile ma pan lat?

Przez chwilę Chen mrugał szybko, po czym odwrócił się. Wyszedł z pokoju szybkim krokiem, z zaciśniętymi rękami.

Później Lamont przejrzał jego biografię. Chen miał sześćdziesiąt lat, a jego ojciec zmarł w wieku sześćdziesięciu dwóch. Ale to było już nieważne.

9

— Nie wyglądasz mi na kogoś, komu się powiodło — powiedział Bronowski.

Lamont siedział w swoim laboratorium, wpatrując się w czubki swoich butów, konstatując obojętnie, iż wydają się niezwykle zniszczone. Pokręcił głową. — Fiasko.

— Nawet wielki Chen cię zawiódł?

— I tak nic by nie zrobił. Też chce dowodów. Wszyscy żądają dowodów, ale odrzucają cokolwiek im się przedstawia. Tak naprawdę pragną tej cholernej Pompy albo reputacji, miejsca w historii. Chen chce nieśmiertelności.

— Czego ty chcesz, Pete? — łagodnie zapytał Bronowski.

— Bezpieczeństwa ludzkości — powiedział Lamont. — Zauważył żartobliwy błysk w oczach swego rozmówcy. — Nie wierzysz mi?

— Wierzę. Ale czego tak naprawdę chcesz?

— No cóż, na Boga. — Lamont trzasnął ręką w blat biurka. — Chcę udowodnić, że mam rację.

— Jesteś tego pewien?

— Tak, jestem tego pewien! I niczym się nie przejmuję, ponieważ zamierzam wygrać. Wiesz, kiedy wyszedłem od Chena, prawie że gardziłem sobą.

— Ty?

— Tak, ja. Dlaczegóż by nie? Ciągle myślałem: za każdym razem Hallam staje na mojej drodze. Tak długo, jak Hallam będzie przeczył moim wnioskom, wszyscy mają powód, by mi nie wierzyć. Dopóki Hallam stoi jak skała przede mną, muszę przegrywać. Dlaczego w takim razie nie wykorzystałem go, nie schlebiałem mu, nie wciągnąłem go, by mnie popierał, a zamiast tego szczułem go przeciwko sobie?

— Sądzisz, że mógłbyś to zrobić?

— Nie, nigdy. Ale zrozpaczony myślałem, no… o różnych rzeczach. Mógłbym polecieć na Księżyc. Oczywiście, kiedy pierwszy raz zraziłem Hallama do siebie, nie było jeszcze kwestii zagłady Ziemi. Zrobiłem jednak wszystko, by pogorszyć sytuację, kiedy ten problem się pojawił. Chociaż prawdę mówiąc, tak jak sugerowałeś, nic nie zwróciłoby go przeciwko Pompie.

— Ale już sobą nie gardzisz?

— Nie. Bo rozmowa z Chenem coś mi dała. Uświadomiła mi, że tracę czas.

— Na to wygląda.

— Tak, ale niepotrzebnie. Rozwiązania nie znajdziemy tutaj na Ziemi. Powiedziałem Chenowi, że kiedy Słońce wybuchnie i

pompowanie po naszej stronie ustanie, katastrofa nastąpi także i u nich. Nie mogą bez nas kontynuować, rozumiesz?

— Oczywiście, że rozumiem.

— Dlaczego więc nie pomyśleć na odwrót. My też nie możemy bez nich kontynuować. W takim razie, kto by się przejmował tym, czy to my zatrzymamy Pompę, czy nie. Niech to zrobią paraludzie.

— Ale czy zechcą?

— Przysłali „FEER". Co znaczy, że się boją. Chen powiedział, że boją się nas i obawiają się, że zatrzymamy Pompę. Ale nie wierzyłem w to tłumaczenie ani przez chwilę. Nie, oni boją się o nas i o siebie. Siedziałem cicho, kiedy Chen to sugerował. Myślał, że mnie przyszpilił. Mylił się całkowicie. Musimy to zrobić, Mike, zostałeś mi tylko ty. Jesteś nadzieją świata. Musisz się jakoś z nimi porozumieć.

Bronowski roześmiał się prawie że z dziecięcą szczerością. — Pete — powiedział — jesteś geniuszem.

— Aha, zauważyłeś.

— Naprawdę tak sądzę. Zgadujesz, co chcę powiedzieć, zanim to zrobię. Przesyłałem wiadomość po wiadomości, używając ich symboli w sposób, który, jak sądziłem, mógł oznaczać Pompę i używając naszego słowa. Starałem się jak najlepiej zestawić elementy, które udało mi się zgromadzić przez wiele miesięcy, wyrażałem dezaprobatę i używałem znowu angielskiego słowa. Nie miałem pojęcia, czy mnie rozumieją, czy wszystkie wysiłki idą na marne. Ponieważ nie dostawałem żadnej odpowiedzi, nie liczyłem na nic.

— Nie powiedziałeś mi, że próbujesz zrobić coś takiego.

— Cóż, ta część zadania była moją działką. Ty zajmowałeś się wyjaśnianiem parateorii.

— I co się stało?

— Wczoraj wysłałem dokładnie dwa słowa, po angielsku. Napisałem „PUMP BAD"* [*Pompa zły.]

— I?

— Dziś rano otrzymałem odpowiedź. Jest całkiem prosta i jednoznaczna. Jest to „YES PUMP BAD BAD BAD"* [*Tak pompa zły zły zły.]

Spójrz na to.

— Nie ma co do tego wątpliwości. — Lamont drżącymi rękami trzymał folię. — To potwierdzenie.

— Tak mi się zdaje. Komu to zaniesiesz?

— Nikomu — powiedział zdecydowanie Lamont. — Nie będzie dalszych dyskusji. Powiedzą, że sfałszowałem wiadomość i że nie ma sensu zajmować się dalej tą sprawą, i nic, co sami moglibyśmy przedsięwziąć, tego nie zmieni. Po zatrzymaniu Pompy wszyscy będą na gwałt chcieli udowodnić, że to ja miałem rację i że Pompa jest niebezpieczna.

— Jak do tego doszedłeś?

— Bo to będzie jedyny sposób, żeby uchronić się przed ukamienowaniem przez rozszalałe tłumy, żądające uruchomienia Pompy, rozwścieczone, że nie dostają tego, czego chcą… Nie wydaje ci się, że tak będzie?

— No cóż, może. Ale coś mnie niepokoi.

— Co?

— Jeśli paraludzie są przekonani, że Pompa jest niebezpieczna, dlaczego jej już dawno nie zatrzymali? Pozwoliłem sobie to sprawdzić i okazuje się, że Pompa pracuje bez zakłóceń.

Lamont zmarszczył brwi. — Może nie chcą jednostronnego zatrzymania Pompy. Może uważają nas za partnerów i pragną wspólnego porozumienia, by przerwać pracę Pompy. Nie sądzisz, że tak może być?

— Możliwe. Ale może też nasza komunikacja nie jest całkiem doskonała; może oni w ogóle nie rozumieją znaczenia słowa „bad". Z tego, co im powiedziałem, używając ich symboli, które z kolei ja mogłem zupełnie przekręcić, mogą myśleć, że „bad" znaczy to samo co „good"* [*Dobry.].

— Chyba nie…?

— To tylko nasza nadzieja, a nadzieja jest…

— Mike, po prostu wysyłaj im nadal wiadomości. Używaj tylu ich słów, ile to tylko możliwe i staraj się wskazywać na różnice znaczeniowe. Jesteś specjalistą i powodzenie tego zadania spoczywa w twoich rękach. Ostatecznie poznają wystarczającą liczbę słów, by powiedzieć coś jasno i wyraźnie, wtedy wyjaśnimy im, że zgadzamy się na zatrzymanie Pompy.

— Nie mamy upoważnienia, aby wydać takie oświadczenie.

— Tak, ale oni nie będą o tym wiedzieć, i koniec końców staniemy się bohaterami ludzkości.

— Ale dopiero po zlinczowaniu?

— Nawet wtedy… Wszystko jest w twoich rękach. Jestem pewny, że nie potrwa to już długo.

10

A jednak trwało. Dwa tygodnie minęły bez żadnej odpowiedzi i napięcie jeszcze wzrosło.

Widać było to po Bronowskim. Wcześniejsza beztroska zniknęła, a gdy wszedł do laboratorium Lamonta, otaczała go już ponura cisza.

Przez chwilę obaj spoglądali na siebie. W końcu Bronowski powiedział: — Wszyscy wiedzą już, że masz się stawić przed komisją dyscyplinarną.

Lamont najwyraźniej tego ranka się nie golił. Jego laboratorium przedstawiało dość żałosny wygląd: pokój, który już wkrótce zostanie na zawsze opuszczony. Lamont wzruszył ramionami. — I co z tego. Nic mnie to nie obchodzi. Niepokoi mnie jednak, że „Physical Review" odrzucił moją pracę.

— Mówiłeś, że się tego spodziewasz.

— Tak, ale myślałem, że to uzasadnią. Wytkną błędy, pomyłki, nieuzasadnione założenia, coś, z czym mógłbym polemizować.

— Nie zrobili tego?

— Ani słowa. Recenzenci nie uznali pracy za godną publikacji. Nie chcą tego tknąć… Koniec, kropka. Ta powszechna głupota jest naprawdę zniechęcająca. Myślę, że nie żałowałbym samobójstwa ludzkości z powodu jej wrodzonego zła lub choćby lekkomyślności. Jest coś cholernie poniżającego w staczaniu się ku katastrofie z powodu głupoty. Co za sens być człowiekiem, jeśli tak mamy zginąć.

— Głupota — wyszeptał Bronowski.

— Jak inaczej to nazwać? I oni chcą, bym się przed nimi stawił. Z pewnością wywalą mnie na zbity pysk za wielką zbrodnię, za to, że mam rację.

— Wszyscy chyba wiedzą, że kontaktowałeś się z Chenem.

— Tak! — Lamont położył palce na grzbiecie nosa i zaczął przecierać oczy. — Chyba go tak rozgniewałem, że poleciał naskarżyć Hallamowi i razem wysunęli zarzut, że próbowałem sabotować działalność Pompy przez nieusprawiedliwioną i nie mającą poparcia taktykę zastraszania, łamiąc w ten sposób etykę zawodową. Skończy się na tym, że nie będę miał prawa do pracy na stacji.

— Łatwo im przyjdzie to udowodnić.

— Tak sądzę. To już bez znaczenia.

— Co masz zamiar zrobić?

— Nic — powiedział Lamont z pogardą w głosie. — Niech robią, co im się żywnie podoba. Liczę na biurokrację. Każdy krok podjęty w tej sprawie zajmie tygodnie albo miesiące, podczas gdy ja będę czuwał nad twoją pracą. Jeszcze otrzymamy odpowiedź od paraludzi.

Bronowski wyglądał żałośnie. — Pete, a jeśli nie otrzymamy?

Może czas na to, abyś to jeszcze raz przemyślał.

Lamont rzucił mu ostre spojrzenie. — O czym mówisz? — Powiedz im, że się mylisz. Odpokutuj za to. Uderz się w pierś — Poddaj się.

— Nigdy! Na Boga, Mike, w tej grze stawką jest cały świat i wszystkie żyjące na nim istoty.

— Tak, ale czym to jest dla ciebie? Nie jesteś żonaty. Nie masz dzieci. Wiem, że twój ojciec nie żyje. Nigdy nie wspominałeś o matce ani rodzeństwie. Wątpię, czy na Ziemi jest jakaś istota ludzka, z którą utrzymywałbyś emocjonalną więź. Więc idź swoją drogą i do diabła z tym wszystkim.

— A ty?

— Tak samo. Jestem rozwiedziony i nie mam dzieci. Mam młodą kochankę, z którą utrzymuję bardzo bliskie kontakty. Nasz związek potrwa tak długo, jak będzie mógł. Żyj! Ciesz się życiem!

— A przyszłość?

— Jakoś sobie damy radę. Kiedy nadejdzie śmierć, nawet jej nie zauważysz.

— Nie mogę żyć z taką filozofią… Mike. Mike! Co to ma znaczyć? Czy chcesz powiedzieć, że się nigdy nie dogadamy z paraludźmi? Rezygnujesz?

Bronowski spojrzał gdzieś w bok. — Pete, dostałem odpowiedź — oznajmił. — Zeszłej nocy. Myślałem, że poczekam z tym do jutra i jeszcze to przemyślę, ale po co myśleć?… Oto ona.

Oczy Lamonta wyrażały pytanie. Wziął do ręki folię i przyglądał się jej. Nie było znaków interpunkcyjnych.

PUMP NOT STOP NOT STOP WE NOT STOP PUMP WE NOT HEAR DANGER NOT HEAR NOT HEAR YOU STOP PLEASE STOP YOU STOP SO WE STOP PLEASE YOU STOP DANGER DANGER DANGER STOP STOP YOU STOP PUMP[2]

— Boże — wyszeptał Bronowski — to brzmi rozpaczliwie.

Lamont nadal wpatrywał się w folię. Nic nie mówił.

— Zdaje się, że gdzieś po drugiej stronie jest ktoś taki jak ty — paraLamont — powiedział Bronowski. — Również on nie potrafi przekonać paraHallamów do zatrzymania Pompy. I kiedy my błagamy, by oni nas uratowali, on błaga nas, byśmy uratowali ich.

— Ale coś musi się stać, jeśli pokażemy to…

— Powiedzą, że kłamiesz, że to sztuczka, którą spreparowałeś, żeby uratować swój psychotycznie urojony koszmar.

— Mogą to powiedzieć o mnie, ale nie o tobie. Poprzesz mnie. Poświadczysz, że otrzymałeś to, i powiesz, w jaki sposób.

Bronowski zarumienił się. — Jaki z tego byłby pożytek? Powiedzą, że gdzieś tam w paraświecie jest taki czubek jak ty. I że wiadomość dowodzi, że prawnie ustanowione tam władze są

przekonane, że nie ma niebezpieczeństwa.

— Mike, stań u mego boku.

— Nie ma sensu, Pete. Sam powiedziałeś — głupota! Ci paraludzie są może bardziej technologicznie zaawansowani niż my, może nawet są bardziej inteligentni, jak twierdzisz, ale jasne jest, że są równie głupi jak my, a to oznacza koniec. Dobrze to ujął Schiller i zgadzam się z nim.

— Kto?

— Schiller. Niemiecki dramatopisarz sprzed trzech wieków. W sztuce o Joannie d'Arc, powiedział: „Przeciw głupocie nawet bogowie na próżno walczą". Nie jestem bogiem, nie będę już więcej walczył. Zostawmy to w spokoju, Pete, zajmijmy się własnymi sprawami. Może świat będzie istniał jeszcze przez nasze życie, a jeśli nie, i tak nic nie możemy zrobić. Przykro mi, Pete. Stoczyłeś godną walkę, ale przegrałeś. Ja rezygnuję z gry.

Opuścił pokój, zostawiając Lamonta samego. Ten siedział w fotelu, nerwowo stukając palcami po stole. Gdzieś na Słońcu protony stawały się, z każdą chwilą coraz bardziej zachłanne, by w pewnym momencie zniszczyć delikatną równowagę gwiazdy.

— I nikt na Ziemi nie przeżyje, nikt się nie dowie, że miałem rację! — krzyknął Lamont, mrugając oczami i usilnie starając się powstrzymać łzy.

II…nawet bogowie

1a

Chętnie wychodziła na samotne spacery. Ciągle spodziewała się kłopotów, ale jakoś zawsze ją omijały. W każdym razie — naprawdę poważne problemy.

Ale dlaczego właściwie miałyby się pojawić? Odin sprzeciwiał się w typowy dla niego wyniosły sposób. — Nie wychodź — mówił. — Wiesz, że to działa na nerwy Trittowi. — Nigdy nie wspominał o swoim gniewie. Racjonałowie nie przejmują się drobnostkami. Krążył wkoło Tritta równie wytrwale, jak tamten wokół dzieci.

Odin zawsze jednak jej ustępował pod wpływem wytrwałych nacisków. Czasami nawet wstawiał się za nią u Tritta. Niekiedy wręcz przyznawał, że jej zdolności i niezależność napełniają go dumą… Nie jest złym lewicem — roztargniona pomyślała ciepło.

Trudniej było poradzić sobie z Trittem. Patrzył na nią z taką ironią, kiedy była… kiedy była sobą. Był jej prawicem, ale przede wszystkim Rodzicielem… Jego funkcja w triadzie miała tę dobrą stronę, że kiedy sytuacja między nimi stawała się nie do zniesienia, Dua mogła zawsze liczyć na to, że jedno albo drugie dziecko odwróci jego uwagę.

Tritt nie stanowił wielkiego problemu. Zwracała na niego uwagę tylko w chwilach zespolenia. Odin to już zupełnie inna sprawa. Od początku wydawał się jej podniecający, sama jego obecność sprawiała, że jej postać nabierała blasku i gasła. To, że był Racjonałem, czyniło go jeszcze bardziej ekscytującym. Nie wiedziała, skąd się jej to brało — kolejny element jej niezwykłości. Już przyzwyczaiła się do swojej inności.

Westchnęła.

Będąc dzieckiem, kiedy jeszcze myślała o sobie jako o jednostce — indywidualnej istocie, a nie części triady — była znacznie bardziej świadoma swej inności. Wszyscy dawali jej to odczuć przez cały czas. Coś tak naturalnego jak wyprawa na powierzchnię wieczorem…

Uwielbiała wieczory na powierzchni. Dla innych Emocjonałów, którym opisywała powierzchnię, była ona tak zimna i ponura, że sam opis doprowadzał ich do drżenia i rozlewania się. Na powierzchnię wychodzili jedynie w cieple dnia, rozkładali się i jedli, ale przecież to właśnie czyniło dzień nudnym. Nie lubiła przebywać pośród trajkoczącego stada towarzyszek.

Oczywiście, musiała jeść, ale wolała to robić wieczorem, kiedy było o wiele mniej jedzenia, ale za to wszystko skąpane było w przytłumionym, ciemnoczerwonym świetle. Była wtedy sama. Mówiąc o tym innym, opisywała wieczory jako zimniejsze i bardziej ponure niż w rzeczywistości, żeby zobaczyć, jak wyobrażając sobie chłód,

stają się bryłowaci albo kanciaści — co zdarza się tylko młodym Emocjonałom. Jakiś czas poszeptywali jeszcze na jej temat i wyśmiewali się z niej, by w końcu zostawić ją w spokoju.

Niewielkie Słońce chyliło się ku linii horyzontu, mieniąc się karminem, który tylko ona mogła teraz podziwiać. Rozpłaszczyła się na nierównej powierzchni, napinając linię grzbietowo-brzuszną, i chłonęła nikłe ilości rozrzedzonego ciepła. Leciutko pomlaskiwała, delektując się kwaskowatym, pozbawionym substancji smakiem długich fal świetlnych. (Nigdy nie spotkała Emocjonała, który twierdziłby, że lubi długie fale. Nigdy też nie próbowała nikomu wyjaśnić swobody, która się jej z nimi kojarzyła, wolności od innych — chwil, które mogła spędzać w zupełnej samotności.)

Samotność, wieczorny chłód i ciemnoczerwone światło przypomniały jej dawne czasy, zanim zaistniała ich triada, a szczególnie wyraziście jej Rodziciela — niezdarnie człapiącego, idącego po nią, zawsze obawiającego się, że coś się mogło jej stać.

Był do niej bardzo przywiązany, jak to zawsze było z Rodzicielami. Zawsze przedkładali swe śródziątka nad pozostałą dwójkę dzieci. Jego troskliwość irytowała Duę i nieraz marzyła o dniu, kiedy Rodziciel ją opuści — Rodziciele zawsze w końcu znikali. Kiedy jednak pewnego dnia odszedł, bardzo jej go brakowało.

Przyszedł jej to powiedzieć tak delikatnie, jak tylko potrafił, minio trudności, jaką sprawiało Rodzicielom wyrażanie swych uczuć słowami. Uciekła wtedy przed nim — nie zrobiła mu tego na złość; nie dlatego, że przeczuwała, co ma jej do powiedzenia — tylko z radości. Udało się jej znaleźć w czasie popołudnia doskonałe miejsce i delektowała się niespodziewaną samotnością, wypełniona dziwnym, natarczywym uczuciem, nakazującym jej ruch i działanie. Przemykała po powierzchni skał i pozwalała ich ostrym kantom zlewać się z jej ciałem. Wiedziała, że to coś, czego absolutnie nie powinno się robić, tylko dzieci to robią, ale podniecało to ją i zarazem uspokajało.

Rodziciel znalazł ją w końcu i stanął przed nią, przez dłuższą chwilę nic nie mówiąc, jego oczy stały się malutkie i gęste, jakby chciały zatrzymać wszystkie promienie odbijające się od niej, przyjrzeć się jej jak najlepiej i jak najdłużej.

Pomyślała, że widział, jak ocierała się o skały i zawstydziła się. W jego postaci nie zauważyła jednak poświaty oburzenia. Odezwała się bardzo nieśmiało: — Co się stało, tatusiu?

— No, cóż, Duo, nadszedł czas. Spodziewałem się tego. Z pewnością i ty o tym wiedziałaś.

— Jaki czas? — Teraz, kiedy już nadszedł, Dua z uporem nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Jeśli się nie dowie, to nic się nie stanie. (Nigdy nie pozbyła się tego przyzwyczajenia. Odin perorował wyniosłym tonem — którego używał, kiedy uświadomił sobie, że jest

Racjonałem — że „wszystkie Emocjonały są takie.”)

— Muszę odejść — powiedział Rodziciel. — Nigdy już nie będę z wami. — Patrzył na nią uważnie, a ona nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa. — Powiedz o tym reszcie.

— Dlaczego? — Dua odwróciła się przekornie, jej postać stawała się coraz bardziej niewyraźna, prawie przezroczysta. Chciała się zupełnie rozpłynąć i oczywiście nie mogła. Po chwili poczuła bóle i skurcze, więc znowu zgęstniała. Rodziciel nawet nie starał się jej upominać, że nie wypada się tak rozpościerać. — Nic ich to nie obchodzi. — Natychmiast pożałowała tych słów czując, że jej uwaga mogła zranić Rodziciela. Nadal mówił o nich „prawiątko” i „lewiątko”, mimo że lewiątko zajęte było studiami, a prawiątko nie przestawało mówić o stworzeniu triady. Jedynie Dua nadal czuła… Cóż, była w końcu najmłodsza. Emocjonały zawsze były najmłodsze z trójki dzieci i zawsze je coś od reszty różniło.

Rodziciel powiedział jedynie: — Mimo to powiedz im o tym jutro. — Stali, spoglądając na siebie.

Nie chciała im o tym mówić. Nie byli jej już bliscy. Dawniej, kiedy byli mali, było inaczej. Prawie się nie różnili; lewobraciszek wyglądał jak prawobraciszek, a obaj wyglądali jak śródsiostrzyczka. Każde z nich było ulotne jak mgła. Mogli się przenikać nawzajem i chować w ścianach.

Dorośli nie mieli im tego za złe, kiedy byli mali. Później jednak bracia zgęstnieli i spoważnieli, i oddalili się od niej. Kiedy skarżyła się na to Rodzicielowi, mówił tylko delikatnie: — Jesteś już zbyt duża, żeby się rozrzedzać, Duo.

Nie chciała tego zaakceptować. Ale lewic oddalał się coraz bardziej i mówił: — Przestań się do mnie przytulać. Nie mam teraz czasu. — A prawic zgęstniał już na stałe, zrobił się ponury i przestał się odzywać. Nie całkiem go wtedy rozumiała, a tata nie potrafił jej tego dokładnie wyjaśnić. Od czasu do czasu recytował jak wyuczoną lekcję: — Lewici są Racjonałami, Duo. Prawici są Rodzicielami. Każdy z nich dojrzewa inaczej.

Nie podobało się jej to. Oni już nie byli dziećmi, ale ona nadal była, dlatego przebywała wśród innych Emocjonałów. Wszystkie narzekały na swoich braci. Wszystkie też rozmawiały o triadach. Obżerając się, leniuchowały w promieniach Słońca. Stawały się, coraz bardziej do siebie podobne i codziennie rozmawiały o tym samym.

Jej pogarda dla nich pogłębiała się, więc Dua unikała ich, kiedy tylko mogła, aż w końcu dali jej spokój i zaczęli przezywać „Emlewem”. (Dawno już nie słyszała tego przezwiska, lecz myśląc o nim, nigdy nie potrafiła zapomnieć tych słabych, piskliwych głosów, prześladujących ją nieustannie z bezmyślną natarczywością, aby jak najmocniej ją zranić.)

Rodziciel martwił się o nią widząc, że wszyscy się z niej śmieją. Starał się, na swój nieporadny sposób osłaniać ją przed nimi. Czasami wychodził z nią na powierzchnię, mimo że tego osobiście nie cierpiał, po to tylko, żeby jej zapewnić bezpieczeństwo.

Natknęła się kiedyś na niego, gdy rozmawiał z Twardym. Chociaż była jeszcze całkiem mała, wiedziała, że Twardzi rozmawiali tylko z Racjonałami.

Bardzo się przestraszyła i od razu ulotniła, zdążyła jednak usłyszeć, jak Rodziciel powiedział: — Dobrze się nią opiekuję, Wasza Twardość.

Czyżby Twardy pytał o nią? Może o jej inność. Ale Rodziciel nie starał się jej usprawiedliwiać. Nawet rozmawiając z Twardym, wspominał o swojej trosce o nią. Dua poczuła dumę.

A teraz odchodzi — nagle cała niezależność, której Dua tak łaknęła, straciła swój smak i stężała, wzmagając jej samotność.

— Dlaczego musisz odejść?

— Po prostu muszę, droga śródko.

Musi. Wiedziała o tym. Każdy musi prędzej czy później, Przyjdzie dzień, kiedy będzie musiała westchnąć i powiedzieć: — „Odchodzę."

— Ale skąd wiesz, kiedy trzeba odejść? Jeżeli możecie wybrać tę chwilę, czemu nie wybierzecie innej i nie zostaniecie z nami dłużej?

— Twój lewojciec podjął taką decyzję. Triada musi robić to, co on każe.

— Dlaczego musisz robić to, co każe? — Prawie nie widywała swego lewojca ani śródmatki. Już dawno się dla niej nie liczyli. Tylko prawojciec, Rodziciel, jej tatuś, który stał tu przykucnięty z gładkimi powierzchniami. Nie miał tak gładkich krzywizn jak Racjonałowie albo tak drżąco nierównych jak Emocjonały, zawsze jednak potrafiła przewidzieć, co ma zamiar powiedzieć. Prawie zawsze.

Była pewna, że powie: „Nie mogę tego wytłumaczyć małemu Emocjonałowi."

Powiedział to.

Wybuchając żalem, Dua wyznała: — Będzie mi ciebie brakowało. Wiem, że myślisz, iż wcale mnie nie obchodzisz, i że nie lubię cię za to, iż ciągle mi mówisz, czego nie mam robić. Ale wolę cię nie lubić, niż żeby nie było cię przy mnie, żeby mi o tym mówić.

Tata po prostu stał przed nią. Nie potrafił sobie poradzić z takim wybuchem emocji inaczej niż podchodząc i wysuwając rękę. Widać było, że wymaga to od niego znacznego wysiłku, ale trzymał ją wyciągniętą drżącą i jego zarysy troszeczkę się rozmywały.

— Tatusiu — westchnęła Dua i jej wypustka otuliła jego rękę tak, że zdawała się niewyraźna i drżąca w jej substancji, ale uważała, by jej nie dotknąć, nie chciała go wprawić w zakłopotanie.

Cofnął swą rękę, jej lewa dłoń obejmowała już tylko pustkę.

— Pamiętaj o Twardych, Duo. Pomogą ci. Muszę… muszę już iść.

Poszedł i nigdy go już nie ujrzała.

A teraz, wspominając, siedziała tu o zachodzie słońca, zbuntowana i świadoma tego, że niedługo Tritt zacznie narzekać na jej nieobecność.

Odin znowu zrobi jej wykład na temat obowiązków.

Nic ją to nie obchodziło.

1b

Odin zdawał sobie sprawę z tego, że Dua znowu przebywa na powierzchni. Nie myśląc o tym specjalnie, potrafił wyczuć kierunek, a nawet, do pewnego stopnia, odległość między nimi. Gdyby się nad tym głębiej zastanowił, byłby może niezadowolony z tego, że ich zmysł współświadomości już od dłuższego czasu stale się pogarszał. Teraz, nie wiedząc specjalnie dlaczego, miał wrażenie, że jest to znak nadchodzącego spełnienia. Tak właśnie się dzieje, to znak rozwijającego się z wiekiem ciała.

Zmysł współświadomości Tritta nie zmieniał się, ale coraz bardziej kierował się ku dzieciom. Był to oczywiście pożyteczny kierunek rozwoju, jednak rola Rodziciela, jakkolwiek istotna, była prosta. Racjonałowie byli znacznie bardziej skomplikowani — myśląc o tym, Odin odczuwał smutną satysfakcję.

Dua to dopiero była prawdziwa zagadka. Bardzo się różniła od pozostałych Emocjonałów. Dziwiło to i frustrowało Tritta, powodując większe niż zwykle trudności w wysławianiu się. Czasami zaskakiwało to również Odina, lecz on był także świadom zdolności Dui do wywoływania nieustającego zadowolenia z życia i sądził, że cecha ta ściśle związana była z jej innością. Sporadyczne kłopoty, jakie nieraz wywoływała, nie były wysoką ceną za czasy intensywnego szczęścia.

Możliwe, że dziwny sposób bycia Dui leżał w jej naturze. Twardzi interesowali się nią, a normalnie przecież zwracali uwagę tylko na Racjonałów. Odczuwał dumę z tego powodu. Triada zyskiwała większe poważanie, gdy nawet Emocjonał godny był uwagi.

Wszystko układało się jak najlepiej. Gorąco pragnął, żeby tak było aż do samego końca. Kiedyś przyjdzie chwila, gdy będzie wiedział, że trzeba odejść i będzie tego chciał. Twardzi upewniali go w tym przekonaniu, tak jak i innych Racjonałów, ale powiedzieli mu także, że jego własna wewnętrzna świadomość bezbłędnie rozpozna właściwy czas bez żadnych rad z zewnątrz.

— Kiedy powiesz sobie — tłumaczył mu Losten, jasno i powoli, tak jak zazwyczaj Twardzi przemawiali do Miękkich, starając się z trudem przekazać znaczenie — że wiesz, dlaczego musisz odejść, wtedy odejdziesz, a razem z tobą twoja triada.

Odin przyznał się: — Nie mogę powiedzieć, żebym chciał teraz odejść, Wasza Twardość. Tyle się muszę jeszcze nauczyć.

— Ależ oczywiście, młody lewie. Czujesz to, bo nie jesteś jeszcze gotów.

Odin pomyślał, czy będę mógł kiedykolwiek czuć się gotów, przecież nigdy nie będę myślał, że nie ma już nic do poznania.

Ale nie powiedział tego. Wiedział, że przyjdzie czas, gdy to

zrozumie.

Spojrzał na siebie, omal nie zapominając się i nie wysuwając oka; zawsze pozostawały jakieś dziecinne impulsy nawet w najbardziej dorosłych Racjonałach. Wcale nie musiał tego robić. Widział równie dobrze okiem solidnie spoczywającym w przynależnym mu miejscu. Po pobieżnym przeglądzie uznał, że jego ciało wygląda dostatecznie solidnie: ładne, gładkie, wypukłe, tworzące wdzięcznie połączone owoidy.

Jego ciało nie miało atrakcyjnego migotania Dui ani kojącej bryłowatości Tritta. Uwielbiał ich oboje, ale nie zamieniłby się z nimi na ciała. A już na pewno nie na umysły. Nie mówił tego, bo nie chciał zranić ich uczuć, ale nigdy nie przestał się cieszyć z tego, że nie ma tak ograniczonych horyzontów jak Tritt albo tak zwariowanych pomysłów jak Dua. Sądził, że im to nie przeszkadza, ponieważ nie potrafili sobie wyobrazić, by mogło być inaczej.

Znowu odczuwał jej obecność. Umyślnie osłabił to uczucie. W tej chwili nie potrzebował jej. Co nie znaczy, że pragnął jej w mniejszym stopniu, po prostu miał rosnące potrzeby innego rodzaju. Dojrzewanie Racjonałów przejawiało się w tym, że z czasem znajdowali znacznie więcej zadowolenia w ćwiczeniu swego umysłu, co było możliwe tylko w samotności i z pomocą Twardych.

Coraz bardziej przyzwyczajał i przywiązywał się do Twardych. Miał wrażenie, że tak być powinno, bo był Racjonałem, a Twardzi byli jakby Superracjonałami. (Podzielił się tym poglądem z Lostenem, najbardziej przyjaznym Twardym i — nikt Odinowi tego nie mówił, ale był o tym przekonany — najmłodszym, jakiego znał. Losten promieniał rozbawieniem, ale nie powiedział nic. W każdym razie nie zaprzeczył.)

Najwcześniejsze wspomnienia Odina wiązały się z Twardymi. Jego Rodziciel koncentrował swą uwagę na najmłodszym dziecku, Emocjonalniątku. Tak było zawsze. Tritt również będzie tak postępował, kiedy wreszcie się pojawi ostatnie dziecko. O ile w ogóle się pojawi. (Odin powtarzał tę ostatnią uwagę po Tritcie, który ciągle używał jej, strofując Duę.)

Ale to może lepiej. Dzięki temu, że jego Rodziciel był nieustannie zajęty, mógł rozpocząć swą edukację znacznie wcześniej. Przestał być dzieckiem i nauczył się bardzo dużo, zanim spotkał Tritta.

Pierwszego spotkania nie zapomni nigdy. Pamięta je, jak gdyby odbyło się wczoraj, a nie lata temu. Spotykał wcześniej Rodzicieli w swoim wieku, młodzików, którzy — długo przed czasem inkubacji pierwszego dziecka, co czyniło z nich prawdziwych Rodzicieli — ujawniali już ślady solidności, jaka miała przyjść później. W dzieciństwie bawił się ze swym prawobratem i ledwo odczuwał intelektualną różnicę (chociaż wspominając te czasy, wiedział, że już

wtedy ona występowała).

Wiedział co nieco o roli, jaką Rodziciele odgrywają w triadzie. Będąc jeszcze dzieckiem, słyszał przyciszone rozmowy o zespalaniu się.

Od chwili, kiedy Tritt pojawił się po raz pierwszy i Odin go ujrzał, wszystko się zmieniło. Pierwszy raz w życiu Odin odczuł wewnętrzne ciepło i pomyślał, że pragnie jeszcze czegoś oprócz myślenia. Do dzisiaj pamięta zawstydzenie, które towarzyszyło temu spotkaniu.

Tritt nie czuł żadnego zakłopotania. Rodziciele nigdy nie byli zażenowani tym, co się robiło w triadzie, a Emocjonały prawie nigdy. Jedynie Racjonałowie mieli problemy.

— Za dużo myślenia — powiedział mu pewnego razu któryś z Twardych, kiedy Odin poruszył przy nim tę kwestię. Odpowiedź ta nie zadowoliła Odina. Jak można „za dużo" myśleć?

Oczywiście, gdy się spotkali, Tritt był jeszcze młody. Był tak dziecinny, że nie potrafił utrzymać swej bryłowatości, toteż jego zakłopotanie wywołane spotkaniem było jasne. Jego krawędzie stały się niemalże przezroczyste!

— Chyba się nigdy nie spotkaliśmy, prawokolego? — Odin odezwał się niepewnie.

— Nigdy tu wcześniej nie byłem — odpowiedział Tritt. — Sprowadzono mnie tutaj.

Obydwaj dokładnie wiedzieli, co się stało. To spotkanie zostało zaaranżowane, ponieważ ktoś (wtedy Odin sądził, że Rodziciel, ale później dowiedział się, że musiał to być jeden z Twardych) uznał, że będą do siebie pasowali. Miał rację.

Nie było między nimi porozumienia intelektualnego. Nie mogło być, skoro oprócz istnienia triady pragnienie zdobywania wiedzy dla Odina stało się najważniejsze, a Trittowi samo pojęcie nauki było zupełnie obce. Wiedzę, której potrzebował, zdobył nie odwołując się do nauki.

Odin, pełen radości, odkrywał, czym jest ich planeta i ich słońce, jaka jest historia i mechanizm życia, wszystko o wszystkim we Wszechświecie — czasami (na samym początku wspólnego życia) dzielił się swoimi odkryciami z Trittem.

Tritt słuchał tego spokojnie, nic nie rozumiejąc, ale ciesząc się, że może go słuchać. Odin, nie przekazując nic, najwyraźniej zadowolony był z tego, że może wykładać.

Pierwszy ruch wykonał Tritt, pchnięty do tego właściwymi sobie potrzebami. Odin rozwodził się nad tym, czego nauczył się owego dnia po krótkim popołudniowym posiłku.

(Ich gęstsza konsystencja umożliwiała wchłanianie żywności tak szybko, że byli najedzeni po krótkim spacerze na Słońcu, podczas gdy Emocjonały musiały na to poświęcać całe godziny, wyginając się i

rzednąc, jakby chciały umyślnie przedłużyć tę czynność.)

Odin, który zawsze ignorował Emocjonały, cieszył się tym, że może sobie poopowiadać. Tritt wpatrujący się w niego bez słowa, dzień w dzień, najwyraźniej był niespokojny.

Niespodziewanie podszedł do Odina. Sformował błyskawicznie wypustkę, co niemile podrażniło poczucie formy Odina. Umieścił ją na górnym owoidzie Odina w miejscu lekkiego prześwitu. Wypustka Tritta rozrzedziła się i zanurzyła się w powierzchniach skóry Odina, zanim ten, bardzo zawstydzony, zdołał odskoczyć.

Odin robił to, kiedy był dzieckiem, ale nigdy od czasów dojrzewania. — Przestań! — krzyknął.

Wypustka Tritta nie schowała się, błądząc jakby po omacku. — Chcę tego.

Odin starał się trzymać tak gęsto, jak tylko mógł, usiłując utwardzić swą powierzchnię, aby zapobiec przenikaniu. — Ale ja nie chcę.

— Dlaczego? — zapytał natarczywie Tritt. — Przecież to nic złego.

Odin powiedział to, co pierwsze przyszło mu na myśl: — To boli. — (Tak naprawdę nie bolało. W każdym razie nie sprawiało fizycznego bólu. Twardzi zawsze unikali dotyku Miękkich. Nieostrożna interpenetracja sprawiała im ból, ale oni byli zbudowani zupełnie inaczej niż Miękcy.)

Tritt nie dał się nabrać. Jego instynkt w tym przypadku nie mógł go zawieść.

— Wcale nie boli.

— No cóż, nie możemy tego robić w ten sposób, Potrzebujemy Emocjonała.

Tritt jednak powtórzył z uporem: — Mimo wszystko chcę to robić.

Sytuacja często się powtarzała i Odin musiał w końcu ulec. Racjonałowie zawsze ulegali — nawet ci najbardziej zarozumiali.

Tritt wabił go przy każdym spotkaniu, to wysuwając wypustki, to przysuwając się do samej powłoki Odina. Aż w końcu Odin, skuszony pieszczotami, ulegał im i zaczynał świecić. Wychodziło mu to znacznie lepiej niż Trittowi. Biedny Tritt — bez wątpienia nieskończenie bardziej ochoczy — starał się, jak tylko potrafił. Nadymał się i naprężał, ale osiągał zaledwie niewyraźne migotanie w niektórych miejscach, nierówne i nieregularne.

Odin z kolei stawał się przezroczysty na całej powierzchni, przełamał z trudem wstyd, wstrzymujący go od popłynięcia ku Trittowi. Doszło do przenikającej skórę interpenetracji i Odin czuł pulsowanie twardych powierzchni Tritta pod skórą. Opanowała go radość, zmącona poczuciem winy.

Kiedy było już po wszystkim, Tritt czuł się zmęczony i czymś

rozgniewany.

— Mówiłem ci — powiedział Odin — że potrzeba nam Emocjonała, by zrobić to właściwie. Nie możesz być zły na coś, co po prostu takie jest.

Tritt zgodził się: — No to postarajmy się o Emocjonała.

Postarajmy się o Emocjonała! Proste potrzeby powodowały, że widział tylko proste rozwiązania. Odin wątpił w to, że można w ogóle wytłumaczyć złożoność życia jego partnerowi. — To nie jest wcale takie łatwe, mój drogi — zaczął delikatnie.

Tritt przerwał gwałtownie: — Twardzi mogą nam pomóc. Przyjaźnisz się z nimi. Poproś ich.

Odin był wstrząśnięty. — Ależ ja nie mogę ich o to prosić. Czas — ciągnął, nie zdając sobie sprawy z tego, że wpada w ton wykładu — jeszcze nie nadszedł, bo wiedziałbym o tym. Dopóki ten czas…

Tritt nie zadawał sobie trudu, aby słuchać. — To ja ich o to poproszę.

— Nie — przerwał osłupiały Odin. — Trzymaj się od nich z daleka. Mówię ci, że jeszcze nie czas. Muszę się nadal kształcić. Bardzo łatwo jest być Rodzicielem, nie musisz nic wiedzieć, tylko…

Od razu pożałował tego, co mówi — była to przecież nieprawda. Po prostu nie chciał robić niczego, co mogłoby urazić Twardych i ujemnie wpłynąć na jego stosunki z nimi. Tritt natomiast nie zwracał na nich wcale uwagi. Odin pomyślał nawet, że jego partner nie widział żadnego sensu czy celu w zdobywaniu wiedzy i nie uznałby jego uwagi za obraźliwą.

Problem Emocjonała nie przestawał być aktualny przez cały czas. Sporadycznie próbowali interpenetracji. Chęć zbliżenia rosła w nich coraz bardziej. Jednak żadne z ich spotkań nie przynosiło im pełnego zadowolenia. Mimo przyjemności, jakiej doznawali, Tritt za każdym razem domagał się Emocjonała. A Odin za każdym razem uciekał w bardziej wnikliwe studia, traktując je jak obronę przed stawieniem czoła problemowi.

Kilka razy omal nie poruszył tej sprawy w rozmowie z Lostenem.

Losten był Twardym, którego znał najlepiej i który przejawiał największe zainteresowanie Odinem. Twardzi byli niebywale podobni do siebie, gdyż nigdy się nie zmieniali. Mieli stały kształt, oczy zawsze na tym samym miejscu. Ich skóra nie była zupełnie twarda, ale zawsze matowa, nigdy się nie jarzyli, nigdy ich kontury się nie rozmywały, nigdy ich powłoki nie przenikały się wzajemnie.

Nie byli więksi od Miękkich, ale byli cięższi. Ich materia była znacznie gęstsza. Musieli bardzo uważać na przenikliwe tkanki Miękkich.

Dawno temu, kiedy Odin był jeszcze bardzo mały i jego ciało unosiło się równie swobodnie jak jego siostrzyczki, podszedł do niego

Twardy. Nigdy nie dowiedział się, który to był, ale później, gdy był już starszy, dowiedział się, że Twardzi byli zawsze zainteresowani malutkimi Racjonałami.

Z czystej ciekawości Odin ruszył ku Twardemu, który odskoczył od niego jak oparzony. Później Rodziciel zbeształ Odina za to, że próbował dotknąć Twardego.

Nagana była tak ostra, że nigdy jej nie zapomniał. Gdy dorósł, dowiedział się, że Twardzi odczuwali ból, kiedy ich gęsto upakowane atomy w tkankach przenikały obce ciała. Odin zastanawiał się, czy Miękcy także czuli ból. Jego rówieśnik, Racjonał, powiedział mu kiedyś, że przypadkowo wpadł na Twardego. Twardy zgiął się wpół z bólu, a on sam nic nie poczuł. Odin nie był jednak pewien, czy nie były to tylko czcze przechwałki.

Nie wolno mu było robić także innych rzeczy. Lubił się ocierać o ściany jaskini. Przenikając skałę, odczuwał ciepło i przyjemność. Dzieci zawsze tak robiły, ale z wiekiem stawało się to coraz trudniejsze. Nadal jednak potrafił i lubił przenikać górną warstwę skały. Raz jednak jego Rodziciel nakrył go na tym i bardzo zganił. Próbował się bronić mówiąc, że jego siostra robi to cały czas, sam to widział.

— To zupełnie inna sprawa — odparował Rodziciel. — Ona jest Emocjonałem.

Innym razem, kiedy Odin absorbował nagranie — był już wtedy starszy — prawie nie myśląc o tym, co robi, wysunął parę wypustek, ich końcówki zaczęły się rozmywać, mógł przesuwać jedną przez drugą. Robił to regularnie w czasie słuchania. Przyjemne uczucie łaskotania ułatwiało mu koncentrację i potem czuł przyjemną senność.

Rodziciel znowu go przyłapał i to, co powiedział, dziś jeszcze wprawiało go w zakłopotanie.

Nikt nie wspomniał mu wtedy o przenikaniu się. Uczono go, podawano informacje o wszystkim oprócz tego, co dotyczyło istoty triady. Trittowi również nikt o tym nie mówił, ale on był Rodzicielem, toteż wiedział wszystko co trzeba, mimo że nikt mu o tym nie powiedział. Oczywiście, kiedy w końcu przyszła Dua, wszystko stało się jasne, chociaż wydawało się, że ona wie jeszcze mniej niż on.

Nie pojawiła się jednak dzięki zabiegom Odina. To Tritt odważył się przedstawić tę sprawę. Tritt, który zwykle bał się Twardych i starał się ich unikać, któremu brakowało poczucia pewności Odina. Jednak nie w tym przypadku. Tritta problem ten doprowadzał do szału. Tritt…

Odin westchnął. Tritt zajmował jego myśli, ponieważ się do niego zbliżał. Czuł go, czuł jego nieokrzesanie i przenikające go żądania, nie kończące się żądania. Odin miał wtedy tak mało czasu dla siebie, a przecież wiedział, że musi przemyśleć więcej niż kiedykolwiek, mieć

czas na refleksję…

— Zgoda, Tritcie — powiedział.

1c

Tritt zdawał sobie sprawę ze swojej kanciastości.

Ale nie uważał, że jest brzydka. Właściwie to wcale o niej nie myślał. Gdyby to zrobił, uznałby ją za piękną. Jego ciało było stworzone — i to dobrze — w konkretnym celu.

— Odinie, gdzie jest Dua?

— Gdzieś na zewnątrz — wymamrotał Odin, prawie jakby go to nic nie obchodziło. Tritta gniewało, że jego partner tak mało wagi przywiązuje do spraw triady. Dua była taka nieznośna, a Odina nic to nie obchodziło.

— Dlaczego pozwoliłeś jej wyjść?

— Jak miałbym ją zatrzymać? A poza tym co w tym złego?

— Wiesz przecież. Mamy dwójkę dzieci. Pora na następne. Tak trudno jest teraz począć śródziątko. Żeby to było możliwe, Dua musi się dobrze odżywiać. A ona znowu wałęsa się o zachodzie słońca. O tej porze nie może się dostatecznie najeść.

— Po prostu nie lubi za dużo jeść.

— A my nie mamy nadal śródziątka. Odinie… — głos Tritta zabrzmiał pieszczotliwie — jak mogę się z tobą kochać bez Dui?

— Przestań — jęknął Odin. Tritt po raz kolejny dziwił się temu, że proste stwierdzenia faktów zawstydzały jego partnera.

— Przypomnij sobie, kto postarał się o Duę. — Czy Odin to jeszcze pamiętał? Czy w ogóle myślał o triadzie i o tym, co ona znaczy? Czasami Tritt czul się tak bezsilny, że gotów był… gotów był… Właściwie nie wiedział, co zrobić, ale czuł frustrację. Tak jak wtedy, gdy pragnął Emocjonała, a Odin nic sobie z tego nie robił.

Tritt wiedział, że nie posiada daru wysławiania się w wyszukany sposób. Chociaż Rodziciele nie mówili dużo, potrafili jednak myśleć. Myśleć o bardzo ważnych sprawach. Odin mówił zawsze o atomach i energii. Kogo obchodziły atomy i energia? Tritt myślał o triadzie i o dzieciach.

Odin powiedział mu kiedyś, że liczba Miękkich stopniowo się zmniejsza. Czy nic go to nie obchodziło? Czy nic nie obchodziło to Twardych? Czy tylko Rodziciele się przejmowali?

Na świecie istniały tylko dwie formy życia: Miękcy i Twardzi. Ponadto istniała jeszcze żywność promieniująca na nich.

Odin wspominał mu, że Słońce się oziębia. Będzie mniej jedzenia, powiedział, i mniej ludzi. Tritt w to nie wierzył. Słońce wcale nie świeciło słabiej niż dawniej, niż wtedy, kiedy był jeszcze dzieckiem. Po prostu ludzie przestali przejmować się triadami. Za dużo zatopionych w myślach Racjonałów; za dużo głupich Emocjonałów.

Miękcy powinni się skoncentrować na sprawach naprawdę

istotnych. Tritt to robił. Dbał o dobro ich triady. Dzięki niemu pojawiło się lewiątko, a potem prawiątko. Rosną teraz i rozwijają się. Triadzie brakuje jeszcze śródziątka. Najtrudniej jest je począć, a bez niego triada byłaby niekompletna.

Dlaczego Dua tak się zachowuje? Zawsze sprawiała kłopoty, ale teraz zrobiła się po prostu nie do zniesienia.

Tritt czuł jakiś niewytłumaczalny gniew na Odina. Odin ciągle przemawiał, używając trudnych słów. A Dua słuchała go. Odin będzie ciągle rozmawiać z nią, aż oboje staną się Racjonałami. To bardzo źle dla triady.

Odin powinien być mądrzejszy.

Zawsze on, Tritt, musiał o wszystko zadbać. Musiał załatwiać to, co było konieczne. Odin przyjaźnił się z Twardymi, ale nie wspomniał im ani słowem o śródce. Rozmawiał z nimi o energii, zamiast o potrzebach triady.

To on, Tritt, nadał sprawie bieg, z dumą przypomniał sobie. Ujrzał Odina rozmawiającego z jakimś Twardym. Podszedł do nich. Przerwał im, a jego głos nie zadrżał ani przez chwile: — Potrzebujemy Emocjonała.

Twardy odwrócił się, by na niego spojrzeć. Tritt nigdy nie stał tak blisko Twardego, który stanowił jedną sztywną całość. Aby spojrzeć na Tritta, musiał się obrócić do niego całym ciałem. Posiadał wypustki, które mogły się w miarę swobodnie poruszać, ale nawet one nigdy nie zmieniały kształtu. Nigdy nie unosiły się. Były nieregularne i brzydkie. Twardzi nie lubili być dotykani.

— Czy to prawda, Odinie? — zapytał Twardy. Nie zwracał uwagi na Tritta.

Odin spłaszczył się. Tritt nigdy przedtem nie widział go tak płaskim.

— Mój partner jest zbyt niecierpliwy — tłumaczył się Odin. — On jest… jest… — zająknął się, westchnął. Nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa.

Ale Tritt potrafił. — Nie możemy się stopić bez Emocjonała.

Tritt widział, że Odina zatkało ze wstydu, ale nie przejmował się tym. Nadeszła już właściwa pora.

— Drogi lewie — Twardy zwrócił się do Odina — czy też tak sądzisz? — Twardzi mówili podobnie do Miękkich, ale ich głos był bardziej chrapliwy i matowy. Ciężko się ich słuchało. W każdym razie Tritt miał z tym trudności, Odin zdążył się do tego przyzwyczaić.

— Tak — odpowiedział Odin.

W końcu Twardy zapytał Tritta: — Czy mógłbyś mi przypomnieć, prawieńcze, jak długo ty i Odin jesteście razem?

— Wystarczająco długo — odparł Tritt — by zasługiwać na Emocjonała. — Zdołał utrzymać stały kształt na brzegach. Nie

pozwolił sobie na strach. To było zbyt ważne. Dopowiedział jeszcze: — A na imię mam Tritt.

Rozbawiło to trochę Twardego. — Tak, dokonaliśmy właściwego wyboru. Ty i Odin pasujecie do siebie, jednakże utrudnia to selekcję właściwego Emocjonała. Niedługo podejmiemy decyzję. Ja już dawno się zdecydowałem, ale trzeba przekonać innych. Tritcie, uzbrój się w cierpliwość.

— Mam już dość czekania.

— Wiem, mimo wszystko bądź jednak cierpliwy. — Znowu był rozbawiony.

Kiedy już odszedł, Odin podniósł się i rozrzedził z wściekłości. — Jak mogłeś to zrobić? Czy wiesz, kto to był?

— To był Twardy.

— To był Losten. Mój nauczyciel. Nie chcę, żeby się na mnie gniewał.

— Dlaczego miałby się gniewać? Byłem przecież grzeczny.

— Hm, nieważne. — Odin wracał do swojego normalnego kształtu. Oznaczało to, że już się nie złości. (Trittowi ulżyło, chociaż starał się tego nie okazywać.) — To naprawdę żenujące, kiedy twój głupi prawic pojawia się ni stąd, ni zowąd i mówi do Twardego.

— Czemu ty nie porozmawiałeś z nim o tym?

— Bo na to musi przyjść właściwy czas.

— Dla ciebie on nigdy nie nadejdzie.

Otarli się o siebie i przestali się kłócić. Wkrótce po tej rozmowie pojawiła się Dua.

Przyprowadził ją Losten. Tritt nie zauważył go. Nie spojrzał nawet na Twardego, tylko na Duę. Odin powiedział mu później, kto ją przyprowadził.

— Widzisz? — zapytał Tritt. — Przekonałem go. Dlatego ją przyprowadził.

— Nie — odparł Odin — nadszedł po prostu właściwy czas. Przywiódłby ją do nas, nawet gdyby żaden z nas nie wspomniał mu o tym.

Tritt w to nie wierzył. Był całkowicie przekonany, że to właśnie dzięki niemu Dua pojawiła się wśród nich.

Na całym świecie nie było drugiej takiej jak Dua. Tritt widział wiele Emocjonałów. Wszystkie były ładne. Zgodziłby się na każdą, żeby odbyć porządne zespolenie. Kiedy jednak ujrzał Duę, zrozumiał, że żadna inna nie odpowiadałaby mu. Tylko Dua. Tylko ona.

A Dua wiedziała dobrze, jak postępować. Doskonale. Nikt jej tego wcześniej nie objaśniał — wyznała im to później. Nikt z nią o tym nie rozmawiał. Nawet inne Emocjonały, bo ich unikała.

A kiedy byli razem, każde wiedziało, jak postępować.

Dua rozrzedziła się. Tritt nigdy w życiu nie podejrzewał, że

można się rozrzedzić do tego stopnia. Stała się kolorowym dymem wypełniającym pokój, promieniującym oślepiającym światłem. Poruszał się jak we śnie. Zanurzył się w powietrzu, którym była Dua.

Nie miał wcale wrażenia, że go przenika. Nie czuł żadnego oporu, żadnego tarcia. Unosił się wewnątrz obłoku i czuł gwałtowne wibracje. Rozrzedził się bez wielkiego wysiłku, jaki zwykle temu towarzyszył. Dzięki przenikającej go Dui potrafił rozrzedzić się z niewiarygodną łatwością, stając się również obłokiem gęstego dymu. Rozrzedzanie zmieniło się w jeden niesamowicie długi lot.

Niewyraźnie widział Odina, podchodzącego z lewej strony Dui. Również on rozrzedzał się.

A potem przeżył największy wstrząs w życiu — dotarł do Odina. Właściwie nie był to wcale szok. Tritt czuł nie czując i wiedział nie wiedząc. Wszedł w Odina, a Odin w niego. Nie był w stanie powiedzieć, czy to on otacza Odina, czy Odin jego, czy otaczają się w ogóle, czy nie.

Była to czysta przyjemność.

Zmysły słabły wraz z intensywnością przyjemności i w momencie, gdy sądził, że nie jest już w stanie tego wytrzymać, zawiodły zupełnie.

W końcu rozdzielili się i przyglądali się sobie nawzajem. Byli zespoleni przez kilka dni. Zespalanie zawsze zajmuje dużo czasu. Im lepsze, tym dłużej trwało, chociaż gdy się kończyło, cały ten czas zdawał się tylko chwilą i nawet jej nie pamiętali. Nieczęsto udało się im zespolić na dłużej niż za pierwszym razem.

— Było cudownie — powiedział Odin.

Tritt spoglądał tylko na Duę, która umożliwiła im to przeżycie.

Scalała się falując, drżąc jeszcze. Wydawało się, że przeżywała to najmocniej z całej trójki.

— Zrobimy to jeszcze raz — powiedziała — ale później. Pozwólcie mi teraz odejść.

Uciekła. Byli zbyt zmęczeni, by ją zatrzymać. A potem zawsze tak było. Po zespalaniu zawsze gdzieś uciekała. Nieważne jak dobre było — uciekała. Z nie wiadomo jakich powodów, potrzebowała po tym samotności.

Tritta niepokoiło jej zachowanie. Za bardzo różniła się od innych Emocjonałów. Nie powinna taka być.

Odin nie zgadzał się z tym sądem. — Dlaczego nie zostawisz jej w spokoju? — mówił nieraz. — Nie jest taka jak inni, to znaczy, że jest od nich lepsza. Zespalanie nie byłoby takie dobre, gdyby była taka sama. Czy chciałbyś mieć tylko korzyści, nic za nie nie płacąc?

Tritt nie rozumiał tego zbyt dobrze. Wiedział tylko, że powinna robić to, co się zwykle robi. — Niech robi, co do niej należy.

— Rozumiem cię, Tritcie. Zostaw ją jednak w spokoju. Odin często beształ Duę za jej dziwaczne postępowanie, ale nigdy nie

pozwalał na to Trittowi. — Nie masz za grosz taktu, Tritcie — mawiał. Tritt nie bardzo wiedział, co to jest takt.

A teraz… Minęło już tyle czasu od ich pierwszego zespolenia, a oni wciąż nie mają śródziątka. Ile można jeszcze czekać? Już dawno powinni to zrobić. Co gorsza, z upływem czasu Dua przebywała coraz dłużej w samotności.

— Ona za mało je — powiedział Tritt.

— Kiedy nadejdzie czas… — zaczął Odin.

— Zawsze mówisz o właściwym czasie. Nigdy jednak nie znalazłeś właściwego czasu, żeby postarać się o Duę. A teraz nie masz czasu na nasze Emocjonalniątko. Dua powinna…

Odin odwrócił się. — Jest na zewnątrz. Jak chcesz, możesz tam iść i ją tu przyprowadzić, jakbyś był jej Rodzicielem, a nie prawicem, no idź. Ale mówię ci, lepiej zostaw ją w spokoju.

Tritt wycofał się. Miał mu dużo do powiedzenia, ale nie wiedział, jak to wyrazić.

2a

Dua czuła zdenerwowanie lewica wywoływane przez nią, było jednak niewyraźne i odległe. Jej buntowniczy nastrój wzrósł jeszcze bardziej.

Jeśli któryś z nich przyjdzie po nią, skończy się na zespoleniu, już sama myśl o tym rozwścieczała ją. Tritt myślał tylko o tym, no, może jeszcze o dzieciach. To wszystko, czego pragnął, oprócz może jeszcze trzeciego, ostatniego dziecka. Cały jego świat zaczynał się i kończył na dzieciach, szczególnie tym ostatnim, którego jeszcze nie mieli. A kiedy Tritt uparł się na zespolenie, zawsze je miał.

Wiedziony wrodzoną niecierpliwością, Tritt dominował nad całą triadą. Czepiał się jakiejś prostej myśli i nie popuścił, aż w końcu Odin i Dua mu ustępowali. Tym razem jednak ona nie ustąpi. Tym razem nie.

Nie uważała tego za nielojalność ze swojej strony. Nigdy nie angażowała się w ich związek tak intensywnie jak Odin i Tritt. Mogła sama się stapiać. Oni mogli to robić tylko dzięki niej. (Dlaczego więc jej nie doceniano bardziej?) Odczuwała niewymowną przyjemność w zespalaniu się w triadzie. Pewnie, że tak. Głupio byłoby temu przeczyć, ale była to przyjemność podobna do tej, jaką odczuwała, kiedy przenikała przez kamienną ścianę, co nieraz robiła po cichu. Dla Odina i Tritta przyjemność zespalania była jedyną w swoim rodzaju.

Ale zaraz, nie. Odin zaznawał jeszcze przyjemności w uczeniu się — w intelektualnym rozwoju. Dua zastanawiała się nad tym wystarczająco często, aby wiedzieć, czym może być dla niego nauka. Chociaż ta przyjemność różniła się od zespalania, mogła stanowić jednak substytut, przynajmniej na tyle, że Odin mógł przez jakiś czas wytrzymać bez zespalania się.

Co innego Tritt, dla niego istniały tylko zespalanie i dzieci. Tylko. A kiedy jego maleńki móżdżek uparł się przy czymś, Odin zawsze mu ustępował — a w końcu także Dua.

Raz się zbuntowała.

— Co się dzieje, kiedy jesteśmy zespoleni? Trwa to godzinami, a czasami całe dni. Co się dzieje w tym czasie?

Tritt spojrzał na nią pełen oburzenia. — Zawsze tak jest. Tak musi być.

— Nie podoba mi się, że coś musi być. Chcę wiedzieć, dlaczego?

Odin znowu był zażenowany. Czy potrafił się nie wstydzić? — Słuchaj, Duo, tak musi być. Żeby mogły powstawać… dzieci. — Kiedy wymawiał to słowo, zaczął pulsować.

— No, nie pulsuj tak wstydliwie — powiedziała ostro Dua. — Jesteśmy już dorośli, stapialiśmy się już tyle razy i wszyscy wiemy, że

robi się to, aby mogły powstać dzieci. Nie ma się czego wstydzić. Dlaczego jednak zajmuje to tyle czasu?

— Bo jest to skomplikowany proces — odrzekł Odin pulsując. — Ponieważ zużywa wiele energii. Duo, bardzo dużo czasu musi minąć, zanim pocznie się dziecko i nie zawsze się to udaje. Staje się to coraz trudniejsze… Nie tylko dla nas — dodał pospiesznie.

— Trudniejsze? — zapytał zaniepokojony Tritt. Odin nie odezwał się już ani słowem.

W końcu mieli dziecko, Racjonałka, lewiątko. Fruwało i rozpuszczało się w powietrzu, wprawiając trójkę obserwujących je dorosłych w zachwyt. Nawet Odin brał je na ręce i pozwalał mu zmieniać kształt tak długo, jak Tritt na to pozwalał. Bo to Tritt właśnie je inkubował przez cały okres długiego preformowania; od niego oddzieliło się dziecko, przyjmując niezależny byt. To Tritt zajmował się nim przez cały czas.

Wreszcie Tritt nie przebywał zbyt często z nimi i Dua była dziwnie ucieszona tą zmianą. Jego obsesja denerwowała ją, natomiast obsesja Odina… co dziwne… sprawiała jej przyjemność. Stawała się coraz bardziej świadoma jego pozycji. Fakt, że był Racjonałem, oznaczał zdolność do odpowiadania na pytania. Nie wiadomo, z czego to wynikało, ale Dua miała zawsze jakieś pytania. Odin był znacznie bardziej skory do odpowiadania na nie, kiedy Tritt był nieobecny.

— Dlaczego stapianie zabiera tyle czasu? Nie lubię, kiedy nie wiem, co się dzieje przez całe dni.

— Jesteśmy absolutnie bezpieczni, Duo — gorąco zapewniał ją Odin. — Nic przecież się nam nie przydarzyło, prawda? Czy słyszałaś, by kiedyś coś trafiło się jakiejś triadzie? A w ogóle, nie powinnaś zadawać pytań.

— Ponieważ jestem Emocjonałem? Bo one nie zadają pytań? Jeśli chcesz wiedzieć, nie znoszę ich i będę zadawać pytania.

Doskonale wiedziała, że Odin patrzył na nią, jakby w życiu nie widział kogoś bardziej atrakcyjnego i że gdyby był przy nich Tritt, natychmiast by się stopili. Pozwoliła sobie nawet na lekkie rozrzedzenie, leciutkie, niemniej jednak wyczuwalne, specjalnie kokieteryjnie.

Odin powiedział: — Ale możesz nie zrozumieć implikacji. Zainicjowanie nowej istoty wymaga ogromnej ilości energii.

— Wspominałeś już o energii. Co to jest? Dokładniej.

— To jest to, co jemy.

— W takim razie, czemu nie mówisz: jedzenie.

— Ponieważ jedzenie i energia nie są zupełnie tym samym. Nasze jedzenie pochodzi od Słońca i jest formą energii, ale istnieją jeszcze inne rodzaje energii, które nie są jadalne. Kiedy jemy, musimy się rozpłaszczać i wchłaniać światło. Najgorzej mają Emocjonały,

ponieważ są bardziej przezroczyste. Światło przenika je, nie będąc absorbowane… Jak wspaniale to objaśnia, pomyślała Dua. Wiedziała, o czym teraz mówił, ale nie znała właściwych słów — długich, skomplikowanych terminów naukowych, którymi z łatwością posługiwał się Odin. Czyniły one, że wszystko, co się działo, wydawało się wyraźniejsze i nabierało znaczenia.

Będąc już dorosłą osobą i nie bojąc się już dziecięcych przedrzeźniań, kiedy miała prestiż, bo była częścią triady Odina, próbowała sporadycznie przebywać z innymi Emocjonałami i wytrzymywać paplanie i tłok. Czasami także czuła, że przydałby się jej większy niż zwykle posiłek, który spowodowałby lepsze zespolenie. Niekiedy bliska była zrozumienia radości, jaką inni znajdowali w przeciskaniu się i manewrowaniu, aby lepiej się usadowić w świetle Słońca, zadowolenia z luksusu zgęszczenia się i kondensacji, żeby dzięki większej gęstości absorbować ciepło znacznie wydajniej.

Dui odrobina tego luksusu zupełnie wystarczała, ale inne Emocjonały zdawały się być nienasycone. Falowały żarłocznie, czego Dua w żaden sposób nie potrafiła naśladować i czego po dłuższym czasie nie potrafiła znieść.

Racjonałowie i Rodziciele rzadko pojawiali się na powierzchni. Ich gęstość powodowała, że bardzo szybko się sycili i mogli wracać na dół wkrótce po wyjściu na posiłek. Emocjonały natomiast wierciły się w świetle Słońca godzinami. Nie dość, że jadły znacznie wolniej, to potrzebowały dużo więcej energii niż pozostali do zespalania się.

Emocjonały zapewniały energię, wyjaśnił jej Odin (pulsując tak mocno, że jego słowa były ledwie zrozumiałe), Racjonałowie — nasienie, a Rodziciele — inkubację.

Kiedy Dua to pojęła, z dezaprobatą, którą czuła dla Emocjonałów wylegujących się i pochłaniających z prawie słyszalnym mlaskaniem purpurowe światło słoneczne, zaczęło się mieszać rozbawienie. Ponieważ nigdy nie zadawały pytań, była pewna, że nie wiedzą, dlaczego to robią i nie pojmują, iż w ich trzęsących się kondensacjach albo bezmyślnym chichocie towarzyszącym im, kiedy schodziły do jaskiń pełne nadmiaru energii, aby się dobrze zespolić, było coś obscenicznego.

Nauczyła się znosić irytację Tritta, kiedy schodziła pod powierzchnię bez śladu falistej matowości oznaczającej nasycenie się. Ale dlaczego mieliby narzekać? Jej szczupłość oznaczała bardziej wyrafinowane zespalanie się. Nie takie niechlujne i kleiste jak w innych triadach, ale zwiewne i delikatne. W końcu też mieli lewiątko i prawiątko.

Oczywiście, małe śródziątko, małe Emocjonalniątko, stanowiło największy problem. Wymagało znacznie więcej energii niż pozostałe, a Dua nigdy nie zgromadziła jej w wystarczającej ilości.

Nawet Odin zaczął o tym napomykać. — Duo, źle się odżywiasz.

— Wystarczająco dobrze — odpowiedziała pospiesznie.

— Triada Geni — dodał Odin — właśnie poczęła Emocjonała.

Dua nie lubiła Geni. Nigdy. Była zbyt pusta nawet jak na Emocjonała. Dua powiedziała wyniośle: — Myślę, że się tylko tym przechwala. Nie ma za grosz taktu. Już widzę, jak mówi: „Chyba nie powinnam o tym mówić, moja droga, ale nigdy byś nie zgadła, ile mój prawic i lewic mieli zachodu z…" — Naśladowała drżące sygnały Geni z perfekcyjną dokładnością, czym rozśmieszyła Odina.

Ale po chwili Odin powiedział: — Możliwe, że Geni jest głupia, ale poczęła Emocjonała, a Tritt bardzo się przejął tym faktem. Staraliśmy się to osiągnąć znacznie wcześniej niż oni…

Dua odwróciła się. — Jem tyle, ile jestem w stanie zjeść. Robię to tak długo, że kiedy kończę, nie mogę się nawet ruszyć. Nie wiem, czego jeszcze ode mnie chcecie.

— Nie gniewaj się. Przyrzekłem Trittowi, że z tobą porozmawiam. Sądzi, że mnie posłuchasz…

— Och, Tritt po prostu myśli, że to dziwaczne, iż wyjaśniasz mi naukowe zagadnienia. Nie rozumie… Czy chciałbyś mieć taką śródkę jak inni?

— Nie — odrzekł poważnie Odin. — Cieszę się z tego, że jesteś inna. Jeśli interesuje cię wiedza Racjonałów, pozwól mi, że ci coś zdradzę. Słońce nie dostarcza już takiej żywności jak w starożytnych czasach. Energia zawarta w jego świetle jest mniejsza, dlatego wymaga dłuższego czasu ekspozycji. Stopa przyrostu naturalnego spada już od wieków i populacja naszego świata wynosi ułamek niegdysiejszej liczby zaludnienia.

— Nic na to nie poradzę — powiedziała Dua opryskliwie.

— Twardzi być może to zmienią. Ich liczba także spada…

— Czy oni też odchodzą? — zainteresowała się nagle Dua. Zawsze myślała, że są nieśmiertelni, że nie rodzą się i nie umierają. Czy ktokolwiek widział dziecko Twardych? Nie mieli dzieci. Nie stapiali się. Nie jedli.

Pogrążywszy się w zamyśleniu, Odin stwierdził: — Wydaje mi się, że odchodzą. Nigdy o sobie nie rozmawiają przy mnie. Nie wiem nawet, czym się żywią, ale oczywiście coś jeść muszą. I jakoś muszą się rozmnażać. Niedawno pojawił się nowy. Nie widziałem go jeszcze… Ale to nieważne. Istotne jest, że pracują nad stworzeniem syntetycznej żywności…

— Wiem — powiedziała Dua. — Próbowałam jej.

— Naprawdę? Nic o tym nie wiedziałem!

— Grupka Emocjonałów rozmawiała o nowym jedzeniu. Mówiły, że Twardzi szukają ochotników, którzy by je spróbowali, ale te głuptaki bały się. Mówiły, że mogłyby stwardnieć na stałe i że nigdy

nie mogłyby się już stopić.

— To niemądre — skwitował Odin.

— Wiem. Dlatego się zgłosiłam. To je zatkało. Wiesz, trudno z nimi wytrzymać.

— I jak to smakowało?

— Strasznie — odpowiedziała Dua gwałtownie. — Było ostre i gorzkie. Oczywiście, nic o tym nie powiedziałam pozostałym Emocjonałom.

— Ja też tego próbowałem. Ale nie było aż tak niesmaczne.

— Racjonałowie i Rodziciele nie zwracają uwagi na smak jedzenia.

— Nowa żywność jest jeszcze w fazie eksperymentów. Twardzi intensywnie pracują nad ulepszeniami. Szczególnie Estwald — ten, którego jeszcze nie widziałem. Losten mówi o nim, jakby był kimś szczególnym — wielkim naukowcem.

— Jak to się stało, że go nie spotkałeś?

— Jestem tylko Miękkim. Chyba nie sądzisz, że mówią i pokazują mi wszystko? Zobaczę go w końcu. Wymyślił nowe źródło energii, które może uratować nas wszystkich…

— Nie chcę sztucznego jedzenia — oznajmiła Dua i zostawiła Odina samego.

Rozmowa ta odbyła się całkiem niedawno. Odin nie wspominał już o Estwaldzie, ale Dua wiedziała, że prędzej czy później o nim usłyszy. Rozmyślała o tym na powierzchni w świetle Słońca. Widziała tę syntetyczną żywność tylko raz. Przypominała małe Słońce w specjalnym zagłębieniu przygotowanym przez Twardych. Jeszcze teraz czuła jej gorzki smak.

Czy uda się ją poprawić? Czy będzie smakować lepiej? Może będzie nawet apetyczna? Czy wtedy musiałaby to jeść i wypełniać się aż do uczucia sytości, które z kolei wywoływałoby w niej trudną do opanowania chęć zespolenia się?

Obawiała się tego samorodnego pożądania. Co innego, gdy pożądanie wywoływane było gorączkową stymulacją prawica i lewica. Samorodne pożądanie oznaczać będzie, że jest gotowa spowodować poczęcie śródziątka. A… a ona tego nie chce!

Sporo czasu zabrało jej przyznanie się do tego. Nie chciała począć Emocjonalniątka! Kiedy już triada ma trójkę dzieci, nadchodzi nieubłaganie czas odejścia, a ona nie chce odejść. Przypomniała sobie dzień, gdy jej Rodziciel na zawsze ją opuścił i nigdy już nie było tak jak przedtem.

Inne Emocjonały nie przejmowały się tym, bo były zbyt puste, żeby o tym myśleć. Ale ona — dziwaczka, Emlew, bo tak właśnie ją przezywano — nie dopuści do odejścia. Dopóki nie będzie miała trzeciego dziecka, dopóty nie odejdzie, dalej będzie żyła.

Nie będzie trzeciego dziecka. Nigdy. Nigdy!

Ale jak się od tego uchronić? I jak zapobiec temu, by Odin się o tym nie dowiedział? I co się stanie, jeśli Odin się o tym dowie?

2b

Odin czekał na jakiś ruch ze strony Tritta.

Miał powody, aby sądzić, że Tritt nie wyjdzie na powierzchnię po Duę. Musiałby opuścić dzieci, co zawsze przychodziło mu z wielkim trudem. Tritt zaczekał, nic nie mówiąc przez chwilę, po czym odszedł w stronę pokoju dzieci.

Odin prawie ucieszył się, że Tritt sobie poszedł. Jednak nie za bardzo, ponieważ Tritt był rozgniewany i zamknięty w sobie, co osłabiało więź między nimi i tworzyło barierę niechęci. Odin nie mógł otrząsnąć się z melancholii, którą wywoływała ta sytuacja. To jakby osłabienie impulsu życia.

Czasami zastanawiał się, czy Tritt także tak czuł… Nie, to nie w porządku. Tritt miał bardzo bliski kontakt z dziećmi.

A Dua? Kto wie, co czuła Dua? Co czują Emocjonały? Były tak inne, że w porównaniu z nimi lewici i prawici zdawali się — za wyjątkiem swych zdolności umysłowych — tacy sami. A nawet, biorąc poprawkę na to, jak postępują Emocjonały, co można powiedzieć o Dui, a szczególnie o tym, co czuła?

Ze względu na Duę poczuł zadowolenie, że Tritt już sobie poszedł. Poczęcie trzeciego dziecka zaczynało być już sprawą naprawdę naglącą, a Dua była coraz mniej skłonna do ustępowania. Narastał w nim niepokój, którego źródeł nie potrafił dokładnie określić. Powinien o nim pomówić z Lostenem.

Ruszył na dół w kierunku jaskiń Twardych, zmuszając się do ciągłego przepływania, które jednak dalekie było od niedostojnej, ale dziwnie podniecającej mieszanki kołysania się i gwałtownych skoków, charakteryzującej chód Emocjonałów, i które nie było tak zabawne jak ociężałe toczenie się Rodzicieli…

(Wyobraził sobie bardzo dokładnie Tritta niedołężnie próbującego dogonić Racjonalątko, które w tym wieku było prawie tak śliskie jak Emocjonał, czy Duę blokującą drogę dziecku i prowadzącą je z powrotem, albo Tritta gdakającego i nie zdecydowanego, czy ma potrząsnąć maluchem, czy objąć go swoją substancją. Od początku Tritt rozrzedzał się znacznie lepiej przy dzieciach niż przy Odinie, a kiedy Odin zwracał mu na to uwagę, Tritt odpowiadał z całą powagą, ponieważ w tych sprawach nie uznawał żartów: — Dzieci bardziej potrzebują czułości.)

Odin narcystycznie delektował się swoim przesuwaniem. Uważał je za dostojne i imponujące. Wspominał o tym kiedyś Lostenowi, któremu jako nauczycielowi i Twardemu, zwierzał się ze wszystkiego. Losten powiedział mu wtedy: — Czy nie wydaje ci się, że Emocjonały i Rodziciele myślą tak samo o swoim sposobie przesuwania się? Jeśli

wszyscy myślicie inaczej i postępujecie inaczej, czy nie powinniście też czym innym się cieszyć? Zrozum — triady nie wykluczają inności.

Odin nie był pewien, czy pojął, o co chodziło z tą indywidualnością. Czy oznaczało to samotność? Twardzi byli samotni. Nie mieli triad. Jak oni mogli to znosić?

Był jeszcze młody, gdy tak rozmyślał. Jego znajomość z Twardymi dopiero się zaczynała. Pewnego razu stwierdził, że nie wie, czy oni także żyją w triadach. Fakt ten był powszechnie znaną legendą wśród Miękkich, ale ile prawdy zawiera się w legendzie? Przemyślał problem i uznał, że trzeba o to zapytać i nie przyjmować niczego na wiarę.

— Czy jesteś prawicem czy lewicem, panie? — spytał. (Później pulsował na samo wspomnienie swego pytania. Jaki był wtedy naiwny! Słabo pocieszał go fakt, że tak czy owak każdy Racjonał pytał o to Twardego prędzej czy później — zwykle prędzej.)

Losten odpowiedział na pytanie z powagą: — Żadnym z nich. Między nami nie ma ani lewiców, ani prawiców.

— I śród… i Emocjonałów?

— Środek? — Twardy zmienił kształt stałej powierzchni sensorycznej w sposób, który Odin kojarzył z rozbawieniem lub przyjemnością. — Nie. Także środek. Występuje tylko jeden rodzaj Twardych.

Odin musiał zapytać, uczynił to zupełnie podświadomie, wbrew woli: — Ale jak to możecie wytrzymać?

— Z nami jest inaczej, młodzieńcze. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

Czy on, Odin, mógłby się do tego przyzwyczaić? Całe dotychczasowe życie spędził w rodzinnej triadzie. Wiedział także, iż już w niedalekiej przyszłości utworzy własną triadę. Czym byłoby życie bez triad? Zastanawiał się nad tym bardzo poważnie. Jak później się okazało, wszystko przemyśliwał bardzo poważnie. Czasami zdawało mu się, że już ma mgliste pojęcie, jak to może wyglądać. Twardzi mieli tylko siebie — żadnych lewobraci, prawobraci, śródsióstr, zespalania, dzieci ani Rodzicieli. Pozostały im tylko umysły, tylko badanie Wszechświata.

Może to im wystarczało. W miarę doroślenia rozumiał coraz bardziej radość poszukiwania prawdy. Było to prawie wystarczające. Prawie. Ale jedna myśl o Tritcie i Dui wystarczała, by cały Wszechświat nie mógł przynieść zadowolenia.

Chyba że… Dziwne, ale czasami wydawało mu się, że może nadejść taka chwila, taka sytuacja, kiedy… Gubił chwilowe widzenie przyszłości, a właściwie jedynie jej cień. W końcu zapominał o nim zupełnie. Jednak wracało do niego później i ostatnio zauważył, że wzmacniało się i pojawiało się na chwilę wystarczającą długą, aby je uchwycić.

Ale nie powinien się tym teraz przejmować. Musi dowiedzieć się, co począć z Duą. Przeszedł dobrze znaną sobie drogę, którą po raz pierwszy poznał prowadzony przez swego Rodziciela (tak jak Tritt już niedługo poprowadzi ich małego Racjonała, ich lewiątko).

Ponownie pogrążył się we wspomnieniach.

Bardzo się bał. Spotkał tam innych młodych Racjonałów, wszyscy pulsowali i migali, zmieniali kształty, mimo sygnałów Rodzicieli z każdej strony, aby się nie zmieniać i nie przynosić wstydu triadzie. Jeden z małych lewików, kolega, z którym Odin nieraz się bawił, spłaszczył się dziecinnie i nie chciał się wyprostować, mimo wysiłków swego wielce zakłopotanego Rodziciela. (Od tego czasu zdążył stać się absolutnie normalnym studentem… Chociaż nie na poziomie Odina — Odin nie potrafił powstrzymać się od tego stwierdzenia, nie bez pewnej dozy samozadowolenia.)

W pierwszym dniu szkoły poznawali kilku Twardych. Twardzi zatrzymywali się przy każdym małym Racjonale, aby zapisać wzorzec jego drgań kilkoma specjalistycznymi urządzeniami. Na podstawie otrzymanych wyników mieli orzec, czy można danego kandydata przyjąć na naukę i jeśli tak, to na jaki rodzaj nauki, czy kazać czekać jeszcze jakiś czas.

Kiedy podszedł do niego Twardy, Odin wyprężył się tak mocno, jak tylko mógł, aby jego powierzchnia była gładka, i starał się wytrzymać nie falując.

Twardy powiedział (pierwsze dźwięki jego mowy omalże nie zachwiały w Odinie postanowienia zostania dorosłym): — Jaki dzielnie trzymający się Racjonał. Twoja godność, lewie?

Po raz pierwszy zwrócono się do niego, używając oficjalnego słowa „lew” zamiast zdrobnienia. Poczuł się pewniej niż kiedykolwiek, gdy zdołał odpowiedzieć: — Odin, Wasza Twardość — stosując grzecznościowy zwrot, którego starannie nauczył go Rodziciel.

Jak przez mgłę Odin przypominał sobie chwile, gdy oprowadzano ich po jaskiniach Twardych, pokazując sprzęt, maszyny, biblioteki pełne niezrozumiałych obrazów i dźwięków.

Bardziej niż jakieś konkretne doznania zmysłowe pamiętał wewnętrzne uczucie rozpaczy. Co oni z nim zrobią?

Rodziciel powiedział mu, że będzie się uczył, ale on nie wiedział nawet, co to *znaczy „uczyć* się” i kiedy zapytał o to Rodziciela, okazało się, że ów także nie wiedział.

Minęło trochę czasu, zanim się dowiedział. Okazało się, że było to bardzo przyjemne uczucie, bardzo przyjemne, ale nie pozbawione pewnych kłopotliwych aspektów.

Twardy, który po raz pierwszy nazwał go lewem, był jego pierwszym nauczycielem. Nauczył go interpretować zapisy fal. To, co kiedyś wydawało mu się niezrozumiałym szyfrem, zamieniło się w

słowa równie jasne jak te, które tworzył przez swoje własne wibracje.

Po jakimś czasie przestał widywać pierwszego, zastąpił go inny Twardy. Upłynęło trochę czasu, zanim to spostrzegł. Trudno było w początkowych dniach nauki odróżnić jednego Twardego od drugiego, rozróżniać ich głosy. Później przychodziło mu to już znacznie łatwiej. Mimo iż krok po kroku stawał się coraz pewniejszy, drżał przy każdej zmianie. Nie rozumiał jej znaczenia.

Raz zdobył się na odwagę i zapytał: — Gdzie jest mój nauczyciel, Wasza Twardość?

— Gamaldan? Gamaldan nie będzie cię już uczył, lewie.

Odinowi odjęło mowę. Po chwili jednak powiedział: — Ale chyba Twardzi nie odchodzą… — Nie wiedział jak zakończyć.

Nowy Twardy nie starał się niczego wyjaśniać i bynajmniej nie przejawiał najmniejszej chęci do rozmowy o tym.

Później, o czym przekonał się Odin, było tak już zawsze. Twardzi unikali rozmów dotyczących ich samych. Nad każdym innym tematem potrafili rozwodzić się bez żadnych ograniczeń. O sobie jednak nie mówili nic.

Z licznych przesłanek Odin wywnioskował, że Twardzi także odchodzą. Nie byli nieśmiertelni (co wielu Miękkich brało za pewnik). Jednak żaden Twardy nic o tym nie wspominał. Odin i uczniowie czasami dyskutowali na ten temat, jednak nie bez pewnych oporów. Każdy był w stanie przedstawić jakiś szczegół dowodzący nieubłagalnie śmiertelności Twardych. Rozważali je dokładnie. Nie odważyli się jednak podsumować tego, co było już wystarczająco oczywiste. Woleli pozostawić kwestię nieśmiertelności Twardych nie rozstrzygniętą.

Twardzi nie zwracali uwagi na aluzje o ich śmiertelności. Nie czynili niczego, by to zatuszować. Nigdy jednak nie nawiązywali do tematu. A kiedy zadawano im bezpośrednie pytanie (czasami się zdarzało), nie odpowiadali na nie wprost; nie przeczyli temu, ani też nie potwierdzali.

Jeżeli jednak odchodzili, to musieli się także rodzić, o czym także nic nie wspominali. Odin nigdy nie widział małego Twardego.

Sądził, że Twardzi czerpali energię ze skał, a nie ze Słońca — a przynajmniej, że absorbowali rozdrobnioną czarną skałę. Niektórzy studenci myśleli podobnie. Inni gwałtownie odrzucali ten pogląd. Nie potrafili dojść do żadnej ostatecznej konkluzji, bo nikt nie widział, żeby Twardzi cokolwiek jedli. O tym Twardzi również nie chcieli rozmawiać.

W końcu Odin uznał, że skrytość jest po prostu cechą ich osobowości. Być może wynikała z samotności, z faktu, że nie tworzyli triad. Roztaczali wokół siebie ochronny pancerz milczenia.

Odin uzyskał natomiast tak istotną informację, że wątpliwości

dotyczące prywatnego życia Twardych zupełnie przy niej blakły. Dowiedział się, że cały Wszechświat się kurczy… zmniejsza…

Powiedział mu o tym Losten, jego nowy nauczyciel.

Odin zapytał o puste jaskinie, ciągnące się w nieskończoność, którymi pokryta była cała planeta, a Losten był najwyraźniej zadowolony z pytania. — Czy boisz się o to pytać, Odinie?

(Twardzi zwracali się teraz do niego po imieniu, a nie jedynie przez jakieś ogólne nawiązywanie do jego płci. Za każdym razem, gdy się do niego w ten sposób zwracano, odczuwał dumę. Wielu tak do niego mówiło. Odin był geniuszem i sposób, w jaki się do niego zwracano, zdawał się to potwierdzać. Losten niejednokrotnie wyrażał swe zadowolenie z ucznia.)

Odin rzeczywiście się bał i po krótkim wahaniu przyznał się. Łatwiej było wyznawać swoje braki Twardym niż kolegom Racjonałom, znacznie łatwiej niż Trittowi. O tym, żeby je wyznać Trittowi, wolał nawet nie myśleć… (To było jeszcze przed przybyciem Dui.)

— Dlaczego więc pytasz?

Ponownie się zawahał. Po czym zaczął powoli: — Puste jaskinie niepokoją mnie, ponieważ, kiedy byłem mały, mówiono mi, że było w nich pełno potworności. Ale nic o nich bezpośrednio nie wiem. Wiem tylko, co mówiły mi inne dzieci, które nie potrafiły powiedzieć o nich nic konkretnego. Chcę poznać prawdę. Potrzeba ta urosła we mnie do tego stopnia, że ciekawość przeważyła nad strachem.

Losten był zadowolony. — Doskonale! Ciekawość rozwija, strach nie. Twój rozwój wewnętrzny przebiega nad wyraz dobrze. Odinie, pamiętaj, że tylko rozwój wewnętrzny tak naprawdę się liczy. Nasza pomoc jest tylko marginalna. Ponieważ tak nalegasz, spróbuję ci odpowiedzieć najprościej, jak można. W opuszczonych jaskiniach nie ma już nikogo. Pozostały tam jedynie rupiecie z przeszłości.

— Kto je tam zostawił, Wasza Twardość? — Odin odczuwał wzmożoną potrzebę używania oficjalnego tytułu zawsze, gdy w jego wiedzy ujawniały się luki, które potrafił wypełnić rozmówca.

— Ci, którzy tam mieszkali w dawnych czasach. Tysiące cykli temu naszą planetę zamieszkiwały tysiące Twardych i miliony Miękkich. Jesteśmy teraz znacznie mniej liczni niż w przeszłości. Teraz można się doliczyć jedynie trzystu Twardych i niespełna dziesięciu tysięcy Miękkich.

— Dlaczego? — zapytał zdziwiony Odin. (Pozostało tylko trzystu Twardych — to było otwarte potwierdzenie śmiertelności Twardych, ale to nie był czas, aby o tym myśleć.)

— Ponieważ maleje ilość energii. Słońce się oziębia. Z każdym cyklem coraz trudniej się rozmnażać i żyć.

(Aha, czy nie znaczy to, że również Twardzi się rozmnażają? I

chyba także ich potrzeby żywnościowe były uzależnione od Słońca, a nie od skał. Odin odłożył tę myśl na później, nie starając się jej roztrząsać teraz.)

— Czy sytuacja się pogorszy? — spytał Odin.

— Słońce będzie powoli dogorywać i któregoś dnia nie dostarczy już nam pokarmu.

— To znaczy, że wszyscy, zarówno Twardzi, jak i Miękcy, odejdą?

— A cóż innego mogłoby to znaczyć?

— Ale nie możemy przecież wszyscy odejść. Jeżeli potrzebujemy energii, a Słońce traci ją, musimy odkryć inne źródła energii. Inne gwiazdy.

— Odinie, wszystkie gwiazdy gasną. Cały Wszechświat się kończy.

Odin myślał przez chwilę, po czym powiedział głosem pełnym sprzeciwu: — Istnieją przecież inne Wszechświaty, Nie możemy się poddać tylko dlatego, że Wszechświat się poddaje. — Kiedy to mówił, wyraźnie pulsował. Rozdął się do rozmiarów, które zakrawały na niewybaczalną niegrzeczność. Stał się nieomal przezroczysty, wielkością znacznie przekroczył rozmiary Twardego.

Losten jednak nie posiadał się z radości. — Cudownie, drogi lewie. Muszę o tym powiedzieć innym.

Odin wrócił do normalnych wymiarów z mieszanymi uczuciami: radości i onieśmielenia. Losten powiedział do niego „drogi lewie", skorzystał ze zwrotu, którego używał, rozmawiając z nim… tylko Tritt.

Niebawem Losten we własnej osobie przyprowadził do nich Duę. Odin zastanawiał się, czy fakt ten wiązał się z ich Ostatnią rozmową, po jakimś jednak czasie przestał sobie tym zawracać górny owoid. Tritt tak często powtarzał, że to jego interwencja spowodowała przyjście Dui, iż Odin przestał się nad tym zastanawiać. To było zbyt niejasne.

Teraz jednak znowu szedł do Lostena. Minęły całe cykle od momentu, kiedy po raz pierwszy usłyszał, że Wszechświat zmierza ku końcowi i że (jak się okazało) Twardzi z zacięciem pracują, aby zapewnić im przeżycie. Poznał dogłębnie wiele dziedzin i Losten przyznał, że w fizyce nie pozostało mu już wiele do nauki. Losten zajmował się następnymi młodymi Racjonałami, toteż nie spotykał się z młodym adeptem fizyki tak często jak kiedyś.

Odin znalazł Lostena z dwoma na wpół dorosłymi Racjonałami w Kabinie Radiacyjnej. Losten spostrzegł go od razu przez szybę i wyszedł do niego, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

— Drogi lewie — zaczął, wyciągając swe przednie kończyny na znak przyjaźni (Odin, jak często za dawnych czasów, czuł przemożną chęć, aby go dotknąć, ale się opanował). — Jak się czujesz?

— Nie chciałbym przeszkadzać, szacowny Lostenie.

— Przeszkadzać? Tamta dwójka doskonale sobie poradzi beze mnie. Chyba się nawet cieszą, że wyszedłem. Wydaje mi się, że zmęczyłem ich trochę swoim wykładem.

— Nieprawda — zaprzeczył Odin. — Zawsze rozbudzał pan we mnie fascynację nauką i pewien jestem, że tak samo jest z nimi.

— Miło z twojej strony, że tak mówisz. Widuję cię często w bibliotece. Doszły mnie słuchy, że nieźle sobie radzisz na kursach specjalistycznych. Powodują, że tęsknię za swoim najlepszym uczniem. Jak się miewa Tritt? Czy nadal jest tak rodzicielsko uparty jak dawniej?

— Z dnia na dzień jeszcze bardziej. To on zapewnia siłę triadzie.

— A Dua?

— Dua? Przyszedłem… Wie pan, że jest niezwykła.

Losten pokiwał głową. — Tak, to prawda. — Twarz nauczyciela przybrała wyraz, który Odinowi kojarzył się z melancholią.

Odin odczekał chwilę, po czym zdecydował się przejść do sedna sprawy. — Szanowny Lostenie, czy przydzieliliście ją nam, Trittowi i mnie, dlatego, że jest niezwykła? — Czy zaskoczyłoby cię, gdyby tak było w istocie?

— zapytał Losten. — Sam przecież jesteś wyjątkowy, Odinie, i nieraz wspominałeś mi, że podobnie jest z Trittem.

— Tak — potwierdził z przekonaniem Odin — on także jest wyjątkowy.

— Nic chyba w tym dziwnego, że taka triada dostała niezwykłego Emocjonała?

— Są różne rodzaje niezwykłości — powiedział Odin w zamyśleniu. — Czasami osobliwe zachowanie Dui oburza Tritta, a mnie martwi. Czy mogę pana o coś zapytać?

— Zawsze.

— Widzi pan, ona nie bardzo lubi… nie lubi się stapiać. Losten słuchał bardzo uważnie. Nic nie wskazywało, by czuł się skrępowany.

— To znaczy, lubi samo stapianie — kontynuował Odin

— ale nie jest wcale łatwo ją do niego namówić.

— Co Tritt sądzi o zespalaniu się? — zapytał Losten.

— Pomijając bezpośrednią przyjemność tego aktu? Czym ono dla niego jest poza przyjemnością?

— Dla niego to oczywiście dzieci — odparł Odin. — Lubię dzieci, Dua też je lubi, ale Tritt jest Rodzicielem. Pan to rozumie? — (Nagle wydało mu się, że Losten w żaden sposób nie może rozumieć niuansów triady.)

— Staram się to rozumieć — rzekł Losten. — Sądzę, że Tritt czerpie z zespalania znacznie więcej niż chwilową przyjemność. A jak jest z tobą? Czy daje ci ono coś ponad przyjemność?

— Wydaje mi się, że pan to wie. Zespolenie stymuluje mnie intelektualnie.

— Tak, wiem o tym, ale chciałem się jedynie upewnić, czy zdajesz sobie z tego sprawę. Często mówiłeś mi, że kiedy wracałeś do siebie po okresie zespolenia, po przerwach, które

— przyznać muszę trwały nieraz bardzo długo — nagle odkrywałeś, iż rozumiesz sprawy, których wcześniej nie byłeś w stanie pojąć.

— Mój umysł podczas tej przerwy nie przestawał być aktywny — podjął Odin. — Potrzebuję chyba tych okresów nieświadomości, aby myśleć znacznie wnikliwiej i intensywniej, oderwawszy się od przyziemnych spraw.

— Tak — zgodził się Losten — po nich rozumiesz świat dużo lepiej. Jest to normalne dla Racjonałów, chociaż przyznać muszę, że nikt inny nie zrobił takich postępów jak ty. Prawdę powiedziawszy, myślę, że nikt w całej historii triad nie był tak zdolny.

— Naprawdę? — zapytał Odin, starając się nie okazywać zbytniego zadowolenia.

— No cóż, mogę się mylić — Losten zdawał się lekko rozbawiony, zauważając nagle brak jarzenia się u rozmówcy — ale to nieważne. Istotne jest, że tobie, podobnie jak Trittowi, zespalanie daje coś więcej niż samą przyjemność.

— Tak. To prawda.

— A co Dua ma z zespalania poza chwilową przyjemnością?

Nastąpiła długa przerwa.

— Nie wiem — powiedział Odin.

— Nigdy jej o to nie pytałeś?

— Nigdy.

— Ale jeśli zespolenie daje jej jedynie przyjemność i nic poza nią, a ty i Tritt macie z niego coś więcej, dlaczego miałaby być równie chętna do tego jak wy?

— Inne Emocjonały nie wydają się potrzebować… — zaczął, jakby broniąc się Odin.

— Dua różni się od innych Emocjonałów. Sam często tak twierdziłeś, i to, jak sądzę, z zadowoleniem.

Odin poczuł wstyd. — Myślałem, że chodzi tu o coś innego.

— Cóż takiego?

— Trudno mi to wyjaśnić. W triadzie dobrze się znamy nawzajem. Wyczuwamy się na odległość. Jesteśmy wszyscy troje częściami jednego organizmu, jakiegoś nie dającego się sprecyzować indywiduum. Zwykle nie jesteśmy świadomi swej jedności. Kiedy koncentrujemy na niej swe myśli, umyka nam, toteż nigdy nie możemy jej poznać wystarczająco dobrze. Jesteśmy… — Odin przerwał opanowany bezradnością. — Trudno jest wytłumaczyć istotę

triady komuś, kto…

— Mimo to staram się ją zrozumieć. Sądzisz, że nawiązałeś kontakt z częścią waszej wewnętrznej świadomości, odkrywając coś, co Dua starała się utrzymywać w tajemnicy, prawda?

— Nie jestem pewien. To jedynie niewyraźne podejrzenie, które pojawia się gdzieś w zakamarkach mojego umysłu.

— Tak?

— Czasami myślę, że Dua nie chce małego Emocjonalniątka.

Losten przyglądał się poważnie Racjonałowi. — Macie dopiero dwójkę dzieci. Lewiątko i prawiątko.

— Tak, tylko dwójkę. Wie pan, że najtrudniej jest zainicjować Emocjonałka.

— Wiem.

— I Dua nie zadaje sobie nawet trudu, by nagromadzić wystarczającą ilość energii. Nawet nie próbuje. Wykręca się różnymi powodami, ale w żaden z nich nie wierzę. Z jakiejś przyczyny po prostu nie chce Emocjonała. Co do mnie — jeśli na razie Dua naprawdę nie chce dziecka — cóż, nie będę się temu sprzeciwiał. Ale Tritt jest Rodzicielem i pragnie następnego dziecka, a ja nie chcę zawieść Tritta, nawet dla Dui.

— Gdyby Dua miała jakiś racjonalny powód, by nie chcieć począć dziecka, czy zmieniłoby to twoje zdanie?

— Moje tak, ale na pewno nie Tritta. On nie pojmuje takich *rzeczy*.

— Ale czy bardziej starałbyś się, żeby to zrozumiał?

— Tak, na tyle, na ile to byłoby w ogóle możliwe.

— Czy nie zauważyłeś, że… — Losten zawahał się, jakby szukając właściwego słowa, a w końcu użył tradycyjnego określenia Miękkich — bardzo rzadko odchodzicie przed urodzeniem całej trójki dzieci.

— Tak, zdaję sobie z tego sprawę. — Odin zastanawiał się jak to możliwe, że Losten miał wątpliwości co do tak elementarnej wiedzy swego ucznia.

— Innymi słowy przyjście małego Emocjonalniątka na świat jest równoważne z nastaniem pory odejścia.

— Odejście zwykle nie następuje przed osiągnięciem takiego stopnia dojrzałości przez Emocjonalniątko, że…

— Niemniej jednak pora odejścia zacznie się nieuchronnie zbliżać. Być może Dua nie chce odejść?

— Ale dlaczego miałaby nie chcieć? Pora odejścia jest jak pora na zespolenie, po prostu przychodzi. Jak można tego nie chcieć? (Twardzi nie stapiali się; być może tego nie rozumieli.)

— Załóżmy, że Dua po prostu w ogóle nie chce odejść? Co byś na to powiedział?

— No, ale przecież kiedyś musimy w końcu odejść. Jeżeli Dua

chce tylko odwlec moment poczęcia ostatniego dziecka, mogę jej ustąpić, a może nawet przekonać do tego Tritta. Gdyby go jednak w ogóle nie chciała — byłoby to po prostu nie do przyjęcia.

— Dlaczego?

Odin pomyślał przez chwilę. — Nie wiem, szacowny Lostenie, wiem jednak, że musimy odejść. Uświadamiam to sobie coraz lepiej i z upływem każdego kolejnego cyklu czuję coraz bardziej, czasami wydaje mi się nawet, że rozumiem dlaczego.

— Czasami wydaje mi się, że urodziłeś się filozofem — sucho stwierdził Losten. — Zastanów się. Kiedy przyjdzie na świat i dorośnie trzecie dziecko, Tritt będzie miał już wszystkie swoje dzieci i przyjmie perspektywę odejścia z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Ty będziesz odczuwał satysfakcję ze swej wiedzy i ty także będziesz mógł odejść z poczuciem spełnienia. Ale Dua?

— No, nie wiem — odpowiedział żałośnie Odin. — Inne Emocjonały przebywają razem przez całe życie i zdają się, czerpać przyjemność z paplania między sobą. Dua jednak taka nie jest.

— Cóż, jest niezwykła. Czy nie istnieje coś, co lubi?

— Lubi słuchać, jak mówię o swej pracy — wymamrotał Odin.

— Nie ma się czego wstydzić, Odinie. Każdy Racjonał opowiada o swej pracy swojemu prawicowi i śródce. Wszyscy udajecie, że tak nie jest, ale robicie to.

— Ale Dua słucha ze zrozumieniem, szacowny Lostenie.

— Jestem pewien, że tak jest. Nie tak jak inne Emocjonały. Czy nie wydawało ci się nigdy, że rozumie to lepiej po zespoleniu?

— Tak, zauważyłem to kilka razy. Nie przywiązywałem do tego specjalnej wagi, chociaż…

— Ponieważ byłeś pewien, że Emocjonały tak naprawdę nie są w stanie zrozumieć waszych spraw. Ale wydaje się, że Dua jest w znacznym stopniu Racjonałem.

(Odin spojrzał na Lostena z nagłą konsternacją. Kiedyś Dua opowiadała mu o swoich problemach z dzieciństwa, tylko raz, jeden jedyny, o przenikliwych krzykach innych Emocjonałów, które używały niesłychanie brzydkiego przezwiska „Emlew”. Czy przypadkiem Losten nie słyszał i o tym?… Ale nauczyciel odwzajemniał jego spojrzenie z całkowitym spokojem.)

— Czasami też mi się tak wydawało. — Po czym wybuchnął: — Jestem dumny z tego, że ona taka jest.

— Nie ma w tym nic złego — uspokajał go Losten. — Dlaczego jej tego nie powiesz? Jeżeli ona lubi dogadzać Racjonałowi, który stanowi część jej osobowości, dlaczego by jej na to nie pozwolić? Ucz ją tego, co wiesz, bardziej intensywnie. Odpowiadaj na jej pytania. To przecież nie może przynieść triadzie żadnej ujmy.

— Nie zwracałbym na to uwagi, nawet jeśliby przynosiło… A

zresztą, dlaczego miałbym się tym przejmować? Tritt uważa, że to strata czasu, ale jakoś sobie z nim poradzę.

— Wyjaśnij mu, że jeśli Dua skorzysta więcej z życia i osiągnie prawdziwe poczucie spełnienia się, być może nie będzie się bała odejścia tak jak teraz i że będzie bardziej skłonna do inicjacji małego Emocjonała.

Odin miał wrażenie, jak gdyby wisząca nad jego triadą czarna chmura — zwiastun jakiejś straszliwej katastrofy — zniknęła.

— Ma pan rację. Szacowny Lostenie, potrafi pan tyle zrozumieć. Dzięki temu, że przewodzi pan Twardym, doprowadzimy badania wymiany materii między światami do szczęśliwego końca.

— Ja przewodzę? — Losten był rozbawiony. — Zapominasz o tym, że teraz Estwald wodzi rej. To on jest rzeczywistym bohaterem tych badań. Bez niego nigdy by ich nie rozpoczęto.

— Ach, tak — powiedział Odin zbity z tropu. Nigdy jeszcze nie spotkał Estwalda. Prawdę mówiąc, nie słyszał, by jakikolwiek Miękki go spotkał, chociaż niektórzy twierdzili, że widzieli go z daleka. Estwald był nowym Twardym. Nowym w tym sensie, że kiedy Odin był młody, nigdy nie słyszał, aby o nim wspominano. Czyż nie oznaczało to, że Estwald był młodym Twardym, że był Twardziątkiem, tak jak Odin Mięciątkiem?

Nieważne. Teraz chciał wracać do domu. Nie mógł okazać swej wdzięczności, dotykając Lostena, ale raz jeszcze mu podziękował i spiesząc się radośnie, udał się na górę.

Jego radość przyprawiona była szczyptą egoizmu. Nie chodziło w nim o odległą perspektywę poczęcia Emocjonalniątka i przyjemność, jaką sprawi to Trittowi, ani o spełnienie się Dui. Najbardziej liczyło się to, że miał przed sobą radość z nauczania. Wreszcie będzie mógł nauczać. Żaden inny Racjonał nie mógł zaznać takiej przyjemności, bo żaden inny Racjonał nie ma takiego Emocjonała jak Dua w swojej triadzie.

Czyż nie było to wspaniałe? Oby tylko Tritt zrozumiał konieczność nauczania. Będzie musiał z nim o tym porozmawiać, przekonać go jakoś, żeby był cierpliwy.

2c

Tritt nigdy nie czuł większej niecierpliwości.

Nie udawał, że rozumie, dlaczego Dua postępuje tak, jak postępuje. Nie próbował nawet. Nie obchodziło go to zupełnie. Nigdy nie rozumiał, z czego wynikało postępowanie Emocjonałów. A Dua nie postępowała jak inne Emocjonały.

Nigdy nie myślała o najważniejszym. Wychodziła przyglądać się Słońcu?! Rozrzedzała się i pokarm przepływał przez nią jak przez sito. Potem mówiła, że było pięknie. Przecież to zupełnie nieważne. Trzeba się tylko najeść. Co pięknego może być w jedzeniu? Co w ogóle jest piękne?

Zawsze chciała, żeby stapiali się inaczej niż inni. Raz nawet zaproponowała: — Porozmawiajmy najpierw. Nigdy o tym nie rozmawiamy. Nigdy o tym nie myślimy.

— Niech będzie, jak chce Tritt. Tak będzie lepiej — powiedział Odin.

Zawsze był cierpliwy. Uważał, że lepiej byłoby poczekać. Nic, tylko chciałby myśleć.

Tritt nie bardzo wiedział, co Odin rozumie, mówiąc „przemyślę". Podejrzewał, że to po prostu oznaczało bezczynne siedzenie.

Nie inaczej było ze sprowadzeniem Dui. Odin medytowałby nad tym jeszcze do dziś. Tritt poszedł gdzie trzeba i poprosił. Zrobił, co należy.

A teraz Odin znowu nie zamierzał nic robić w sprawie Dui. A co z trzecim dzieckiem, przecież to bardzo ważne. Skoro Odin nic nie przedsięwziął, Tritt musi coś zainicjować.

Prawdę mówiąc, właśnie to czynił. Posuwał się ukradkiem w dół długiego korytarza, kiedy przez głowę przemykały mu tamte myśli. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak daleko już zaszedł. Czyżby to było „medytowanie"? Cóż, nie przestraszy się. Nie cofnie się.

Flegmatycznie rozejrzał się wokoło. Przed sobą miał drogę do jaskiń Twardych. Wiedział, że wkrótce ją przejdzie ze swym małym lewiątkiem. Odin kiedyś pokazywał mu, jak tam dojść.

Nie wiedział, co zrobi, kiedy się tam znajdzie. Wcale się nie lękał. Pragnął małego Emocjonała. Należało mu się jeszcze małe Emocjonalniątko. Nie ma nic ważniejszego od niego. Twardzi postarają się, aby miał dziecko. Czyż nie przyprowadzili im Dui, kiedy ich o to poprosił?

Tak, ale do kogo się zwrócić? Czy wystarczy do jakiegokolwiek Twardego? Niewyraźnie w jego umyśle sformułowała się odpowiedź, że nie może to być byle Twardy. Niepewny kojarzył imię tego, do którego powinien się zwrócić. To jemu przedstawi ich problem.

Przypomniał sobie jego nazwisko. Pamiętał, kiedy je usłyszał po raz pierwszy. Było to wtedy, kiedy małe lewiątko było już na tyle duże, aby zmieniać kształt zależnie od woli. (To był wspaniały dzień! „Chodź tu, szybko, Odinie! Annis jest kulisty i twardy. Sam to zrobił, samiuśki. Duo, zobacz!" Wszyscy pospieszyli do pokoju dziecięcego. Annis był jeszcze jedynakiem. Tak długo czekali na tę chwilę. Kiedy znaleźli się w pokoiku, mały właśnie rozpłaszczył się w kącie. Kulił się i przelewał w swoim miejscu zabaw niczym mokra glina. Odin wyszedł po chwili, bo był zajęty. Ale Dua powiedziała: — Na pewno zrobi to jeszcze raz, Tritt. — Czekali kilka godzin, ale na próżno.)

Tritta zraniło, że Odin nie poczekał z nimi. Z chęcią nawet skarciłby go za to, ale Odin wyglądał na zmęczonego. Pod owoidami utworzyły mu się sine fałdy. Nie próbował nawet ich wygładzić.

Tritt zapytał z niepokojem: — Coś nie w porządku?

— Miałem ciężki dzień i nie jestem pewien, czy dojdę do równań różniczkowych przed następnym zespalaniem. — (Tritt nie pamiętał dokładnie tych słów. To było coś w tym rodzaju. Odin zawsze używał trudnych słów.)

— Chciałbyś się może teraz stopić?

— Nie, nie. Właśnie widziałem Duę siedzącą na górze, sam wiesz, jaka jest, kiedy się jej przerywa. Nie ma się co spieszyć. Słuchaj, pojawił się nowy Twardy.

— Nowy Twardy? — zapytał Tritt zupełnie nie zainteresowany. Odinowi bardzo zależało na przestawaniu z Twardymi, Tritt wolałby jednak, żeby tak nie było Odin był bardziej przejęty tym, co nazywał edukacją, niż jakikolwiek inny Racjonał w okolicy. To niesprawiedliwe. Odin za bardzo się angażował. A Dua za często pozwalała sobie na samotne wałęsanie się po powierzchni. Nikogo oprócz niego tak naprawdę nie obchodziły sprawy triady.

— Ma na imię Estwald — oznajmił Odin.

— Estwald? — Tritt poczuł iskierkę zainteresowania. Być może dlatego, że z niepokojem domyślał się uczuć Odina.

— Nigdy go nie widziałem, ale wszyscy o nim mówią. — Oczy Odina spłaszczyły się, jak zawsze, kiedy popadał w zadumę. — Wymyślił nowe urządzenie.

— Co takiego?

— Pompę Pozy… Nie zrozumiesz tego, Tritcie. To taka nowa maszyna. Zrewolucjonizuje cały świat.

— Co to znaczy zrewolucjonizuje?

— Wszystko zmieni.

Tritt przeraził się. — Nie wolno im wszystkiego zmieniać.

— Ale oni zmienią to na lepsze. Zmienić to wcale nie znaczy, że na gorsze. W każdym razie Estwald to zapoczątkował. Jest bardzo inteligentny. Jestem tego pewny.

— Dlaczego więc go nie lubisz?

— Nie mówiłem, że go nie lubię.

— Czuję, że go nie lubisz.

— No, to nie jest zupełnie tak, Tritcie. Po prostu… po prostu… — Odin roześmiał się. — Jestem trochę zazdrosny. Twardzi są bez porównania inteligentniejsi od Miękkich, ale do tego już przywykłem, bo Losten zawsze mówił mi, że jestem bystry… jak na Miękkiego, jak sądzę. A teraz pojawia się tu taki Estwald, i nawet Losten rozpływa się w zachwytach nad nim, a ja jestem nikim.

Tritt zakręcił się na brzuchu tak, aby zwrócić swą przednią płaszczyznę w stronę Odina, który spojrzał na niego i uśmiechnął się. — Ale to po prostu głupota z mojej strony. Czy to ma jakieś znaczenie, jak mądrzy są Twardzi? Żaden z nich nie ma Tritta.

Potem obydwaj poszli szukać Dui. Jakimś cudem właśnie skończyła wędrówkę po powierzchni i schodziła na dół. To było bardzo dobre zespolenie, chociaż zajęło tylko mniej więcej dzień. Wtedy Tritt denerwował się z powodu zespalań, ponieważ Annis był taki mały, że nawet krótka nieobecność była ryzykowna, chociaż zawsze w takich sytuacjach dziećmi opiekowali się inni Rodziciele.

Po tamtym epizodzie Odin niekiedy wspominał o Estwaldzie. Nazywał go zawsze „Nowym", nawet kiedy upłynęło już całkiem sporo czasu od jego pojawienia się. Wciąż go jeszcze nie spotkał. — Chyba go unikam — wyznał pewnego razu, kiedy Dua stała przy nim — bo wie tak wiele o tym nowym urządzeniu. Nie chcę się o nim dowiedzieć za wcześnie. Uczenie jest takie pasjonujące.

— O Pompie Pozy tonowej?

Jeszcze jedna dziwna cecha Dui, pomyślał Tritt. Złościły go te dziwności. Potrafiła się posługiwać trudnymi słowami prawie tak dobrze jak Odin. Emocjonał nie powinien być taki.

Tritt zdecydował się zapytać Estwalda, bo Odin powiedział, że jest mądry. Estwald nie powie: „Rozmawiałem o tym z Odinem, Tritt, nie musisz się tym przejmować."

Wszyscy myśleli, że jeśli rozmawiało się z Racjonałem, to rozmawiało się z triadą. Nikt nie zwracał uwagi na Rodzicieli. Tym razem tak nie będzie.

Znajdował się w jaskiniach Twardych. Wydawało mu się, że tutaj jest inaczej niż na górze. Nie było tu niczego, co wyglądałoby znajomo. Wszystko było jakieś obce i straszne. Tak bardzo jednak pragnął spotkać się z Estwaldem, że nie dopuszczał do siebie strachu. Powiedział sobie: „Chcę małego śródziątka". Utwierdził się w swoich zamiarach i znalazł w sobie dość siły, żeby iść dalej.

W końcu zobaczył Twardego. Tylko jednego. Coś tam robił, nachylając się. Odin powiedział mu kiedyś, że Twardzi pracują nad… Nieważne. Tritt nie pamiętał tego słowa, ale wcale się nie przejął.

Podszedł spokojnie do Twardego i stanął przed nim. — Wasza Twardość — wyszeptał.

Twardy spojrzał w jego kierunku i wzbudził drgania powietrza wokół siebie. Odin kiedyś mówił, że to się zdarza, gdy dwoje Twardych rozmawia ze sobą. Wreszcie Twardy naprawdę zobaczył Tritta i powiedział: — Oho, prawic. Co cię tutaj sprowadza? Czy przyprowadziłeś lewiątko? Czyżby dzisiaj zaczynał się nowy semestr?

Tritt nie zwracał uwagi na słowa Twardego. — Gdzie mogę znaleźć Estwalda, proszę pana?

— Kogo?

— Estwalda.

Twardy milczał przez dłuższą chwilę, potem zapytał: — O czym to chciałbyś rozmawiać z Estwaldem?

Tritt był uparty. — Muszę z nim porozmawiać o bardzo ważnej sprawie. Czy pan jest Estwaldem, Wasza Twardość?

— Nie, to nie ja… Jak się nazywasz, prawicu?

— Tritt, Wasza Twardość.

— Rozumiem. Jesteś prawicem z triady Odina, prawda?

— Tak.

Głos Twardego chyba złagodniał. — Obawiam się, że nie znajdziesz Estwalda w tym momencie. Nie ma go tutaj. Jeśli mógłbym ci w czymś pomóc…

Tritt nie wiedział, co powiedzieć. Po prostu stał. — Idź do domu — poradził Twardy. — Porozmawiaj z Odinem. On ci pomoże. Tak? Pójdziesz do domu, dobrze?

Twardy odwrócił się. Wrócił do poprzedniego zajęcia, od razu zapominając o Tritcie, który stał przy nim dalej, nie wiedząc, co począć. Po chwili Tritt ruszył cicho ku innej części jaskini, unosząc się bezszelestnie nad podłogą. Twardy nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.

Z początku Tritt sam nie wiedział, dlaczego ruszył w tamtym kierunku. Wydawało mu się, że idąc tam, postępuje właściwie. Wkrótce jednak zrozumiał powód. Dochodziło stamtąd ledwie wyczuwalne ciepło jedzenia. Skosztował go. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był głodny, ale teraz jadł delektując się.

Nie było tu słońca. Instynktownie spojrzał w górę, ale oczywiście ujrzał tam jedynie sklepienie jaskini. Jednak ten pokarm był nawet lepszy niż to, co miał okazję wchłaniać na powierzchni. Rozglądał się zdziwiony. Myślał głównie o tym, że powinien się zastanowić.

Nieraz nie miał cierpliwości, by tak jak Odin zastanawiać się nad tyloma sprawami bez znaczenia. A teraz on sam — Tritt! — się zastanawiał. Ale to, o czym myślał, było ważne. Poczuł jakby olśnienie — zdał sobie sprawę, że nie zastanawiałby się, gdyby coś mu nie mówiło, że to jest ważne.

Od razu przeszedł do działania, dziwiąc się własnej odwadze. Po chwili wyszedł. Przeszedł koło Twardego, z którym wcześniej rozmawiał.

— Idę do domu, Wasza Twardość — powiedział donośnym głosem.

Twardy wymamrotał coś niewyraźnie. Nadal był zajęty. Nachylał się nad czymś. Tracił czas na jakieś błahostki, nie wiedząc, co jest tak naprawdę ważne.

Jeśli Twardzi są tak wielcy, potężni i mądrzy, pomyślał Tritt, jak mogą być tak głupi?

3a

Dua szybowała bez pośpiechu ku jaskiniom Twardych. Z jednej strony, chciała zrobić coś ciekawego po zachodzie Słońca. Coś, co odwlekłoby na jakiś czas powrót do domu, oddaliło perspektywę wysłuchiwania nie kończących się tyrad Tritta i zrezygnowanych napominań Odina. A z drugiej strony, zawsze tamte jaskinie ją pociągały.

Czuła już ich przyciąganie, kiedy była jeszcze dzieckiem. Dawno przestała sobie wmawiać, że są jej zupełnie obojętne. Emocjonały nie powinny miewać takich pokus. Czasami małe Emocjonały — Dua była wystarczająco dorosła i doświadczona, by o tym wiedzieć — odczuwały ciekawość, która jednak szybko mijała, a jeśli nie mijała, wybijano ją im z głowy.

Będąc dzieckiem, była niesłychanie ciekawa świata, stale pytała się to o Słońce, to o jaskinie — o wszystko, aż w końcu jej Rodziciel stwierdził: — Wiesz, jesteś dziwna, kochanie. Jakie z ciebie zabawne śródziątko. Co z ciebie wyrośnie?

Z początku nie miała pojęcia, co dziwnego i zabawnego było w pragnieniu wiedzy. Szybko jednak odkryła, że Rodziciel nie potrafi odpowiedzieć na jej pytania. Spróbowała pytać lewojca, ale ten, nie wykazując żadnego zdziwienia, odburknął: — Dlaczego o to pytasz, Duo? — Jego wygląd sugerował naukowy dystans.

Uciekła przestraszona i nie zadawała mu już więcej pytań.

Pewnego dnia, gdy była już trochę starsza, jakiś Emocjonał w jej wieku krzyknął na nią „Emlew", po tym jak zapytała… już nie pamięta o co… coś, co wtedy wydawało się jej całkiem naturalne. Coś ją zaintrygowało, nie wiedziała dokładnie dlaczego.

Zapytała swego lewobrata, który był znacznie od niej starszy, co to jest Emlew. Przybrał zakłopotany wygląd — całkiem wyraźnie zawstydzony — i wymamrotał: — Nie wiem — chociaż jasne było, że wiedział.

Po długich rozmyślaniach poszła do swego Rodziciela i zapytała: — Czy jestem Emlewem, tatusiu?

— Kto cię tak nazwał, Duo? Nie powinnaś powtarzać takich słów.

Podleciała do jego najbliższego wybrzuszenia, przez chwilę się zastanawiała, po czym rzekła: — Czy to coś złego?

— Wyrośniesz z tego — powiedział ojciec. Wysunął wypustkę, zapraszając do zabawy w wibrowanie, którą zawsze bardzo lubiła. Teraz jednak nie chciała się bawić, zbyt oczywiste było, że tata nie odpowiedział na jej pytanie. Oddaliła się w zamyśleniu. Powiedział: „Wyrośniesz z tego", to znaczy, że z czegoś jeszcze nie wyrosła, ale z czego?

Już w dzieciństwie miała bardzo niewielu prawdziwych przyjaciół wśród Emocjonałów. Lubiły szeptać i chichotać w grupach, ale ona wolała unosić się ponad rozkruszonymi przez czas skałami i delektować się ich szorstkością. Tylko kilka środek, bardziej przyjaznych od reszty, nie wyśmiewało się z niej. Na przykład Doral. Równie głupiutka jak inne, ale czasami jej nieustanne trajkotanie bywało zabawne. (Kiedy Doral urosła, znalazła się w triadzie prawobrata Dui i młodego lewica z innego kompleksu jaskiń, którego Dua nieszczególnie lubiła. Potem Doral zainicjowała lewiątko i prawiątko, jedno po drugim, a niedługo po nich śródziątko. Ponadto zgęściła się tak bardzo, że wyglądało, jakby w jej triadzie było dwóch Rodzicieli, i Dua nieraz zastanawiała się, czy w ogóle oni mogą się jeszcze zespalać… A Tritt ciągle powtarzał jej z naciskiem, że Doral świetnie wspiera triadę.)

Kiedyś, siedząc koło Doral, wyszeptała: — Doral, czy wiesz, co to jest Emlew?

Doral zaśmiała się nerwowo, skurczyła się w sobie, jakby chciała stać się niewidoczną, i odpowiedziała: — To Emocjonał, który zachowuje się tak jak Racjonał, no wiesz, jak lewic. Kapujesz? Emocjonał — lewic, Emlew! Rozumiesz?

Oczywiście, że zrozumiała. Po tym wyjaśnieniu nie trzeba już jej było tego powtarzać. Sama doszłaby do tego, gdyby była w stanie spojrzeć na to z boku.

— Skąd o tym wiesz? — zapytała.

— Starsze dziewczynki mi powiedziały. — Ciało Doral zawirowało, co nie spodobało się Dui. — To brzydkie.

— Dlaczego?

— Bo jest nieprzyzwoite. Emocjonały nie powinny zachowywać się jak Racjonały.

Dua nigdy się nie zastanawiała nad taką możliwością, teraz od razu zapytała: — Dlaczego nie powinny tego robić?

— Dlatego! Czy chciałabyś usłyszeć o czymś innym, co jest nieprzyzwoite?

Dua była zaintrygowana. — O czym?

Doral nic nie odrzekła, ale jej część nagle się rozrzedziła i otarła o nie podejrzewającą niczego Duę, zanim ta zdążyła się uchylić. Tego już było za wiele. Skurczyła się gwałtownie, krzycząc: — Przestań!

— Wiesz, co jeszcze jest nieprzyzwoite? Możesz wejść w skałę.

— Nie, to niemożliwe — zaprzeczyła Dua. Śmiesznie brzmiało to w jej ustach, gdyż lubiła przecież przenikać zewnętrzną warstwę skały i… nieraz to robiła. Ale teraz, w kontekście naigrywania się Doral, czuła obrzydzenie i negowała w ogóle taką możliwość.

— Wcale że nie. To jest możliwe. To się nazywa skałotarciem. Emocjonały potrafią to z łatwością robić. Lewice i prawice mogą tak

czynić będąc dziećmi. A kiedy są już dorosłe, robią to ze sobą.

— Nie wierzę ci. Zmyślasz.

— A właśnie, że oni to robią ze sobą. Znasz Dimit?

— Nie.

— Pewnie, że znasz. To ta dziewczyna z gęstym narożnikiem z Groty C.

— Czy to ta, co tak dziwnie szybuje?

— Tak. Z powodu tego narożnika. To właśnie ona. Kiedyś weszła prawie cała w skałę z wyjątkiem tego gęstego narożnika. Jej brat to widział, naskarżył ich Rodzlcielowi i nieźle się jej dostało. Nigdy już tego nie próbowała.

W tym momencie Dua odeszła. Nie rozmawiała z Doral od czasu tego spotkania przez długi okres. Tak naprawdę, nigdy nie żywiła dla niej przyjaźni. Tamta rozmowa rozbudziła w niej jednak ciekawość.

Ciekawość? A może to była podświadoma emlewość?

Któregoś dnia, kiedy była całkowicie pewna, że w pobliżu nie ma Rodziciela, powoli wtopiła się w skałę, ale tylko troszeczkę. Pierwszy raz od czasu, kiedy była jeszcze dzieckiem. Nigdy nie myślała, że jeszcze ośmieli się wniknąć tak głęboko. Doznała uczucia jakiegoś ciepła, ale kiedy wyszła, miała wrażenie, że każdy zauważy jej występek, jakby skała pozostawiła na niej nie dającą się zmazać skazę.

Ponawiała próby od czasu do czasu coraz śmielej. Znajdowała w nich niewypowiedzianą przyjemność. Nigdy jednak nie wniknęła głęboko w skałę.

W końcu Rodziciel nakrył ją. Zbeształ ją pełen niezadowolenia. Od tamtego czasu była znacznie ostrożniejsza. Obecnie była już starsza i wiedziała, że mimo naigrywania się Dory, to, co robiła, nie było wcale tak rzadko spotykane. Praktycznie każdy Emocjonał raz na jakiś czas oddawał się skałotarciu, a niektórzy wcale się z tym nie kryli.

W miarę dojrzewania zdarzało się to coraz rzadziej i Dua nie sądziła, żeby któryś ze znanych jej Emocjonałów robił to jeszcze po założeniu triady i rozpoczęciu normalnych zespalań. Jedną z jej tajemnic (nigdy o tym nikomu nie powiedziała) było, że nie przestała tego robić i raz albo nawet dwa popełniła to już po dołączeniu do triady. (Myślała wtedy, co by się stało, gdyby się o tym dowiedział Tritt?… Czuła, że spowodowałoby to fatalne skutki, co z kolei psuło jej całą przyjemność.)

Zawstydzona próbowała znaleźć jakieś usprawiedliwienie — przekonać przynajmniej siebie. Przezwisko Emlew zaczęło ją prześladować. Szło za nią wszędzie, niosąc z sobą niezatarte piętno. Jakiś okres swego życia spędziła w pustelniczym odosobnieniu, żeby się ukryć przed innymi. Jej początkową skłonność do samotności ta sytuacja tylko umocniła. Chwile spędzone w skałach dawały jej ukojenie. Skałotarcie, przyzwoite czy nie, było zajęciem dla

samotnych, a oni zmuszali ją do samotności.

Przynajmniej tak sobie wmawiała.

Chwilami próbowała się odcinać. — A wy jesteście bandą Emprawów, bandą brudnych Emprawów — krzyczała do naprzykrzających się jej środek.

Ale one się tylko z tego śmiały. Dua uciekała od nich zmieszana i bezradna. Przecież one takie były. Prawie każdy Emocjonał, zbliżając się do wieku zakładania triad, zaczynał interesować się dziećmi, szczebiotał o nich, jakby chciał naśladować Rodzicieli, co wzbudzało w niej szczere obrzydzenie. Nigdy sama nie była tym zainteresowana. Dzieci to po prostu dzieci; od tego, aby się o nie troszczyć, byli prawice.

Z biegiem czasu Duę przestano przezywać. Pomogło to, że zachowała dziewczęcą delikatną budowę i potrafiła dryfować, falując jak obłok dymu, czego nikt inny nie był w stanie zrobić. Lewice i prawice coraz częściej zwracali na nią uwagę. Inni Emocjonałowie mieli coraz mniej powodów, by naśmiewać się z niej.

A jednak… jednak… teraz, mimo że nikt nie ośmielał się już mówić o niej bez szacunku (we wszystkich jaskiniach dobrze wiedziano, że była środka Odina, a ów był najwybitniejszym przedstawicielem Racjonałów swojej generacji), nie miała już wątpliwości — była Emlewem.

Nie uważała, że należy się tego wstydzić. Naprawdę. Ale czasami, ku swemu szczeremu zdumieniu, łapała się na myśli, że pragnęłaby być Racjonałem. Zastanawiała się, czy inne Emocjonały także tego pragnęły — choćby jeden malutki raz. Chyba dlatego też nie chciała małego Emocjonała — bo sama nie była prawdziwym Emocjonałem i nie wypełniała właściwie swej roli w triadzie…

Odinowi wcale nie przeszkadzało, że była Emlewem. Nigdy jednak jej tak nie nazywał. Podobało mu się zainteresowanie Dui jego życiem. Lubił odpowiadać na jej pytania. Imponowała mu także łatwość, z jaką go rozumiała. Bronił jej, kiedy Tritt dawał upust zazdrości, no może nie tyle prawdziwej zazdrości — co raczej przekonaniu, że tak być nie powinno; to wynikało z cechujących Tritta ograniczonych horyzontów.

Odin czasami zabierał ją do jaskiń Twardych, chcąc się przed nią popisać. Otwarcie cieszył się z tego, że Dua nie kryła podziwu. Jej zachwyt wzbudzały nie tyle jego wiedza i inteligencja, ale to, że nie miał nic przeciwko temu, aby się nimi dzielić. (Pamiętała szorstką reakcję swego ojca lewica, gdy go raz usiłowała o coś zapytać.) Kochała Odina najbardziej w chwilach, gdy dzielił się z nią swoim życiem — co także świadczyło o jej emlewości.

Być może fakt, że była Emlewem, zbliżał ją do Odina i oddalał od Tritta. Była to jeszcze jedna przyczyna, która powodowała, że

narzekania Tritta wzbudzały w niej wstręt. Odin nigdy o tym nie wspominał, niewykluczone jednak, że jakimś niejasnym sposobem Tritt wyczuwał coś i mimo że nie potrafił tego do końca pojąć, świadomość szczególnej więzi łączącej Odina i Duę sprawiała, iż czuł się nieszczęśliwy.

Gdy po raz pierwszy znalazła się w jaskiniach Twardych, usłyszała rozmawiających ze sobą dwóch z nich. Oczywiście, nie wiedziała o tym, że rozmawiają. Powietrze przenikały bardzo szybko zmieniające się drgania, które wzbudzały głęboko w niej nieprzyjemne buczenie. Musiała się rozrzedzić i pozwolić drganiom, by przez nią swobodnie przechodziły.

— Rozmawiają — wyjaśnił Odin, po czym pospiesznie, jakby chcąc uprzedzić obiekcje, dodał: — To ich sposób komunikacji. Oni się nawzajem rozumieją.

Dua zdołała pojąć nowe słowo. Szybkie uczenie się było tym bardziej przyjemne, że sprawiało radość Odinowi. (Raz nawet powiedział: — Żaden Racjonał, jakiego spotkałem, nie miał tak mądrego Emocjonała w swojej triadzie. Mam naprawdę szczęście. — Ona zauważyła: — Ale inni Racjonałowie lubią mieć głupie Emocjonały. Dlaczego ty nie jesteś taki jak oni? — Odin nie przeczył, że inni Racjonałowie lubili pustogłowe Emocjonały. Odrzekł jedynie: — Nigdy się nad tym nie zastanawiałem i nie sądzę, aby rozważanie tego miało sens. Jestem bardzo z ciebie zadowolony i cieszy mnie, że tak reaguję.)

— Rozumiesz mowę Twardych? — zapytała.

— Nie bardzo — przyznał Odin. — Nie potrafię wyczuwać zmian wystarczająco szybko. Chwilami mam wrażenie, że wiem, o czym mówią, nawet nie rozumiejąc tego, co mówią, szczególnie po zespalaniu. Ale tylko chwilami. Wyczuwanie to chyba domena Emocjonałów, z tym, że kiedy Emocjonały się do tego zabierają, nie potrafią nigdy pojąć, co dokładnie odczuwają. Ty jednak możesz.

Dua oponowała. — Boję się. To może się im nie spodobać.

— No, nie daj się prosić. Spróbuj. Jestem ciekaw, jak ci pójdzie. Sprawdź, czy możesz powiedzieć, o czym rozmawiają.

— Mogę? Naprawdę?

— Nie obawiaj się. Jeśli cię na tym przyłapią i rozgniewają się, powiem, że ja ci kazałem to zrobić.

— Przyrzekasz?

— Przyrzekam.

Dua niepewnie rozprzestrzeniła się aż do Twardych i zamarła w absolutnym bezruchu, koniecznym, aby dostroić się do ich emocjonalnych fal.

— Chodzi o eksperyment! Są bardzo podnieceni. O kogoś nowego.

— Może o Estwalda — zasugerował Odin.

Dua pierwszy raz usłyszała to imię. Po chwili powiedziała: — Dziwne…

— Co jest dziwne?

— Widzę jakieś wielkie słońce. Ogromne słońce. Odin pogrążył się w rozważaniach. — Całkiem możliwe, że o tym mówią.

— Ale jak to możliwe?

Właśnie wtedy Twardzi ich zauważyli. Podeszli do nich przyjaźnie i pozdrowili ich zwrotem używanym w mowie Miękkich. Dua bardzo się zawstydziła i zastanawiała się, czy wiedzieli, że ich podsłuchiwała. Jeżeli nawet wiedzieli, nie dali tego po sobie poznać.

(Odin powiedział jej później, że nieczęsto można spotkać Twardych rozmawiających ze sobą we własnym języku. Zawsze przystosowywali się do Miękkich i wyglądało na to, że zawsze przerywali pracę, gdy w pobliżu byli Miękcy. — Bardzo nas lubią — mówił Odin. — Są dla nas bardzo dobrzy.)

Zwykle zabierał ją do jaskiń Twardych, kiedy Tritt był zaabsorbowany dziećmi. Nigdy nie mówił Trittowi, że bywa z Duą na dole. Z pewnością wzbudziłoby to nową falę narzekań, że rozpieszczenie Dui przez Odina wzmacnia jej niechęć do nasłonecznienia się, co z kolei powoduje, że ich zespalanie jest znacznie mniej skuteczne… Tritt nie potrafił rozmawiać przez pięć minut, nie poruszając tematu zespalania.

Parę razy zeszła na dół sama. Zawsze się bardzo bała idąc tam, chociaż Twardzi, których spotykała, byli zawsze przyjaźni, zawsze „bardzo dobrzy”, jakby to powiedział Odin. Ale nie traktowali jej poważnie. Cieszyli się z jej wizyt, ale bawiło ich — wyraźnie to czuła, kiedy zadawała im jakieś pytania. Dawali tak proste odpowiedzi, że nie zawierały one żadnej informacji. — To taka maszyna — mówili — Odin może ci to wyjaśnić.

Zastanawiała się, czy trafiła kiedyś na Estwalda. Nie odważyła się nigdy pytać o imiona Twardych, których spotykała (z wyjątkiem Lostena, któremu przedstawił ją Odin i o którym bardzo dużo wczesnej słyszała). Czasami myślała, że ten albo inny Twardy to właśnie Estwald. Odin wyrażał się o nim z wielkim podziwem i z lekką niechęcią.

Wywnioskowała, że musi być zbyt zajęty niezwykle ważną pracą, by mógł się pojawiać w jaskiniach dostępnych dla Miękkich.

Złożyła w jedną całość wszystko, o czym mówił jej Odin i odkryła, że na świecie zaczyna brakować żywności. Odin praktycznie nigdy nie używał słowa „jedzenie.” Nazywał je „energią”, mówił, że jest to słowo Twardych oznaczające pokarm.

Słońce powoli gasło, dogorywało. Estwald jednak odkrył źródło energii znajdujące się bardzo daleko poza ich układem planetarnym, poza siedmioma gwiazdami, które świeciły na ciemnym nocnym

nieboskłonie. (Odin twierdził, że te siedem gwiazd to siedem bardzo odległych układów planetarnych i że istnieje jeszcze mnóstwo innych gwiazd, ale były zbyt daleko, by je zobaczyć. Tritt usłyszał akurat, jak Odin to mówi i zapytał, jaki pożytek z tego, że te gwiazdy istnieją, jeśli nie można ich ujrzeć i powiedział, że w ogóle to nie wierzy w ani jedno słowo o nich. Wtedy Odin westchnął i rzekł z anielską cierpliwością: — Oto cały Tritt. — Dua właśnie chciała powiedzieć coś podobnego do tego, co powiedział Tritt, ale po komentarzu Odina rozmyśliła się.)

Obecnie wszystko wskazywało na to, że energii powinno być zawsze pod dostatkiem. Będzie mnóstwo jedzenia, a przynajmniej jak tylko Estwald i inni Twardzi sprawią, że nowa energia będzie dobrze smakowała.

Właśnie kilka godzin temu powiedziała do Odina: — Czy pamiętasz ten pierwszy raz, kiedy zabrałeś mnie do jaskiń Twardych? Powiedziałam wtedy, że widzę ogromne słońce, kiedy wyczułam Twardych.

Odin przez chwilę sprawiał wrażenie zdziwionego. — Nie bardzo. Ale nie przejmuj się, mów dalej.

— Myślałam o tym. Czy to wielkie słońce jest nowym źródłem energii?

Uszczęśliwiony Odin odpowiedział: — Świetnie. To nie jest zupełnie tak, ale jak na Emocjonała zgadłaś doskonale.

Powoli przemieszczała się w melancholijnym nastroju, podczas gdy przez jej umysł przewijały się te wszystkie wspomnienia. Szła, nie zdając sobie zupełnie sprawy z upływu czasu, ani nie wiedząc dokładnie, dokąd idzie, gdy nagle zorientowała się, że znajduje się w jednej z jaskiń Twardych. Właśnie zaczęła się zastanawiać, czy nie opóźniła już swego powrotu do domu za bardzo i czy może go jeszcze odwlec. Znowu ściągnie na siebie nieunikniony gniew Tritta. Nagle — prawie jakby sprawiła to myśl o nim — wyczuła w pobliżu jego obecność.

Wrażenie było tak silne, że tylko przez chwilę łudziła się, że odbiera jego uczucia z dalekiego domu. Nie! On jest. Tu na dole w jaskiniach Twardych. Razem z nią.

Ale co on tu robi? Śledzi ją? Chce się z nią tutaj kłócić? A może w swojej głupocie chce odwoływać się do Twardych? Dua nie sądziła, by potrafiła znieść…

Panika, która ją ogarnęła, ustąpiła nagle zdziwieniu. Tritt wcale o niej nie myślał. Był absolutnie nieświadom jej obecności. Jedynym uczuciem, jakie w nim zidentyfikowała, było przejmujące uczucie determinacji zmieszanej ze strachem i obawami związanymi z czymś, co zamierzał zrobić.

Dua mogła drążyć dalej i dowiedzieć się, co i dlaczego chciał

uczynić, ale teraz nic nie mogło jej do tego skłonić. Ponieważ Tritt nie wiedział, że ona przebywa w pobliżu, wolała zrobić wszystko, żeby tak pozostało.

Wtedy zupełnie odruchowo zrobiła coś, o czym — gdyby pomyślała chwilę wcześniej, mogłaby przysiąc — nigdy się jej nawet nie śniło.

Może to z powodu tamtych rozmyślań o rozmowach z Doral albo wspomnień o eksperymentach z wcieraniem się w skały. (Istniało na to takie skomplikowane określenie używane przez dorosłych, ale uważała, że było ono nieskończenie bardziej żenujące niż to, którego używały dzieci.)

W każdym razie, nie bardzo wiedząc, co robi, ani też chwilę później, co zrobiła, po prostu szybko wniknęła w najbliższą ścianę.

Znalazła się w skale! Calutka!

Przerażenie z powodu popełnionego czynu złagodziło jedynie zdziwienie, że jest to takie łatwe. Tritt przeszedł obok, niemal ocierając się o nią, i na myśl mu nawet nie przyszło, że gdyby wysunął wypustkę, mógłby dotknąć swej środki.

Nie zastanawiała się już, co Tritt może robić w jaskiniach Twardych, jeżeli nie przyszedł po nią. Kompletnie o nim zapomniała.

Wypełniło ją uczucie absolutnego oszołomienia nową sytuacją. Nawet w dzieciństwie nigdy nie wnikała tak głęboko w skałę, a także nie spotkała nikogo, kto przyznawałby się do czegoś takiego (chociaż — jak to zwykle bywa — krążyły opowieści o takich, którzy tego dokonali). Z pewnością żaden dorosły Emocjonał nigdy tego nie próbował, a co więcej, nie był w stanie tego zrobić. Dua była jednak niezwykle rozrzedzona, nawet jak na Emocjonała (Odin lubił o tym wspominać) i jej niechęć do jedzenia jeszcze bardziej się pogłębiła (co często podkreślał Tritt).

Popełniony czyn uświadomił jej, znacznie lepiej niż jakiekolwiek gderania prawica, jak bardzo była rozrzedzona. Po chwili odczuła falę głębokiego wstydu. A gdyby ją na tym przyłapano? Dorosłą, która…

Gdyby jakiś Twardy przechodził i na chwilę zatrzymał się przy niej… Nie mogła przecież wyjść ze skały, gdyż ktoś mógłby ją zobaczyć, ale jak długo mogła przebywać wewnątrz ściany. A jeśli ją znajdą w skale?

W trakcie tych ponurych rozmyślań wyczuła Twardych, a chwilę później jakimś sposobem zdała sobie sprawę, że są daleko od niej.

Z ogromnym wysiłkiem starała się opanować. Skała przenikająca i otaczająca ją lekko przyćmiła jej zmysły, ale nie stępiła ich. Co więcej, niezmiernie wzmocniła ich zasięg. Czuła Tritta, oddalającego się miarowym ruchem na dół, tak wyraźnie, jakby znajdował się tuż obok. Wyczuwała Twardych, chociaż byli o cały kompleks jaskiń dalej. Widziała ich, każdego z osobna i czuła ich wibrującą mowę z

najdrobniejszymi szczegółami, a nawet rozumiała urywki tego, o czym mówili.

Nigdy przedtem tyle nie wyczuwała. Nie wyobrażała sobie, że można tyle wyczuć.

Mimo iż mogła już opuścić skałę, wiedząc, że jest bezpieczna i że nikt nie może jej obserwować, nie zrobiła tego. Wynikało to częściowo ze zdziwienia, a częściowo z pełnej zaciekawienia radości z otwarcia się nowej drogi rozumienia.

Jej wrażliwość była tak niesłychanie wzmocniona, że wiedziała nawet, dlaczego jest tak, jak jest. Odin nieraz wspominał o tym, jak dobrze rozumiał pewne sprawy po okresie zespolenia, jakby wcześniej wcale ich nie rozumiał. W stanie zespolenia było coś, co niewiarygodnie wzmagało wrażliwość. Więcej się absorbowało, ale i więcej zużywało. Powodowała to większa gęstość atomowa w czasie zespolenia, tak przynajmniej twierdził Odin.

Chociaż Dua nie była pewna, co znaczy większa gęstość atomowa, wiedziała, że występuje ona w czasie zespolenia. Czyż jej obecna sytuacja nie przypominała zespolenia? Czyż nie zespoliła się… ze skałą?

Kiedy triada się zespalała, całą sumę wrażliwości przejmował Odin. Zwykle to Racjonały ją gromadziły, zdobywając wiedzę, którą zachowywały po rozdzieleniu się. Ale w tym zespoleniu Dua była jedyną świadomością. Była tylko ona i skała. Wystąpiła większa gęstość atomowa, z której jedynie ona czerpała korzyść.

(Czy dlatego skałotarcie było perwersją? Czy dlatego ostrzegano przed tym Emocjonały? A może zdarzyło się to tylko dlatego, że była niezwykle rozrzedzona? Albo dlatego, że była Emlewem?)

Przestała spekulować, oddała się pełna fascynacji jedynie wyczuwaniu. Jedynie podświadomie zarejestrowała powrót Tritta. Znowu ją minął, tym razem wracając tam, skąd przyszedł. Zarejestrowała również — ledwie czując jakieś zdziwienie — że Odin także wychodził z jaskiń Twardych. Całą uwagę koncentrowała na Twardych, starając się jak najlepiej skorzystać z niezwykłej ostrości swych zmysłów, jak najlepiej ich zrozumieć.

Minęło jeszcze sporo czasu, zanim wypłynęła ze skały. Nie obawiała się wcale tego, że mogliby ją zauważyć. Była wystarczająco pewna swych zmysłów, by wiedzieć, że nikt jej nie zobaczy.

Zatopiona w myślach, ruszyła do domu.

3b

Gdy Odin wrócił do domu, zastał tam czekającego na niego Tritta, ale Dua jeszcze nie wróciła. Tritt zdawał się wcale tym nie przejmować. Jego uczucia były całkiem wyraziste, Odin mógłby je łatwo przeanalizować, ale stwierdził, że nie będzie tego robił. Denerwował się nieobecnością Dui do tego stopnia, że drażniła go obecność Tritta, tylko dlatego, że on nie był Duą.

Uczucie to zdziwiło go bardzo. Nie mógł zaprzeczyć, że Tritt był mu droższy. W idealnym stanie wszyscy członkowie triady byli jednością i każdy członek triady powinien traktować innego jak równego sobie. Jednak Odin nie natknął się nigdy na triadę, w której by tak było; a już najmniej tam, gdzie obnoszono się z rzekomą równością. Zawsze któraś część triady była trochę bardziej odosobniona, nie bez jej milczącej zgody.

Jednak nieczęsto tą częścią bywał Emocjonał. Środki zwykle wspierały się nawzajem, w przeciwieństwie do Racjonałów i Rodzicieli. Racjonał miał swego nauczyciela, Rodziciel dzieci — a Emocjonał miał za to wszystkie inne Emocjonały.

Emocjonały porównywały swe sytuacje i jeżeli któryś stwierdzał zaniedbania, zawsze mógł liczyć na mocne wsparcie innych Emocjonałów. Słyszał głośny chór nawoływań, aby obstawał przy swoich prawach, żeby domagał się ich egzekwowania! Ponieważ zespalanie tak bardzo zależało od Emocjonałów i ich nastawienia, lewice i prawice rozpieszczały środki.

Ale Dua była tak nieemocjonalnym Emocjonałem! Zdawała się wcale nie przejmować tym, że Odin i Tritt są sobie tak bliscy i że z nikim nie wiąże jej zażyła przyjaźń. Tak, to prawda — była nieemocjonalnym Emocjonałem.

Odin uwielbiał to, że tak bardzo interesowała ją jego praca. Podziwiał jej zdolność koncentracji i szybkiego pojmowania zawiłych kwestii — ale to była tylko miłość intelektualna. Jego głębsze uczucia szły jednak ku ociężałemu, głupiemu Trittowi, który wiedział, gdzie jego miejsce, i który oferował niewiele ponadto, co tak naprawdę było ważne — bezpieczeństwo utartej sytuacji.

Teraz jednak był rozdrażniony.

— Tritcie, czy Dua odzywała się? Tritt nie odpowiedział wprost.

— Jestem zajęty. Później z tobą porozmawiam. Zajmowałem się poważnymi sprawami.

— Gdzie dzieci? Ciebie też nie było? Wyczuwam w tobie emocję wyjścia.

W głosie Tritta zabrzmiała nuta gniewu. — Dzieci są dobrze wyszkolone. Są już na tyle duże, że wiedzą, jak trafić do przedszkola.

Nie są już niemowlakami. — Nie zaprzeczył jednak, że wychodził.

— Przepraszam, nie mogę się już doczekać powrotu Dui.

— Powinieneś czuć to częściej — powiedział Tritt. — Zawsze mówisz mi, bym dał jej spokój. Teraz jej sobie szukaj. — Udał się w głąb pomieszczenia.

Odin spoglądał z niemałym zaskoczeniem w kierunku, w którym poczłapał prawic. Kiedy indziej nie wahałby się nad przesondowaniem tego niezwykle dziwnego niepokoju, wyraźnie przebijającego w uczuciach prawica przez jego zwykłą ociężałość i solidność. Cóż on takiego zrobił? Ale teraz czekał na Duę i pozostawił Tritta samemu sobie.

Niepokój wyostrzył zmysły Odina. Racjonałowie odczuwali jakąś przewrotną dumę z tego, że ich zmysły są w znacznym stopniu stępione. Umysł nie potrzebował tego rodzaju percepcji. Wrażliwość była domeną Emocjonałów. Odin, najbardziej racjonalny z Racjonałów, szczycący się doskonałym rozumem, a nie wrażliwością, rozpostarł jednak niedoskonałą sieć swej emocjonalnej percepcji tak daleko, jak mógł. Pragnął, żeby choć na chwilkę stać się Emocjonałem, aby móc rozpostrzeć ją dalej i lepiej.

Jego usiłowania przyniosły skutek. Wyczuł z bardzo daleka (jak na jego możliwości) zbliżanie się Dui i pospieszył jej na spotkanie. A ponieważ wyczuł ją z tak znacznej odległości, był jeszcze bardziej świadom jej rozrzedzenia niż zazwyczaj. Była tylko delikatną mgiełką — niczym więcej.

…Tritt ma rację, pomyślał Odin z nagłą troską. Trzeba Duę zmusić do jedzenia i zespolenia się. Trzeba rozbudzić w niej chęć do życia.

Był bardzo przejęty tym postanowieniem, kiedy Dua rzuciła się ulotnie na niego i spowiła go w sobie — całkowicie ignorując fakt, iż nie byli sami i że ktoś może ich zobaczyć. — Odinie — westchnęła — muszę się jeszcze tyle dowiedzieć… tak wiele nauczyć… — Słowa te przyjął za dopełnienie swych własnych myśli i nie zauważył w nich nic nadzwyczajnego.

Ostrożnie wyśliznął się z jej objęć, starając się przyjąć bardziej przyzwoitą pozycję, a przy tym nie zrazić Dui. — Chodź — powiedział. — Czekałem na ciebie. Co chciałabyś wiedzieć? Wyjaśnię ci wszystko tak dobrze, jak tylko potrafię.

Posuwali się szybko w stronę domu. Odin dostosował się do jej emocjonalnego pulsującego migotania.

— Opowiedz mi o tamtym Wszechświecie — zaczęła Dua. — Dlaczego oni są inni? W jaki sposób ów świat się różni od naszego? Opowiedz mi wszystko.

Odinowi nie przyszło nawet na myśl, że Dua prosi o zbyt wiele. Wcale o tym nie pomyślał. Poczuł się jedynie pełny zadziwiającej

ilości wiedzy i omal nie zapytał: skąd ty wiesz tak dużo o obcym świecie, że się nim zaciekawiłaś?

Zdusił w sobie to pytanie. Dua przyszła od strony jaskiń Twardych. Możliwe, że Losten rozmawiał z nią, uznawszy, że mimo wszystko Odin będzie zbyt dumny ze swego statusu, aby pomóc swej śródce.

Wcale nie jestem, pomyślał z przejęciem Odin. I nie będzie pytał. Po prostu będzie wyjaśniał.

W domu spotkali uwijającego się Tritta. — Jeśli chcecie rozmawiać, idźcie do pokoju Dui. Jestem teraz zajęty. Muszę dopilnować, żeby dzieci się umyły i wygimnastykowały. Nie czas teraz na zespalanie. Żadnego zespalania.

Zarówno Odin, jak i Dua nie pomyśleli nawet o zespalaniu się, ale nie mieli zamiaru się sprzeciwiać. Nie można się przeciwstawiać Rodzicielowi w jego domu. Racjonały miały jeszcze jaskinie Twardych na dole, a Emocjonały miały miejsca spotkań na powierzchni. Rodziciel miał jedynie dom.

— Tak, Tritcie. Już schodzimy ci z drogi, raz, dwa — odrzekł Odin.

A Dua wysunęła na chwilkę jedną ze swych miłosnych wypustek i powiedziała: — Jak miło cię znowu zobaczyć, prawasku. — (Odin przez chwilę zastanawiał się, czy jej gest nie wynika częściowo z ulgi, że nie będzie nacisków na zespalanie się. Tritt często z tyto przesadzał, mówił o stapianiu się za często, nawet jak na Rodziciela.)

Wszedłszy do pokoju, Dua spojrzała od razu na swój osobisty kącik żywieniowy. Zazwyczaj nie zwracała na niego wcale uwagi.

Karmnik był pomysłem Odina. Wiedział, że istnieją takie urządzenia i wyjaśniał Trittowi, że jeżeli Dua nie lubi wylegiwać się w tłumie innych Emocjonałów, dlaczego nie doprowadzić dla niej energii słonecznej do jej własnej jaskini, aby mogła się żywić w odpowiadającej jej samotności.

Tritt był śmiertelnie przerażony. Tak się nie robi. Inni będą się z nich wyśmiewać. Ich triada będzie skompromitowana. Dlaczego Dua nie jest taka jak inne?

— Tak, Tritcie — powiedział Odin — skoro jednak taka nie jest, co nam szkodzi przystosować się do niej? Czy to takie straszne? Będzie jadła sama, nabierze wagi. My będziemy szczęśliwsi i ona dobrze na tym wyjdzie. Kto wie, czy w końcu się nie przemoże i nie zacznie się posilać na powierzchni.

Tritt zaakceptował pomysł. Nawet Dua — po usilnych przekonywaniach — zgodziła się na to rozwiązanie, nalegając jednak, żeby urządzenie nie było zbyt wymyślne. Wkrótce potem w jej pokoju pojawiły się dwa proste pręty, będące elektrodami zasilanymi energią słoneczną. Dzielił je niewielki odstęp, w nim właśnie Dua miała

spożywać posiłki.

Niezwykle rzadko korzystała z tego urządzenia, ale tym razem nie mogła od niego oderwać wzroku. — Tritt je przystroił… — powiedziała zdziwionym głosem. — Chyba, że to zrobiłeś ty, Odinie.

— Ja? Oczywiście, że nie.

Podstawę każdej z elektrod zdobiły kompozycje z barwnej gliny.

— Sądzę, że w ten sposób chciał pokazać, iż pragnie, bym skorzystała z karmnika — stwierdziła Dua. — Ale wygłodniałam… A jeżeli będę jadła, Tritt nie będzie chciał nam przeszkadzać, prawda?

— Tak — odpowiedział Odin. — Tritt zatrzymałby cały świat, gdyby uznał, że jego ruch przeszkadza ci w jedzeniu.

— Jaka jestem głodna… — powtórzyła Dua.

Odin rozpoznał w jej uczuciach odrobinę poczucia winy. W stosunku do Tritta? Z powodu głodu? Dlaczego miałaby czuć się winna z powodu głodu? A może zrobiła coś, co wymagało energii. Może…

Z trudem przerwał bezlitosny tok swego rozumowania. Bywa że Racjonałowie są zbyt racjonalni i chwytają się każdej myśli, co nie wychodzi im na dobre. W tej chwili najważniejsza była rozmowa z Dua.

Środka ułożyła się wygodnie pomiędzy elektrodami. Kiedy się kurczyła, by się dobrze usadowić, jej niewielkie rozmiary stały się dla niego boleśnie oczywiste. Odin też był głodny. Rozpoznał swój głód po tym, że elektrody zdawały mu się znacznie jaśniejsze niż zwykle. Czuł smak jedzenia, stojąc w znacznej odległości od nich. Głód powoduje, że czuje się pokarm znacznie lepiej i z dalszej odległości niż wtedy, kiedy się jest sytym… Zje coś sobie później.

— Kochany lewaczku, nie ma co milczeć. Opowiadaj. Chcę wiedzieć. — Przybrała (nieświadomie?) owoidalny kształt charakterystyczny dla Racjonałów, jakby chciała jeszcze wyraźniej dać mu do zrozumienia, żeby traktował ją jak Racjonała.

— Nie umiem tego wszystkiego wyjaśnić tak od razu. Tym bardziej że brak ci odpowiedniego przygotowania. Postaram się mówić jak najprościej, a ty po prostu słuchaj. Później powiesz mi, czego nie zrozumiałaś, a ja spróbuję ci to wytłumaczyć. Na początek, czy wiesz, że wszystko składa się z maleńkich cząsteczek nazywanych atomami i że te z kolei składają się z jeszcze mniejszych subatomowych drobinek?

— Tak, tak — powiedziała Dua — dlatego możemy się zespalać.

— No właśnie. Tak naprawdę jesteśmy głównie pustą przestrzenią. Wszystkie cząsteczki są bardzo od siebie oddalone. Twoje atomy, moje i Tritta mogą się stopić, ponieważ każdy z zespołów atomów naszych ciał pasuje do pustych przestrzeni między atomami pozostałych zespołów. Materia nie rozlatuje się na wszystkie strony,

dlatego że te maleńkie cząsteczki trzymają się razem, pomimo że rozdziela je pusta przestrzeń. Między nimi występują siły przyciągania, najmocniejsze z nich nazywamy siłami jądrowymi. To one ściśle spajają bardzo od siebie oddalone najważniejsze drobiny subatomowe w atomy, które z kolei trzymają się razem dzięki słabszym siłom. Rozumiesz?

— Tylko troszkę — odpowiedziała Dua.

— Nie przejmuj się, wrócimy do tego później… Materia może mieć różne stany skupienia. Odległości między atomami mogą być niezwykle duże, tak jak u was, Emocjonałów, jak u ciebie Duo. Mogą być mniejsze, jak u Racjonałów i Rodzicieli. Albo jeszcze mniejsze, jak w skałach. Mogą być bardzo, bardzo małe, jak u Twardych. Dlatego są tacy twardzi. Są gęsto wypełnieni atomami.

— To znaczy, że między ich cząsteczkami nie ma pustej przestrzeni.

— Niezupełnie — zaprzeczył Odin i zastanawiał się, jak wytłumaczyć jej to jaśniej. — Jest w nich jeszcze bardzo dużo pustej przestrzeni, ale nie tyle, ile w nas. Cząsteczki wymagają pewnej minimalnej ilości pustej przestrzeni i, jeżeli mają jej dokładnie tyle, ile trzeba, inne cząsteczki nie mogą się między nie wcisnąć. Gdyby zrobić to na siłę, będzie bolało. Dlatego Twardzi nie lubią, gdy ich dotykamy. Odległości między naszymi atomami są większe niż niezbędne minimum, dlatego mogą się między nimi zmieścić jeszcze inne.

Dua nie wyglądała na przekonaną.

Odin pospiesznie kontynuował: — W tamtym Wszechświecie istnieją inne zasady. Siły jądrowe nie są tak duże, jak u nas. To znaczy, że cząsteczki potrzebują tam więcej pustej przestrzeni.

— Dlaczego?

Odin potrząsnął głową. — Bo… bo… cząsteczki dalej sięgają swoją strukturą falową. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć. Przy słabszych oddziaływaniach jądrowych cząsteczki potrzebują więcej przestrzeni i dwa kawałki materii nie mogą się zespolić razem tak łatwo, jak we Wszechświecie.

— Czy możemy zobaczyć tamten Wszechświat?

— Nie. To niemożliwe. Możemy dedukować jego charakter na podstawie fundamentalnych praw natury. Twardzi potrafią jeszcze wiele innych rzeczy. Przesyłać materię na drugą stronę i odbierać materię od nich. Zbudowali Pompę Pozytonową. Słyszałaś o niej, prawda?

— Mówiłeś kiedyś, że uzyskujemy dzięki niej energię. Nie wiedziałam, że tamten Wszechświat ma z nią coś wspólnego… Jaki jest ów Wszechświat? Czy są tam gwiazdy i planety jak u nas?

— Świetne pytanie, Duo. — Rola nauczyciela przynosiła mu dzisiaj znacznie więcej satysfakcji niż zwykle, gdyż tym razem miał

oficjalną zachętę od Lostena. (Wcześniej zawsze miał wrażenie, że dzielenie się wiedzą z Emocjonałem trąci perwersją.)

— Nie możemy widzieć tamtego Wszechświata, ale możemy z jego praw wywnioskować, jak wygląda. Widzisz, gwiazdy świecą, ponieważ proste kombinacje najmniejszych cząsteczek łączą się w nich w bardziej złożone. Nazywamy to syntezą jądrową.

— Czy coś takiego występuje także w tamtym świecie?

— Tak, ale ponieważ siły jądrowe są mniejsze, synteza zachodzi tam znacznie wolniej. To znaczy, że gwiazdy muszą tam być o wiele, wiele większe niż u nas, inaczej proces syntezy nie wywołałby tam świecenia. Gwiazdy tamtego Wszechświata nie większe od naszego Słońca byłyby zimne i martwe. Z drugiej strony, gdyby gwiazdy w naszym Wszechświecie były większe, intensywność syntezy jądrowej byłaby tak wielka, że powybuchałyby. Co z kolei znaczy, że w naszym Wszechświecie istnieją tysiące małych gwiazd zamiast nielicznych, ale dużych…

— Ale przecież u nas jest tylko siedem… — zaczęła Dua. Zreflektowała się i powiedziała: — Zapomniało mi się.

Odin uśmiechnął się pobłażliwie. Tak łatwo zapomnieć o niezliczonych gwiazdach, których nie można zobaczyć bez pomocy specjalnych instrumentów. — W porządku. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko memu zanudzaniu cię tymi sprawami.

— Nie zanudzasz mnie — zaprzeczyła Dua. — Bardzo się z tego cieszę. Od twoich wyjaśnień nawet jedzenie jest smaczniejsze. — Zamigotała pomiędzy elektrodami z prześlicznym drżeniem.

Odin, który nigdy wcześniej nie słyszał, żeby Dua powiedziała coś dobrego o jedzeniu, poczuł się bardzo podniesiony na duchu.

— Oczywiście, nasz Wszechświat nie istnieje tak długo jak ich. Synteza zachodzi tu tak szybko, że wszystkie cząsteczki zostaną wykorzystane w ciągu miliona pokoleń.

— Ale istnieje przecież tyle innych gwiazd.

— Hm, widzisz, na każdej z nich zachodzi ta reakcja równocześnie. Cały Wszechświat umiera. W tamtym Wszechświecie, gdzie gwiazdy są większe, synteza zachodzi tak wolno, że gwiazdy istnieją tam tysiące, miliony razy dłużej niż nasze. Trudno jest tu dokonywać dokładniejszych porównań, bo być może czas płynie w obu Wszechświatach inaczej. — Zawahał się, po czym dodał niechętnie: — Sam tego nie rozumiem. To część teorii Estwalda, nie posunąłem się jeszcze tak daleko.

— Czy Estwald sam do tego doszedł?

— W znacznej mierze.

— Czyż nie jest to cudowne, że otrzymujemy jedzenie z innego Wszechświata? To oznacza, iż nie ma większego znaczenia, że nasze słońce zgaśnie. Otrzymamy całą potrzebną nam żywność stamtąd.

— Tak.

— Ale czy nie ma w tym czegoś niedobrego? Mam… mam wrażenie, że w tym jest coś złego.

— No cóż — westchnął Odin. — Używając Pompy Pozytonowej, wymieniamy materię między jednym i drugim światem, a to pociąga za sobą mieszanie się praw obu Wszechświatów. Nasze oddziaływania jądrowe stają się troszeczkę słabsze, toteż synteza nieznacznie słabnie i słońce oziębia się odrobinę szybciej… Ale tylko odrobinę… A zresztą, już go nie potrzebujemy.

— Nie tego się obawiam. Jeśli siły jądrowe troszkę słabną, atomy potrzebują więcej przestrzeni. Co w takim razie stanie się z zespalaniem?

— Stanie się ociupinkę trudniejsze, ale miną miliony pokoleń, zanim zespalanie stanie się zauważalnie trudniejsze. Nawet jeśli kiedyś zespalanie stanie się niemożliwe i Miękcy wyginą, nastąpiłoby to długo po naszym wyginięciu z głodu, gdybyśmy nie używali tamtego Wszechświata.

— Coś innego jednak ciągle powoduje, że wyczuwam coś… niedobrego… — Słowa Dui stawały się niewyraźne. Wyginała się leniwie pomiędzy elektrodami i ku zadowoleniu Odina stała się zauważalnie większa i gęstsza. Wyglądało, jakby jego słowa działały na nią równie dobrze, jak jedzenie.

Losten miał rację! Edukacja przynosiła jej zadowolenie z życia. Odin odbierał rodzaj zmysłowej radości, jakiej nie wyczuł w Dui nigdy wcześniej.

— Bardzo miło z twojej strony, że mi to wszystko wyjaśniłeś, Odinie. Dobry z ciebie lewic.

— Czy chcesz, bym sobie poszedł? — zapytał. Jej pochwała pochlebiła mu i ucieszyła go bardziej, niż był to w stanie okazać. — Czy chcesz mnie jeszcze o coś zapytać?

— O bardzo wiele, Odinie, ale… ale nie teraz. Nie teraz, Odinie. Och, Odinie, wiesz, czego bym chciała?

Odin od razu odgadł, ale był zbyt roztropny, by otwarcie się do tego przyznać. Chwile erotycznych uniesień Dui były zbyt rzadkie, żeby je lekkomyślnie płoszyć. Miał tylko nadzieję, że Tritt nie jest za bardzo zajęty dziećmi, aby nie mógł z tego skorzystać.

Ale Tritt był już w pokoju. Czyżby czekał tuż przy drzwiach? Nieważne. Nie ma czasu na rozważania.

Dua wypłynęła spomiędzy elektrod. Zmysły Odina wypełniło jej piękno. Weszła pomiędzy nich. Widział przez nią migoczącą postać Tritta, którego kontury promieniały niezwykłymi kolorami.

Nigdy tak nie było. Nigdy.

Odin z trudem starał się hamować, pozwalając swej materii sączyć się jedynie atom po atomie przez Duę do Tritta, opierając się

zniewalającej penetracji Dui ostatnimi resztkami sił, nie oddając się ekstazie, ale powodując, że była z niego wyciskana. Trzymał się rozpaczliwie świadomości aż do ostatniej chwili, po czym nastąpiło tak intensywne przejście, że poczuł eksplozję odbijającą się tysiącem ech w jego umyśle. Stracił przytomność. To było najdłuższe zespolenie w dziejach triad.

3c

Tritt był zadowolony. Stopienie przyniosło mu niesłychaną satysfakcję. Wszystkie wcześniejsze wydawały się w porównaniu z nim puste i jałowe. Rozpływał się w zachwycie nad tym, co się wydarzyło. Nic jednak nie mówił. Wolał nie ryzykować.

Odin i Dua także byli uszczęśliwieni. Tritt dobrze o tym wiedział. Nawet dzieci wydawały się intensywniej świecić.

Ale, rzecz oczywista, Tritt był z nich wszystkich najszczęśliwszy.

Przysłuchiwał się rozmowom Odina i Dui. Nic z tego nie rozumiał, ale to nie miało znaczenia. Nie przeszkadzało mu, że wydawali się tak zadowoleni z siebie nawzajem. Sam miał powody do zadowolenia i wystarczało mu to, że mógł się przysłuchiwać.

Pewnego razu Dua powiedziała: — Czy oni naprawdę próbują się z nami skomunikować?

(Tritt nigdy nie był pewien, kim są „oni". Stwierdził jednak, że „skomunikować" to takie trudne słowo zamiast „rozmawiać". Dlaczego nie mówią po prostu „porozmawiać"? Czasami zastanawiał się, czy im nie przerwać. Ale gdyby zaczął zadawać pytania, Odin uciąłby tylko krótko: „Oto cały Tritt", a Dua zawirowałaby z niecierpliwości.)

— O, tak — podjął Odin. — Twardzi są o tym przekonani. Na materiale, który tamci nam przysyłają, widnieją czasami jakieś znaki i Twardzi uważają, że za pomocą takich znaków można się bez wątpienia porozumieć. Dawno temu sami przecież użyli symboli, kiedy konieczne było wyjaśnienie tamtym istotom, jak mają zbudować swoją część Pompy Pozy tonowej.

— Ciekawa jestem, jak wyglądają tamte istoty. Jak według ciebie mogą wyglądać?

— Z praw natury potrafimy wydedukować charakter gwiazd, to całkiem proste. Ale jak wywnioskować naturę istot żywych? Z tym nigdy nic nie wiadomo.

— Czy nie mogą nam przesłać swoich wizerunków?

— Gdybyśmy rozumieli, co nam przesyłają, możliwe, że coś byśmy z tego wywnioskowali. Nic jednak nie rozumiemy.

— Nawet Twardzi nie rozumieją? — zapytała z niedowierzaniem Dua.

— Nie wiem. Jeśli rozumieją, nic mi o tym nie wiadomo. Losten powiedział raz, że nieistotne jest, jak oni wyglądają, ważne, że funkcjonuje Pompa Pozytonowa.

— Może nie chciał, żebyś mu przeszkadzał?

Odin odpowiedział urażony: — Ja mu nie przeszkadzam.

— Przecież wiesz, o co mi chodzi. Losten nie chciał się zagłębiać

w szczegóły.

Tritt przestał ich słuchać. Sprzeczali się przez dłuższy czas o to, czy Twardzi powinni pozwolić Dui obejrzeć znaki, czy nie. Dua sądziła, że może mogłaby wyczuć, co znaczą.

Trochę się tym rozzłościł. W końcu Dua była tylko Miękkim, a do tego nie była nawet Racjonałem. Zaczął się zastanawiać, czy słusznie Odin uczył ją o tym wszystkim. Być może właśnie nauka nasuwała jej dziwaczne pomysły…

Dua wyczuła gniew także w Odinie. Najpierw się roześmiał. Potem powiedział, że Emocjonał nie potrafiłby podołać tak skomplikowanemu zadaniu. W końcu nie chciał o tym w ogóle mówić. Dua musiała przez chwilę mu schlebiać, zanim go przekonała do rozmowy.

Pewnego razu to Dua się rozgniewała — a właściwie wściekła.

Zaczęło się spokojnie. W pokoju znajdowały się z nimi dzieci. Odin pozwalał im się ze sobą bawić. Nie przeszkadzało mu nawet, że lewiątko, Toruń, go szczypało. Właściwie rozłożył się, zupełnie zapominając o przyzwoitości. Wcale nie zwracał uwagi na to, że się rozformował. Był to pewny znak, że jest zadowolony. Tritt odpoczywał w kącie i z radością chłonął sielską scenkę.

Dua śmiała się z wyglądu Odina. Flirtująco muskała swą własną substancją jego bulwiastości. Bardzo dobrze wiedziała (Tritt też to wiedział), jak wrażliwa jest powłoka lewków, kiedy rozluźniają swoje kulistości.

— Wiesz, Odinie, myślałam trochę o tym, co mi powiedziałeś… Jeżeli prawa tamtego świata przenikają do naszego przez Pompę Pozytonową, to czy przypadkiem nasze prawa nie przechodzą do nich w takim samym stopniu?

Odin jęknął pod wpływem dotknięcia Dui. Usiłował się jej wyrwać, nie strasząc przy tym dzieci. Z trudem wydobył z siebie: — Nie odpowiem, dopóki nie przestaniesz, ty środkowa potworo.

Gdy przestała go łaskotać, pochwalił ją: — Dobra myśl, Duo. Jesteś zadziwiająca. To prawda, oczywiście. Mieszanie praw zachodzi po obu stronach urządzenia… Tritcie, czy mógłbyś wyprowadzić dzieci?

Same się wygramoliły z pokoju. Były już całkiem wyrośnięte. Annis niedługo rozpocznie naukę, a Toruń był już bryłowaty na wzór Rodzicieli.

Tritt pozostał w pomieszczeniu i pomyślał, że Dua pięknie wygląda, kiedy Odin przemawia do niej.

— Jeśli tamte prawa powodują zwolnienie reakcji w naszym Słońcu i są przyczyną jego oziębienia, to czyż nasze prawa nie przyspieszą reakcji w ich słońcach, powodując ich rozgrzewanie?

— Dokładnie tak, Duo. Racjonał nie sformułowałby tego lepiej.

— Jak bardzo nagrzewają się ich słońca?

— Niewiele, są tylko troszeczkę bardziej gorące.

— Ale z tym właśnie wiąże się moje poczucie jakiegoś niebezpieczeństwa.

— Ach, tak. Widzisz, Duo, ich słońca są bardzo duże. Gdy nasze małe słońce troszeczkę się oziębia, nie sprawia to znacznej różnicy. Gdyby nawet zupełnie zgasło, nie będzie to dla nas miało większego znaczenia, dopóki posiadamy Pompę. Natomiast nieznaczny wzrost temperatury wielkich, ogromnych gwiazd powoduje duże komplikacje. W takiej gwieździe zawarta jest tak ogromna ilość materii, że lekkie przyspieszenie syntezy jądrowej może spowodować jej wybuch.

— Wybuch! A co stanie się z ludźmi?

— Z jakimi ludźmi?

— Z ludźmi z tamtego Wszechświata.

Przez chwilę Odin nie zdradzał żadnej emocji, po czym rzucił: — Nie wiem.

— No dobrze, co stałoby się, gdyby nasze Słońce eksplodowało?

— Ono nie może eksplodować.

(Tritt zastanawiał się, czym oni się tak gorączkują. Jak słońce może wybuchnąć? Dua była coraz bardziej rozgniewana, a Odin zmieszany.)

— Ale jeśliby wybuchło? Czy nie zrobiłoby się bardzo gorąco? — nalegała Dua.

— Tak sądzę.

— Czy nie zginęlibyśmy wszyscy?

Odin zawahał się, po czym rozdrażniony odburknął: — Jakie to ma znaczenie? Nasze Słońce nie może eksplodować, lepiej nie zadawaj głupich pytań.

— Sam kazałeś mi zadawać pytania, Odinie. A to jest ważne, ponieważ Pompa Pozytonowa działa w obie strony. Potrzebujemy ich, jak oni nas.

— Nigdy ci czegoś takiego nie mówiłem.

— Ja to czuję.

— Czujesz bardzo dużo różnych rzeczy, Duo…

W tym momencie zaczęła krzyczeć. Wychodziła z siebie. Tritt nigdy nie widział jej w takim stanie. — Nie zmieniaj tematu! Nie wykręcaj się i nie próbuj robić ze mnie wariata. Nie jestem byle Emocjonałem. Sam przyznałeś, że równam się z Racjonałami. Wiem, że bez tamtych istot Pompa Pozytonowa nie może działać. Jeżeli zginą ludzie z tamtego świata, Pompa Pozytonowa przestanie pracować, nasze Słońce będzie się oziębiać coraz bardziej i zginiemy z głodu. Czy nie sądzisz, że jednak jest to ważne?

— Co ty wiesz! — Odin też podniósł głos. — Potrzebujemy ich

pomocy, ponieważ występuje niedobór energii i konieczna jest wymiana materii. Kiedy Słońce w tamtym Wszechświecie wybuchnie, zaleje nas olbrzymia powódź energii, która potrwa miliony pokoleń. Energii będzie tak wiele, że będziemy ją sprowadzać bezpośrednio, bez potrzeby wymiany materii. Nie potrzebujemy ich, i nie obchodzi mnie, co się stanie…

Stali tuż przy sobie, prawie się dotykali. Tritt był wstrząśnięty. Powinien chyba coś powiedzieć, rozdzielić ich, przemówić do nich. Ale nic nie przyszło mu na myśl. Okazało się, że nie było to konieczne.

Na zewnątrz ich jaskini stał Twardy. Nie, cała trójka Twardych. Rozmawiali o czymś, nie sposób było ich usłyszeć.

Tritt wrzasnął: — Odinie! Dua!

Nie powiedział nic więcej, trząsł się ze strachu. Niejasno zdawał sobie sprawę, po co przyszli. Postanowił się wymknąć.

Powstrzymała go stała, nieprzezroczysta wypustka Twardego i usłyszał: — Nie odchodź.

Jego słowa zabrzmiały ostro i nieprzyjaźnie, a Tritt nigdy w życiu nie był tak przerażony.

4a

Dua była tak bardzo rozgniewana, że ledwie zauważyła Twardych. Zdawała się dusić z wściekłości. Zraniło ją, że Odin próbował kłamać i że cały świat istot myślących skazano na zagładę. Ponadto bolało ją, że pomimo oczywistych zdolności nigdy nie umożliwiono jej zdobywania prawdziwej wiedzy.

Od czasu pierwszego zanurzenia się w skale odwiedziła jaskinie Twardych jeszcze dwa razy. Dwukrotnie nie zauważona wtopiła się w skałę i za każdym razem tyle się dowiadywała, że kiedy Odin wyjaśniał następne zagadnienia, z góry wiedziała, co powie.

Dlaczego jej nie uczono jak Odina? Dlaczego tylko Racjonały? Czy posiada zdolność uczenia się, tylko dlatego że jest Emlewem, zboczoną środka? Niech więc ją uczą, nawet jeśli jest to zboczenie. Niewiedza jest gorsza niż jakakolwiek dewiacja.

W końcu jednak zaczęły do niej docierać słowa Twardych. Losten był z nimi, ale przemawiał jakiś Twardy z przodu. Nie rozpoznawała go, nic dziwnego, znała przecież tak niewielu Twardych.

— Które z was było ostatnio w niższych kondygnacjach naszych jaskiń? — zapytał Twardy.

Dua zbuntowała się. Nie obchodziło jej, że dowiedzieli się o wcieraniu się w skały. Niech to wszystkim powiedzą. Albo lepiej sama to powie. Wydobyła z siebie: — Ja tam byłam. Kilka razy.

— Sama? — spytał spokojnie Twardy.

— Sama. Wielokrotnie — dorzuciła Dua. — Była tam tylko trzy razy, ale co tam.

— I ja czasami bywam w niższych kondygnacjach — wymamrotał Odin.

Twardy zdawał się ignorować jego wypowiedź. Obrócił się ku Trittowi i zapytał surowym tonem: — I ty też, prawda?

— Tak, Wasza Twardość — potwierdził drżącym głosem Tritt.

— Ile razy?

— Raz. Dua rozgniewała się. Biedny Tritt tak się przeraził bez żadnego powodu. To ona przecież popełniła przestępstwo i była gotowa teraz ponieść konsekwencje. — Zostawcie go w spokoju — powiedziała — to o mnie wam chodzi. Twardy powoli obrócił się w jej stronę. — Dlaczego?

— Bo… przecież wiecie. — Kiedy prawda wyszła na jaw, nie potrafiła się zmusić do powiedzenia o tym, co popełniła. Nie w obecności Odina.

— Dobrze, wrócimy do ciebie. Najpierw zajmiemy się prawicem… Masz na imię Tritt, tak? Dlaczego poszedłeś sam do niższych kondygnacji?

— Żeby porozmawiać z Estwaldem, Wasza Twardość. Na co Dua znowu przerwała niecierpliwie: — Czy jesteś Estwaldem?

— Nie — odparł Twardy.

Odin zżymał się, jakby zawstydzony tym, że Dua nie okazuje należnego szacunku Twardemu. Dua nic sobie z tego nie robiła.

Twardy odezwał się do Tritta: — Co zabrałeś z niższych jaskiń?

Triu milczał.

Twardy powiedział bez śladu emocji w głosie: — Wiemy, że coś wziąłeś. Chcemy wiedzieć, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co to jest. To może być bardzo niebezpieczne.

Tritt nadal się nie odzywał, Losten włączył się, łagodnie przekonując go: — Proszę, Tritcie, odpowiedz nam. Wiemy, że to ty i nie będziemy dla ciebie surowi.

— Wziąłem kulę pokarmową.

— Ach tak — zaczął pierwszy Twardy. — Co z nią zrobiłeś?

— To dla Dui! — Tritt wyrzucił z siebie. — Nie chciała jeść. To było dla Dui.

Dua podskoczyła i zgęściła się ze zdziwienia. Twardy zwrócił się do niej: — Nie wiedziałaś o tym?

— Nie!

— Ani ty? — rzucił do Odina.

Odin stojący bez ruchu, skamieniały ze zdziwienia, odrzekł: — Nie, Wasza Twardość.

Na chwilę powietrze wypełniło się nieprzyjemnymi wibracjami, to Twardzi rozmawiali ze sobą, ignorując triadę.

Nie wiadomo, czy dlatego, że skałotarcia zwiększyły jej wrażliwość, czy może z powodu niedawnej burzy emocji — nie próbowała tego analizować — w każdym razie wiedziała, że wyłapuje kawałki rozmowy, nie słowa, ale znaczenia…

Wykryli stratę jakiś czas temu. Szukali dyskretnie urządzenia. Niechętnie, ale pogodzili się z myślą, że winowajcą może być któryś z Miękkich. Z jeszcze większą niechęcią zwracali się do triady Odina po wstępnym dochodzeniu. (Dlaczego? Dua nie mogła tego zrozumieć.) Wydawało się im, że Odin nie jest tak niemądry, by to wziąć i skąd takie zamiary u Dui? Tritta pomijali zupełnie.

Potem Twardy, który dotychczas nie odzywał się ani słowem do Miękkich, przypomniał sobie Tritta w jaskiniach. (Oczywiście, pomyślała Dua, to było wtedy, kiedy pierwszy raz weszłam w skałę. Zauważyłam go. Prawie o tym zapomniałam.)

Wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne, ale gdy wszystkie inne możliwości się wyczerpały i czas, jaki upłynął od zniknięcia akumulatora wydłużył się już niebezpiecznie, przyszli. Woleliby skonsultować się z Estwaldem, ale kiedy uwzględnili, że Tritt może być winowajcą, okazało się to niemożliwe.

Wszystko to wyczuła w ciągu chwili, teraz obróciła się w kierunku Tritta z uczuciem zdziwienia zmieszanym ze wściekłością.

Losten z niepokojem wibrował, że nic się strasznego nie stało, że Dua wygląda dobrze i że był to nawet pożyteczny eksperyment. Twardy, z którym rozmawiał Tritt, zgadzał się z nim, ostatni nadal jednak przejawiał niepokój.

Dua nie zwracała na nich uwagi. Patrzyła tylko na Tritta.

Pierwszy Twardy powiedział: — Gdzie znajduje się kula pokarmowa, Tritcie?

Wtedy pokazał im.

Była dobrze zakamuflowana, podłączona nieudolnie, ale skutecznie.

— Sam to zrobiłeś, Tritcie? — upewnił się Twardy.

— Tak, Wasza Twardość.

— Skąd wiedziałeś jak?

— Przyjrzałem się, jak to było zrobione w jaskiniach na dole. Podłączyłem ją dokładnie tak samo.

— Czy nie wiedziałeś, że mogłeś skrzywdzić swoją partnerkę?

— Nie. Nigdy. Ja… — Tritt zdawał się przez chwilę niezdolny do mówienia. Po czym wystękał: — To nie miało jej skrzywdzić. Miało ją dożywić. Chciałem, żeby pokarm się w nią wlewał przez jej karmnik. Udekorowałem go. Chciałem, by spróbowała nowego pokarmu. Zrobiła to. Jadła! Pierwszy raz od długiego czasu dobrze sobie podjadła. I zespoliliśmy się… — Urwał, po czym zaczął płaczliwie krzyczeć: — Miała wreszcie dość energii, żeby zapoczątkować małego Emocjonałka! Przyjęła nasienie Odina i przekazała je mi. Dojrzewa we mnie teraz. Emocjonalniątko rozwija się we mnie.

Dua nic nie mówiła. Cofnęła się ku ścianie, a potem popędziła ku drzwiom. Jeden z Twardych nie zdążył się na czas usunąć jej z drogi. Uderzyła w jego przednią wypustkę, głęboko w nią wnikając i było słychać, jak przez nią przechodziła.

Wypustka Twardego opadła bezwładnie, jego twarz skręciła się z bólu. Odin posunął za Duą, starając się go ominąć, ale Twardy z widocznym wysiłkiem powiedział: — Pozwól jej odejść. Nic się nie stało. Zajmiemy się tym.

4b

Odin przeżywał koszmar. Dua uciekła. Twardzi odeszli. A Tritt, który pozostał, milczał.

Jak to się stało? Odin przechodził tortury. Jak Tritt trafił do niższych kondygnacji Twardych? Jak mógł wziąć stamtąd akumulator naładowany przez Pompę Pozytonową? Urządzenie skonstruowane do wydzielania promieniowania w znacznie bardziej skondensowanej formie niż moc światła słonecznego i ośmielił się…

Odin nigdy by się na to nie odważył. Jak ten ignorant to mógł zrobić? A może także jest niezwykły? Odin, inteligentny Racjonał; Dua, ciekawy świata Emocjonał; i Tritt, odważny Rodziciel?

— Jak mogłeś, Tritcie?

— A co takiego zrobiłem? — odparował Tritt. — Nakarmiłem ją. Najadła się lepiej niż kiedykolwiek w życiu.

Wreszcie zainicjowaliśmy Emocjonałka. Czyż nie czekaliśmy na to dostatecznie długo? Czekalibyśmy do końca świata, aż Dua się zdecyduje.

— Ale czy ty tego nie rozumiesz? Mogłeś ją okaleczyć. To nie było zwykłe światło słoneczne. To było eksperymentalne źródło promieniowania, jego światło mogło być zbyt intensywne, żeby go bezpiecznie używać.

— Nie rozumiem, o czym mówisz. Jak to mogło jej zaszkodzić? Próbowałem jedzenia, które Twardzi wymyślili wcześniej. Było niedobre. Zresztą też go próbowałeś. Było okropne, a nikomu nie zaszkodziło. Było takie wstrętne, że Dua nie chciała go nawet tknąć. Znalazłem tę kulę pokarmową. Jedzenie z niej smakowało dobrze. Zjadłem troszkę, było wyśmienite. Jak coś, co smakuje tak dobrze, może komuś zaszkodzić? Widziałeś, jak Dua je pałaszowała. Smakowało jej. Dzięki temu będziemy mieli małego Emocjonałka. Jak to, co zrobiłem, mogłoby być złe?

Odin rozpaczliwie starał się znaleźć jakieś argumenty. — Dua będzie się bardzo gniewać.

— Przejdzie jej.

— Widzisz, Tritcie, ona nie jest taka jak inne Emocjonały. To powoduje, że tak trudno jest z nią żyć, ale cudownie jest mieć ją przy sobie. Ona może już nigdy nie będzie chciała się zespalać.

Kształty Tritta nawet nie drgnęły. — No i co z tego?

— Co z tego?! Jeszcze pytasz. Czy chcesz zrezygnować ze stapiania się?

— Nie, ale jeśli nie będzie chciała, to jej sprawa. Mam teraz swoje trzecie dziecko i nic mnie to już nie obchodzi. Wiem, że dawniej Miękcy postępowali inaczej. Czasami mieli dwie pary triadziąt. Ale nie

obchodzi mnie to. Jedna triada dzieci wystarczy.

Odin odwrócił się, drżąc z rozdrażnienia, i wypłynął spazmatycznie z izby. Cóż z tego, że zgani Tritta? Tritt i tak tego nie zrozumie. Wątpił, czy sam to rozumie.

Kiedy już trzecie dziecko urodzi się i trochę podrośnie, przyjdzie czas na odejście. Odin będzie musiał dać sygnał, powiedzieć kiedy. Będzie musiał uczynić to bez cienia lęku. Jakiekolwiek inne postępowanie okryłoby ich hańbą, ale nie potrafił myśleć o odejściu bez zespalania się. Po dostatecznej ilości zespoleń może znalazłby w sobie dość odwagi, by odejść bez strachu i bez…

Och, na Słońce i gwiazdy, to nie jest „odchodzenie”! Dlaczego używa tej nazwy. Przecież znał inne słowo, nie używane prawie przez nikogo, z wyjątkiem dzieci wtedy, kiedy chciały zaszokować swoich rodziców. To było UMIERANIE. Musiał być gotów umrzeć bez strachu i kazać Dui i Trittowi umrzeć razem z nim.

Nie potrafił sobie tego nawet wyobrazić… Nie bez zespalania…

4c

Tritt pozostał sam — przestraszony, ale zdecydowany do końca nie ugiąć się przed perswazjami. Ma swoje trzecie dziecko. Czuje je w sobie.

Tylko to się liczy.

To jest najważniejsze.

Dlaczego jednak, w takim razie, gdzieś w głębi żywił uczucie, że nie jest to jedyne, co jest najważniejsze?

5a

Ledwie mogła znieść upokorzenie, którego doznała. Sporo czasu minęło, zanim stłumiła wstyd. Zwalczyła go na tyle, aby móc myśleć. Przyspieszała… Leciała na oślep, byle dalej od straszliwej jaskini, którą zwała dotychczas swoim domem. Nie zważała na to, że nie wie, dokąd zmierza, ani gdzie jest.

Była już noc. Pora, kiedy żaden przyzwoity Miękki — nawet najbardziej lekkomyślny Emocjonał — nie przebywa na powierzchni. Upłynie jeszcze wiele czasu, zanim wzejdzie Słońce. Dui odpowiadała ciemność. Słońce oznaczało jedzenie, a w tej chwili nienawidziła jedzenia i tego, co jej uczyniło.

Było także chłodno, ale Dua ledwie czuła zimno. Po co się przejmować chłodem, pomyślała, jeśli odegrała już swoją rolę, po tym, jak utuczono jej umysł i ciało. Po czymś takim zimno i głód zdawały się być przyjaciółmi.

Rozumiała Tritta. Biedaczysko, tak łatwo go przejrzeć. Wszystko, co robił, wynikało z czystego instynktu. Należała mu się pochwała za to, że tak odważnie szedł za jego głosem. Ileż odwagi wymagało przyniesienie kuli pokarmowej do ich jaskini? (Przecież sama go wtedy wyczuła i odgadłaby, co się dzieje, gdyby nie to, iż Tritt był tak przejęty popełnionym występkiem, że nie ośmielał się nawet o tym myśleć i gdyby ona sama nie była wtedy tak sparaliżowana własną śmiałością. Odkryła nowy wymiar możliwości wyczuwania, a nie zwróciła uwagi na emocje, które powinna była dzięki niemu spenetrować.)

Tritt przeniósł niepostrzeżenie kulę i zastawił tę żałosną pułapkę, upiększając kusząco jej karmnik. Wróciła, zafascynowana nową świadomością, którą umożliwiła jej gęstość skały. Przepełniona wstydem i litością dla Tritta. Jadła, co jej podali, i w końcu przyczyniła się do poczęcia ostatniego dziecka.

Potem jadła tylko sporadycznie, jak zawsze i już nigdy z karmnika. Nic ją do tego nie ciągnęło. Tritt już jej nie namawiał. Wyglądał na zadowolonego (naturalnie), toteż nie wzbudzał w niej poczucia winy. Pozostawił kulę pokarmową tam, gdzie była. Nie odważył się odnieść jej z powrotem. Osiągnął, czego chciał, najłatwiej było zostawić ją tam i nie myśleć już o tym.

…Aż go przyłapali.

Ale przecież mądry Odin musiał przejrzeć plan Tritta, musiał znaleźć nowe połączenie do elektrod, musiał zrozumieć cel Tritta. Bez wątpienia nic mu nie mówił, to tylko by zmieszało i przestraszyło biednego prawica, a Odin zawsze troszczył się o Tritta.

Oczywiście, Odin nie musiał nic mówić. Wystarczyło, że wypełnił

luki w prymitywnym planie Tritta i doprowadził do jego realizacji.

Nie miała już żadnych złudzeń. Zauważyłaby smak syntetycznego jedzenia, jego nadzwyczajną moc, wyczułaby, jak nienaturalnie ją wypełnia, nie powodując przy tym uczucia nasycenia — gdyby tylko Odin nie zajmował jej rozmową.

To była dwuosobowa konspiracja skierowana przeciwko niej. Nieważne, czy Tritt uczestniczył w niej świadomie, czy nie. Jak mogła uwierzyć, że Odin nagle stał się cierpliwym nauczycielem? Jak mogła nie zauważyć jego ukrytych motywów? Ich troska o jej dobro była tylko tak naprawdę troską o ukończenie nowej triady, co samo w sobie mówiło, jak mało im zależało na niej.

No cóż…

Zatrzymała się na chwilę, poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Wgramoliła się w skalną szczelinę, która dała jej schronienie przed ostrym, zimnym wiatrem. Dwie z siedmiu gwiazd jarzyły się w jej polu widzenia. Spoglądała na nie z roztargnieniem, zajmując swe zewnętrzne zmysły drobnostkami, aby móc skoncentrować się na wewnętrznych rozmyślaniach.

Była pozbawiona złudzeń.

— Zdradzona — szeptała do siebie. — Zdradzona!

Czy oni nie potrafili widzieć dalej niż czubek własnego nosa?

To, że Tritt nie zawahałby się zniszczyć wszystkiego, żeby tylko zapewnić bezpieczeństwo swoim dzieciom, było zupełnie oczywiste. Kierował nim niepodzielnie instynkt. Ale Odin?

Odin myślał racjonalnie, co znaczyło, że w celu ćwiczenia swego rozumu potrafiłby poświęcić wszystko inne. Czy wiedza była celem jego życia — za wszelką cenę? Czy dlatego, że Estwald wynalazł Pompę Pozytonową, cały świat, zarówno Twardzi, jak i Miękcy są zdani na jego łaskę? Na dobrą wolę ludzi z innego świata? A co się stanie, jeśli ci ludzie przestaną współpracować i nasz Wszechświat zostanie bez Pompy, z niebezpiecznie oziębiającym się Słońcem?

Nie, tamci nie przerwą współpracy. Przekonano ich do zapoczątkowania pompowania i będą nadal kuszeni, aż zginą. Nie będą więcej potrzebni ani Racjonałom, ani Twardym czy Miękkim, nikomu… Podobnie ona będzie musiała odejść (zostanie unicestwiona) teraz, gdy nie była już do niczego potrzebna.

Ci ludzie i ona zostali zdradzeni.

Prawie nieświadoma tego, co robi, zanurzała się coraz głębiej w skałę. Wkopała się w kamień, żeby nie widzieć gwiazd, nie czuć wiatru, ukryć się przed światem. Zamieniła się w czystą myśl.

Nienawidziła Estwalda. Uosabiał wszystko co egoistyczne i twarde. Skonstruował Pompę Pozytonową i zniszczy bez skrupułów całą planetę — jakieś, kto wie, dziesiątki tysięcy istnień. Tak izolował się od innych, że nigdy go nie widywano, a przed jego potęgą nawet

Twardzi odczuwali lęk.

Dobrze, ona będzie z nim walczyć. Powstrzyma go.

Ludzie z tamtego Wszechświata pomogli im zbudować Pompę Pozytonową dzięki jakimś sposobom komunikacji. Odin wspominał o nich. Gdzie się znajdują środki komunikacji? Co to w ogóle jest? Jak można ich użyć do przesyłania następnych wiadomości?

Zadziwiające, jak jasno potrafiła myśleć. Niewiarygodne. Sprawiało jej ogromną przyjemność, że zdolna jest ułożyć plan pokonania okrutnych myślicieli.

Nie zdołają jej powstrzymać, bo potrafi wniknąć, gdzie żaden Twardy ani żaden Racjonał albo Rodziciel — ba, gdzie nawet inne Emocjonały nie wejdą.

Być może ją złapią, ale nie przejmowała się tym. Będzie walczyć o swoją sprawę — bez względu na cenę — nawet gdyby oznaczało to, że będzie musiała przechodzić przez skałę, żyć w niej, omijać jaskinie Twardych, kraść żywność z ich akumulatorów, przebywać z innymi Emocjonałami i objadać się światłem słonecznym przy każdej okazji.

Ale w końcu da im nauczkę i będą musieli zrobić to, czego zażąda. Wtedy dopiero będzie gotowa odejść — tylko wtedy…

5b

Odin był przy narodzinach Emocjonalniątka, doskonałego w każdym calu, ale nie potrafił się zmusić do radości. Nawet Tritt, który troszczył się o nie bez zarzutu, jak przystało na Rodziciela, wydawał się jakoś przygaszony w wyrażaniu uczuć.

Minęło już dużo czasu i wyglądało na to, że Dua zaginęła. Nie odeszła. Miękki nie mógł odejść inaczej jak całą triadą, ale nie było jej z nimi. Sytuacja była taka, jak gdyby Dua odeszła, nie odchodząc.

Spotkał ją raz — tylko raz — niedługo po jej szalonej ucieczce, gdy tylko dowiedziała się, że zainicjowała ostatnie dziecko.

Przechodził koło grupek Emocjonałów, wygrzewających się na Słońcu, snuł się smętnie po powierzchni w nadziei, że może ją znajdzie. Emocjonały chichotały, widząc postać Racjonała przesuwającego się w ich pobliżu (zaiste nieczęsto się zdarzało, by jakikolwiek Racjonał przechadzał się o tej porze). Wylegujące się istoty rozrzedziły się kusząco, bez specjalnych powodów, chcąc jedynie podkreślić fakt, że są Emocjonałami.

Odin czuł dla nich jedynie pogardę. Jego gładkich zaokrąglonych płaszczyzn nie przeszedł najmniejszy dreszcz w odpowiedzi na ich kuszącą rzadkość. Myślał o Dui. O tym, jak bardzo różniła się od nich wszystkich. Dua nigdy nie rozrzedzała się w innych celach, jak tylko tych, służących jej wewnętrznym potrzebom. Nigdy nie próbowała przyciągnąć nikogo i była dzięki temu jeszcze bardziej atrakcyjna. Gdyby zmusiła się do przebywania w stadzie tych pustogłowych istot, bardzo łatwo byłoby ją rozpoznać (był tego pewien) przez to, że ona jedyna nie rozrzedzałaby się, ale jeszcze by zgęstniała, właśnie dlatego, że inne się rozrzedzały.

Myśląc o tym, przyjrzał się opalającym się Emocjonałom i zauważył, iż rzeczywiście jeden się nie rozrzedził.

Zatrzymał się, po czym pospieszył w jej kierunku, nie bacząc na Emocjonały, leżące na jego drodze, nie zwracając uwagi na ich dzikie piski, gdy ulatniały się przed nim niczym dym i rozpaczliwie gdakały, starając się uniknąć zlania ze sobą — a w każdym razie usiłowały sprawić wrażenie, że tego unikają w obecności Racjonała.

To była Dua. Nie próbowała uciekać. Nie ruszała się z miejsca i nic nie mówiła.

— Duo — spytał pokornie — czy wrócisz do domu?

— Odinie, ja już nie mam domu — odpowiedziała. Bez gniewu, bez nienawiści — co było jeszcze bardziej przerażające.

— Jak możesz winić Tritta za to, co zrobił, Duo? Wiesz przecież, że biedak nie potrafi rozumować.

— Ale ty potrafisz. I to ty zajmowałeś mój umysł, kiedy on

przygotował wszystko, żeby podtuczyć moje ciało. Twój rozum powiedział ci, że tobie się znacznie łatwiej uda mnie znęcić w pułapkę niż jemu.

— Nie, Duo!

— Co nie? Czyż nie odegrałeś tego przedstawienia z uczeniem mnie?

— Uczyłem cię, ale to nie było żadne przedstawienie, to było prawdziwe. I nie miało nic wspólnego z tym, co zrobił Tritt. Nie wiedziałem, co wymyślił.

— Nie wierzę ci. — Odszybowała bez pośpiechu. Odin sunął za nią. Znaleźli się z dala od innych. Słońce na niebie promieniowało czerwonym światłem.

Odwróciła się do niego. — Pozwolisz, że o coś zapytam? Dlaczego mnie uczyłeś?

— Ponieważ tego chciałem — tłumaczył się Odin. — Ponieważ nauczanie sprawia mi przyjemność i ponieważ wolę nauczać niż robić cokolwiek innego, z wyjątkiem może uczenia się.

— I oczywiście, zespalania się… Nieważne — dodała, powstrzymując go od zaprzeczeń. — Nie wyjaśniaj mi, że mówisz o rozumie, nie o instynktach. Jeśli naprawdę jest tak, jak mówisz, jeśli w ogóle mam uwierzyć w to, co mówisz, może zrozumiesz, co mam ci do powiedzenia.

Od kiedy was opuściłam, nauczyłam się bardzo wiele. Nieważne jak. Nauczyłam się. Emocjonałem jestem już jedynie biologicznie. Wewnątrz, a to jest najważniejsze, jestem Racjonałem, poza jednym, mam nadzieję, że nie jestem pozbawiona uczuć, jak inni Racjonałowie. Dowiedziałam się, czym naprawdę jesteśmy. Ty, ja i Tritt, i wszystkie inne triady na tej planecie. Czym jesteśmy i zawsze byliśmy.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Odin. Gotów był słuchać tak długo, jak będzie trzeba, jeśli tylko z nim wróci, kiedy już powie, co ma do powiedzenia. Wykona każdą pokutę, zrobi wszystko, czego zażąda. Niech tylko ona wróci

— jakiś głos w głębi niego niewyraźnie mówił, że powinna wrócić z własnej woli.

— Wiesz, czym jesteśmy? No cóż, niczym… po prostu niczym, Odinie — powiedziała lekko, prawie ze śmiechem.

— Czy to nie dziwne? Twardzi są jedynym żyjącym gatunkiem na tym świecie. Tego ci nie powiedzieli? Istnieje tylko jeden gatunek, ponieważ ty i ja, Miękcy, nie żyjemy tak naprawdę. Odinie, jesteśmy maszynami. Musimy nimi być, bo tylko Twardzi są żywi. Czy tego cię nauczyli?

— Ależ, Duo, to nonsens — powiedział zbity z tropu Odin.

— Maszyny! — ciągnęła Dua cierpkim głosem. — Zbudowane przez Twardych! Niszczone przez Twardych! Twardzi istnieją. Tylko

oni. Nie mówią o tym zbyt wiele. Nie muszą. Wiedzą to. Ale ja nauczyłam się myśleć i doszłam do tego na podstawie dostępnych mi poszlak. Żyją bardzo długo, ale w końcu umierają. Nie rodzą się już, słońce nie zapewnia dostatecznej energii. I chociaż umierają tak rzadko, nie rodzą się, dlatego ich liczba powoli maleje. Nie ma młodych, którzy by dostarczyli nowej krwi i nowych myśli, toteż starzy, długowieczni Twardzi są bardzo znudzeni. A więc cóż takiego postanawiają zrobić, Odinie?

— Co? — Odczuwał jakąś dziwną fascynację. Odrażającą fascynację.

— Produkują mechaniczne dzieci, które mogą uczyć. Sam to mówiłeś. Wolisz uczyć ponad wszystko inne, oprócz uczenia się i — oczywiście zespalania. Racjonałowie stworzeni są jako umysłowe kopie Twardych. Twardzi się nie zespalają, a ponieważ tak wiele już wiedzą, uczenie się dla nich jest wielce skomplikowanym procesem. Nie pozostaje im nic innego jak zabawa w uczenie innych. Racjonałowie zostali stworzeni tylko i jedynie w celu uczenia. Emocjonałów i Rodzicieli skonstruowano, bowiem byli potrzebni, aby zapewnić ciągłość procesowi tworzenia nowych Racjonałów. Wszystkie nowe Racjonały są ciągle potrzebne, ponieważ stare się zużywają, to znaczy, są nauczone wszystkiego, czego można ich nauczyć. I kiedy stare Racjonały zaabsorbują już wszystko, co mogą, są unicestwiane. Aby im oszczędzić przykrości, Twardzi uprzednio wpajają im, że proces destrukcji to „odchodzenie". Oczywiście, Emocjonały i Rodziciele odchodzą razem z nimi. Kiedy już nie są potrzebni do spłodzenia nowej triady, są po prostu zbędni.

— Ależ całkowicie się mylisz, Duo — wydobył z siebie Odin. Nie miał żadnych argumentów przeciw tej koszmarnej wizji, ale wiedział z niezachwianą pewnością, że Dua się myli. (Ale czy przypadkiem lekkie uczucie zwątpienia wewnątrz nie świadczy o tym, że ta pewność mogła być wpojona? Nie, na pewno nie, bo czyż Dua nie miałaby wtedy wszczepionej pewności, że jej podejrzenia są nieprawdziwe? Chyba że jest wybrakowanym Emocjonałem bez właściwych wszczepów i bez… O czym on myśli. Był tak szalony jak ona.)

— Chyba się tym przejąłeś. Czy jesteś pewien, że się całkowicie mylę? Oczywiście, teraz mają Pompę Pozytonową, mają tyle energii, ile im potrzeba, a w każdym razie będą mieli. Wkrótce zaczną się znowu rozmnażać. A może już to się dzieje. I nie będą potrzebować żadnych maszyn — Miękkich, i wszyscy zostaniemy unicestwieni. O, przepraszam, odejdziemy.

— Nie, Duo — powiedział z wysiłkiem Odin, bardziej do siebie niż do niej. — Nie wiem, jak wpadłaś na to wszystko, ale Twardzi nie są do tego zdolni. Nie zniszczą nas.

— Nie okłamuj samego siebie. Taka jest ich natura. Gotowi są

zniszczyć cały świat innych istot dla własnej korzyści. Cały Wszechświat, jeśli zajdzie konieczność. Czy cofnęliby się przed zniszczeniem kilku Miękkich, gdy ci staną się niewygodni?… Ale popełnili błąd. Coś w ich machinie się zepsuło i w ciało Emocjonała dostał się umysł Racjonała. Jestem Emlewem, wiesz? Przezywano mnie tak, kiedy byłam dzieckiem. Mieli rację. Potrafię myśleć jak Racjonał i czuć jak Emocjonał, dzięki temu mogę walczyć z Twardymi.

Odin wyczuwał furię. Dua musi być szalona, pomyślał, ale nie ośmielił się jej tego powiedzieć. Musiał ją jakoś uspokoić i sprowadzić do domu. Siląc się na szczerość, rzekł: — Duo, nie jesteśmy niszczeni, kiedy odchodzimy.

— Nie? To co się z nami dzieje?

— …Nie wiem. Myślę, że wchodzimy do innego świata, lepszego, szczęśliwszego świata i stajemy się… stajemy… no jesteśmy doskonalsi niż teraz.

Dua zaśmiała się. — Gdzie to słyszałeś? Czy Twardzi ci to powiedzieli?

— Nie, Duo. Jestem pewny, że to jest jedna z moich własnych myśli. Bardzo wiele o tym myślałem, odkąd nas opuściłaś.

— W takim razie mniej myśl, a będziesz mniej głupi. Biedny Odinie! Do widzenia. — Opuszczała go znowu, zwiewnie, sprawiając wrażenie zmęczonej.

— Zaczekaj! — zawołał Odin. — Z pewnością chciałabyś zobaczyć małe śródziątko.

Nie odpowiedziała. — Kiedy wrócisz do domu?! — krzyknął.

Nie odpowiedziała.

Nie podążał już za nią, ale patrzył z ogromnym żalem, jak się oddala.

Nie wspomniał Trittowi o tym, że widział Duę. Po co? Nie spotkał jej już od tego czasu. Zaczął nawiedzać ulubione miejsca nasłoneczniania się Emocjonałów. Mimo że robił to sporadycznie, tępi Rodziciele obserwowali go podejrzliwie (Tritt był umysłowym gigantem w porównaniu z większością Rodzicieli).

Z każdym dniem nieobecność Dui stawała się coraz bardziej bolesna. Z każdym mijającym dniem zdawał sobie coraz bardziej sprawę z narastającej obawy o nią. Nie wiedział, skąd mu się to bierze.

Kiedy wrócił do domu przygnieciony brzemieniem smutku, zastał tam Lostena. Czekał na niego poważny i uprzejmy, podczas gdy Tritt prezentował mu najmłodsze dziecko, starając się nie dopuścić, aby ta chmurka mgły przypadkiem dotknęła Twardego.

— To doprawdy śliczne dziecko, Tritcie — przyznał Losten. — Na imię ma Derala, tak?

— Derola — sprostował Tritt. — Nie wiem, kiedy Odin wróci.

Ostatnio często wychodzi.

— Jestem, jestem Lostenie — pospiesznie przerwał Odin. — Tritcie, bądź tak dobry i zabierz stąd dziecko.

Kiedy Tritt wyprowadził maleństwo, Losten zwrócił się do Odina z wyraźną ulgą: — Jesteś na pewno szczęśliwy, że udało się wam dopełnić posłannictwa triady.

Odin próbował odpowiedzieć grzecznie, zbywając pytanie jakąś błahą uwagą, ale zdobył się jedynie na ponure milczenie. Ostatnio wykształciło się w nim poczucie wspólnoty, trudne do zdefiniowania poczucie równości z Twardymi, które pozwalało im porozumiewać się na równej stopie. Szaleństwo Dui w jakiś sposób zepsuło to wrażenie. Odin wiedział, że środka się myli, a jednak podszedł teraz do Lostena tak sztywno jak wtedy, gdy uważał się za znacznie pośledniejszą istotę od nich, za… Za maszynę?

— Widziałeś się z Duą? — zapytał Losten. To było prawdziwe pytanie, nie grzecznościowa formułka. Odin łatwo to wyczuł.

— Tylko raz, Wasza… (Omal nie powiedział „Wasza Twardość" jakby znowu był dzieckiem albo Rodzicielem.) — Tylko raz, Lostenie. Nie chce wrócić do domu.

— Musi wrócić — powiedział łagodnie Losten.

— Nie wiem, jak do tego doprowadzić.

Losten przypatrywał się mu z powagą. — Wiesz, co ona robi?

Odin nie potrafił spojrzeć Twardemu prosto w oczy. Czy odkrył on szalone teorie Dui? Czy można coś na to poradzić?

Nie mówiąc nic, zaprzeczył.

— Jest bardzo niezwykłym Emocjonałem, Odinie. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

— Tak — westchnął Odin.

— Na swój sposób i ty, i Tritt także jesteście niezwykli. Wątpię, czy jakikolwiek Rodziciel na całym świecie oprócz Tritta miałby tyle odwagi albo inicjatywy, żeby ukraść baterię energetyczną, lub rozumu, żeby wpaść na to, jak ją zastosować. Wasza trójka tworzy najbardziej niezwykłą triadę, jaka kiedykolwiek się nam przytrafiła.

— Dziękuję.

— Ale ma to także niekorzystne strony, powoduje skutki, których nie przewidzieliśmy. Chcieliśmy, abyś uczył Duę, przez co zachęciłbyś ją do wykonania jej funkcji dobrowolnie. Nie przypuszczaliśmy, że właśnie w tym samym czasie Tritt wpadnie na swój nietypowy pomysł. Nie sądziliśmy też, prawdę mówiąc, że Dua tak ostro zareaguje na fakt, że planeta z tamtego Wszechświata ma ulec zniszczeniu.

— Powinienem był być ostrożniejszy, odpowiadając na jej pytania — przyznał smutno Odin.

— To by nic nie pomogło. Sama do tego doszła. Tego także się nie

spodziewaliśmy. Odinie, jest mi bardzo przykro, ale muszę ci to powiedzieć… Dua stała się śmiertelnym zagrożeniem… Próbuje zatrzymać Pompę Pozy tonową.

— Ale jak ona może do tego doprowadzić? Nie ma do niej dostępu, a nawet gdyby miała, brak jej wiedzy, by tego dokonać.

— Och, ma dostęp. — Losten zawahał się przez chwilę, po czym dodał: — Zespala się ze skałami, w żaden sposób nie możemy do niej dotrzeć.

Minęła chwila, nim Odin w pełni pojął znaczenie tych słów. — Żaden dorosły Emocjonał nie… Dua nigdy by…

— A jednak to robi. Nie ma czasu na dyskusje… Potrafi się przedostać do każdego zakamarka jaskiń. Nic się przed nią nie skryje. Chyba przestudiowała komunikaty, które otrzymaliśmy z tamtego Wszechświata. Nie wiemy tego na pewno, ale obecnej sytuacji nie da się inaczej wytłumaczyć.

— Ojej. — Odin kołysał się to do przodu, to do tyłu. Jego powierzchnia zmatowiała ze wstydu i żalu. — Czy Estwald o tym wie?

— Jeszcze nie — odpowiedział ponuro Losten — chociaż w końcu musi się dowiedzieć.

— Ale do czego jej te komunikaty?

— Próbuje wykorzystać je do wypracowania metody przesyłania własnych komunikatów.

— Nie wie chyba, jak je tłumaczyć lub przesyłać.

— Uczy się jednego i drugiego. Wie o nich więcej niż sam Estwald. Dua jest przerażającym fenomenem, Emocjonałem, który potrafi rozumować i który wymknął się nam spod kontroli.

Odin zadrżał. Wymknął się spod kontroli? To jak o maszynie?!

— Chyba nie jest aż tak źle.

— Właśnie, że jest. Już przesłała komunikat i obawiam się, że radzi tamtym stworom, żeby zatrzymały swoją część

Pompy Pozytonowej. Jeśli to zrobią, zanim ich Słońce eksploduje, będziemy zupełnie bezsilni.

— Ale wtedy…

— Musimy ją powstrzymać, Odinie.

— A… ale jak? Czy chcecie wysadzić… — Głos go zawiódł. Niewyraźnie, ale przypominał sobie, że Twardzi mieli urządzenia do drążenia jaskiń w skałach; urządzenia dawno nie używane, od czasów, gdy wieki temu zaczęła spadać światowa populacja. Czy zlokalizują w skałach Duę i wysadzą ją?

— Nie — powiedział stanowczo Losten. — Nie możemy jej zranić.

— Estwald mógłby…

— Estwald także nie potrafi jej nic zrobić.

— Co w takim razie pozostaje?

— Ty, Odinie. Tylko ty. Jesteśmy bezsilni, dlatego musimy

polegać na tobie.

— Na mnie? Ale co ja mogę na to poradzić?

— Pomyśl tylko chwilę — powiedział nalegając Losten. — Pomyśl.

— O czym?

— Nic więcej nie mogę powiedzieć. — Twardy powstrzymywał się z widocznym trudem. — Pomyśl! Tak mało już pozostało czasu.

Odwrócił się i wyszedł. Odchodził wyjątkowo szybko jak na Twardego, jakby nie ufał sobie, że potrafiłby tu zostać jeszcze przez chwilę i powiedzieć być może za wiele.

Odin patrzył w jego kierunku, przerażony, zmieszany… zagubiony.

5c

Tritt miał bardzo dużo pracy. Ciągle troszczył się o dzieci. Małe lewiątko i prawiątko razem nie wymagały tyle troski, co jedno śródziątko — szczególnie śródziątko tak doskonałe jak Derola. Trzeba ją było ćwiczyć i uspokajać, nie dopuszczać do przenikania wszystkiego, czego tylko się tknęła, i zachęcać, żeby się zgęszczała i odpoczywała.

Minęło wiele czasu, nim Tritt znowu zobaczył się z Odinem. Właściwie wcale się tym nie przejmował. Cały ten czas wypełniała mu Derola. W końcu jednak natknął się na Odina, jarzącego się od myślenia, w kącie swej własnej sypialni.

Nagle Tritt coś sobie przypomniał. — Czy Losten był bardzo rozgniewany na Duę?

Odin przyszedł do siebie nagle. — Losten?… Tak, był rozgniewany. Dua sprawia im wielkie kłopoty.

— Powinna wrócić do domu, nieprawdaż? Odin wpatrywał się w Tritta.

— Tritcie — zaczął — będziemy musieli przekonać Duę, żeby wróciła do domu. Najpierw musimy ją znaleźć. Potrafimy to zrobić. Po inkubacji najmłodszego dziecka twoja rodzicielska wrażliwość znacznie się wyostrzyła. Możesz jej użyć do znalezienia Dui.

— Nie — powiedział zaszokowany Tritt. — Korzystam z niej dla Deroli. Nie mogę używać jej do szukania Dui. Poza tym, jeżeli ona chce pozostawać tak długo z dala od nas, kiedy śródziątko tak tęskni za nią — a sama była przecież kiedyś śródziątkiem — może powinniśmy po prostu nauczyć się obywać bez niej.

— Ale Tritcie, czy nie chciałbyś znowu się zespolić?

— Cóż, nowa triada jest już kompletna.

— Przecież nie tylko o to chodzi w zespalaniu się.

— Ale gdzie ją znajdziemy? Derola mnie potrzebuje. Jest taka malutka. Nie chcę jej zostawiać samej.

— Twardzi postarają się o opiekę dla Deroli. Ty i ja udamy się do jaskiń Twardych, by znaleźć Duę.

Tritt zastanowił się. Dua go nie obchodziła. Tak naprawdę, to nie obchodził go nawet Odin. Tylko Derola. Może kiedyś, gdy Derola będzie już starsza. Nie wcześniej.

— Tritcie — nalegał Odin — musimy znaleźć Duę. Inaczej… inaczej zabiorą nam dzieci.

— Kto? — zapytał Tritt.

— Twardzi.

Tritt zamilkł. Nie wiedział, co powiedzieć. Nigdy nie słyszał o czymś takim. Nie mógł sobie nawet tego wyobrazić.

— Tritcie, musimy odejść. Już wiem dlaczego. Myślałem o tym, odkąd Losten… Nieważne. Dua i ty też musicie odejść. Teraz, kiedy wiem już dlaczego, także poczujecie, że musicie i mam nadzieję — tak myślę — że Dua także to zrozumie. Powinniśmy odejść już wkrótce, bo Dua niszczy nasz świat.

Tritt odsunął się. — Nie patrz tak na mnie, Odinie… Zmuszasz mnie… Zmuszasz do…

— Do niczego cię nie zmuszam — odparł Odin ze smutkiem. — Po prostu wiem to teraz i dlatego powinieneś… Ale najpierw musimy znaleźć Duę.

— Nie, nie — Tritt z ogromnym wysiłkiem próbował się sprzeciwić. W Odinie pojawiło się coś zupełnie nowego. Ich istnienie zbliżało się do nieuchronnego końca. Nie będzie Tritta i śródziątka. Podczas gdy każdy Rodziciel długi czas cieszył się swoim najmłodszym dzieckiem, Tritt straci je prawie od razu.

To niesprawiedliwe. Jakie to niesprawiedliwe.

— To wszystko wina Dui. Niech ona pierwsza odejdzie — wycedził Tritt.

Odin powiedział ze śmiertelnym spokojem: — Nie można odejść inaczej jak razem przez…

Tritt wiedział, że było to… było to… było to…

6a

Chłód przenikał ją na wskroś, czuła się bardzo rozrzedzona i ulotna niczym mgła. Jej próby wypoczywania i absorbowania światła słonecznego na powierzchni skończyły się, gdy znalazł ją tam Odin. Odżywiała się przy bateriach energetycznych Twardych co najwyżej sporadycznie. Nie ośmielała się przebywać dłużej poza schronieniem, jakie dawały jej skały, toteż jadła dużymi kęsami, nigdy nie zdążając się porządnie najeść.

Głód towarzyszył jej zawsze, tym bardziej że przebywanie w skale wymagało od niej ogromnego wysiłku. Los karał ją za niezliczone wycieczki na powierzchnię o zachodzie słońca i ciągłe niedojadanie.

Gdyby nie zadanie, jakie teraz wykonywała, nie zniosłaby zmęczenia i głodu. Czasami miała nadzieję, że Twardzi ją zniszczą… ale nie wcześniej niż przed doprowadzeniem jej misji do końca.

Dopóki przebywała w skale, Twardzi byli bezradni. Czasami sondowała ich uczucia. Bali się. Momentami wydawało jej się, że boją się o nią, ale to było niemożliwe. Jak mogli się bać o nią. O to, że odejdzie z braku jedzenia lub z wyczerpania. Nie, oni lękają się jej, bo ich maszyna nie działa tak, jak sobie to wykalkulowali. Przeraża ich swą genialnością. Są sparaliżowani świadomością własnej bezsilności.

Była bardzo ostrożna. Zawsze wiedziała, gdzie się znajdują, toteż nie mogli jej ani złapać, ani zatrzymać.

Nie mogli zawsze pilnować wszystkiego. Nie wątpiła, że potrafi bez trudu zmylić ich ograniczone zmysły.

Wynurzała się ze skały i analizowała zapisy komunikatów otrzymanych z tamtego Wszechświata. Nie wiedzieli, że o to jej chodzi. Nawet gdyby je ukryli i tak by je znalazła w nowej kryjówce. Nawet niszcząc je, nie mogliby jej powstrzymać, gdyż pamiętała każdy znak.

Z początku ich nie rozumiała, ale gdy przebywała wśród skał i jej zmysły wyostrzały się, zdawała się je pojmować, nie rozumiejąc poszczególnych znaków. Mimo że nie wiedziała, co oznaczają symbole, wzbudzały one w niej uczucia.

Wybrała kilka znaków i umieściła je w miejscu, z którego mogły być przesłane do tamtego Wszechświata. Jej słowo brzmiało FEER. Nie miała pojęcia, co znaczy, ale kształt tych symboli kojarzył się jej ze strachem, a właśnie to chciała im przekazać. Sądziła, że tamte istoty, analizując jej znaki także odczują obawę.

W odpowiedziach, które zaczęły napływać, Dua wyczuwała podniecenie. Nie zawsze udawało się jej przechwycić ich komunikaty. Czasami pierwsi znajdowali je Twardzi. Z pewnością znali już jej zamiary. Nie potrafili jednak rozszyfrować przesyłek. Nie umieli

wyczuć emocji, które były w nich zawarte. Dlatego nie przejmowała się nimi. Nie zdołają jej zatrzymać, dopóki nie dokończy swego zadania — niezależnie od tego, co wiedzą.

Czekała na kolejną odpowiedź. Przyszła: PUMP BAD.

Zawierała w sobie obawę i nienawiść, której oczekiwała. Odpowiedziała na nią rozszerzoną wiadomością — więcej obawy i więcej nienawiści. Teraz tamci ludzie zrozumieją. Zatrzymają Pompę. Twardzi będą musieli znaleźć jakiś inny sposób, jakieś inne źródło energii. Nie wolno im tego robić kosztem tysięcy istnień z tamtego Wszechświata.

Za często przebywała w skale, pogrążona w stanie otępienia. Rozpaczliwie łaknęła jedzenia i czekała tylko na sposobność wyjścia ze skały. Jeszcze bardziej niż jedzenia z baterii energetycznej pragnęła, żeby baterie przestały funkcjonować. Chciała wysączyć energię do ostatniego ładunku i zobaczyć, że nic więcej już z nich się nie da wycisnąć. Jej misja dobiegłaby końca.

W końcu wyłoniła się ze skały i przebywała poza nią lekkomyślnie długo, wysysając zawartość baterii. Chciała wyczerpać je do końca, opróżnić je, ujrzeć, że nic już nie wpływa do nich — ale źródło było nieskończone… nieskończone… nieskończone.

Otrząsnęła się z rozpaczy i oddaliła się od baterii z pogardą. Pompa Pozytonowa wciąż jeszcze działa. Czy jej wiadomości nie przekonały istot z tamtego Wszechświata do zatrzymania Pomp? Czyżby ich nie otrzymali? Może nie rozpoznali ich znaczenia?

Musi spróbować jeszcze raz. Przekaz musi być bardzo prosty. Zawrze w nim wszystkie kombinacje znaków, które wydawały się sygnalizować niebezpieczeństwo. Przekona ich, żeby zatrzymali Pompę.

Rozpaczliwie zaczęła umieszczać symbole na powierzchni metalowej płytki, wykorzystując bez namysłu zapas energii, którą dopiero co wyssała z akumulatorów. Wyczerpała ją do cna i była śmiertelnie zmęczona. Na płytce pojawiły się znaki: PUMP NOT STOP NOT STOP WE NOT STOP PUMP WE NOT HEAR DANGER NOT HEAR NOT HEAR YOU STOP PLEASE STOP YOU STOP SO WE STOP PLEASE YOU STOP DANGER DANGER DANGER STOP STOP YOU STOP PUMP.

To wszystko, co mogła zrobić. Nie pozostało w niej już nic oprócz przejmującego bólu. Umieściła wiadomość w miejscu, z którego mogła być przesłana. Tym razem nie czekała, aż Twardzi przypadkowo ją prześlą. Walcząc z wszechogarniającym bólem, spróbowała pomanipulować urządzeniami kontrolnymi tak, jak robili to Twardzi. Z trudem znalazła w sobie dość energii, by tego dokonać.

Wiadomość zniknęła i zniknęła także jaskinia pochłonięta fioletowawą mgłą. Odchodziła — z czystego wyczerpania —

odchodź…

Odin… Tritt…

6b

Odin przybył. Nigdy w życiu nie szybował tak prędko. Podążał za wyostrzonym rodzicielskim zmysłem Tritta, ale teraz był już wystarczająco blisko, aby jego własne przytępione zmysły były w stanie wykazać jej obecność. Wyczuwał migocącą i gasnącą świadomość Dui i popędził naprzód. Przez cały czas Tritt starał się, jak mógł, dotrzymać mu kroku, sapiąc i postękując: — Szybciej… szybciej…

Odin znalazł ją w stanie omdlenia, ledwo żywą. Nie wiedział, że Emocjonał może się tak skurczyć.

— Tritcie — zawołał — przynieś tu baterie. Nie, nie próbuj jej przenosić. Jest zbyt rozrzedzona. Pospiesz się. Jeśli się rozpłynie w podłodze…

Twardzi zaczęli się gromadzić wokół nich. Przybyli za późno, nie można było im mieć tego za złe przy ich niemożności wyczuwania na odległość innych form życia. Gdyby to zależało tylko od nich, byłoby już za późno na uratowanie jej. Nie odeszłaby… po prostu, naprawdę by zginęła — a co więcej, zniszczeniu uległoby znacznie więcej, niż się jej zdawało.

Powoli odzyskiwała siły dzięki dopływowi świeżej energii. Twardzi stali przy nich bez słowa.

Odin wstał. To był już inny Odin, który wiedział dokładnie, co się dzieje. Jednym stanowczym i gniewnym gestem nakazał im odejść — i odeszli. W milczeniu. Bez żadnego sprzeciwu.

Dua zadrżała.

— Czy z nią wszystko w porządku? — spytał Tritt.

— Cicho, Tritcie — uciął Odin. — Dua?

— Odin? — szeptała drżąc. — Myślałam, że odeszłam.

— Jeszcze nie, Duo. Jeszcze nie. Najpierw musisz się najeść i odpocząć.

— Czy Tritt też tu jest?

— Jestem tu, Duo — odezwał się Tritt.

— Nie próbuj zabierać mnie do domu — powiedziała Dua. — Już po wszystkim. Dopięłam swego. Pompa Pozytonowa zatrzyma się już wkrótce, jestem tego pewna. Twardzi nadal będą potrzebować Miękkich i zaopiekują się wami, a przynajmniej dziećmi.

Odin nic nie mówił. Powstrzymywał także od mówienia Tritta. Pozwalał, by promieniowanie z wolna przenikało Duę. Chwilami przerywał dopływ światła, żeby mogła odpocząć, po czym karmił ją dalej.

Zaczęła majaczyć: — Starczy, starczy. — Jej ciało jeszcze mocniej się skręcało w konwulsjach.

Nie przerywał karmienia.

— Duo, myliłaś się. Nie jesteśmy maszynami. Wiem, czym dokładnie jesteśmy. Przyszedłbym do ciebie wcześniej, gdybym szybciej wpadł na to, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy, zanim nie przyszedł do mnie Losten i nie nakazał mi o tym myśleć. Tak też zrobiłem, myślałem bardzo intensywnie, wiem jednak, że moje wnioski nie są jeszcze dostatecznie precyzyjne.

Dua jęknęła i Odin na chwilę przerwał.

— Posłuchaj, Duo — kontynuował. — Istnieje tylko jeden żyjący gatunek na świecie. Twardzi są jedynymi żyjącymi istotami. Sama to wyczułaś i do tego momentu miałaś rację, ale to nie znaczy, że Miękcy nie żyją. Po prostu jesteśmy elementami tego samego gatunku. Miękcy są niedojrzałymi formami Twardych. Jesteśmy z początku dziećmi Miękkich, później dorosłymi Miękkimi, a potem Twardymi. Rozumiesz?

Skołowany Tritt wydobył z siebie: — Co? Cooo?

— Nie przerywaj nam teraz, Tritcie. Dobrze? — powiedział Odin. — Zrozumiesz to w swoim czasie, teraz najważniejsza jest Dua. — Obserwował bacznie Duę, która powoli nabierała kolorów.

— Posłuchaj, zawsze gdy się zespalaliśmy, stawaliśmy się Twardym. Twardy jest jednością trojga, stąd też wynika jego twardość. Podczas okresu nieświadomości byliśmy Twardym. Ale nigdy nie pamiętaliśmy tego po odzyskaniu przytomności. Nie możemy długo być Twardym, musimy wracać. Przez całe życie jednak rozwijamy się, co najlepiej widoczne jest w pewnych kluczowych momentach, znaczonych przyjściem dzieci. Każde dziecko oznacza następny etap rozwoju. Po przyjściu na świat trzeciego, Emocjonalniątka, ujawnia się możliwość ostatecznego rozwoju, wtedy umysł Racjonała bez udziału dwóch pozostałych może przypomnieć sobie zdarzenia z istnienia triady w postaci Twardego. Wtedy dopiero może on doprowadzić do doskonałego zespolenia, z którego powstanie ostatecznie Twardy. Odtąd cała triada może oddawać się wiedzy. Mówiłem ci, że odchodzenie jest jak ponowne narodzenie się. Próbowałem wtedy pojąć coś, co mnie przerastało, ale teraz to rozumiem.

Dua patrzyła na niego, starając się uśmiechnąć, — Jak możesz udawać, że w to wierzysz? Jeśli to prawda, dlaczego Twardzi już dawno ci tego nie powiedzieli? Czemu nam wszystkim tego nie powiedzieli?

— Nie mogli, Duo. Kiedyś, dawno temu, zespolenie oznaczało jedynie sformowanie się ciał z atomów. Ale ewolucja stopniowo doprowadziła do powstania umysłów. Słuchaj, Duo, zespolenie to także zjednoczenie umysłów. Proces formowania stał się znacznie trudniejszy, znacznie bardziej delikatny. By mogło dojść do

ostatecznego złączenia, Racjonały muszą osiągnąć odpowiedni stopień rozwoju. Stopień ten zostaje osiągnięty, gdy Racjonał bez niczyjej pomocy dochodzi do tej tajemnicy i kiedy jego umysł jest wystarczająco czuły, by pamiętać, co się działo w momentach zespolenia. Gdyby mu to powiedziano, jego rozwój uległby zahamowaniu i nie dałoby się określić czasu doskonałego zespolenia. Twardzi formowaliby się z wadami. Losten bardzo dużo ryzykował błagając mnie, żebym pomyślał o tym. To mogło wystarczyć, żeby… Mam nadzieję, że nie… W naszym przypadku jest to niezmiernie istotne. Przez wiele pokoleń Twardzi z ogromną pieczołowitością zestawiali triady po to, aby otrzymać lepiej rozwiniętych Twardych. Nasza triada była najlepszą, jaką im się udało otrzymać. Głównie dzięki tobie, Duo. Losten był kiedyś triadą, której byłaś dzieckiem. Część jego była twoim Rodzicielem. Znał cię. To on cię przyprowadził do Tritta i do mnie.

Dua usiadła. Jej głos był już prawie normalny. — Odinie! Czy zmyślasz, żeby tylko mnie uspokoić?

— Nie, Duo. Ja też to czuję. Czuję to. Nie wiem dokładnie dlaczego, ale to czuję — odezwał się nagle Tritt.

— Naprawdę, on to czuje, Duo — potwierdził Odin. — Również ty to poczujesz. Czy nie przypominasz jeszcze sobie, jak byłaś Twardym podczas naszego zespolenia? Czy nie chcesz się teraz zespolić? Po raz ostatni? Ostatni raz?

Podniósł ją. Dygotała jeszcze z osłabienia. Chociaż usiłowała się przeciwstawiać, wyraźnie się rozrzedziła.

— Jeżeli to, co powiedziałeś, jest prawdą, Odinie — westchnęła. — Jeżeli mamy się stać Twardym, to wydaje mi się, że będzie to bardzo ważny Twardy. Tak?

— Najważniejszy. Najlepszy, jakiego kiedykolwiek sformowano. To znaczy… Tritcie, stań tutaj. Będziemy razem, jak zawsze chcieliśmy. Także ty, Duo.

— W takim razie przekonamy Estwalda, że Pompa nie może dalej działać Zmusimy go…

Zaczęło się zespalanie. Jeden po drugim do jaskini wchodzili Twardzi. Odin widział ich niewyraźnie, bo zaczynał się zespalać z Duą.

Było inaczej niż poprzednio. Nie było wybuchu ekstazy. Stapiali się gładko, chłodno, miarowym i łagodnym ruchem. Odin czuł, jak częściowo stawał się Duą, i cały świat wlewał się do jego/jej wyostrzających się zmysłów. Pompa Pozytonowa nadal działa… on/ona wiedzieli o tym… ale właściwie dlaczego jeszcze pracuje?

Był także Trittem i jego/jej/jego umysł wypełnił intensywny gorzki smak straty. Moje dzieci…

Ostatnim wysiłkiem woli Odin wydobył z siebie krzyk, z tym, że

był to także trochę krzyk Dui. — Nie, nie możemy powstrzymać Estwalda. My jesteśmy Estwaldem. My…

To krzyczała Dua, ale nie ona go skończyła. Nie było już Dui i nigdy już jej nie będzie. Ani Odina. Ani Tritta.

7abc

Estwald odwrócił się do oczekujących Twardych i smutnym głosem oznajmił, wzbudzając drgania powietrza: — Jestem już z wami na stałe, czeka nas dużo pracy…

III…na próżno walczą?

1

Selene Lindstorm uśmiechała się pogodnie, idąc lekkim sprężystym krokiem. Turyści, którzy po raz pierwszy mieli okazję oglądać księżycowy chód, z początku byli nim zaskoczeni, ale po niedługim czasie przyznawali, że ma on swój urok.

— Czas na lunch — oznajmiła Selene. — Panie i panowie z Ziemi. Nie jesteście przyzwyczajeni do tego smaku, ale posiłek będzie pożywny… Proszę pana, niech pan spocznie tutaj. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu, by siedzieć z paniami… Chwileczkę. Znajdzie się miejsce dla każdego… Przepraszam, niestety nie podajemy alkoholu przy drugim daniu. Cielęcina… Nie, jest sztucznie barwiona i aromatyzowana, ale jest naprawdę smaczna.

W końcu usiadła, lekko wzdychając. Jej twarz, ozdobiona uśmiechem zawodowej uprzejmości, wyrażała ledwie odrobinę znudzenia.

Jeden z członków grupy dosiadł się do niej.

— Można? — spytał.

Spojrzała na niego krótko i przenikliwie. Umiała szybko oceniać ludzi. Nie wydawał się osobą natarczywą.

— Proszę bardzo. Ale czy nie zna pan nikogo w tej grupie? — powiedziała.

Pokręcił głową przecząco.

— Nie. Jestem sam. Nawet gdyby było inaczej, Ziemiaki mnie nie interesują.

Spojrzała na niego ponownie. Dobiegał pięćdziesiątki. Jego wygląd zdradzał zmęczenie, któremu przeczył jedynie blask pełnych ciekawości oczu. Bezsprzecznie miał wygląd Ziemianina obciążonego balastem doświadczenia.

— „Ziemiaki” to wyrażenie lunarne — wyjaśniła — i to wcale nie pochlebne.

— Pochodzę z Ziemi — powiedział — mogę go więc używać bez obrazy, jak sądzę. Chyba że pani ma coś przeciw temu.

Selene wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „jak pan uważa”.

Jej oczy zdradzały orientalne pochodzenie, jak u wielu innych mieszkanek Luny. Miała jednak włosy koloru miodu i wydatny nos. Mimo że nie reprezentowała klasycznego typu urody, nie można było zaprzeczyć, iż była atrakcyjna.

Ziemianin wpatrywał się w identyfikator z jej nazwiskiem, przypięty do bluzki na górnej pochyłości nie za dużej lewej piersi. Selene uznała, że — chociaż materiał bluzki stawał się półprzeźroczysty, kiedy światło padało nań pod odpowiednim kątem

— mężczyzna patrzy na tabliczkę, a nie na pierś.

— Czy jest tu wiele Selen?

— O, tak. Setki, jak sądzę. Także Syntie, Diany i Artemidy. Selene jest trochę męcząca. Na połowę Selen, które znam, wołają „Silly", a na resztę „Lena".

— Do której połowy *zalicza* się pani?

— Żadnej. Jestem Seleną — pełne trzy sylaby. Se-le-ną — wymówiła, akcentując mocno pierwszą sylabę — dla tych, którzy w ogóle używają mego imienia.

Na twarzy mężczyzny pojawił się niewyraźny grymas, jakby Ziemianin z trudem przypominał sobie, jak należy się uśmiechać.

— A co, jeśli ktoś pyta, czy się lenisz, Selene.

— Nikt mnie o coś takiego nie pyta! — powiedziała z naciskiem.

Kelnerka dotarła do ich stołu i zręcznie postawiła przed nimi talerze.

Zrobiła wrażenie na Ziemianinie. Rzucił do kelnerki:

— Przy pani talerze zdają się lewitować.

Kelnerka skwitowała uwagę uśmiechem i poszła dalej.

— Niech pan tego nie próbuje naśladować — uprzedziła Selene. — Ona jest przyzwyczajona do tutejszej grawitacji i potrafi sobie z nią radzić.

— Gdybym spróbował, wszystko by mi spadło? Tak?

— Narobiłby pan niezłego bałaganu.

— No dobrze, nie będę próbował.

— Nie zdziwię się, jeśli zaraz ktoś spróbuje. Kiedy talerz poleci na podłogę, będą usiłowali go złapać, oczywiście nie uda się im. Stawiam dziesięć do jednego, że pospadają z krzeseł. Mogłabym ich ostrzec, ale to i tak nigdy nie skutkuje, a później są jeszcze bardziej zmieszani. Wszyscy inni będą się śmiać — to znaczy turyści — bo my widzieliśmy tę sytuację już tyle razy, że nie wydaje się już wcale śmieszna, a mamy tylko więcej do sprzątania.

Ziemianin ostrożnie podniósł widelec.

— Wiem, co ma pani na myśli. Nawet najprostsze ruchy wydają się tu dziwne.

— Tak naprawdę, całkiem szybko można do tego przywyknąć. W każdym razie do takich drobnostek jak jedzenie. Trudniej jest z chodzeniem. Jeszcze nie widziałam, żeby Ziemianin potrafił tu normalnie biegać. Nigdy naprawdę dobrze.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Po czym Ziemianin spytał:

— Co oznacza to L? — Znowu spoglądał na plakietkę z napisem „Selene Lindstorm L."

— Po prostu Luna — odpowiedziała obojętnym tonem

— dla odróżnienia od imigrantów. Urodziłam się tutaj.

— Naprawdę?

— Nie ma się czemu dziwić. Kolonia w Lunie istnieje i funkcjonuje już ponad pół wieku. Dlaczego nie miałyby się tu rodzić dzieci? Zamieszkują ją ludzie, którzy się tutaj urodzili i mają już wnuki.

— Ile pani ma lat?

— Trzydzieści dwa — odpowiedziała.

Próbował ukryć nagłe zdumienie, mówiąc: — Oczywiście. Selene uniosła brwi ze zdziwienia. — Rozumie pan? Większości Ziemian trzeba to tłumaczyć.

— Wiem wystarczająco dużo, by pojmować, że większość zauważalnych oznak starzenia jest skutkiem nieuniknionego zwycięstwa grawitacji nad ciałem, mam na myśli obwisłe policzki i piersi. Wcale nie trudno jest zrozumieć, że tu przy grawitacji wynoszącej jedną szóstą ziemskiej, ludzie zachowują młodzieńczy wygląd.

— Jedynie wygląd — wyjaśniła. — Nie znaczy to, że jesteśmy nieśmiertelni. Długość naszego życia nie odbiega od ziemskiego, tyle że starość jest łatwiejsza.

— To już coś… Oczywiście, jak sądzę, ma to swoją cenę. — Pociągnął łyk kawy. — Musicie pić tę… — Przerwał, szukając właściwego słowa, najwyraźniej bezskutecznie, gdyż nic nie powiedział.

— Można importować żywność i napoje z Ziemi — powiedziała Selene rozbawiona — ale wystarczyłoby tego tylko dla nielicznych Lunarian, a poza tym transporty są bardzo rzadkie. To nie ma sensu, lepiej używać możliwości przewozowych na bardziej istotne ładunki. Prawdę mówiąc, jesteśmy przyzwyczajeni do tej spartańskiej strawy… Czy miał pan zamiar użyć mocniejszego słowa?

— Nie na kawę — powiedział. — Miałem zamiar nazwać odpowiednio jedzenie. Ale spartańska strawa dobrze to oddaje… Czy mogłaby mi pani coś wyjaśnić, pani Lindstorm, w naszym planie zwiedzania nie zauważyłem żadnej wzmianki o synchrotronie protonowym.

— Synchrotronie protonowym? — Właśnie kończyła kawę i lustrowała salę, jakby oceniając najlepszy moment na poderwanie grupy do dalszej drogi. — To własność Ziemian, nie udostępniana do zwiedzania turystom.

— To znaczy, że także Lunarianie nie mają wstępu?

— Nie, nic z tych rzeczy. Większość personelu stanowią tam Lunarianie. Tyle że ziemski rząd ustanawia reguły. Żadnych turystów.

— Tak bardzo chciałbym go zobaczyć.

— Jestem pewna, że go pan zobaczy… Przynosi mi pan szczęście, obyło się dzisiaj bez żadnego wypadku przy jedzeniu.

Wstała i oznajmiła:

— Szanowni państwo, wychodzimy za dziesięć minut. Proszę pozostawić swe talerze na stołach. Kto chce, może teraz skorzystać z toalety. Następnym punktem wycieczki będą zakłady wytwarzające żywność, gdzie produkowane są przetwory, takie jak te, które właśnie państwo mieli okazję zjeść.

2

Mieszkanie Selene było oczywiście małe i ciasne, niemniej jednak wytworne. Ściany zdobiły panoramiczne okna ze sztucznymi widokami. Gwiezdne obrazy zmieniały się powoli i chaotycznie, nie mając nic wspólnego z żadnym prawdziwym gwiazdozbiorem. W każdym z trzech okien można było uzyskać wielokrotne powiększenie.

Barron Neville nie cierpiał ich. Zwykle natychmiast je wyłączał. — Jak możesz je znosić? — mawiał. — Jesteś jedyną ze znanych mi osób, która gustuje w tych niesmacznych widokach. Te mgławice i gromady gwiazd przecież nawet nie istnieją.

Selene chłodno zbywała jego uwagi, teraz wzruszyła ramionami odpowiadając: — Czym jest istnienie? Skąd możesz wiedzieć, czy te, które widzisz, istnieją? Poza tym to daje mi uczucie wolności i ruchu. Mogę chyba robić w moim własnym mieszkaniu, co zechcę?

Neville mamrotał coś pod nosem i bez większego entuzjazmu próbował nastawiać mechanizm kontrolny na pierwotne położenie. Selene zrezygnowanym głosem wymówiła: — Zostaw to!

Meble wyginały się gładkimi krzywiznami. Ściany pokrywały, nie rzucające się w oczy, abstrakcyjne wzory. W całym mieszkaniu nie było niczego, co przypominałoby jakikolwiek żywy organizm.

— Istoty żywe to Ziemia — mawiała Selene — nie Księżyc. Teraz, kiedy weszła do mieszkania, znalazła w nim jak zwykle Neville'a. Barron Neville spoczywał na pajęczynowatej kanapie, balansując sandałem na lewej stopie. Drugi sandał leżał tam, gdzie upadł. Czerwona linia na brzuchu Neville'a, tuż ponad pępkiem, znaczyła miejsce, po którym się drapał z roztargnieniem przed chwilą.

— Barronie, proszę, zrób kawę — powiedziała i pozbyła się odzieży jednym wdzięcznym ruchem, do którego dołączyło westchnienie ulgi w momencie, gdy rzeczy opadały na podłogę. Jednym kopnięciem umieściła je w kącie pokoju.

— Jaka ulga, że mogę nareszcie je zrzucić. W całej tej pracy najgorsze chyba jest to, że trzeba się ubierać jak Ziemiaki.

Neville krzątał się w części kuchennej mieszkania. Nie zwracał uwagi na to, co mówi partnerka, słyszał to już nieraz.

— Co z twoją instalacją wodną? Jest do niczego.

— Czyżby? — zapytała. — No, chyba zbyt dużo wody zużyłam. Trochę cierpliwości.

— Jak poszło dzisiaj? Wzruszyła ramionami.

— Bez problemów. Normalka. Ciągle tracili równowagę, wlokąc się za mną. Udawali, że nie czują wstrętu na widok naszego jedzenia. Jak zwykle, zastanawiali się, czy będą proszeni o rozebranie się, nie zdziwiłoby mnie, gdyby… To po prostu wstrętne.

— Czyżbyś się stawała pruderyjna? — Postawił dwa kubki kawy na stoliku.

— W tym przypadku pruderia jest wskazana. Ziemiaki mają pomarszczone twarze z obwisłymi policzkami, wystające brzuchy i pełno na nich zarazków. Nie obchodzi mnie, co mówią przepisy kwarantanny, i tak są pełni zarazków… A co nowego u ciebie?

Barron pokręcił głową. Jak na Lunarianina miał potężną budowę. Jego oczy zastygły w ciągłym wyrazie ponurego skrzywienia, który stał się nieodłącznym elementem jego twarzy. Z tym jedynym wyjątkiem, był dobrze zbudowany i bardzo przystojny, myślała Selene.

— Nic nadzwyczajnego — powiedział. — Nadal czekamy na zmianę komisarza. Musimy zobaczyć, jaki będzie Gottstein.

— Czy może sprawiać trudności?

— Nie więcej niż tyle, ile już mamy. W końcu, co mogą zrobić? Nie mogą nas infiltrować. Nie można przebrać Ziemiaka za Lunarianina. — Jego niespokojne zachowanie zdawało się jednak przeczyć temu, co mówił.

Selene sączyła kawę i spoglądała na niego przenikliwie. — Niektórzy Lunarianie mogą być wewnątrz Ziemiakami.

— Tak, chciałbym wiedzieć którzy. Czasami myślę, że nie mogę ufać… Hm, tracę niewiarygodne ilości czasu na badania synchrotronowe i nic z tego. Nie mam szczęścia do priorytetów.

— Chyba ci nie ufają, i wcale się im nie dziwię. Gdybyś tylko nie przybierał takich konspiratorskich póz.

— Ależ wcale tego nie robię. Sprawiłoby mi ogromną przyjemność wyjść z budynku synchrotronu i nigdy tam nie wrócić, ale wtedy naprawdę zaczęliby coś podejrzewać… Gdybyś nie zmarnowała tyle tej cholernej wody, moglibyśmy wypić jeszcze po jednym kubku kawy.

— Cóż, nie wypijemy. Ale, jeżeli chodzi o wodę, nie zapominaj, że i ty zużywasz jej wiele. W zeszłym tygodniu brałeś dwa razy prysznic.

— Oddam ci mój przydział wody. Nie wiedziałem, że tak mnie kontrolujesz.

— Ja cię nie kontroluję, po prostu woda znika dziwnie szybko.

Wypiwszy kawę, wpatrywała się w zamyśleniu w dno kubka.

— Turyści zawsze stroją takie miny. Zupełnie nie mogę pojąć dlaczego. Smakuje całkiem dobrze. Czy próbowałeś kiedyś ziemskiej kawy, Barronie?

— Nie.

— Ja próbowałam. Raz. Jeden z gości przemycił kilka paczuszek czegoś, co nazywał kawą instant. Zaproponował mi ją w zamian, za wiesz co. Wydawało się to dobrym interesem.

— I spróbowałaś jej?

— Byłam ciekawa. Miała gorzki i metaliczny smak. Straszna. Wtedy powiedziałam mu, że stosunki z osobnikami spoza Księżyca są zakazane, a wtedy on z kolei stał się gorzki i metaliczny.

— Nigdy mi o tym nie mówiłaś. Nie próbował czegoś niewłaściwego, co?

— To chyba nie twój interes? Nie, nie próbował. Wziąwszy pod uwagę, że nie jest przyzwyczajony do naszej grawitacji, gdyby to zrobił, wyleciałby stąd na korytarz numer jeden. — Po czym zmieniła temat. — A właśnie. Znalazłam następnego Ziemiaka. Nalegał na to, by koło mnie siedzieć.

— I co on zaoferował w zamian za pieprzenie, które tak delikatnie określasz „wiesz co".

— Po prostu siedział przy mnie.

— I wywalał gały na twoje piersi?

— Po to są, żeby na nie patrzeć, ale tak naprawdę, nie patrzył na nie. Wpatrywał się w moją plakietkę… Poza tym, co cię obchodzi, o czym sobie marzył? Każdy może sobie marzyć, o czym mu się spodoba, przecież nie muszę spełniać ich oczekiwań. O czym, jak sądzisz, ja marzę? O pójściu do łóżka z Ziemianinem? Z facetem nie przystosowanym do naszej grawitacji? Nie twierdzę, że nie zdarzały się takie przypadki, ale nie mi. Zresztą, nic z tego dobrego nie wychodziło. Zrozumiałeś? Czy mogę wrócić do mojego Ziemiaka? Który ma pięćdziesiątkę i który nie był zbyt przystojny nawet jako dwudziestolatek?… Chociaż muszę przyznać, że ma interesujący wygląd.

— Dobrze. Obejdzie się bez szczegółowego opisu. Co z nim?

— Pytał mnie o synchrotron protonowy!

Neville wstał gwałtownie, po czym lekko się zachwiał, co po szybkim ruchu przy słabej grawitacji było nie do uniknięcia. — O co dokładnie mu chodziło?

— Nie mam zielonego pojęcia. Zapytał po prostu, czy mógłby go zobaczyć. Może jest turystą zainteresowanym nauką. Z tego co wiem, to mógł być tylko punkt zaczepienia, może chciał dzięki temu zwrócić na siebie moją uwagę.

— I to skutecznie. Jak się nazywa?

— Nie wiem. Nie pytałam go o to.

— Dlaczego?

— Bo ja nie jestem nim zainteresowana. A co byś wolał? Jego prośba wskazuje na to, że jest turystą. Gdyby był fizykiem, nie musiałby o to prosić. Po prostu by tam był.

— Kochana Selene — zaczął zgryźliwie Neville — posłuchaj uważnie. W obecnych okolicznościach każdy, proszący o pokazanie synchrotronu protonowego, jest podejrzanym typem, o którym

powinniśmy wiedzieć. Dlaczego zwrócił się *z* tym właśnie do ciebie? — Chodził pospiesznie tam i z powrotem, jakby chcąc się pozbyć nadmiaru energii. — W takich bzdurach jesteś specjalistką. Czy wzbudził twoje zainteresowanie?

— Seksualne?

— Wiesz, o co mi chodzi. Nie czas na gierki, Selene.

— Jest w nim coś interesującego, a nawet niepokojącego — odpowiedziała z wyraźną niechęcią. — Ale nie wiem, skąd się to bierze. Nic nie powiedział. Nic nie zrobił.

— Interesujący i niepokojący, tak? No to musisz się znowu z nim spotkać.

— I co?

— Skąd mam wiedzieć? To twoja sprawa. Dowiedz się, jak się nazywa. Wyciągnij z niego, ile tylko możesz. Masz przecież głowę na karku, a więc użyj jej do praktycznych celów dla odmiany.

— No dobrze — zgodziła się — rozkaz wydany. Okay.

3

Kwatera komisarza nie różniła się wielkością od pomieszczeń Lunarian. Ograniczona przestrzeń życiowa na Księżycu skazywała nawet ziemskich urzędników na obywanie się bez komfortu, choćby symbolicznie nawiązującego do ich rodzimej planety. Zresztą żadne upiększenia nie zmieniłyby faktu, iż kwatery znajdowały się pod powierzchnią, i nie zdołałyby ukryć znacznie słabszej grawitacji.

— Człowiek jest nadal kształtowany przez swoje otoczenie — westchnął Luiz Montez. — Przebywałem na Księżycu przez dwa lata i bywało, że kusiło mnie, aby tu zostać, ale… Z biegiem czasu starzeję się. Właśnie stuknęła mi czterdziestka, i to jest najlepsza pora, jeśli mam w ogóle wrócić. Jeszcze kilka lat i nie mógłbym się przystosować do normalnej grawitacji.

Konrad Gottstein miał tylko trzydzieści cztery lata, ale wyglądał na młodszego. Jego szeroką, okrągłą twarz Lunarianie użyliby jako modelu, rysując karykaturę Ziemiaka. Nie był zbyt dobrze zbudowany, na Księżyc nie opłacało się przysyłać dobrze zbudowanych mężczyzn. Jego duża głowa wydawała się nie pasować do reszty ciała.

Gottstein powiedział (mówił standardem planetarnym, zwracał uwagę jego akcent inny od? tego, który zauważało się w mowie Monteza): — To brzmi, jakby się pan usprawiedliwiał.

— A usprawiedliwiam się, usprawiedliwiam — potwierdził Montez. — Podczas gdy twarz Gottsteina wydawała się z natury sympatyczna, długie cienkie linie na twarzy Monteza sprawiały tragikomiczne wrażenie. — Usprawiedliwiam się w podwójnym tego słowa znaczeniu. Wstyd mi, że opuszczam Księżyc, bo jest to atrakcyjny świat pełen niespodzianek, a z drugiej strony wstyd mi, że tak niechętnie przyjmę ciężar Ziemi.

— Tak, wyobrażam sobie, jak trudno będzie znowu dźwigać pozostałe pięć szóstych grawitacji — przyznał Gottstein. — Przebywam na Księżycu dopiero kilka dni i już czuję, że jedna szósta ziemskiej grawitacji doskonale mi odpowiada.

— Nie będzie to panu tak doskonale odpowiadać, kiedy zaczną się obstrukcje i trzeba będzie pić olej rycynowy — powiedział wzdychając Montez — ale to minie… I niech pan się nie łudzi, że będzie skakać jak gazela dlatego tylko, że czuje się lżejszy. To cała sztuka.

— Rozumiem.

— Tak się panu tylko wydaje, Gottstein. Widział pan, jak się porusza kangur, prawda?

— W telewizji.

— To nie daje pełnego obrazu. Musi pan spróbować. Jest to właściwy sposób na przemierzanie powierzchni Księżyca z dużą

prędkością. Trzeba się odbić od gruntu, stopy złączone razem, i leci się, jakby wykonując skok w dal. W locie wysuwa się nogi do przodu, a kiedy zaczynają opadać, tuż przed zetknięciem się z powierzchnią trzeba się odbić ponownie, i tak dalej. Ruch ten wydaje się wolny, z ziemskiego punktu widzenia, z powodu małego ciążenia, ale każdy taki skok dochodzi do sześciu metrów i ilość energii zużywanej przez mięśnie, aby utrzymywać się w powietrzu — jakby tu było powietrze — jest minimalna. Ma się wrażenie, że się leci…

— Próbował pan? Potrafi pan to robić?

— Próbowałem, żaden Ziemianin jednak tak naprawdę tego nie potrafi. Wytrzymywałem najwyżej pięć skoków pod rząd, dość by zrozumieć, jak to jest. Miałem ochotę dalej to robić, ale wtedy następował nieunikniony błąd, utrata synchronizacji, upadek i szorowanie spodniami kombinezonu przez pół kilometra. Całe szczęście, że Lunarianie są dobrze wychowani i nigdy się z nas nie śmieją. Dla nich naturalnie takie poruszanie się jest łatwe. Zaczynają jeszcze jako dzieci i nabywają tę umiejętność bez większego trudu,

— To ich świat — powiedział Gottstein, po czym parsknął śmiechem. — Niech pan pomyśli, jak by się zachowywali na Ziemi.

— Nie mogą przebywać na Ziemi. Jak sądzę, mamy nad nimi tę przewagę, że możemy mieszkać zarówno na Ziemi, jak i na Księżycu. Oni mogą żyć tylko na Księżycu. Zapominamy o tym nieraz, bo mylimy Lunarian z Migami.

— Z czym?

— Tak nazywają imigrantów z Ziemi. Tych, którzy mieszkają na Księżycu mniej lub bardziej na stałe, ale urodzili się i wychowali na Ziemi. Imigranci mogą oczywiście powrócić na Ziemię, ale kości i mięśnie prawdziwych Lunarian nie mogłyby funkcjonować normalnie w ziemskiej grawitacji. W historii Księżyca zanotowano kilka tragicznych wypadków tego rodzaju.

— Tale?

— Tak, tak. Ludzie wracali z dziećmi urodzonymi na Księżycu. Zapominamy o tym. Mieliśmy kryzys i kilka zgonów dzieci nie wydaje się ważne w porównaniu z ogromnymi liczbami ofiar pod koniec lat dwudziestych i następnych. Ale tu na Księżycu każdy martwy Lunarianin, który uległ ziemskiej grawitacji, jest dobrze pamiętany… Pozwala im to rozgraniczać oba światy.

— Myślałem, że na Ziemi przygotowano mi dobre informacje, ale zdaje się, że muszę się jeszcze wiele nauczyć.

— Nie można się dowiedzieć wszystkiego o Księżycu, przebywając na Ziemi, dlatego przygotowałem dla pana pełny raport, podobnie jak dla mnie zrobił to mój poprzednik. Księżyc będzie pana fascynował, ale i dręczył. Wątpię, by zjadł pan dość lunarnych racji. Jeśli opiera pan swoją wiedzę tylko na opisach, nie jest pan

przygotowany na rzeczywistość..: Ale nauczy się pan ją lubić. Przywożenie ziemskich produktów nie ma sensu. Powinniśmy jeść i pić lokalne produkty.

— Jadam lunarne dania od dwóch lat. Jak sądzę, przeżyję to.

— Chociaż nie robiłem tego regularnie, wyjeżdżałem jednak na okresowe urlopy na Ziemię. Są obowiązkowe, czy chce pan, czy nie. Z pewnością już to panu mówiono.

— Tak — potwierdził Gottstein.

— Mimo ćwiczeń, jakie pan tu będzie wykonywał, musi pan raz na jakiś czas wracać do normalnej grawitacji, żeby nie dać swym mięśniom i kościom od niej odwyknąć. A kiedy jest się na Ziemi, trzeba się dobrze najeść. Niekiedy przemyca się trochę żywności.

— Mój bagaż dokładnie przejrzano, ale okazuje się, że do kieszeni mego płaszcza jakimś sposobem trafiła konserwa z wołowiny. Zupełnie jej nie zauważyłem. Celnicy chyba też jej nie zauważyli.

Twarz Monteza przyoblekł uśmiech. Po chwili wahania komisarz powiedział: — Podejrzewam, że miał pan zamiar się ze mną podzielić.

— Nie — powiedział Gottstein z udawaną powagą, marszcząc swój bulwiasty nos. — Miałem zamiar, zebrawszy w sobie całą szlachetność, tragicznym tonem rzec: „Proszę, panie Montez, weźcie wszystko! Czymże wszak jest ma potrzeba wobec pańskiej!" — Zacinał się trochę, nieczęsto bowiem używał archaicznych form standardu planetarnego.

Montez uśmiechnął się jeszcze szerzej, po czym spoważniał. Pokręcił głową. — Nie. Za tydzień na Ziemi będę mógł zjeść, czego dusza zapragnie. Pan nie. Przez najbliższe kilka lat rzadko będzie miał pan okazję raczyć się czymś smacznym i nieraz żałowałby pan obecnej szczodrości. Niech pan to zostawi dla siebie… Nalegam. Zasłużyłbym sobie później na pańską nienawiść.

Wyglądało na to, że mówi poważnie. Położył rękę na ramieniu następcy, spojrzał Gottsteinowi prosto w oczy. — Jest jeszcze coś, o czym chciałbym z panem pomówić. Odkładałem to, ponieważ nie wiem, jak się do tego zabrać, a kwestia jedzenia wydała mi się w sam raz na odwleczenie sprawy.

Gottstein od razu odłożył puszkę. Powaga na jego twarzy nie mogła w żaden sposób dorównać dostojeństwu oblicza Monteza, ale jego głos przybrał ton stanowczości. — Czy jest coś, o czym nie wspomniał pan w swoich raportach, panie Montez?

— Jest coś, co próbowałem w nich zawrzeć, ale z powodu moich trudności z właściwym sformułowaniem problemu i niechęci Ziemi do jego zrozumienia skończyło się na niczym. Może panu się uda lepiej. Mam nadzieję. Nie prosiłem o przedłużenie swej służby między innymi dlatego, że nie potrafię się już godzić z moją bezsilnością w próbach przedstawienia tego problemu.

— To brzmi bardzo poważnie.

— Chciałbym, żeby brzmiało jeszcze poważniej. Szczerze mówiąc, wydaje się to głupie, niemądre. Kolonię na Księżycu zamieszkuje jedynie prawie dziesięć tysięcy ludzi. Mniej niż połowa tej liczby to rodowici Lunarianie. Dotknięci brakiem bogactw mineralnych, przestrzeni życiowej, egzystujący w surowym świecie, a jednak… jednak…

— A jednak? — zachęcił Gottstein.

— Coś tu się kroi… nie wiem dokładanie co… coś, co może okazać się niebezpieczne.

— Niebezpieczne? Co mogą zrobić? Wszcząć wojnę przeciwko Ziemi? — Gottstein z trudem powstrzymywał się od chichotu.

— Nie, nie. To coś bardziej subtelnego. — Montez przesunął ręką po twarzy, przecierając nerwowo oczy. — Pozwoli pan, że powiem to bez ogródek. Ziemia straciła śmiałość.

— Co to ma znaczyć?

— A jakby to pan nazwał? Mniej więcej wtedy, kiedy założono kolonię na Księżycu, Ziemia przeszła wielki kryzys. Sam pan o tym dobrze wie.

— Tak, tak — powiedział z niesmakiem Gottstein.

— Zaludnienie wynosi teraz dwa miliardy, dawniej sześć.

— Ziemi to wyszło jednak na dobre, nieprawdaż?

— Bez wątpienia, chociaż wolałbym, żeby istniał lepszy sposób osiągnięcia tego spadku zaludnienia… Kryzys jednak pozostawił po sobie permanentną nieufność do technologii, spowodował ogromną inercję, brak chęci do ryzykowania zmian z powodu możliwości wystąpienia skutków ubocznych. Zaniechano wielkich, potencjalnie niebezpiecznych przedsięwzięć, ponieważ wyżej stawiano niebezpieczeństwa niż monumentalność dzieł, które mogły powstać.

— Jak sądzę, nawiązuje pan do programu badań genetycznych.

— To akurat przypadek najbardziej spektakularny, ale nie jedyny — powiedział z żalem Montez.

— Prawdę mówiąc, jakoś nie przejmuję się zrezygnowaniem z inżynierii genetycznej. Był to nie kończący się ciąg niepowodzeń.

— Straciliśmy szansę na intuicjonizm.

— Tak naprawdę nie potrzebowaliśmy intuicjonizmu, a kto wie, może był on nawet niewskazany… Ponadto co to ma wspólnego z kolonią na Księżycu? Nie jest to przecież dowód stagnacji na Ziemi.

— Jednak ma coś wspólnego — gwałtownie zaprzeczył Montez. — Kolonia lunarna jest ostatnią pozostałością z czasów przed kryzysem. Zachowała w sobie żałosne resztki siły, która pchała ludzkość do przodu przed wielkim odwrotem.

— Trochę pan przesadza, Montez.

— Nie sądzę. Ziemia się cofa. Ludzkość wszędzie się poddaje z

wyjątkiem Luny. Kolonia stanowi przyczółek ludzkości — nie tyle fizycznie, co raczej psychologicznie. Luna nie musi się obawiać, że naruszy kruchą strukturę biologicznego świata, bo nie posiada złożonego ekosystemu z delikatną równowagą podatną na wstrząsy. Wszystko na Księżycu, co ma jakieś znaczenie dla człowieka, zostało przez niego stworzone. Luna jest światem zbudowanym przez człowieka od podstaw. I nie ma tu przeszłości.

— Tak?

— Na Ziemi ludzkość krępują wspomnienia idyllicznej przeszłości, która w rzeczywistości nigdy taka nie była. A gdyby nawet istniała, nie mogłaby zostać odtworzona. W czasie kryzysu naruszono znaczną część systemu ekologicznego, pozostały nam tylko nędzne resztki, toteż boimy się. Ciągle się czegoś obawiamy… Na Księżycu nie ma przeszłości, za którą można by tęsknić. Jest tylko jeden kierunek — do przodu.

Montez wydawał się rozpalać własnymi słowami.

— Gottstein, obserwowałem ich przez dwa lata, ty będziesz to robił przez co najmniej następne dwa. Na Księżycu żarzy się nieustannie podsycany ogień. Lunarianie rozwijają się w każdym kierunku. Zwiększają swe terytorium. Z miesiąca na miesiąc drążą następne korytarze, tworzone są nowe mieszkania, powiększa się przestrzeń życiowa populacji. Lunarianie dążą do otrzymywania własnych bogactw naturalnych. Odkrywają nowe materiały budowlane, nowe źródła wody, nowe pokłady rzadkich minerałów. Zwielokrotniają liczbę baterii słonecznych, rozbudowują zakłady elektronicznie… Jak sądzę, wie pan, że te dziesięć tysięcy ludzi na Księżycu produkuje większość urządzeń mikroelektronicznych i specjalistycznych środków biochemicznych.

— Wiem, że mają istotny udział w globalnej produkcji.

— Ziemia sama się okłamuje dla własnej wygody. Luna jest głównym producentem. Przy obecnym tempie rozwoju w najbliższej przyszłości może się stać jedynym… Rozwija się także intelektualnie. Panie Gottstein, na Ziemi chyba nie ma bystrego, młodego naukowca, który by choć trochę — albo więcej niż trochę — nie marzył o wyjeździe na Księżyc. Kiedy Ziemia się wycofuje, Księżyc jest miejscem, gdzie coś się dzieje.

— Odnosi się pan do synchrotronu protonowego, jak sądzę?

— To tylko jeden przykład. Kiedy na Ziemi ostatnio wybudowano nowy synchrotron? Synchrotron to największy i najbardziej widoczny dowód, ale bynajmniej nie jedyny i, co więcej, wcale nie najważniejszy. Chce pan wiedzieć, co jest najważniejszym naukowym urządzeniem na Księżycu?…

— Coś, o czym nigdy mi nie wspomniano?

— Nie, bo jest to coś tak oczywistego, że nikt nie zdaje się tego

dostrzegać. To dziesięć tysięcy umysłów. W Lunie zgromadzono dziesięć tysięcy najlepszych ludzkich umysłów.

To unikalna ściśle współpracująca grupa dziesięciu tysięcy mózgów etycznie i emocjonalnie nastawionych na rozwój nauki.

Gottstein poruszył się niecierpliwie, usiłując przestawić krzesło. Ani drgnęło, było przyśrubowane do podłogi, ale próba poruszenia go posłała Gottsteina w powietrze. Montez wysunął rękę, żeby go podtrzymać.

Gottstein zaczerwienił się. — Przepraszam.

— Przywyknie pan do grawitacji.

— Czy jednak nie przedstawia pan sytuacji w zbyt czarnych barwach? Ziemia nie jest przecież aż tak zacofanym ignorantem. Przecież skonstruowaliśmy Pompę Elektronową. To całkowicie ziemskie osiągnięcie. Żaden Lunarianin nie miał z nią nic do czynienia.

Montez pokręcił głową i wycedził kilka słów po hiszpańsku. Nie brzmiały bynajmniej łagodnie.

— Czy spotkał pan kiedyś Fredericka Hallama?

Gottstein uśmiechnął się. — Tak, w gruncie rzeczy spotkałem Ojca Pompy Elektronowej. Myślę, że kazał sobie ten tytuł wytatuować na klatce piersiowej.

— Już to, że się pan uśmiecha i pozwala sobie na takie uwagi, świadczy, że mam rację. Niech się pan zapyta: czy taki człowiek jak Hallam mógł naprawdę wymyślić Pompę? Ta wersja nadaje się dla bezmyślnych rzesz, ale faktem jest — gdyby się pan nad tym zastanowił głębiej, sam by pan to stwierdził — że Pompa Elektronowa nie ma żadnego ojca. To paraludzie, mieszkańcy paraświata, kimkolwiek są i czymkolwiek jest ten świat, ją wynaleźli. Hallam był tylko ich przypadkowym narzędziem.

— Byliśmy wystarczająco roztropni, by skorzystać z ich inicjatywy.

— O tak, podobnie jak krowy są wystarczająco mądre, żeby jeść siano, które się im podaje. Pompa nie jest oznaką ludzkiego patrzenia w przyszłość. Całkiem przeciwnie.

— Jeśli Pompa jest krokiem wstecz, to oby więcej takich kroków. Nie potrafiłbym bez nich żyć.

— Któż by potrafił? Ale problem w tym, że to całkowicie pasuje do obecnych nastrojów na Ziemi. Mamy źródło nieskończonej energii przy praktycznie zerowych kosztach, oprócz konserwacji, i bez żadnych zanieczyszczeń. Na Księżycu jednak nie ma Pompy Elektronowej.

— Myślę, że nie ma takiej potrzeby. Baterie słoneczne dostarczają Lunarianom wystarczającą ilość energii. „Źródło nieskończonej energii przy praktycznie zerowych kosztach, oprócz konserwacji, i bez

żadnych zanieczyszczeń…” Czyż nie brzmi to jak reklama?

— Prawda. Sedno sprawy w tym, że baterie słoneczne zostały zbudowane w całości przez ludzi. Kiedyś usiłowano zrealizować projekt Pompy Elektronowej dla Luny…

— I?

— Nie działała. Paraludzie nie przyjmowali wolframu.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego nie działała? Montez podniósł znacząco brwi i wzruszył ramionami.

— Skąd można wiedzieć? Możemy zakładać, na przykład, że paraludzie mieszkają na planecie bez satelity. Nie pojmują, że możliwe jest istnienie w bliskiej odległości zamieszkanych ciał niebieskich, toteż znalazłszy jedno nie szukali następnego. Kto wie? Faktem jednak jest, że paraludzie nie dali się skusić i że bez nich nic nie możemy na to poradzić.

— Nie możemy — powtórzył Gottstein w zamyśleniu. — Ma pan na myśli Ziemian?

— Tak.

— I Lunarian?

— Nie uczestniczyli w próbie.

— Czy byli tym zainteresowani?

— Nie wiem. Stąd głównie właśnie się bierze moja niepewność i obawa. Lunarianie, szczególnie rodowici Lunarianie, nie myślą tak jak Ziemianie. Nie wiem, jakie mają plany, ani co zamierzają. Nie udało mi się tego wybadać.

Gottstein zamyślił się.

— Ale co mogą zrobić? Czy ma pan jakiekolwiek powody, żeby przypuszczać, iż zamierzają działać na naszą szkodę, albo, jeśli mają taki zamiar, że mogą w jakiś sposób zaszkodzić Ziemi?

— Na to pytanie mogę odpowiedzieć. Są to mili i inteligentni ludzie. Wydaje mi się, że nie żywią do nas nienawiści. Nie ma w nich złości ani nawet strachu. Ale to tylko moja subiektywna opinia. Najbardziej dręczy mnie, że nie wiem tego na pewno.

— Sprzęt naukowy na Księżycu jest kontrolowany przez Ziemię, tak?

— Zgadza się. Ziemia kontroluje synchrotron protonowy, radioteleskop po stronie ziemskiej Księżyca oraz trzystucalowy teleskop… Wielkie urządzenia, które istnieją już od pięćdziesięciu lat.

— Co się od tego czasu zmieniło?

— Bardzo niewiele z inicjatywy Ziemian.

— A co z Lunarianami?

— Nie jestem pewien. Wprawdzie naukowcy lunariańscy pracują przy tych wielkich urządzeniach, ale gdy kiedyś próbowałem sprawdzić ich karty pracy, odkryłem w nich luki.

— Luki?

— Spędzają całkiem sporą ilość czasu poza obrębem instalacji. Jakby mieli własne laboratoria.

— No cóż, jeśli produkują aparaturę mikroelektroniczną i specjalistyczne środki biochemiczne, chyba nie ma się czemu dziwić?

— Tak, ale… nie wiem. Boję się naszej niewiedzy. Nastąpiła długa przerwa.

— Panie Montez, zakładam, że mówi mi pan to wszystko, żeby mnie wyczulić na sprawy Luny. Żebym sam spróbował dowiedzieć się, co robią Lunarianie?

— Tak, o to mi chodziło — przyznał Montez z nieszczególną miną.

— Ale nie wie pan nawet, czy oni w ogóle coś robią.

— Mam przeczucie, że jednak coś kombinują.

— Hm, dziwne. Powinienem panu wybić z głowy te chorobliwe wizje, ale…

— Ale co?

— Tym samym statkiem, którym przyleciałem, przybył jeszcze ktoś inny. To znaczy, przybyło wiele osób, ale jedna twarz w szczególności wyzwoliła we mnie jakieś wspomnienie. Nie rozmawiałem z tamtym człowiekiem — nie miałem okazji — i przestałem o nim myśleć. Ale nasza rozmowa znowu mi przypomniała…

— Tak?

— Byłem kiedyś w Komisji do Spraw Bezpieczeństwa Pompy Elektronowej. — Uśmiechnął się. — Ziemia straciła śmiałość, jak by to pan powiedział. Wszędzie węszymy niebezpieczeństwo, ale, do cholery, to chyba dobrze, niezależnie czy powoduje to strach, czy nie. Nie pamiętam szczegółów, ale przypominam sobie, że w trakcie przesłuchań widziałem tę twarz, którą zobaczyłem na statku. Jestem tego pewny.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Nie wiem. Ta twarz mnie niepokoi. Jeśli będę o niej myślał, to w końcu przypomnę sobie, kim jest ten człowiek. Na wszelki wypadek każę dostarczyć sobie listę pasażerów i sprawdzę, czy któreś z nazwisk coś mi mówi. Chyba udzielił mi się pański niepokój.

— I dobrze — powiedział Montez. — Cieszę się. Co do tego człowieka, to chyba tylko niegroźny turysta, który opuści Księżyc za dwa tygodnie, ale cieszę się, że poważnie potraktował pan moje spostrzeżenia…

Gottstein zdawał się go nie słuchać. — Jest fizykiem albo naukowcem zajmującym się pokrewną dziedziną — mamrotał. — Tego jestem pewny. Kojarzy mi się z zagrożeniem…

4

— Cześć! — zawołała pogodnie Selene.

Ziemianin odwrócił się. Rozpoznał ją prawie bez wahania. — Selene! Tak? Selene?

— Tak! I do tego poprawnie zaakcentowane. Dobrze się bawisz?

— Świetnie — odparł z powagą Ziemianin. — Ta podróż pomaga mi zrozumieć, jak niezwykłe jest nasze stulecie. Niedawno byłem na Ziemi, zmęczony tamtym światem i sobą. Wtedy pomyślałem: „Gdybym żył sto lat temu, jedynym sposobem na opuszczenie tego świata byłaby śmierć, a teraz… mogę polecieć na Księżyc".

Uśmiechnął się melancholijnie.

— Czy czujesz się szczęśliwszy, będąc na Księżycu? — spytała Selene.

— Troszkę. — Rozejrzał się wokoło. — Czy nie musisz się zajmować grupą turystów?

— Nie dzisiaj — odpowiedziała radośnie. — Dzisiaj mam wolne. Kto wie, może wezmę jeszcze dwa lub trzy dni. To bardzo nudna praca.

— Masz pecha, wpadłaś na turystę w dniu wolnym od pracy.

— To nie przypadek. Szukałam cię. Nie powiem, żeby było to łatwe. Nie powinieneś się udawać na samotne wycieczki.

Ziemianin przyjrzał się jej z ciekawością. — Dlaczego mnie szukałaś? Lubisz Ziemian?

— Nie — powiedziała z przychodzącą jej bez trudu szczerością. — Źle mi się od nich robi. Nie lubię ich z zasady, a ciągły zawodowy kontakt z nimi jeszcze pogarsza sprawę.

— A jednak mnie szukałaś i jakoś żadnym sposobem nie potrafię się przekonać, że jestem młody i przystojny.

— Nawet gdybyś był, nic by ci to nie dało. Ziemianie są mi obojętni, o czym wiedzą wszyscy, oprócz Barrona.

— Wobec tego, dlaczego mnie szukałaś?

— Ponieważ zaintrygowałeś mnie i ponieważ zainteresował się tobą Barron.

— Kim jest ten Barron? Twoim chłopakiem? Selene roześmiała się.

— Barron Neville. Jest kimś znacznie więcej niż chłopakiem i przyjacielem. Kochamy się, kiedy przychodzi nam na to ochota.

— No, o to mi chodziło. Czy macie dzieci?

— Chłopca. Ma dziesięć lat. Większość czasu przebywa w oddziale dla chłopców. Uprzedzając następne pytanie, nie jest dzieckiem Barrona. Mogę mieć dziecko z Barronem, jeśli nadal będziemy razem, kiedy dostanę przydział… O ile dostanę… Jestem

jednak całkiem pewna, że tak będzie.

— Jesteś nad wyraz szczera.

— Na tematy, których nie uważam za delikatne? Dlaczego nie… Dobra, co chciałbyś robić?

Szli korytarzem z mlecznobiałej skały, której gładka powierzchnia inkrustowana była matowymi fragmentami „księżycowych klejnotów" dostępnych na całej powierzchni satelity. Sandały Selene zdawały się ledwie muskać powierzchnię podłogi. Ciężkie buty Ziemianina o grubej ołowianej podeszwie zapobiegały temu, by każdy krok stawał się torturą.

Był to jednokierunkowy korytarz. Sporadycznie wyprzedzał ich mały pojazd o napędzie elektrycznym, po czym oddalał się prawie bezdźwięcznie.

— Hm, co chciałbym robić? — zastanawiał się Ziemianin. — Czyżby to było zamaskowane zaproszenie? Czy mogłabyś określić warunki graniczne oferty, żebym przypadkiem cię nie obraził?

— Czy jesteś fizykiem? Zawahał się. — Dlaczego pytasz?

— Żeby usłyszeć, co powiesz. Wiem, że jesteś fizykiem.

— Skąd?

— Kto jak nie fizyk używałby zwrotu: „określić warunki graniczne". A szczególnie, jeśli pierwszą rzeczą, którą chce się zobaczyć na Księżycu, jest synchrotron protonowy.

— To z tego powodu mnie szukałaś? Ponieważ wyglądam na fizyka?

— Dlatego Barron kazał mi cię znaleźć. Również jest fizykiem. Przyszłam, bo sądziłam, że jesteś niezwykły jak na Ziemianina.

— Co przez to rozumiesz?

— Nic specjalnie pochlebnego, jeśli liczyłeś na komplementy. Po prostu wydajesz się nie lubić Ziemian.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Obserwowałam, jak patrzyłeś na innych członków grupy. Co więcej, jakimś sposobem to czuję. Ziemiaki, które nie lubią innych Ziemiaków, zostają na Księżycu. Wracając do mego pytania… Co chciałbyś robić? Określę warunki graniczne, jeśli chodzi o zwiedzanie.

Ziemianin spojrzał na nią z ukosa.

— To bardzo dziwne, Selene. Masz dzień wolnego. Twoje zajęcie jest tak nieciekawe lub wstrętne, że cieszysz się z wolnego dnia i z chęcią przywitałabyś następne dwa lub trzy. A jednak spędzasz ten czas, wracając do swej funkcji z własnej woli dla mnie… Z powodu odrobiny zainteresowania.

— Zainteresowania Barrona. Jest teraz zajęty i nie ma nic złego w tym, że zabawię cię do czasu, aż skończy… Poza tym, to co innego. Czy nie widzisz, że to coś innego? W pracy oprowadzam stado Ziemiaków… Chyba nie przeszkadza ci, że stosuję to słowo?

— Sam go używam.

— Bo jesteś Ziemianinem. Niektórzy Ziemianie uważają to określenie za pogardliwe i czują się urażeni, gdy Lunarianie je używają.

— To znaczy, kiedy używają je Lunatycy? Zarumieniła się. — No, właśnie.

— W takim razie, nie ma co się rozczulać nad słowami. Mów dalej, wspominałaś o swojej pracy.

— W pracy spotykam Ziemian, których muszę chronić przed wypadkami i których muszę zaprowadzić tu i ówdzie, raczyć krótkimi wykładami i dbać o to, żeby jedli, pili i chodzili zgodnie z przepisami. Oglądają te swoje widoczki, zajmują się swoimi błahostkami, a ja muszę być bardzo uprzejma i opiekuńcza.

— Straszne.

— Ale ty i ja możemy robić, co się nam spodoba. Mam nadzieję, że zaryzykujesz i że nie będę musiała cały czas uważać na słowa.

— Mówiłem ci, że możesz spokojnie nazywać mnie Ziemiakiem.

— Dobrze. Co chciałbyś robić?

— Odpowiedź jest prosta. Chciałbym zobaczyć synchrotron protonowy.

— Nie teraz. Może Barron zaaranżuje to po spotkaniu z tobą.

— Jeśli nie mogę zobaczyć synchrotronu, nie wiem, co innego jest tu do oglądania. Wiem, że radioteleskop jest po drugiej stronie i nie wydaje mi się, żeby był wart obejrzenia… Powiedz mi, czego przeciętny turysta nie widzi?

— Jest kilka takich rzeczy. Zbiorniki z algami — nie antyseptyczne fabryki żywności, które widziałeś — ale farmy. Jednak nieapetyczny zapach jest tam chyba zbyt silny i nie sądzę, by Ziemiak — Ziemianin — uznał to za szczególnie przyjemne. Ziemianie i tak mają wystarczająco dużo kłopotów z jedzeniem.

— Dziwi cię to? Czy próbowałaś kiedyś ziemskiej żywności?

— Nie przypominam sobie. Ale chyba nie smakowałaby mi. To zależy, do czego się przywykło.

— Tak sądzę — przyznał Ziemianin wzdychając. — Gdybyś spróbowała prawdziwego steku, chyba byś się udławiła naszym tłuszczem i białkiem.

— Możemy pójść na kraniec miasta, gdzie drążone są w skale nowe korytarze, ale musiałbyś założyć specjalny ubiór ochronny. Mamy fabryki…

— Ty wybierz.

— Zgoda, pod warunkiem, że odpowiesz mi szczerze na moje pytanie.

— Nie mogę tego przyrzec, nie usłyszawszy pytania.

— Mówiłam, że Ziemiaki, które nie lubią Ziemiaków, zostają

zwykłe na Księżycu. Nie przeczyłeś temu. Czy masz zamiar zostać na Księżycu?

Ziemianin wpatrywał się w czubki swoich nieforemnych butów.

— Selene, miałem problemy z otrzymaniem wizy na Księżyc. Powiedziano mi, że mogę być za stary na podróż i że jeślibym przebywał na Księżycu przez dłuższy czas, powrót na Ziemię może być niemożliwy. Więc powiedziałem, że planuję zostać na Księżycu na stałe.

— Nie kłamałeś?

— Miałem jeszcze wątpliwości. Ale teraz sądzę, że zostanę.

— Wydaje mi się, że w takich okolicznościach powinni wykazywać mniej chęci, żeby ci pozwolić zostać.

— Dlaczego?

— Normalnie władze ziemskie nie lubią wysyłać fizyków na Księżyc na stałe.

Wargi Ziemianina zadrżały.

— Jeśli o to chodzi, nie miałem żadnych trudności.

— Skoro masz być jednym z nas, myślę, że powinieneś zobaczyć salę ćwiczeń. Ziemiaki często mają ochotę obejrzeć ją, ale nie zachęcamy ich do tego, chociaż nie jest to całkowicie zabronione. Co innego z imigrantami.

— Dlaczego?

— Po pierwsze, ćwiczymy nago albo prawie nago. Dlaczego nie? — W głosie jej pobrzmiewały nutki zniecierpliwienia, jak gdyby była zmęczona ciągłym powtarzaniem usprawiedliwień. — Temperatura jest kontrolowana, środowisko jest czyste. Tylko tam, gdzie przebywają ludzie z Ziemi, nagość jest krępująca. Szokuje niektórych Ziemiaków, innych podnieca, jeszcze innych i szokuje, i podnieca. Nie będziemy się przecież ubierać na sali tylko dla nich, nie chcemy także znosić ich ciekawskich spojrzeń, dlatego ich tam nie wpuszczamy.

— A imigrantów?

— Powinni się przyzwyczaić do nagości. Po jakimś czasie też rezygnują z odzieży. A potrzebują ćwiczeń bardziej nawet niż Lunarianie.

— Żeby być całkiem z tobą szczerym, Selene, kobieca nagość ekscytuje mnie. Nie jestem jeszcze tak stary, żeby tak nie było.

— No to się ekscytuj — powiedziała obojętnie — ale sam.

— Zgoda.

— Czy my także będziemy się musieli rozebrać? — Rzucił jej rozbawione spojrzenie.

— Jako widzowie? Nie. Możemy, ale nie jest to konieczne. Nie czułbyś się dobrze, gdybyś musiał zrobić to zupełnie do tego nie przyzwyczajony, a poza tym nie stanowiłbyś zbyt przyjemnego

widoku dla nas…

— Cóż za szczerość.

— Sądzisz, że byłby to przyjemny widok? Jeśli chcesz znać moją szczerą opinię, nie chciałabym wzbudzać w tobie dreszczu podniecenia, więc najlepiej będzie, gdy oboje nie będziemy się rozbierać.

— Nikt nie będzie miał nic przeciwko temu? Chodzi o mój niezbyt przyjemny wygląd Ziemiaka?

— Nie, jeśli ja będę z tobą.

— W takim razie idziemy. Czy to daleko?

— Już dochodzimy. Wystarczy przejść tędy.

— Rozumiem, od początku planowałaś mnie tu przyprowadzić.

— Sądziłam, że to może być interesujące.

— Dlaczego?

Uśmiechnęła się niespodziewanie. — Tak sobie po prostu pomyślałam.

Ziemianin pokręcił głową.

— Zaczynam podejrzewać, że nigdy tak sobie po prostu nie myślisz. Niech zgadnę. Jeśli mam pozostać na Księżycu, będę musiał dbać o swoje ciało.

— Całkiem słusznie. Wszyscy to robimy, ale imigranci szczególnie potrzebują ćwiczeń. Przyjdzie czas, kiedy ćwiczenia staną się twoją codziennością.

Weszli do sali. Ziemianin rozejrzał się ze zdumieniem. — To pierwsze miejsce na Księżycu, które przypomina Ziemię.

— W jaki sposób?

— No, jest przestronne. Nie spodziewałem się tak wielkich pomieszczeń na Lunie. Biurka, maszyny biurowe, siedzące przy nich kobiety…

— Kobiety z obnażonymi biustami — uzupełniła poważnie Selene.

— No, przyznaję, to bynajmniej nie przypomina Ziemi.

— Mamy szyblot, a dla Ziemiaków windę. Istnieje wiele poziomów… Poczekaj.

Podeszła do kobiety siedzącej przy najbliższym biurku, zamieniły szybko kilka słów, podczas gdy Ziemianin przypatrywał się wszystkiemu z przyjazną ciekawością.

Selene wróciła. — Bez problemów. Okazuje się, że będzie przepychanka. Całkiem dobra, znam drużyny..

— To miejsce sprawia wrażenie. Naprawdę.

— Jeśli chodzi ci o jego rozmiary, to i tak jest za małe. Mamy trzy sale gimnastyczne. Ta jest największa.

— Nie wiem dlaczego, ale cieszy mnie, że w spartańskich warunkach Księżyca możecie sobie pozwolić na marnowanie tyle miejsca na błahostki.

— Błahostki! — W głosie Selene zabrzmiała obraza. — Dlaczego sądzisz, że to błahostka?

— Przepychanka? To jakaś gra?

— Możesz to nazwać grą. Na Ziemi nazywa się to chyba sportem — dziesięciu ludzi coś robi, a dziesięć tysięcy kibicuje. Na Księżycu jest inaczej. To, co ci się wydaje zabawą, jest dla nas koniecznością… Tędy, pojedziemy windą, musimy chwilę poczekać.

— Nie chciałem cię rozgniewać.

— Wcale się nie gniewam, ale musisz być rozważniejszy.

Ziemianie przystosowywali się do ziemskiej grawitacji przez całe trzysta milionów lat, odkąd pierwsze istoty żywe wypełzły na suchy ląd. Nawet jeśli nie ćwiczycie, jakoś sobie radzicie. My nie mieliśmy tyle czasu, żeby dostosować się do grawitacji Księżyca.

— Ale wyglądacie inaczej.

— Rodowici Lunarianie, którzy dojrzewali w księżycowych warunkach, mają smuklejsze mięśnie, a kości mniej masywne niż Ziemiaki, ale różnice są tylko powierzchowne. Żadna funkcja fizjologiczna, nawet bardzo subtelna, czy to będzie trawienie, czy wydzielanie hormonów, nie jest przystosowana do tutejszej grawitacji. Wszystkie wymagają regularnych ćwiczeń. Jeśli udaje się nam przygotować ćwiczenia w formie zabaw i gier, to wcale nie znaczy, że są one czymś błahym… O, przyjechała winda.

Ziemianin cofnął się odruchowo, przerażony, ale Selene wytłumaczyła, z odcieniem niecierpliwości, jak gdyby drażniło ją, że znowu będzie musiała tłumaczyć najprostsze sprawy. — Powiesz pewnie, że wygląda to jak wiklinowy kosz. Każdy Ziemianin używający naszych wind tak mówi. Ale przy tutejszej grawitacji winda nie musi wyglądać solidniej.

Winda zjeżdżała powoli na dół. Nikogo oprócz nich nie było wewnątrz kabiny.

— Podejrzewam — zauważył Ziemianin — że nieczęsto jest używana.

Selene znowu się uśmiechnęła.

— Masz rację. Szyblot jest znacznie bardziej popularny.

— Cóż to takiego?

— Dokładnie tyle, co sugeruje nazwa… Jesteśmy na miejscu. Zjechaliśmy tylko dwa poziomy w dół… Szyblot to pionowa rura z poręczami, którą można swobodnie spadać. Nie zachęcamy Ziemiaków do używania go.

— Zbyt niebezpieczne?

— Może nie samo w sobie. Można w nich schodzić, jak po drabinie. Jednak trafiają się tam urwisy, zjeżdżające na dół ze znaczną szybkością, i Ziemiaki nie wiedzą, jak im zejść z drogi. Zderzenia nie należą do przyjemnych. Ale przywykniesz z czasem i do szyblotówj…

Właściwie to, co za chwilę zobaczysz, jest czymś w rodzaju wielkiego szyblotu zaprojektowanego z myślą o ryzyku.

Zaprowadziła go ku poręczy opasującej okrągły otwór, przy której stało kilka osób oddających się rozmowom. Wszystkie mniej lub bardziej nagie. Najbardziej popularną część ubioru stanowiły sandały, którym czasami towarzyszył pas z saszetką zarzucony na ramię. Nieliczni widzowie mieli na sobie majtki. Ktoś jadł jakąś zielonkawą papkę, czerpiąc ją ręką z pojemnika.

Ziemianin nieznacznie zmarszczył nos, skrzywił się, przechodząc koło jedzącego. — Musicie tu mieć duże problemy z zębami.

— Nie jest dobrze — przyznała Selene. — Gdybyśmy mogli, wybralibyśmy edentantność.

— Bezzębność?!

— No, może niezupełną. Zachowalibyśmy siekacze i kły dla estetyki, poza tym mogłyby się do czegoś przydać. A ponadto łatwo je czyścić. Ale po co nam zęby trzonowe? To całkowicie zbędne pozostałości z ziemskiej przeszłości naszego gatunku.

— Czynicie jakieś przygotowania w tym kierunku?

— Nie — odpowiedziała Selene oschle. — Inżynieria genetyczna jest zabroniona. Ziemia jest nieugięta na tym punkcie.

Wychyliła się nad poręczą.

— Nazywają to księżycowym placem zabaw.

Ziemianin popatrzył na dół. Ujrzał duże cylindryczne pomieszczenie o gładkich różowych ścianach, do których przytwierdzone były, zdawałoby się zupełnie przypadkowo, metalowe poręcze i poprzeczki. To tu, to tam wystawała rurka przecinająca część szybu, niektóre przechodziły przez całą jego szerokość. Cylinder miał około stu do stu dwudziestu metrów głębokości i z jakieś piętnaście średnicy.

Nikt nie zdawał się zwracać specjalnie uwagi na boisko ani na Ziemianina. Kilku Lunarian spojrzało na niego obojętnie, kiedy przechodził koło nich, zdając się taksować jego ubiór i wyraz twarzy, po czym się odwracali. Niektórzy z nich dawali Selene od niechcenia jakieś znaki ręką, zanim się odwrócili, niemniej odwracali się wszyscy. Mimo iż osłabiony, sygnał obojętności nie mógł być bardziej czytelny.

Ziemianin zwrócił wzrok ku otworowi cylindra. Na dnie widać było smukłe sylwetki zawodników, skrócone perspektywą patrzenia. Niektórzy mieli na sobie skrawki czerwonej odzieży, inni niebieskiej. Dwie drużyny, stwierdził. Najwyraźniej odzież spełniała rolę ochronną, bo mieli na sobie rękawice i sandały, ochraniacze na kolanach i łokciach. Kilkoro miało skąpe opaski na biodrach, a reszta na klatkach piersiowych.

— Oho — mruknął. — Kobiety i mężczyźni.

— To prawda — potwierdziła Selene. — Kobiety i mężczyźni

uczestniczą w grze na równych prawach, a ubrani są po to, żeby zapobiec niepotrzebnym ruchom części ciała, które mogłyby przeszkadzać w kontrolowanym spadaniu. Istnieją oczywiste różnice w tym, które części są najbardziej podatne na ból. To nie skromność.

— Chyba o tym czytałem.

— Całkiem możliwe — skwitowała obojętnie Selene. — Niewiele jednak przedostaje się na zewnątrz. Nie dlatego, że się temu sprzeciwiamy, ale dlatego, że władze Ziemi wolą ograniczać informacje z Księżyca do minimum.

— Dlaczego?

— Jesteś Ziemianinem, to ty powinieneś mi na to odpowiedzieć… Mamy teorię, że ludzie na Ziemi się nas wstydzą. A w każdym razie ziemskie władze.

Po dwóch przeciwnych stronach cylindra zaczęła się wspinać para zawodników przy wtórze dochodzącego z dołu ten kotu bębenków. Z początku zawodnicy wchodzili po drabinie, szczebel po szczeblu, ale prędkość ich wspinaczki stopniowo się zwiększała i w połowie drogi na górę odbijali się od każdego stopnia ostentacyjnymi klaśnięciami.

— Na Ziemi nie zrobiliby tego zręczniej — podziwiał ich Ziemianin. — Jeśli w ogóle byłoby to możliwe — poprawił się.

— To nie tylko kwestia słabszej grawitacji — powiedziała Selene. — Możesz spróbować, jeśli ci się tak wydaje. To wynik nie kończących się godzin ćwiczeń.

Wspinający się dotarli do poręczy na górze i zakręcili się w taki sposób, że znaleźli się głową do dołu. Równocześnie wykonali salta i zaczęli spadać.

— Jak chcą, potrafią się szybko poruszać — skomentował Ziemianin.

— Uhm — przytaknęła Selene. Rozległy się brawa. — Wydaje mi się, że Ziemianom — chodzi mi o prawdziwych Ziemian, ludzi, którzy nigdy nie byli na Księżycu — ruch na Księżycu kojarzy się z powierzchnią i skafandrami kosmicznymi. W takich warunkach, oczywiście, ruch często jest powolny. Masa człowieka i kombinezonu jest pokaźna, z czym wiąże się duża siła bezwładności, a do tego grawitacja, która mogłaby ją równoważyć, jest niewielka.

— To prawda — zgodził się Ziemianin. — Widziałem klasyczne już filmy z pierwszymi astronautami, które oglądają w szkołach wszystkie dzieci. Poruszali się, jakby byli zanurzeni w wodzie. Te obrazy zapadają w pamięć, mimo iż wie się, że to tylko część prawdy.

— Zdziwiłbyś się szybkością, z jaką możemy się teraz poruszać po powierzchni mimo kombinezonu — powiedziała Selene. — Tutaj pod ziemią, bez skafandrów, umiemy ruszać się tak szybko jak na Ziemi. Słabszą grawitację wspomagamy odpowiednią pracą mięśni.

— Ale potraficie się poruszać także bardzo wolno. — Ziemianin

obserwował akrobatów. Szybko znaleźli się na górze, a teraz umyślnie opadali powoli. Szybowali, muskając poręcze, żeby opóźnić spadek, a nie jak przedtem przyspieszyć wejście. Kiedy opadli na dno, zastąpiło ich dwóch następnych zawodników. A potem jeszcze dwóch. Na przemian, pary z każdej drużyny mistrzowsko rywalizowały ze sobą.

Każda para zaczynała tak samo, wspinała się i opadała, wykonując coraz bardziej skomplikowane akrobacje. Jedna z par, odbiwszy się równocześnie, przecinała salę długimi parabolicznymi łukami. Zawodnik docierał do poręczy, którą dopiero co opuścił partner, jakimś sposobem przemykając koło niego w powietrzu, nie dotykając go nawet. Występ wywołał burzę oklasków.

— Podejrzewam, że brak mi doświadczenia — stwierdził Ziemianin — by należycie docenić ich zręczność. Czy są to urodzeni Lunarianie?

— Tylko oni — odpowiedziała Selene. — Sala gimnastyczna jest dostępna dla wszystkich obywateli Księżyca i trzeba przyznać, że niektórym imigrantom całkiem nieźle wychodzą akrobacje. Ale żeby osiągnąć prawdziwą wirtuozerię, trzeba zaczynać od dziecka, urodzić się tutaj. Takie dzieci są właściwie przystosowane fizycznie do tego sportu — a w każdym razie lepiej niż rodowici Ziemianie — i poddane specjalnemu treningowi w dzieciństwie. Większość z wykonawców nie ma jeszcze osiemnastu lat.

— Sądzę, że nawet w przypadku księżycowej grawitacji jest to niebezpieczne.

— Nieraz zdarzają się złamania. Nie przypominam sobie, by doszło kiedyś do śmierci, ale był przypadek złamania kręgosłupa i paraliżu. Straszny wypadek, widziałam to… O, czekaj, teraz będą spadać w stylu dowolnym.

— W stylu dowolnym?

— Dotychczas oglądaliśmy kompozycje przygotowane według wcześniej ustalonych wzorów.

Rytm wybijany przez perkusję ściszył się w chwili, kiedy jeden z zawodników, stojący u szczytu cylindra, wstał i nagle rzucił się w powietrze. Złapał się jedną ręką poprzeczki, zakręcił się na niej i puścił się w dalszy lot.

Ziemianin obserwował go uważnie. — Nie do wiary — skomentował. — Porusza się wśród tych poprzeczek jak gibon.

— Jak co?

— Gibon. Gatunek małpy, właściwie jedyny gatunek małpy żyjący jeszcze na swobodzie. Są… — Zauważył wyraz twarzy Selene i zaczął się tłumaczyć: — Nie chciałem was obrazić, Selene, one naprawdę poruszają się z wielką gracją.

— Widziałam zdjęcia małp — powiedziała Selene, marszcząc brwi.

— Chyba jednak nie widziałaś gibonów w ruchu… Być może Ziemiaki, chcąc was obrazić, przezywają Lunarian gibonami, osiągając taki skutek, jak wy używając określenia Ziemiak. Nie o to jednak mi chodziło. — Oparł się łokciami o poręcz, przyglądając się ewolucjom w dole. Były jak taniec w powietrzu. — Jak traktujecie imigrantów z Ziemi? Chodzi mi o tych, którzy mają zamiar zostać tu na całe życie. Brak im sprawności prawdziwych Lunarian, więc…

— To bez znaczenia. Migowie są członkami naszej społeczności. Nie ma tu dyskryminacji, w każdym razie dyskryminacji prawnej.

— Co to znaczy: dyskryminacji prawnej?

— No cóż, sam chyba na to wpadłeś. Są rzeczy, których oni nie potrafią. Istnieją między nami różnice. Mają inne problemy zdrowotne i z reguły mają ich więcej. Przyjeżdżając tu w średnim wieku, mają wygląd… starców.

Zażenowany Ziemianin unikał jej wzroku. — Czy imigranci i Lunarianie mogą zawierać związki małżeńskie?

— Oczywiście, że tak. To znaczy, mogą ze sobą żyć.

— O to mi chodziło.

— Naturalnie. Nie ma powodu, by utrzymywać, że Ziemianie nie mają wartościowych genów. Mój ojciec był także Migiem, chociaż ze strony matki jestem Lunarianką w drugim pokoleniu.

— Jak sądzę, twój ojciec przybył tu w zaawansowanym…

O Boże… — Zastygł z przerażenia, spoglądając na dół, po czym westchnął z ulgą. — Myślałem, że nie złapie tamtej poprzeczki.

— W żadnym razie — powiedziała Selene. — To Marco Fore. Lubi łapać się w ostatniej chwili. Właściwie nie świadczy to dobrze o jego wychowaniu, prawdziwi mistrzowie tego nie robią. Jednak… Mój ojciec miał dwadzieścia dwa lata, kiedy tu przyleciał.

— Rozumiem, to wyjaśnia wszystko. Wystarczająco młody, żeby się przystosować, żadnych więzi emocjonalnych z Ziemią. Z punktu widzenia młodego Ziemiaka, jak sobie wyobrażam, to musi być naprawdę przyjemne utrzymywać stosunki seksualne z…

— Stosunki! — Selene starała się wyrazem rozbawienia zamaskować odrazę. — Nie sądzisz chyba, że mój ojciec odbywał stosunki z matką. Gdyby to usłyszała moja matka, od razu by ci to wybiła z głowy.

— Ale…

— To było sztuczne zapłodnienie, na Boga. Kochać się z Ziemianinem?

Mężczyzna spoważniał.

— Wydawało mi się, że mówiłaś, iż nie ma tu dyskryminacji.

— To nie dyskryminacja. To tylko obiektywny, uwarunkowany fizycznie fakt. Ziemianie nie radzą sobie z naszym polem grawitacyjnym właściwie. Jakkolwiek dobrze by się przystosowali,

pod wpływem silnych emocji mogą się zapomnieć. Nie zaryzykowałabym tego. Niezręczny głupiec mógłby z łatwością złamać sobie rękę lub nogę — albo, co gorsza, mi. Wymiana genów to jedno, a seks to już zupełnie inna sprawa.

— Przepraszam… Ale czy sztuczne zapładnianie nie jest prawnie zabronione?

Selene patrzyła z uwagą na gimnastyków.

— Znowu Marco Fore. Gdy nie próbuje popisywać się, jest naprawdę niezły, jego siostra jest prawie tak samo dobra.

Kiedy występują razem, tworzą jakby taneczny poemat. Spójrz na nich. Spotykają się i zakręcają wokół tej samej poprzeczki w doskonałej harmonii. Czasami Marco wpada w manierę, ale nie można mu odmówić wspaniałej kontroli nad ciałem… Tak, sztuczne zapładnianie jest sprzeczne z ziemskim prawem, ale dozwolone w przypadkach wskazań medycznych, tak właśnie tu bywa, a przynajmniej tak się motywuje.

Teraz wszyscy akrobaci wspięli się na samą górę i ustawili się w kółku tuż poniżej poręczy, czerwoni po jednej stronie, niebiescy po drugiej. Wyciągnęli ręce w stronę wnętrza walca, zabrzmiały gromkie brawa. Wokół poręczy zgromadził się spory tłum.

— Powinniście zmontować tu trybuny — powiedział Ziemianin.

— W żadnym razie. To nie jest przedstawienie, a ćwiczenia. Nie chcemy więcej widzów, niż może się zmieścić przy poręczy. Powinniśmy być tam na dole, nie tutaj.

— To znaczy, potrafisz coś takiego?

— Tak jakby. Każdy Lunarianin potrafi. Nie jestem jednak równie dobra, jak oni. Nie przyłączyłam się do żadnej drużyny… Zaraz zacznie się przepychanka. To naprawdę niebezpieczna część. Cała dziesiątka będzie w powietrzu i każda strona będzie usiłowała doprowadzić do strącenia członków drużyny przeciwnej.

— Prawdziwych strąceń?

— Na ile to możliwe.

— Czy zdarzają się wypadki?

— Czasami. Oficjalnie ta konkurencja nie jest mile widziana. Uważa się, że graniczy z lekkomyślnością. Nasza populacja jest zbyt mała, byśmy mogli sobie pozwolić na możliwość skaleczenia kogokolwiek bez żadnego powodu. Przepychanka zdobyła sobie jednak popularność i nie potrafimy zebrać wystarczającej liczby głosów, żeby uchwalić ustawę zabraniającą jej.

— Po czyjej stronie głosujesz, Selene?

Selene zarumieniła się. — Nieważne. Patrz!

Rytm wybijany przez perkusję osiągnął natężenie grzmotu i raptem wszyscy zawodnicy skoczyli przed siebie jak strzały. Wnętrze cylindra wypełniło kłębowisko ciał, ale kiedy akrobaci znowu się

rozproszyli, każdy kończył pewnie, trzymając się jednej z poprzeczek. Rosło napięcie. Czekanie nieznośnie wydłużało się. Skoczył jeden, po nim drugi, trzeci… W powietrzu ponownie zaroiło się od migających ciał. I jeszcze raz, jeszcze jeden…

— Punktowanie jest bardzo skomplikowane — powiedziała Selene. — Dostają punkt za każdy skok i za każde dotknięcie przeciwnika, dwa punkty za wywołanie błędu przeciwnika przy łapaniu poprzeczki, dziesięć za strącenie. Są także różnego rodzaju punkty karne za faulowanie.

— Kto nalicza punkty?

— Mecz obserwują sędziowie, którzy podejmują wstępne decyzje. Mecz jest także nagrywany na wypadek odwołań od ich decyzji. Bardzo często nawet taśmy nie pozwalają jednak na jednoznaczne rozstrzygnięcia.

Rozległ się nagły krzyk podniecenia, kiedy dziewczyna w niebieskim przeleciała obok chłopaka w czerwonym i klepnęła go głośno w bok. Chłopak wykręcił się, ale niezbyt zręcznie, i uderzył kolanem w ścianę, łapiąc się poręczy, źle wymierzywszy dystans.

— Gdzie miał oczy? — powiedziała z politowaniem Selene. — Nie zauważył, jak się do niego zbliżała.

Akcja nabierała tempa. Ziemianin zmęczył się dochodzeniem do tego, co się dzieje w wymieszanej gromadzie. Czasami któryś skoczek dotykał poprzeczki i nie zdołał się jej uchwycić. W takich chwilach każdy widz wychylał się, jakby był gotów skoczyć na dół, żeby wspomóc spadającego. Ktoś uderzył Marco Fore w nadgarstek.

Jeden z widzów krzyknął: — Faul!

Fore nie złapał się poręczy i spadał. Ziemianinowi wydawało się, że upadek jest bardzo powolny w przypadku księżycowej grawitacji. Smukłe ciało Fore'a wykręcało się i obracało, ponieważ Lunarianin starał się złapać poprzeczkę za poprzeczką — ciągle bezskutecznie. Reszta zawodników czekała, cała gra zamarła na czas jego spadania.

Fore spadał już całkiem szybko, mimo że dwa razy udało mu się zwolnić lot — chwytał na moment kolejne poprzeczki. Nie zdołał jednak się na nich zatrzymać.

Dolatywał już do samego dna, kiedy nagłym rzutem ciała znalazł się przy jednej z poprzeczek i zahaczył o nią lewą stopą. Zawisł na niej głową w dół, huśtając się około trzech metrów nad podłogą. Wisiał tak z rozłożonymi rękami, kiedy widownia nagradzała go gromkim aplauzem. Po chwili, gdy brawa ustały, okręcił się wokół poprzeczki i ruszył do błyskawicznej wspinaczki.

— Faulowano go? — spytał Ziemianin.

— Jeśli Jean Wong rzeczywiście złapała go za nadgarstek, zamiast go odepchnąć, to był faul. Sędziowie jednak uznali, że był to prawidłowy blok i nie sądzę, żeby Marco się odwoływał od ich

wyroku. Spadał znacznie dłużej, niż musiał. Lubi takie ratunki w ostatniej chwili, ale któregoś dnia się przeliczy i zrani… Oho!

Ziemianin spojrzał na nią ze zdziwieniem, Selene patrzyła na kogoś za jego plecami.

— Chyba cię szuka ktoś z biura komisarza — powiedziała.

— Dlaczego…

— Po co miałby tu przychodzić z powodu kogoś innego. Ty jesteś tu obcym.

— Ale z jakiego powodu… — zastanawiał się Ziemianin.

Posłaniec o budowie mieszkańca Ziemi lub imigranta podszedł od razu do nich, czując się wyraźnie nieswojo, znalazłszy się w centrum zainteresowania kilkunastu szczupłych, nagich osób, u których pogarda zdawała się mieszać z obojętnością.

— Proszę pana — zaczął. — Komisarz zaprasza do siebie…

5

Mieszkanie Barrona Neville'a było skromniejsze niż kwatera Selene. Książki umieszczone były na widoku. W rogu znajdował się nie zamaskowany terminal komputerowy. Na biurku leżały sterty papierów. Okna były wyłączone. Do pokoju weszła Selene, skrzyżowała ręce na piersiach i rzuciła: — Jak możesz porządkować myśli, mieszkając w takim bałaganie?

— Jakoś mi się to udaje — odpowiedział niechętnie Barron. — Dlaczego nie przyprowadziłaś Ziemianina?

— Komisarz dopadł go pierwszy. Nowy komisarz.

— Gottstein?

— Właśnie. Dlaczego nie byłeś wcześniej gotów?

— Trochę czasu, zabrało mi dokopanie się do materiałów o nim. Nie chcę pracować w ciemno.

— Cóż, pozostaje nam tylko poczekać.

Neville obgryzał paznokieć kciuka, po czym przyjrzał się dokładnie wynikowi operacji.

— Nie wiem, co o nim myśleć… Jak go oceniasz?

— Spodobał mi się — powiedziała zdecydowanym tonem. — Jest całkiem miły, jak na Ziemianina. Pozwolił, żebym go oprowadzała. Wszystko go ciekawiło. Nie wyciągał pochopnych wniosków. Nie patrzył na nas z góry… A nie unikałam obrażania go.

— Czy dopytywał się o synchrotron?

— Nie, ale nie było potrzeby.

— Dlaczego?

— Powiedziałam, że się z nim spotkasz, i wyjaśniłam, że jesteś fizykiem. Dlatego sądzę, że to ciebie będzie o to pytał, kiedy się spotkacie.

— Nie myślał, że to dziwne, iż rozmawia z przewodniczką turystyczną, znającą fizyka?

— Dlaczego miałoby to być dziwne? Powiedziałam, że jesteś moim partnerem seksualnym. A gustów w seksie nie da się wytłumaczyć, fizyk może się przecież zniżyć do tego, by mieć stosunki z prostą przewodniczką.

— Skończ z tym, Selene.

— Słuchaj, Barronie, wydaje mi się, że gdyby planował jakąś sztuczkę, gdyby mnie zaczepił, ponieważ chciał się z tobą skontaktować, wykazałby choćby odrobinę zainteresowania twoją osobą. Im bardziej skomplikowana i naiwna próba konspiracji, tym trudniej ludziom, którzy się jej podejmują, to ukryć. Specjalnie udawałam obojętność. Mówiłam o wszystkim, tylko nie o synchrotronie. Wzięłam go na pokaz gimnastyczny.

— I?

— Wciągnął go. Był zupełnie na luzie i zaciekawiony. Cokolwiek zamierza, nie ma nic do ukrycia.

— Jesteś tego pewna? Komisarz jednak spotka się z nim wcześniej niż ja. Czy sądzisz, że to dobrze?

— Cóż w tym złego? Zaproszenie na spotkanie otrzymane na oczach kilkunastu Lunarian trudno nazwać konspiracją.

Neville odchylił się do tyłu, splatając palce z tyłu głowy. — Selene, daruj sobie komentarze, kiedy cię o nie nie proszę. Irytujesz mnie. Po pierwsze, ten człowiek nie jest fizykiem. Wspominał o tym?

Przez chwilę myślała. — To ja powiedziałam, że jest fizykiem. Nie przeczył temu, ale nie przypominam sobie, żeby rzeczywiście tak twierdził. A jednak… jednak jestem pewna, że jest fizykiem.

— Pominięcie prawdy także może być kłamstwem. Może mu się wydaje, że jest fizykiem, ale prawda jest taka, że nie ma wykształcenia fizyka i nie pracuje w takim charakterze. Co prawda, ma przygotowanie naukowe, ale nie ma posady naukowca. Nikt go nie chciał. Nie ma takiego instytutu na Ziemi, który by go przyjął. Jest na czarnej liście Hallama, od lat zajmując na niej czołowe miejsce.

— Jesteś tego pewny?

— Uwierz mi, sprawdzałem. Czyż nie krytykowałaś mnie, że trwało to tak długo… To się dobrze składa, może nawet aż za dobrze.

— Dlaczego za dobrze? Nie rozumiem, co sugerujesz?

— Nie wydaje ci się, że powinniśmy mu ufać? W końcu ma rachunki do wyrównania z Ziemią.

— Oczywiście, możesz tak argumentować, jeśli takie są fakty.

— Fakty to potwierdzają, tylko że można zawsze je spreparować.

— Barronie, to wstrętne. Jak możesz wplatać we wszystko swoje konspiracyjne teorie. To, co mówił Ben…

— Ben? — powtórzył ironicznie Neville.

— Ben! — rzuciła twardo Selene. — Ben nie mówił jak ktoś żywiący jakieś urazy, czy tym bardziej ktoś, kto próbuje odegrać przede mną, że je ukrywa.

— Nie, ale zdołał doprowadzić do tego, że go polubiłaś. Mówiłaś, że ci się spodobał, nie? Może właśnie o to mu chodziło.

— Wiesz, że nie daję się łatwo nabrać.

— No cóż, przekonam się, gdy sam go zobaczę.

— Idź do diabła, Barronie! Spotykam się z tysiącami Ziemiaków różnego pokroju. To moja praca. Nie masz żadnego powodu, żeby wyrażać się tak sarkastycznie o moim sądzie. Wiesz, że masz wszelkie powody do tego, by mu ufać.

— Dobrze. Zobaczymy. Nie gniewaj się. To czekanie trochę mnie rozdrażniło… A skoro mamy czekać… — uniósł się lekko z krzesła — zgadnij, o czym myślę?

— Nie muszę. — Selene wstała równie zręcznie i prawie niezauważalnym ruchem odsunęła się dość znacznie od niego. — Myśl sobie o tym sam. Nie jestem w nastroju.

— Gniewasz się, że wątpiłem w twój sąd?

— Gniewam się, ponieważ… Cholera, dlaczego tu nie posprzątasz? — Wyszła.

6

— Z przyjemnością zaproponowałbym panu jakieś ziemskie specjały, doktorze, ale nie pozwala się nam tu nic takiego przywozić. Nasi drodzy gospodarze z Księżyca krzywo patrzą na sztuczną barierę, stwarzaną przez inne traktowanie ludzi z Ziemi. Najbardziej dyplomatycznym rozwiązaniem jest pozować na Lunarianina — na tyle, na ile to jest możliwe — aby łagodzić ich nadwrażliwość. Chociaż obawiam się, że zdradza mnie mój ziemski chód. Nie mogę znieść ich pokręconej grawitacji.

— Tak samo ja — przyznał Ziemianin — Gratuluję panu nowego stanowiska…

— Jeszcze niezupełnie je zająłem.

— Mimo wszystko, gratuluję. Jednak nie mogę się powstrzymać od pytania, dlaczego prosił pan, bym tu przyszedł.

— Przylecieliśmy niedawno tym samym statkiem. Ziemianin uprzejmie czekał na dalsze wyjaśnienia.

— Znałem pana już wcześniej. Spotkaliśmy się — na krótko — jakiś czas temu.

— Obawiam się, że nie przypominam sobie… — powiedział cicho Ziemianin.

— Nie dziwi mnie to. Nie ma powodu, żeby pan to pamiętał. Byłem, przez jakiś czas, w sztabie senatora Burta, którzy przewodniczył — zresztą nadal przewodniczy — Komisji do Spraw Technologii i Środowiska. Było to wtedy, kiedy chciał się dobrać do Hallama… Fredericka Hallama.

Ziemianin nagle się wyprostował. — Znał pan Hallama?

— Jest pan już drugą osobą, która mnie o to pyta od chwili przybycia na Księżyc. Tak, znam go. Niezbyt dobrze. Znam także innych, którzy mieli okazję go poznać. Trochę to dziwne, ale ich opinie zwykle pokrywały się z moją. Jak na osobę, będącą bożyszczem tłumów, Hallam wzbudzał raczej mało sympatii w tych, którzy go znali.

— Mało? Chyba wcale — wtrącił Ziemianin. Gottstein, nie zważając na przerwę, ciągnął dalej: — Do moich obowiązków w tamtym czasie należało — w każdym razie było to zadanie, które zlecił mi senator — zbadanie sprawy Pompy Elektronowej i sprawdzenie, czy jej wprowadzenie i rozwój nie wiążą się ze szkodliwymi odpadami i osobistymi zyskami. Był to ustanowiony prawem obowiązek komisji, która głównie pełniła funkcję kontrolną, ale senator — tak między nami mówiąc — liczył, że znajdzie coś na Hallama. Chciał osłabić rosnący wpływ Hallama w świecie nauki. Ale nie udało się.

— To chyba oczywiste. Teraz Hallam ma jeszcze większe wpływy.

— Nie było żadnych brudnych interesów, a już z pewnością niczego, co świadczyłoby przeciw Hallamowi. Ten człowiek jest absolutnie uczciwy.

— Zgadzam się. Władza ma swoją wartość rynkową, której nie da się przeliczyć na pieniądze.

— Zainteresował mnie jednak zarzut — nie przeciwko Hallamowi, ale samej Pompie Elektronowej. Byłem przy przesłuchaniu, lecz go nie prowadziłem. To pan go wysunął, prawda?

— Pamiętam wydarzenie — zaczął Ziemianin ostrożnie — o którym pan wspomniał, ale pana jednak sobie nie przypominam.

— Zastanawiałem się, jak ktokolwiek może krytykować Pompę w oparciu o podstawy naukowe. Wywarł pan na mnie tak mocne wrażenie, że kiedy ujrzałem pana na statku, od razu wiedziałem, że skądś pana znam. W końcu sobie przypomniałem. Nie musiałem sprawdzać listy pasażerów, pozwoli pan jednak, że się upewnię. Czyż nie nazywa się pan Benjamin Andrew Denison?

Ziemianin westchnął. — Benjamin Allan Denison. Tak. Ale jakie to ma znaczenie? Prawda jest taka, że nie chcę się już grzebać w przeszłości. Przybyłem na Księżyc i chciałbym zacząć wszystko od nowa, jeśli to będzie konieczne. Niech tam, zastanawiałem się nawet, czy nie zmienić nazwiska.

— Nic by to nie dało. Przypomniałem sobie pańską twarz. Nie mam nic przeciwko pańskiemu nowemu życiu, doktorze Denison. Nie chciałbym się w nie mieszać. Ale chciałbym je obserwować z powodów, które nie dotyczą pana bezpośrednio. Nie pamiętam dokładnie, co zarzucał pan Pompie Elektronowej. Czy mógłby mi pan powiedzieć?

Denison schylił głowę. Nastała cisza. Przyszły komisarz jej nie przerywał. Stłumił nawet chrząknięcie.

— Prawdę mówiąc, to nic konkretnego — powiedział Denison. — Tylko przypuszczenie… obawa, że zmianie ulegnie intensywność oddziaływań jądrowych. Drobnostka!

— Drobnostka? — Gottstein w końcu przełknął ślinę. — Nie będzie mi pan miał za złe, jeśli będę się dopytywał? Wspomniałem panu, że wzbudził pan moją ciekawość. Nie potrafiłem tego wtedy pojąć. Wątpię, bym teraz zdołał dokopać się do zapisów z przesłuchań. Cała sprawa została utajniona, a senator wtedy nie zdołał temu zapobiec, teraz natomiast nie chce ryzykować rozgłosu z jej powodu. Jednak przypominam sobie niektóre szczegóły. Pracował pan kiedyś z Hallamem. I nie był pan fizykiem.

— Tak, jestem radiochemikiem. Tak jak on zresztą.

— Niech mnie pan skoryguje, jeśli się mylę. Pańskie wcześniejsze dokonania były dość znaczne, tak?

— Istniały obiektywne czynniki działające na moją korzyść. Nie

miałem żadnych złudzeń, ale byłem bardzo dobrym badaczem.

— Zadziwiające, jak łatwo to wraca. Hallam jednak nie był.

— Nie za bardzo.

— A jednak później nie wiodło się panu najlepiej. Prawdę mówiąc, kiedy pana przesłuchiwaliśmy — o ile się nie mylę, sam się pan do nas zgłosił — pracował pan w fabryce zabawek…

— Kosmetyków — sprostował Denison zduszonym głosem. — Męskich kosmetyków. Nie pomogło mi to zyskać zrozumienia komisji.

— To prawda. Przykro mi. Był pan sprzedawcą.

— Kierownikiem do spraw sprzedaży. Nadal byłem dobry. Doszedłem do pozycji wiceprezesa przed ostatecznym zerwaniem z firmą i przybyciem na Księżyc.

— Czy Hallam miał z tym coś wspólnego? Chodzi mi o zrezygnowanie z nauki?

— Panie komisarzu — powiedział Denison. — Proszę! To już nie ma żadnego znaczenia. Byłem tam, kiedy Hallam odkrył konwersję wolframu i kiedy zaczęła się reakcja łańcuchowa wydarzeń, które doprowadziły do powstania Pompy Elektronowej. Co dokładnie by się stało, gdyby mnie w tamtym momencie nie było, trudno powiedzieć. Hallam i ja moglibyśmy doznać porażenia promieniowaniem radioaktywnym miesiąc później, albo doszłoby do eksplozji jądrowej po sześciu tygodniach od wymiany. Nie wiem. Ale byłem tam i częściowo dzięki mnie Hallam został tym, kim teraz jest i dzięki temu także ja stałem się tym, kim jestem obecnie. Do diabła ze szczegółami. Czy to panu wystarcza? Więcej już nie powiem.

— Sądzę, że tak. Miał pan w takim razie osobisty zatarg z Hallamem, tak?

— Bynajmniej nie pałałem wtedy do niego sympatią i nadal nie pałam.

— Czy nie powiedziałby pan, że pański sprzeciw wobec Pompy Elektronowej wynikał z chęci zniszczenia Hallama?

— Czy to przesłuchanie?

— Przepraszam. Nic, o co pytam, nie będzie użyte przeciwko panu. Robię to tylko dlatego, że obawiam się o przyszłość Pompy i nie tylko.

— No cóż, nie mogę zaprzeczyć, że to moje uczucia do Hallama wywołały wszelkie moje wątpliwości. Ponieważ nie cierpiałem Hallama, skłaniałem się do opinii, że jego popularność i wielkość miały fałszywe podstawy. Pomyślałem o Pompie z nadzieją, że znajdę jakieś skazy.

— To dlatego je pan znalazł.

— Nie — powiedział ostro Denison, opuszczając pięść na poręcz fotela i wskutek tego unosząc się wyraźnie w górę. — Żadne „to dlatego”. Znalazłem skazę, ale była to prawdziwa skaza. A w każdym

razie tak mi się wydawało. Ale z pewnością nie wymyśliłem jej sobie, aby dokuczyć Hallamowi.

— Nikt nie mówi, że pan ją zmyślił, doktorze — uspokajał Gottstein. — Nawet mi to nie przyszło do głowy. Ale wszyscy wiemy, aby określić coś, czego warunki graniczne nie są znane, konieczne są pewne założenia. Założenia definiujące mglisty obszar niepewności, które mogą być wycieniowane mniej lub bardziej czarno albo biało przy absolutnej uczciwości badacza, a w zgodzie z… jego emocjami w danej chwili. Być może przyjął pan założenia, które były szczególnie antyhallamowskie.

— Ta dyskusja nie prowadzi donikąd. Wtedy wydawało mi się, że znalazłem słuszny argument. Jednakże nie jestem fizykiem. Jestem… byłem radiochemikiem.

— Hallam też był radiochemikiem, ale teraz jest najsławniejszym fizykiem na świecie.

— Ciągle jest radiochemikiem, którego rozwój zatrzymał się ćwierć wieku temu.

— Co innego w pana przypadku. Pan ciężko pracował, żeby stać się fizykiem.

Denison zacietrzewił się.

— Widzę, że się pan dokładnie przygotował.

— Mówiłem panu, wywarł pan na mnie wrażenie. Zadziwiające, jak to wraca. Teraz jednak przejdźmy do czegoś innego. Czy zna pan fizyka, który się nazywa Peter Lamont?

— Spotkałem go — przyznał z ociąganiem Denison.

— Czy powiedziałby pan, że jest błyskotliwy?

— Nie znam go wystarczająco dobrze, aby tak twierdzić, i nie lubię nadużywać słowa błyskotliwy.

— Czy powiedziałby pan, że zna się na rzeczy?

— Nic nie wskazuje na to, że się nie zna.

Komisarz ostrożnie rozciągnął się w fotelu. Mebel wyglądał filigranowo i w ziemskich warunkach na pewno nie utrzymałby jego wagi.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak poznał pan Lamonta? Czy zna go pan tylko ze słyszenia? Czy się spotkaliście? — spytał Gottstein.

— Rozmawialiśmy ze sobą tylko raz — powiedział Denison. — Lamont planował napisanie historii Pompy Elektronowej, jej początków. Chciał sporządzić pełny raport z tych legendarnych bzdur, które narosły wokół niej. Pochlebiło mi, że do mnie przyszedł i że coś o mnie znalazł. Do diabła, ucieszyło mnie, że wie, iż w ogóle istnieję. Niewiele jednak mogłem powiedzieć. Jaki byłby z tego pożytek? Nie zyskałbym na tym nic ponad kilka ironicznych uśmieszków, a miałem ich już po dziurki w nosie. Dość już mam rozmyślań. Dość rozczulania

się nad sobą.

— Czy wie pan coś o tym, co Lamont robił w czasie ostatnich lat?

— O czym pan mówi? — zapytał Denison powściągliwie.

— Jakiś rok temu, może wcześniej, Lamont rozmawiał z Burtem. Nie jestem już w biurze senatora, ale od czasu do czasu się widujemy. Napomknął mi o tym. Był przejęty. Sądził, że Lamont może mieć rację w sprawie Pompy, ale nie widział sposobu, aby tę sprawę ruszyć. Także się przejąłem…

— Jakże się wszyscy tym przejmują — sarkastycznie skomentował Denison.

— Ale teraz opadły mnie wątpliwości. Jeśli Lamont rozmawiał z panem i…

— Koniec! Koniec z tym, panie komisarzu! Coś mi się zdaje, że od początku pan do tego zmierzał, nie chcę, aby to się przedłużało. Jeśli wydaje się panu, że oskarżę Lamonta o przywłaszczenie sobie mojej myśli, grubo się pan myli. Jeszcze raz podkreślam — nie miałem żadnej uzasadnionej teorii. To był czysty domysł. Niepokoił mnie, więc go przedstawiłem przed komisją. Nie uwierzono mi, więc się zniechęciłem. Ponieważ w żaden sposób nie mogłem go przekonywająco poprzeć, zrezygnowałem. Nie wspominałem o nim w rozmowach z Lamontem, nie wyszliśmy w nich nigdy poza pierwsze dni Pompy. Do tego, na co wpadł później — co mogło przypominać mój domysł — musiał dojść zupełnie niezależnie. Jego odkrycie wydaje mi się znacznie bardziej pewne i oparte na solidnej analizie matematycznej. Nie uzurpuje sobie pierwszeństwa, niczego.

— Wiedział pan o teorii Lamonta.

— W ostatnich miesiącach było o niej głośno. Facet nie może nic publikować i nikt nie traktuje go serio, ale jakoś to się rozeszło. Dotarło nawet do mnie.

— Rozumiem, doktorze. Ja jednak traktuję go poważnie. Widzi pan, dla mnie to jakby kolejne ostrzeżenie. Sprawozdanie z pierwszego ostrzeżenia — pańskiego ostrzeżenia — nigdy nie dotarło do senatora. Nie miało nic wspólnego z nadużyciami finansowymi, których właśnie wtedy szukał. Faktyczny przewodniczący przesłuchującej komisji, ja nim nie byłem, uznał pańskie zastrzeżenia — wybaczy pan — za wariackie. Moje zdanie było inne. Kiedy ta sprawa znowu się pojawiła, zaczęła mnie niepokoić. Miałem zamiar spotkać się z Lamontem, ale fizycy, z którymi się konsultowałem…

— Łącznie z Hallamem?

— Nie, nie widziałem się z nim. Fizycy ci twierdzili, że twierdzenia Lamonta są zupełnie bezpodstawne. Mimo to nadal chciałem go spotkać, kiedy poproszono mnie o przyjęcie tego stanowiska, i cóż — znalazłem się tutaj. A ponieważ pan też tu jest, chciałem się z panem spotkać. Czy sądzi pan, że teorie przedstawione

przez pana i Lamonta mają jakąś wartość?

— Chodzi panu o to, czy kontynuacja używania Pompy Elektronowej doprowadzi do wybuchu całego ramienia Galaktyki?

— Tak, właśnie o to.

— Skąd mogę to wiedzieć? Snuję jedynie domysły, nic więcej tylko domysły. Jeśli chodzi o teorię Lamonta, nie miałem okazji jej dokładnie przestudiować, nie została opublikowana. Gdybym ją widział, być może poziom matematyki użytej w niej przekraczałby moje możliwości… Ponadto co za różnica? Lamont nie może nikogo przekonać. Hallam zrujnował go, tak jak wcześniej zniszczył mnie. Co więcej, opinia publiczna i tak uznałaby przyjęcie jego teorii za sprzeczne z jej wąsko pojętym interesem, nawet gdyby udało mu się obejść Hallama. Ludzie nie chcą zrezygnować z Pompy, toteż o wiele łatwiej jest odrzucić teorię Lamonta niż zrobić coś, żeby zmienić obecną sytuację.

— Ale pan nadal się tym jednak przejmuje?

— W tym sensie, że myślę, iż możemy naprawdę doprowadzić do samozagłady, a nie chciałbym tego nigdy dożyć.

— Przybył pan teraz na Księżyc, aby zrobić coś, co pański wróg, Hallam, uniemożliwiał panu na Ziemi.

— Widzę, że pan także lubi zgadywać?

— Czyżby? — powiedział Gottstein obojętnie. — Może także jestem błyskotliwy. Czy nie mam racji?

— Być może. Nie porzuciłem nadziei, że wrócę do nauki. Byłbym bardzo zadowolony, gdybym zdołał w jakiś sposób oddalić od ludzi widmo zagłady albo przez udowodnienie, że ono w ogóle nie istnieje, albo że istnieje i musi być usunięte.

— Rozumiem, doktorze Denison. Przejdźmy może do następnego punktu, który chciałbym z panem omówić. Mój poprzednik, odchodzący komisarz, pan Montez, powiedział mi o rosnących dokonaniach naukowych na Księżycu. Uważa, że na Księżycu znajduje się nieproporcjonalnie duża liczba umysłów, ludzie mają mnóstwo inicjatywy.

— Może mieć rację — powiedział Denison. — Nie wiem.

— Może mieć rację — zgodził się Gottstein w zamyśleniu. — Jeśli tak jest, czy nie uderza pana, że ta sytuacja może okazać się niekorzystna dla pańskich celów. Czegokolwiek pan dokona, ludzie mogą to przypisywać lunarnej strukturze naukowej. Może pan zyskać bardzo niewiele uznania dla siebie, jakkolwiek wyniki, które pan przedstawił, mogłyby okazać się wartościowe. Co, oczywiście, byłoby niesprawiedliwe.

— Dość mam już tego szaleńczego wyścigu po sławę, komisarzu Gottstein. Potrzeba mi więcej chęci do życia, więcej inspiracji, której nie mogłem znaleźć jako wiceprezes, kierujący produkcją

ultradźwiękowych depilatorów. Znajdę ją w powrocie do nauki. Jeśli czegoś dokonam, będę z siebie całkowicie zadowolony.

— Powiedzmy, że dla mnie nie byłoby to wystarczające. Jeżeli zasłużył pan sobie na uznanie, powinien je pan otrzymać. Jako komisarz mam całkiem spore możliwości przedstawienia faktów ziemskiej społeczności w taki sposób, aby uwzględniono pańskie zasługi. Jest pan chyba na tyle człowiekiem, by przyjąć, co się panu należy.

— Jest pan bardzo uprzejmy. Co w zamian?

— A pan cyniczny. Ale ma pan rację. W zamian proszę o pomoc. Odchodzący komisarz Montez nie zna zakresu badań naukowych prowadzonych na Księżycu. Komunikacja pomiędzy ludźmi na Ziemi i na Księżycu daleka jest od doskonałości i koordynacja wysiłków na obu światach wyszłaby wszystkim na korzyść. Zrozumiałe jest, że istnieje pewna nieufność. Ale gdyby zrobił pan coś, by ją przerwać, byłoby to dla nas równie cenne jak pańskie odkrycia naukowe.

— Z pewnością wie pan, komisarzu, że nie jestem najlepszą osobą do przekonywania Lunarian o sprawiedliwości i dobrotliwości ziemskich instytucji naukowych.

— Nie powinien pan utożsamiać jednego zawistnego naukowca z wszystkimi ludźmi na Ziemi. Ujmijmy to tak: byłbym bardzo wdzięczny, gdyby informował mnie pan o swoich dokonaniach naukowych, abym mógł panu umożliwić zachowanie pańskiego wkładu; a w celu właściwego zrozumienia pańskich odkryć — nie jestem naukowcem z zawodu, niech pan o tym nie zapomina — byłoby dla mnie bardzo pomocne, gdyby pan wytłumaczył je w świetle obecnego stanu nauki na Księżycu. Zgoda?

— Prosi pan o niełatwą rzecz. Przedwczesne ujawnienie wstępnych wyników, czy to z powodu lekkomyślności, czy nadmiaru entuzjazmu — może bardzo zaszkodzić mojej reputacji. Z wielką niechęcią rozmawiałbym o tym z kimkolwiek, zanim nie będę pewny swego. Moje wcześniejsze doświadczenie z komisją, której był pan członkiem, nauczyły mnie ostrożności.

— Rozumiem — powiedział pogodnie Gottstein. — Decyzję, kiedy należy mnie poinformować, zostawiam panu… Chyba pana zatrzymałem za długo i chce pan się położyć spać.

Denison wyszedł. Gottstein pogrążył się w myślach.

7

Denison otworzył drzwi ręcznie. Gdzieś był włącznik, który otwierał je automatycznie, ale Denison, nie otrząsnąwszy się jeszcze ze snu, nie zdołał go znaleźć.

— Czy nie przybyłem za wcześnie? — powiedział ciemnowłosy mężczyzna z odcieniem ironii w głosie.

— Wcześnie?… — Denison powtarzał ostatnie jego słowo, dając sobie czas na zebranie myśli. — Nie, chyba… chyba to ja się spóźniłem.

— Dzwoniłem do pana. Umówiliśmy się na… Wreszcie Denison wiedział, z kim ma do czynienia. — O tak. Doktor Neville?

— Właśnie. Czy mogę wejść?

Nie czekając na odpowiedź, wkroczył do pomieszczenia. Pokój Denisona był mały. Rozesłane łóżko zajmowało prawie całe wolne miejsce. Wentylator cichutko mruczał.

Neville zaczął od zdawkowych uprzejmości: — Mam nadzieję, że spał pan dobrze.

Denison spojrzał na swoją piżamę i przesunął ręką po zmierzwionych włosach.

— Nie — odparł. — Miałem straszną noc. Pozwoli pan, że pozostawię pana samego do czasu, aż doprowadzę się do porządku.

— Ależ oczywiście. Ja może tymczasem przygotuję coś do jedzenia. Chyba pan nie jest jeszcze zaznajomiony z urządzeniami kuchennymi.

— To bardzo uprzejme z pańskiej strony — powiedział Denison.

Umyty i ogolony wrócił po dwudziestu minutach w spodniach i podkoszulku. — Mam nadzieję, że nie zepsułem prysznica. Woda przestała się lać i nie mogłem go uruchomić.

— Woda jest racjonowana. Tylko tyle mógł pan dostać. Mieszka pan na Lunie, doktorze. Pozwoliłem sobie przygotować jajecznicę i gorącą zupę dla nas obydwóch.

— Jajecznicę?

— Tak to nazywamy. Ziemianie, jak sądzę, chybaby jej tak nie nazwali.

— Aha — przyznał Denison. Usiadł i, nie przejawiając zbytniego entuzjazmu, spróbował żółtej mieszanki o konsystencji pasty, którą Neville nazywał jajecznicą. Starał się nie krzywić, próbując pierwszej porcji, przełknął ją i dzielnie nabrał widelcem następną.

— Przyzwyczai się pan z czasem — powiedział Neville. — Jest bardzo pożywna. Uprzedzam pana, że wysokoproteinowa dieta i niska grawitacja zredukują pańskie potrzeby żywnościowe.

— To chyba dobrze — powiedział Denison chrząkając.

— Selene powiedziała mi, że zamierza pan zostać na Księżycu.

— W istocie. — Przetarł oczy. — Miałem jednak straszną noc. Wystawiła moją decyzję na ciężką próbę.

— Ile razy spadł pan z łóżka?

— Dwa… Jak sądzę, zdarza się to dość często na Księżycu.

— Ludziom z Ziemi zawsze. Człowiek, kiedy jest świadomy, zmusza się do poruszania, uwzględniając inną grawitację. We śnie natomiast rzuca się, jakby był na Ziemi. Przynajmniej jednak spadanie nie jest takie bolesne.

— Za drugim razem trochę sobie pospałem na podłodze, zanim się obudziłem. Nie pamiętam, jak spadłem. Jak, u diabła, można temu zaradzić?

— Nie powinien pan zaniedbywać okresowych badań serca, ciśnienia i tak dalej, choćby tylko po to, żeby upewnić się, czy zmiana grawitacji nie nadwerężyła pana zdrowia.

— Ostrzegano mnie już dość skrupulatnie — powiedział z niesmakiem Denison. — Mam się stawić na badania kilka razy w następnym miesiącu. I przepisano mi tabletki.

— To dobrze — rzucił obojętnie Neville. — Za tydzień prawdopodobnie nie będzie pan miał już żadnych kłopotów… Przydałaby się panu odpowiednia odzież. Te spodnie są do niczego, a to, co ma pan na górnej części ciała, jest zupełnie niepotrzebne.

— Jak mniemam, mogę gdzieś kupić stosowne ubranie.

— Oczywiście. Gdyby się pan zechciał spotkać z Selene, chętnie panu pomoże, kiedy będzie miała wolne, jestem tego pewien. Zapewniała mnie, że jest pan z tych przyzwoitych.

— Bardzo się cieszę, że tak myśli. — Przełknąwszy łyżkę zupy, Denison wyglądał, jakby się zastanawiał, co zrobić z resztą. Kontynuował jedzenie z ponurym samozaparciem.

— Uznała pana za fizyka, ale, oczywiście, myliła się.

— Mam wykształcenie radiochemiczne.

— Nie pracował pan jednak w tej dziedzinie długi czas. Mieszkamy na końcu świata, ale to nie oznacza, że nic do nas nie dociera. Jest pan jedną z ofiar Hallama.

— Czy jest ich tak dużo, że można mówić o nas jako o grupie?

— Dlaczego nie? Cały Księżyc jest ofiarą Hallama.

— Księżyc?

— W pewnym sensie.

— Nie rozumiem.

— Nie mamy własnej Pompy Elektronowej. Nie zbudowano tu ani jednej pompy, ponieważ paraświat nie podjął współpracy. Paraludzie rzekomo nie przyjęli próbek wolframu z Księżyca.

— Nie sugeruje pan chyba, że stoi za tym Hallam? — W pewnym sensie tak. Dlaczego tylko paraświat może zapoczątkować Pompę

Elektronową? Dlaczego nie my?

— Z tego co wiem, brak nam dostatecznej wiedzy i inicjatywy.

— I będzie tak dalej, jeśli badania tego kierunku nadal będą zabronione.

— Zabronione? — powtórzył Denison z nutą zaskoczenia w głosie.

— Tak, taki jest stan faktyczny. Jeśli żadna praca, konieczna do zwiększenia wiedzy w tym zakresie, nie otrzymuje należnej preferencji przy synchrotronie protonowym ani żadnym innym większym urządzeniu — a wszystkie z nich są kontrolowane przez Ziemię, i co za tym idzie w granicach wpływów Hallama — w takim razie badania są praktycznie zabronione.

Denison przetarł oczy.

— Podejrzewam, że będę musiał jeszcze pospać… Przepraszam. Nie chciałem przez to powiedzieć, że mnie pan zanudza. Ale niech mi pan powie, czy Pompa Elektronowa jest tak bardzo potrzebna na Księżycu? Baterie słoneczne są przecież wysoce wydajne i zapewniają wystarczającą ilość energii.

— Przywiązują nas do Słońca, doktorze. Uzależniają od powierzchni.

— Tak… Ale dlaczego Hallam miałby tak krytycznie oceniać ten pomysł, doktorze Neville?

— Powinien pan to wiedzieć lepiej niż ja, pan go zna przecież osobiście. Hallam woli, żeby opinia publiczna pozostała nieświadoma tego, iż cały projekt Pompy Elektronowej jest pomysłem paraludzi, a my odegraliśmy w nim jedynie pomocniczą rolę. Gdybyśmy na Księżycu osiągnęli pełną wiedzę o technologii parapompowania, wtedy nastąpiłby prawdziwy moment narodzin Pompy, i Hallam nie miałby z tym nic wspólnego.

— Dlaczego mi pan o tym mówi?

— Żeby uniknąć niepotrzebnej straty czasu. Zawsze witamy z otwartymi rękami fizyków przybywających z Ziemi. Czujemy się odcięci od Ziemi. Jesteśmy ofiarami przemyślanej polityki ziemskiej skierowanej przeciwko nam. Odwiedzający nas fizyk może okazać się bardzo pomocny, choćby tylko przez danie nam poczucia mniejszej izolacji. Fizyk imigrant jest dla nas jeszcze cenniejszy, wyjaśniamy mu sytuację i zachęcamy go do współpracy z nami. Żałuję, że nie jest pan fizykiem.

— Nigdy nie twierdziłem, że jestem — Denison przerwał niecierpliwie.

— Ale chciał pan zobaczyć synchrotron. Dlaczego?

— Czy właśnie to nie daje panu spokoju? Mój drogi panie Neville, zaraz to wyjaśnię. Dwadzieścia pięć lat temu moja kariera naukowa została kompletnie zrujnowana. Teraz postanowiłem się

zrehabilitować, nadać nowy sens memu życiu, tak daleko od Hallama, jak tylko to możliwe — co oznacza Księżyc. Mam wykształcenie radiochemika, ale nie ograniczyło mnie to zupełnie, jeżeli chodzi o inne dziedziny. Parafizyka jest obecnie najważniejszą dziedziną nauki i zrobiłem, co tylko się dało, aby ją poznać, czując, że właśnie ona rokuje mi największe nadzieje na rehabilitację.

Neville pokiwał głową.

— Rozumiem — powiedział z nie ukrywanym powątpiewaniem.

— Nawiasem mówiąc, ponieważ już pan wspominał Pompę Elektronową… Może słyszał pan o Lamencie?

Neville przyglądał się bacznie rozmówcy.

— Nie. Nie wydaje mi się, abym o nim słyszał.

— Nie jest jeszcze sławny. Prawdopodobnie nigdy nie będzie, głównie z tego samego powodu co ja. Wszedł Hallamowi w drogę… Niedawno ktoś przypomniał mi jego nazwisko, myślałem w nocy o jego odkryciach. Był to jeden ze sposobów zabijania czasu podczas bezsennej części nocy. — Ziewnął.

— Tak, doktorze? — ponaglał niecierpliwie Neville. — Kim jest ten człowiek? Jak się nazywa?

— Peter Lamont. Ma na swoim koncie kilka interesujących hipotez dotyczących parateorii. Wierzy, że wskutek kontynuacji używania Pompy Elektronowej natężenie oddziaływań jądrowych w obrębie Układu Słonecznego wzrośnie i że stopniowo Słońce będzie się stawać jeszcze bardziej gorące, by w pewnym momencie ulec przemianie fazowej, która doprowadzi do jego wybuchu.

— Nonsens! Wie pan, jak małe są zmiany wywołane działalnością Pompy w skali kosmicznej. Pomimo że jest pan fizykiem samoukiem, powinien pan bez trudności zauważyć, że Pompa w żaden sposób nie może spowodować wyczuwalnych zmian przez cały czas trwania Układu Słonecznego.

— Tak pan sądzi?

— Oczywiście. A pan nie?

— Mam pewne wątpliwości. Lamont ma z Hallamem na pieńku. Po krótkim spotkaniu z nim miałem wrażenie, że jest osobą łatwo dającą się ponosić emocjom. Przez Hallama jego droga była najeżona trudnościami, więc prawdopodobnie kieruje nim ogromny gniew.

Neville zmarszczył brwi.

— Jest pan pewien, że on jest wrogiem Hallama?

— W tej dziedzinie jestem ekspertem.

— Czy nie wydaje się panu, że wprowadzenie tego rodzaju wątpliwości — domniemanego niebezpieczeństwa Pompy — może być jeszcze jedną wymówką, żeby nie pozwolić na zakładanie stacji Pomp na Księżycu?

— Kosztem ogólnego alarmu i przygnębienia? Wykluczone. To

byłoby jak łupanie orzechów wybuchami jądrowymi. Nie, jestem pewien, że Lamont jest szczery. Prawdę mówiąc, również myślałem o podobnej koncepcji, tyle że nie była ona tak dobrze dopracowana.

— Panem także kieruje nienawiść do Hallama.

— Nie jestem Lamontem. Nie sądzę, bym reagował tak samo jak on. Właściwie miałem niejaką nadzieję, że będę mógł głębiej się zająć tą sprawą tu, z dala od Hallama, który mógłby się mieszać w moje sprawy, i od emocjonalizmu Lamonta.

— Tutaj na Księżycu?

— Właśnie tutaj. Myślałem, że może się mi uda skorzystać z synchrotronu.

— I dlatego się pan nim interesował? Denison przytaknął.

— Czy naprawdę myśli pan, że będzie mógł użyć synchrotronu? Czy wie pan, że na rozpatrzenie czekają całe stosy wniosków?

— Myślałem, że nawiążę współpracę z miejscowymi naukowcami.

Neville roześmiał się i potrząsnął głową. — Nasze możliwości są równie małe jak pańskie… Mam jednak inną propozycję. Posiadamy własne laboratoria. Możemy panu przyznać miejsce w jednym z nich, może nawet zapewnić sprzęt. Trudno mi powiedzieć, czy będzie do czegoś przydatny, ale może pan jakoś z niego skorzysta.

— Czy sądzi pan, że będę mógł dzięki waszym urządzeniom wnieść coś nowego do parateorii?

— Będzie to, jak sądzę, w znacznym stopniu zależało od pańskiej pomysłowości. Spodziewa się pan udowodnienia teorii Lamonta?

— Albo obalenia.

— Obali ją pan w takim razie. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

— Przyznałem, że nie jestem fizykiem, prawda? Dlaczego więc tak chętnie oferuje pan mi miejsce w laboratorium?

— Bo jest pan z Ziemi. Mówiłem panu, że to cenimy, a pana samodzielnie zdobyte wykształcenie może mieć nawet dodatkową wartość. Jesteśmy ofiarami Hallama i to nas łączy. Selene stawia na pana, liczę się z jej zdaniem, może nawet za bardzo. Jeśli pragnie się pan zrehabilitować, wesprzemy pana.

— Przepraszam, jeśli to zabrzmi cynicznie. Czego oczekujecie w zamian?

— Pańskiej pomocy. Między naukowcami z Ziemi i Księżyca narosło wiele nieporozumień. Jest pan Ziemianinem, który przybył tu z własnej woli i który mógłby zostać naszym pośrednikiem, co przyniosłoby korzyść obu stronom. Już rozmawiałem o tym z nowym komisarzem. Być może rehabilitując siebie, zrehabilituje pan także nas.

— Innymi słowy, mówi pan, że osłabienie wpływów Hallama przyniesie korzyść także nauce na Księżycu.

— Cokolwiek pan dokona, z pewnością przyniesie nam korzyść… Chyba powinienem już pana zostawić, aby mógł pan nadrobić zaległości w spaniu. Proszę mnie odwiedzić w najbliższych dniach. Zobaczę, co się da zrobić, żeby panu zapewnić miejsce w laboratorium. I… — rozejrzał się — może jakieś wygodniejsze mieszkanie.

Podali sobie ręce. Neville wyszedł.

8

— Przypuszczam, że bez względu na to, jak nieprzyjemne mogło być to stanowisko, wyjeżdża pan z pewnym ociąganiem — powiedział Gottstein.

Montez wymownie wzruszył ramionami. — Dużym, kiedy przypomnę sobie, że wracam do normalnej grawitacji. Trudności z oddychaniem, obolałe stopy, pocenie się. Ciągle będzie ze mnie spływał pot.

— Kiedyś przyjdzie moja kolej.

— Niech pan posłucha mnie. Radzę nigdy nie przebywać tutaj dłużej niż dwa miesiące bez przerwy. Nieważne, co mówią lekarze i jakie ćwiczenia izometryczne każą robić, niech pan wraca na Ziemię co sześćdziesiąt dni i przebywa tam co najmniej tydzień. Trzeba sobie przypominać, jak jest na Ziemi.

— Będę o tym pamiętał… Aha, skontaktowałem się z naszym przyjacielem.

— Z jakim przyjacielem?

— Człowiekiem, który był ze mną na statku, kiedy przyjechałem tutaj. Wydawało mi się, że pamiętam go skądś i w końcu sobie przypomniałem. Nazywa się Denison, radiolog. Pamiętałem go zupełnie dobrze.

— Tak?

— Jego swoista irracjonalność utkwiła mi w pamięci. Próbowałem go wybadać. Opierał się całkiem sprytnie. Sprawiał wrażenie kompletnie racjonalnego, tak racjonalnego, że wzbudził we mnie podejrzenia. Rozsądek niektórych wariatów wydaje się często bardzo przekonujący, ale ich racjonalność to rodzaj kamuflażu.

— O Boże — westchnął Montez, najwyraźniej strapiony. — Obawiam się, że nie rozumiem, o co panu chodzi. Pozwoli pan, że usiądę. Myślenie o tym, czy wszystko zostało spakowane i o ziemskiej grawitacji, przyprawia mnie o utratę tchu… Cóż to za irracjonalność?

— Kiedyś próbował nam wmówić, że używanie Pompy Elektronowej może okazać się niebezpieczne. Uważał, że może spowodować wybuch całego Wszechświata.

— Naprawdę? Czy to możliwe?

— Mam nadzieję, że nie. W tamtym czasie odrzucono jego zarzuty bez wahania. Kiedy uczeni zajmują się problemem na krawędzi możliwości ludzkiego poznania, stają się drażliwi. Znałem psychiatrę, który nazywał to zjawiskiem „gdybania". Jeśli żadne badania nie mogą zapewnić wiedzy, kończy się na mówieniu „Co byłoby, gdyby tak…?" i rozwiązanie podsuwa wyobraźnia.

— Tak, ale jeśli fizycy zaczynają tak mówić, nawet kilku

mogłoby…

— Ale tego nie robią. W każdym razie oficjalnie. Istnieje tak zwana odpowiedzialność naukowa i czasopisma naukowe są na tyle ostrożne, że nie drukują bzdur… Lub tego, co uznają za bzdury. Wie pan, sprawa znowu nabiera rozgłosu. Doktor Lamont, fizyk, rozmawiał o tym z senatorem Burtem, z Chenem — prekursorem ochrony środowiska — i z kilkoma innymi. On również utrzymuje, że dojdzie do kosmicznej eksplozji. Nikt mu nie wierzy, ale wieść się rozchodzi i wzbogaca o nowe szczegóły z każdym powtórzeniem.

— I ten człowiek, który z panem przyleciał, w to wierzy?

Gottstein uśmiechnął się szeroko. — Podejrzewam, że tak. Do diabła, w środku nocy, kiedy nie mogę zasnąć — ciągłe spadam z łóżka — sam w to wierzę. Chyba będzie chciał tutaj dowieść swej teorii eksperymentalnie.

— Więc?

— Więc mu na to pozwolę. Dałem mu do zrozumienia, że mu pomożemy.

Montez pokręcił głową. — To ryzykowne. Nie chciałbym oficjalnie popierać zwariowanych pomysłów.

— Widzi pan, istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że nie są one wcale zwariowane. Ale nie o to chodzi, sedno w tym, że kiedy zacznie tu pracować, będziemy mogli się zorientować — dzięki niemu — co się dzieje. Bardzo chciałby odzyskać reputację. Napomknąłem, że rehabilitacja znacznie łatwiej dojdzie do skutku, jeśli będzie z nami współpracował… Będę się starał pana dyskretnie informować o rozwoju wydarzeń. Po przyjacielsku.

— Dziękuję — powiedział Montez. — I do widzenia.

9

Neville droczył się. — Nie. Nie podoba mi się.

Nie lubię go.

— Dlaczego? Bo jest Ziemiakiem? — Selene strzepnęła jakąś nitkę ze swej prawej piersi, złapała ją i przyglądała się jej krytycznie. — To nie z mojej bluzki. Mówię ci, recyrkulacja powietrza staje się nie do zniesienia.

— Ten Denison jest do niczego. Nie jest parafizykiem. Jest samoukiem, jak sam przyznał, i udawadnia to, głosząc nie sprawdzone bzdurne teorie.

— Na przykład?

— Myśli, że Pompa Elektronowa spowoduje eksplozję Wszechświata.

— Powiedział coś takiego?

— Wiem, że tak myśli… Znam jego argumenty. Dość już się o nich nasłuchałem. Ale to nieprawda.

— Albo może nie chcesz — powiedziała Selene, ściągając brwi — żeby to była prawda.

— Nie zaczynaj — rzucił Neville.

Nastąpiła krótka przerwa. Selene odezwała się: — Co z nim zrobisz?

— Dam mu miejsce w laboratorium. Jako naukowiec jest chyba do niczego, ale może się okazać pożyteczny. Będzie zwracał uwagę. Komisarz już się z nim spotkał.

— Wiem.

— Ciągnie się za nim romantyczna sława człowieka o zniszczonej karierze, próbującego się zrehabilitować.

— Naprawdę?

— Tak. Jestem pewien, że to ci się spodoba. Jeśli go poprosisz, bez wątpienia opowie ci swoją historię. I dobrze. Romantyczny Ziemianin, pracujący nad zwariowanym pomysłem na Księżycu, odwróci uwagę komisarza od nas. Będzie ślepym zaułkiem, atrapą. A kto wie, może dzięki niemu zrozumiemy lepiej, co się dzieje na Ziemi… Lepiej utrzymuj z nim nadal przyjacielskie stosunki.

10

Selene zaśmiała się. W głośniczku, znajdującym się przy uchu Denisona, jej śmiech miał metaliczne brzmienie. Postać kobiety ginęła w skafandrze kosmicznym.

— No chodź, Benie, nie ma się czego bać. Jesteś już starym wygą… Przecież jesteś tu cały miesiąc.

— Dwadzieścia osiem dni — wymamrotał Denison. — Czuł się, jakby kombinezon go dusił.

— Miesiąc — nalegała Selene. — Kiedy tutaj przyjechałeś, Ziemia była w pierwszej kwadrze i teraz jest znowu w pierwszej kwadrze. — Wskazała palcem na jasny łuk Ziemi na południowej części nieba.

— No dobrze, ale poczekaj chwilę. Czuję się tutaj mniej pewnie niż pod powierzchnią. Co by się stało, gdybym się przewrócił?

— Nic wielkiego. Grawitacja jest słaba, stok łagodny, masz mocny kombinezon. Gdybyś spadał, po prostu zjeżdżaj albo się sturlaj. To jest nawet zabawne.

Denison rzucił jej powątpiewające spojrzenie.

Przed nim rozciągał się krajobraz Księżyca zalanego światłem Ziemi. Dominowała biel i czerń, krajobraz był delikatny i łagodny w przeciwieństwie do tego, który widział w ostrym świetle Słońca wtedy, kiedy wybrał się zwiedzać baterie słoneczne, rozciągające się po krańce horyzontu na dnie Morza Deszczów. Teraz czerń zdawała się mniej intensywna, nie było tak silnego kontrastu jak za dnia. Gwiazdy wydawały się niezwykle jasne, a Ziemia — błękitnobrązowa kula spowita bielą chmur — nieskończenie bardziej atrakcyjna.

— Czy masz coś przeciwko temu, że będę się trzymał blisko ciebie?

— Ależ skąd. Nie wejdziemy na sam szczyt. Zaczniemy od stoku dla początkujących. Spróbuj dotrzymać mi kroku. Będę szła bardzo powoli.

Posuwała się naprzód, powolnymi, wydłużonymi krokami. Jej ruchy nasuwały Denisonowi na myśl obraz boi podskakującej na falach. Mężczyzna starał się uchwycić rytm jej chodu. Pochyły grunt pod ich stopami był tak miałki, że każdy krok wzbijał chmury pyłu, szybko opadającego z braku powietrza, które mogłoby go unosić. Denison nadążał za nią z widocznym wysiłkiem.

— Dobrze — powiedziała Selene, trzymając go za rękę, pomagając mu zachować równowagę. — Idzie ci bardzo dobrze jak na Ziemiaka — a właściwie powinnam chyba powiedzieć na Miga…

— Dziękuję.

— Nie brzmi to wcale lepiej, jak mi się wydaje. Mówienie Mig na imigranta jest równie obraźliwe jak Ziemiak na Ziemianina. Może

powinnam powiedzieć po prostu, że idzie ci bardzo dobrze jak na osobę w twoim wieku.

— Nie! To jeszcze gorsze. — Denison troszeczkę posapywał i poczuł na skroniach wilgoć potu.

— Za każdym razem, kiedy masz już położyć wysuniętą stopę na gruncie, odbij się lekko drugą nogą. Spowoduje to przedłużenie kroku i ułatwi ci chód. Nie, nie tak — spójrz na mnie.

Denison zatrzymał się i z wdzięcznością obserwował, jak Selene z wrodzoną gracją, pomimo groteskowego kombinezonu, wykonuje kilka niskich susów. Wróciła i przyklęknęła przy jego stopach.

— Teraz ty, Benie. Uderzę w twoją stopę wtedy, kiedy powinieneś się odbić.

Próbowali kilka razy, aż Denison powiedział: — To gorsze niż bieganie na Ziemi. Lepiej trochę odpocznę.

— Zgoda. To dlatego, że twoje mięśnie nie są przyzwyczajone do odpowiedniej koordynacji ruchów. Po prostu musisz pokonać opór własnego ciała, a nie grawitacji… Usiądź i złap oddech. Nie będziemy wchodzić wiele wyżej.

— Czy zniszczę coś w plecaku, jeżeli się na nim położę?

— Nie, ale to nie jest najlepszy pomysł. Nie na gołej ziemi. Jest tylko 120 stopni w skali Kelwina, albo inaczej minus 150 stopni Celsjusza, i im mniejsza powierzchnia styczności, tym lepiej. Ja bym raczej usiadła.

— Dobrze. — Denison sapnął i chwiejąc się lekko usiadł. Umyślnie patrzył na północ, unikając widoku Ziemi. — Jakie piękne gwiazdy!

Selene siedziała do niego bokiem. Chwilami widział jej twarz, kiedy światło, padające pod odpowiednim kątem, przenikało osłonę hełmu.

— Nie widujecie gwiazd na Ziemi?

— Nie takie jak tutaj. Nawet przy bezchmurnej pogodzie powietrze absorbuje część światła. Różnice temperatury w atmosferze powodują, że gwiazdy migają, a miejskie oświetlenie — nawet całkiem odległych miast — sprawia, że są mniej wyraźne.

— To musi być okropne.

— Czy podoba ci się tutaj, Selene? Na powierzchni?

— Nie przepadam za powierzchnią, ale lubię tu wyjść od czasu do czasu. Naturalnie pokazywanie jej turystom należy do moich zawodowych obowiązków.

— A teraz jesteś tu z mojego powodu.

— Nigdy nie przekonam cię, że to coś zupełnie innego, Benie? Dla turystów mamy wyznaczone trasy. Bardzo nudne i nieciekawe. Chyba nie myślisz, że przyprowadzilibyśmy ich tutaj, żeby sobie pojeżdżali? To rozrywka dla Lunarian — i Migów. Właściwie głównie dla Migów.

— Nie wydaje się zbyt popularna. Oprócz nas nie ma tu nikogo.

— No cóż, na tego rodzaju rozrywkę są wyznaczone dni. Gdybyś tylko zobaczył to miejsce w czasie wyścigów. Chyba jednak by ci się to nie podobało.

— Nie jestem nawet pewien, czy teraz mi się podoba. Więc zjeżdżanie jest sportem przede wszystkim dla Migów?

— Raczej tak. Lunarianie nie za bardzo lubią wychodzić na powierzchnię.

— A doktor Neville?

— Chodzi ci o to, czy lubi powierzchnię?

— Tak.

— Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że nigdy nie postawił na niej stopy. Jest gorszy niż kret, jeśli o to chodzi. Dlaczego pytasz?

— Kiedy prosiłem o pozwolenie na wyjście z grupą dokonującą rutynowej kontroli baterii słonecznych, nie miał nic przeciwko temu, bym poszedł, ale sam iść nie chciał. Właściwie go o to prosiłem, sądząc, że gdyby mi się nasunęły jakieś pytania, mógłby mi na nie odpowiedzieć. Odmówił dość kategorycznie.

— Mam nadzieję, że znalazł się ktoś, kto odpowiedział na twoje pytania.

— A tak. Był tam taki jeden. Mig, jak sądzę. Może awersja do powierzchni wyjaśnia postawę Neville'a w sprawie Pompy Elektronowej.

— Co przez to rozumiesz?

— No — Denison odchylił się do tyłu i wymachiwał na przemian nogami, obserwując z błogą przyjemnością, jak podnoszą się i powoli opadają. — Hej, to jest nawet przyjemne. Selene, zobacz… Chodzi mi o to, że Neville upiera się, aby zbudowano Stację Pomp na Księżycu, mimo że baterie słoneczne zupełnie wystarczają. Na Ziemi nie możemy wykorzystywać baterii słonecznych z braku stałego nasłonecznienia. Słońce nie świeci tam tak regularnie, intensywnie i we wszystkich zakresach. *Żadna* planeta, a nawet w ogóle żadne ciało niebieskie w Układzie Słonecznym nie nadaje się do wykorzystywania energii słonecznej lepiej niż Księżyc. Nawet Merkury, bo jest za gorący. Ale wykorzystywanie tej energii wiąże was z powierzchnią, a jeśli powierzchni nie lubicie…

Selene poderwała się nagle i powiedziała: — Dobra, dość sobie już odpoczęłeś. Wstawaj!

Podniósł się niezdarnie, ciągnąc: —…Stacja Pomp sprawiłaby, że Lunarianie nie musieliby już wcale wychodzić na powierzchnię, nie byłoby potrzeby.

— Na górę, Benie. Podejdziemy do pierwszego grzbietu. To tam, gdzie światło Ziemi odbija się od gładkiej powierzchni na skraju horyzontu. Widzisz?

Ostatni odcinek drogi przeszli w milczeniu. Wkrótce Denison zdał sobie sprawę, że z boku rozpościera się gładkie, szerokie zbocze, z którego usunięto pył.

— Jest zbyt gładkie dla początkujących — odgadła jego myśli Selene. — Nie bądź zbyt ambitny, jeszcze chwila, a poprosisz, bym cię nauczyła skoku kangura.

Mówiąc to, fiknęła kozła w powietrzu, lądując na nogi w ostatnim, zdawałoby się, momencie. — Podejdź tutaj. Usiądź, dopasuję ci…

Denison usiadł twarzą do zbocza. Spoglądał niepewnie w dół. — Naprawdę da się z tego zjechać?

— Oczywiście. Grawitacja księżycowa jest mniejsza niż ziemska, stąd nacisk wywierany przez twoje ciało na podłoże także jest mniejszy, tarcie jest więc też mniejsze. Na Księżycu jest bardziej ślisko niż na Ziemi. Dlatego podłogi na naszych korytarzach i w apartamentach wydawały się ci nie wykończone. Czy chcesz usłyszeć krótki wykład na ten temat? Taki, jak te, które robię turystom?

— Nie, dziękuję.

— A poza tym będziemy zjeżdżać na ślizgaczach. — W ręce trzymała jakieś nieduże urządzenie. Wystawały z niego uchwyty i pary małych tubek.

— Co to jest? — spytał Ben.

— Zbiorniczki z gazem w stanie ciekłym. Będą emitować obłoczek pary pod twoimi butami. Cienka warstwa gazu pomiędzy butami i powierzchnią zbocza zredukuje tarcie praktycznie do zera. Będziesz zjeżdżał jak po lodzie.

Denison niespokojnie zaprotestował: — Nie popieram tego. W ten sposób marnotrawicie gaz na Księżycu.

— Też coś. Myślisz może, że w ślizgaczach wykorzystujemy dwutlenek węgla? Albo tlen? Używamy gazu, który sam jest odpadkiem. Argonu. Występuje tu w ogromnych ilościach, powstał w ciągu miliardów lat połowicznego rozpadu potasu 40… To jeszcze jedna część mojego wykładu, Benie… Argon na Księżycu ma tylko kilka wąskich zastosowań. Możemy używać go w ślizgaczach przez miliony lat, nie wyczerpując jego zapasów… No dobrze. Masz je już na nogach. Poczekaj jeszcze, aż założę swoje.

— Jak działają?

— Są automatyczne. Kiedy zaczynasz zjeżdżać, uruchamiasz przełącznik, otwierając tym samym dopływ pary. W zbiorniczkach zawarty jest tylko kilkuminutowy zapas, ale więcej nam nie trzeba.

Wstała i pomogła Denisonowi stanąć na nogach. — Patrz przed siebie… No, Benie, to bardzo łagodny stok. Jest prawie płaski.

— Wcale nie — sprzeciwiał się nerwowo Denison. — Dla mnie to wygląda jak przepaść.

— Opowiadasz bzdury. Słuchaj teraz uważnie i zapamiętaj, co ci powiem. Postaraj się trzymać nogi rozstawione na mniej więcej dwadzieścia centymetrów. Jedną nogę wysuń kilka centymetrów do przodu. Nieważne którą. Kolana ugięte. Nie wychylaj się do przodu, przeciwstawiając oporowi powietrza, bo tu żadnego powietrza nie ma. Nie próbuj patrzeć w górę albo do tyłu. Jeśli już koniecznie będziesz chciał, możesz patrzyć na boki. Przede wszystkim, kiedy już znajdziesz się u podnóża stoku, nie próbuj się za wcześnie zatrzymywać, będziesz jechał znacznie szybciej, niż ci się może wydawać. Pozwól, żeby pęd zmalał, wtedy samo tarcie cię wyhamuje.

— Nigdy tego sobie nie zdołam przypomnieć.

— Przypomnisz sobie, zobaczysz. W razie czego, będę tuż za tobą z boku. Gdybyś upadł, a ja nie zdążyłabym cię złapać, nic nie próbuj. Rozluźnij się i sturlaj się albo zsuń w dół. Nie ma tu żadnych kamieni, o które mógłbyś się rozbić.

Denison przełknął ślinę i spojrzał przed siebie. Południowy stok wzgórza błyszczał światłem odbitym od Ziemi. Plamki czerni wskazywały na miejsca, gdzie nierówności w terenie przecinały drogę ziemskich promieni. Tuż za zboczem wisiał ogromny rogal Ziemi, a za nim roztaczała się czerń nieba.

— Gotów? — zapytała Selene. Jej ręka, osłonięta grubą rękawicą, spoczęła między jego barkami.

— Gotów — wydusił Denison.

— No to — start! — Popchnęła go. Denison poczuł, że rusza. Z początku posuwał się dość wolno. Obrócił się niepewnie w jej kierunku. Selene uspokoiła go: — Nie bój się. Jestem tuż za tobą.

Czuł powierzchnię przesuwającą się pod stopami… Po czym przestał ją czuć. Uruchomił się ślizgacz.

Przez chwilę miał wrażenie, że stoi w miejscu. Nie czuł oporu powietrza, nie czuł też, by cokolwiek poruszało się pod podeszwami jego butów. Kiedy jednak ponownie obrócił się w kierunku Selene, zauważył, że światła i cienie uciekają do tyłu ze stopniowo narastającą szybkością.

— Patrz się na Ziemię — powiedziała mu do ucha Selene — aż nabierzesz prędkości. Im szybciej będziesz zjeżdżał, tym łatwiej ci będzie utrzymać równowagę. Kolana ugięte… Idzie ci całkiem nieźle.

— Jak na Miga — wystękał Denison.

— Jak ci się to podoba?

— Czuję się, jakbym leciał — odpowiedział. Światełka i cienie po bokach zmieniły się w niewyraźną smugę. Spoglądał ukradkowo to w jedną, to w drugą stronę, próbując przekształcić wrażenie ucieczki świateł i cieni do tyłu w poczucie własnego ruchu do przodu. Kiedy tylko mu się to udało, musiał szybko spojrzeć przed siebie, na Ziemię, żeby odzyskać równowagę. — Obawiam się — dodał — że to

porównanie nie jest dla ciebie zbyt jasne. Nigdy nie doświadczyłaś latania.

— Teraz już wiem, uczucie latania jest bliskie doznaniom w czasie zjeżdżania. Nie musisz mi mówić, co to jest zjeżdżanie.

Bez trudu nadążała za nim.

Denison poruszał się już na tyle szybko, żeby postrzegać swój ruch, patrząc przed siebie. Kolejne elementy krajobrazu Księżyca umykały za jego plecami. — Jak szybko można zjeżdżać na ślizgaczach?

— W czasie porządnych wyścigów — wyjaśniła Selene — notowano prędkości dochodzące do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, naturalnie na bardziej stromych zboczach niż to. Ty prawdopodobnie przekroczysz pięćdziesiąt.

— Jakoś wydaje mi się, że jadę znacznie szybciej.

— To tylko złudzenie. Zaczyna się równina, a jednak nie przewróciłeś się. Tak trzymaj, zaraz ślizgacz się wyłączy i poczujesz tarcie. Nie rób nic, żeby je zwiększyć. Po prostu leć dalej.

Ledwo Selene skończyła, Denison poczuł pod stopami lekki opór. Od razu pojawiło się wrażenie ogromnej prędkości. Zacisnął dłonie mocno w pięści, powstrzymując się od odruchowego wyrzucenia przed siebie rąk, aby zapobiec zderzeniu, do którego nigdy nie miało dojść. Wiedział, że gdyby wyrzucił przed siebie ręce, przewróciłby się na plecy.

Zmrużył oczy, wstrzymał oddech. Czuł, że lada chwila jego płuca eksplodują, kiedy nagle usłyszał: — Doskonale, Benie, doskonale. Nie spotkałam jeszcze Miga, który by nie przewrócił się podczas swojego pierwszego zjazdu. Jeśli się przewrócisz, nie ma się czym przejmować. To żaden wstyd.

— Nie przewrócę się — wyszeptał Denison. Nabrał powietrza w płuca i otworzył szeroko oczy. Ziemia była spokojna jak zawsze, obojętna. Poruszał się coraz wolniej… wolniej… jeszcze wolniej…

— Selene, stoję już teraz? — zapytał. — Nie jestem pewien.

— Tak, stoisz. Musimy odpocząć, zanim ruszymy z powrotem do miasta… Cholera! Zostawiłam to gdzieś tutaj, kiedy wchodziliśmy na górę.

Denison patrzył na nią z niedowierzaniem. Wspinała się razem z nim, razem zjechali z góry. A jednak kiedy on umierał ze zmęczenia i napięcia, ona była w nastroju na kangurze skoki. Była jakieś sto metrów od niego, kiedy krzyknęła: — Jest! — Głośniczki w hełmofonie sprawiały, że miał wrażenie, jakby była tuż obok niego.

Chwilę później była przy nim, trzymając pod ramieniem zawiniątko z plastykowej folii.

— Pamiętasz? Kiedy wyruszyliśmy z miasta, pokazywałam ci to i powiedziałam, że użyjemy tego, gdy zjedziemy na dół? — Rozwinęła

pakunek i rozłożyła go na zapylonym gruncie.

— Właściwie nazywa się to kanapa księżycowa — wyjaśniła — ale my mówimy na nią po prostu kanapa. Słowo „księżycowa" jest zbyt oczywiste, by go używać. — Wprowadziła nabój i nacisnęła dźwignię.

Powłoka zaczęła się wypełniać. Denison oczekiwał, że usłyszy syczenie, zapomniawszy, że nie było powietrza, które mogłoby przenieść dźwięk.

— Od razu, zanim zaczniesz krytykować nasze marnotrawstwo, wyjaśniam, że jest to także argon.

Plastykowa powłoka zamieniła się w materac na sześciu krótkich, grubych nóżkach.

— Utrzyma cię — zachęciła go Selene. — Zachowuje bardzo niewielki kontakt z powierzchnią, a otaczająca nas próżnia pozwala zachowywać ciepło.

— Nie mów, że to jest gorące — zdumiał się Denison.

— W trakcie napełniania materaca argon nagrzewa się. Jego temperatura końcowa wynosi około 270 stopni w skali Kelwina, prawie tyle, co temperatura topnienia lodu, a na pewno wystarczająco dużo, by twój izolowany skafander nie tracił ciepła szybciej, niż jesteś w stanie go dostarczyć. Nie krępuj się. Połóż się.

Denison zadowolony rozłożył się na kanapie z przyjemnością.

— Wspaniale! — powiedział, wydając przeciągłe westchnienie.

— Mamusia Selene pamięta o wszystkim — rzuciła żartobliwie Lunarianka. Pojawiła się w jego polu widzenia, sunąc na ślizgaczach jak łyżwiarka. W pewnym momencie jej stopy wyprzedziły resztę ciała, Selene lekkim ruchem obróciła się i z niebywałą zręcznością wylądowała na boku, podpierając brodę ręką zgiętą w łokciu.

Denison zagwizdał. — Jak to zrobiłaś?

— Lata praktyki! Nie próbuj tego. Złamiesz sobie rękę. Ale ostrzegam: Jeśli mi będzie zimno, dosiądę się na kanapę.

— To chyba dość bezpieczne — powiedział Denison — jeśli uwzględnić nasze kombinezony.

— Odezwał się odważny zbereźnik… Jak się czujesz?

— Myślę, że dobrze. To było dopiero przeżycie!

— Przeżycie? Ustanowiłeś rekord — nie przewróciłeś się. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że opowiem o tym w mieście?

— Nie. Zawsze lubiłem, kiedy mnie doceniano… Nie sądzisz jednak, że zrobię to znowu?

— W tej chwili? Oczywiście, że nie. Sama nawet bym nie próbowała. Odpoczniemy jeszcze chwilkę, upewnimy się, czy twoje serce pracuje już normalnie i wracamy. Przysuń swe stopy do mnie, to ci zdejmę ślizgacze. Następnym *razem* pokażę ci, jak je zakładać.

— Nie jestem pewny, czy będzie jeszcze następny raz.

— Oczywiście, że będzie. Przecież ci się podobało?

— Nie powiem, że nie. W chwilach, kiedy opuszczał mnie strach.

— Następnym razem będziesz się już mniej bał, potem jeszcze mniej, w końcu będziesz miał taką frajdę, że zrobię z ciebie zawodnika wyścigowego.

— Nie, jestem już za stary.

— Nie na Księżycu. Wyglądasz jedynie staro. Denison czuł, jak wsącza się w niego cudowny spokój Księżyca. Ziemia zawieszona była na niebie wprost przed nim. Jej niewzruszona obecność dawała mu poczucie pewności, którego brak mu było podczas zjeżdżania. Był jej za to dozgonnie wdzięczny.

— Selene, często tu przychodzisz? To znaczy, sama albo z kimś jeszcze? No wiesz, poza czasami wyścigów?

— Praktycznie nigdy. Nie mogę wytrzymać na powierzchni, jeśli nie ma tu ludzi. Dziwi mnie, prawdę mówiąc, że tu jestem w tej chwili.

— Aha — mruknął niechętnie Denison.

— Nie zdziwiło cię to?

— A dlaczego miałoby mnie zdziwić? Mam wrażenie, że każdy robi to, co robi, albo ponieważ tego chce, albo bo musi. W obu przypadkach to jego prywatna sprawa, nie moja.

— Dzięki, Benie. Naprawdę, miło mi to usłyszeć. Jedną z twoich zalet jest, że akceptujesz nas takimi, jakimi jesteśmy. My, Lunarianie, jesteśmy mieszkańcami podziemi, jaskiniowcami, korytarzowcami. Zresztą co w tym złego?

— Nic.

— Ale nie w oczach Ziemiaków. Oprowadzam turystów i muszę ich wysłuchiwać. Nie ma nic, czego by nie powiedzieli już milion razy, ale najczęściej słyszę — zaczęła naśladować charakterystyczną dla typowych Ziemiaków wymowę standardu planetarnego — „Ależ, kochanie, jak wy możecie żyć ciągle w tych jaskiniach? Czy nie macie od tego klaustrofobii? Czy nigdy nie chcecie obejrzeć błękitu nieba, drzew, oceanu, poczuć powiewu wiatru i zapachu kwiatów…” Benie, mogłabym tak mówić godzinami. Potem stwierdzają: — „Ale wy przecież nie wiecie, co to błękitne niebo i morze, drzewa, i dlatego wam ich nie brak…” — jakbyśmy nie oglądali nigdy ziemskiej telewizji i nie mieli pełnego dostępu do ziemskiej literatury — zarówno optycznej, jak i słuchowej — czasami nawet zapachowej.

Denison był rozbawiony. — Jaka jest wasza oficjalna formułka odpowiedzi na te uwagi?

— Nic specjalnego. Mówimy: „Jesteśmy do tego przyzwyczajeni, proszę pani”. Albo jeżeli jest to mężczyzna, „proszę pana”. Zwykle są to kobiety. Mężczyźni bardziej są zainteresowani studiowaniem naszych bluzek i zastanawianiem się nad tym, kiedy je zdejmiemy.

Wiesz, co chciałabym powiedzieć tym idiotom?

— Nie krępuj się. Ponieważ nie możesz zrzucić bluzki, bo jest pod skafandrem, zrzuć przynajmniej ciężar z serca.

— Bardzo, bardzo zabawne… Chciałabym im powiedzieć: „Proszę pani, dlaczego się pani w ogóle interesuje tym cholernym Księżycem? Nie chcemy trzymać się kurczowo żadnej planety, zdani na jej łaskę. Nie chcemy, aby nas otaczało surowe powietrze i lała się na nas brudna woda. Nie chcemy waszych cholernych zarazków, śmierdzącej trawy i waszego nudnego błękitnego nieba i białych chmur. Widzimy Ziemię na naszym własnym niebie, kiedy tylko nam przyjdzie ochota, i to nam wystarcza. Księżyc jest naszym domem i jest dziełem naszych rąk. Dokładnie tym, co stworzyliśmy. Jest naszą własnością. Stworzyliśmy własny ekosystem i nie musicie nam współczuć, dlatego że wybraliśmy własną drogę. Wracaj na swą planetę, gdzie grawitacja wyciągnie twoje piersi aż do kolan". Oto, co bym powiedziała.

— Słusznie. Zawsze, gdy będziesz bliska takiego wybuchu przy jakimś Ziemiaku, przychodź do mnie się wypłakać, a poczujesz się lepiej.

— Wiesz? Raz po raz kolejni Migowie sugerują, żeby wybrać jakieś ustronne miejsce, sprowadzić nasiona lub sadzonki roślin z Ziemi, może kilka gatunków zwierząt i zbudować ziemiopark. Stworzyć domową atmosferę — jak zwykle to określają.

— I jak mniemam, jesteś przeciwko temu.

— Pewnie, że jestem przeciwko. Atmosferę czyjego domu? Księżyc jest naszym domem. Mig, który chce domowej atmosfery, niech sobie wraca do swojego domu. Migowie czasami są nawet gorsi od Ziemi aków.

— Postaram się o tym nie zapomnieć.

— Ty nie… przynajmniej na razie.

Na chwilę zapadła cisza i Denison zastanawiał się z mieszanymi uczuciami, kiedy Selene zaproponuje powrót do jaskiń. Z jednej strony, już odczuwał całkiem silną potrzebę odwiedzenia toalety w najbliższym czasie. Z drugiej, nigdy nie czuł się tak odprężony. Ciekaw był, na jak długo wystarczyłoby mu jeszcze tlenu.

— Benie, czy mogę cię o coś spytać?

— Proszę bardzo. Jeśli interesuje cię moje życie prywatne, to nie mam żadnych tajemnic. Metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, na Księżycu ważę czternaście kilogramów, miałem żonę dawno temu, teraz jestem rozwiedziony, jedno dziecko, córka, dorosła i zamężna, uczęszczałem na Uniwersytet…

— Benie, przestań. Mówię poważnie. Czy mogę zapytać o twoją pracę?

— Naturalnie, nie wiem jednak, na ile jestem ci to w stanie wytłumaczyć.

— Wiesz, że Barron i ja…

— Tak wiem — uciął Denison.

— Rozmawiamy często. Wspomina o różnych rzeczach. Podobno sądzisz, że Pompa Elektronowa spowoduje wybuch Wszechświata.

— Naszej części Wszechświata. Może zmienić ramię naszej Galaktyki w kwazar.

— Naprawdę w to wierzysz?

— Kiedy przybyłem na Księżyc, nie byłem jeszcze pewien. Teraz jestem. Wiem, że to nastąpi.

— Jak sądzisz, kiedy?

— Tego dokładnie nie jestem w stanie powiedzieć. Może za kilka lat. Może za kilkadziesiąt.

Zapadła chwila milczenia. Ciszę przerwała Selene: — Barron w to nie wierzy.

— Zauważyłem. Nie próbuję nawet go przekonywać. Nie można zwalczyć niechęci otwartym atakiem. To był błąd Lamonta.

— Kto to jest Lamont?

— Przepraszam, zacząłem mówić do siebie.

— Nie, Benie, proszę, powiedz. To mnie interesuje. Denison obrócił się na bok. Spojrzał na nią. — Dobrze

— zgodził się — nie ma powodu, by ci tego nie mówić. Lamont, fizyk z Ziemi, próbował swoich sił, ostrzegając świat przed niebezpieczeństwem, jakie niesie używanie Pompy. Nie udało mu się. Ludzie chcą Pompy — darmowej energii

— pragną jej na tyle mocno, że nie przyjmują do wiadomości, iż jej mieć nie mogą.

— Ale dlaczego jej chcą, mimo że oznacza ona śmierć?

— Wystarcza, że nie wierzą, iż oznacza ona śmierć. Najłatwiejszym sposobem na rozwiązanie problemu jest zaprzeczyć jego istnieniu. Twój przyjaciel Neville postępuje identycznie. Nie lubi powierzchni, dlatego wmawia sobie, że baterie słoneczne są do niczego — chociaż każdy obiektywny obserwator powie, iż są one doskonałym źródłem energii w tutejszych warunkach. Potrzebuje Pompy, aby uniezależnić się od powierzchni, dlatego nie chce wierzyć, że Pompa może stwarzać niebezpieczeństwo.

— Nie sądzę, aby nie uwierzył w coś, na co istnieją przekonywające dowody. Naprawdę zdobyłeś jakieś dowody?

— Tak mi się wydaje. To naprawdę zadziwiające, Selene. Cała rzecz w bardzo subtelnych oddziaływaniach pomiędzy kwarkami. Wiesz, o czym mówię?

— Nie musisz mi tego tłumaczyć. Rozmawiałam już o tylu różnych problemach z Barronem, że chyba i to zrozumiem.

— Myślałem, że będzie mi do tego potrzebny księżycowy synchrotron. Ma elektromagnesy z nadprzewodników, czterdzieści

kilometrów długości i może dysponować energiami przekraczającymi 20 000 GeV. A okazuje się, że wy wymyśliliście urządzenie, nazywane pionizerem, mieszczące się w średniej wielkości pokoju i z powodzeniem zastępujące synchrotron. Lunie należy się pochwała za takie zadziwiające osiągnięcie.

— Dziękuję — powiedziała Selene z nie ukrywanym zadowoleniem. — W imieniu Księżyca.

— Rezultaty, które otrzymałem przy użyciu pionizera, pozwalają przewidzieć tempo wzrostu intensywności oddziaływań jądrowych. Jak się okazuje, wynosi ono tyle, ile przewidział Lamont, a nie jak wskazują ogólnie przyjęte teorie.

— Czy przedstawiłeś je Barronowi?

— Nie. Jeśli mu je pokażę, Barron odrzuci je. Powie, że wyniki mieszczą się w marginesie błędu. Stwierdzi, że popełniłem jakiś błąd i że nie uwzględniłem wszystkich czynników. Albo że nie dość dokładnie przeprowadziłem eksperymenty… Wszystko to sprowadzi się do tego, że po prostu chce Pompy Elektronowej i nie ma zamiaru z niej zrezygnować.

— Czyli nie ma żadnego wyjścia.

— Zawsze jakieś jest, ale nie przez frontalny atak, jak to zrobił Lamont.

— To znaczy?

— Rozwiązaniem Lamonta była próba wymuszenia rezygnacji z Pompy, ale przecież nie można się już cofnąć. Nie da się wcisnąć kurczęcia z powrotem do jajka, wina z powrotem w kiście winogron, dziecka w łono. Jeśli chcesz, by dziecko dało ci spokój, nie wyjaśniasz mu, że powinno to zrobić. Proponujesz mu coś, co je zajmie.

— I cóż to takiego?

— Hm, jeszcze nie wiem. Mam pomysł, całkiem prosty — być może zbyt prosty, żeby poskutkował — oparty na tym ewidentnym fakcie, że liczba dwa jako jedyna w świecie jest śmieszna i niemożliwa.

Przez minutę albo dłużej milczeli, po czym Selene głosem równie przejętym jak głos Denisona zaproponowała: — Pozwól mi zgadnąć, o co ci chodzi.

— Nie wiem, czy jest co — powiedział Denison.

— Nieważne. I tak będę zgadywać. To, że nasz Wszechświat jest jedynym, jaki istnieje albo może istnieć, wydaje się rozsądnym założeniem wstępnym, bo jest to jedyny świat, który bezpośrednio znamy. Kiedy jednak mamy dowody na istnienie innego świata, nazwanego paraświatem, śmieszne stałoby się zakładanie, że istnieją tylko i jedynie dwa Wszechświaty. Jeśli może istnieć drugi Wszechświat, to może istnieć nieskończona liczba Wszechświatów. Pomiędzy jednym światem a nieskończonością światów nie ma

rozsądnej liczby. Nie tylko dwa, ale jakakolwiek skończona liczba wydaje się śmieszna i niemożliwa.

— Dokładnie tak rozu… — znowu zapadła cisza. Denison podciągnął się do pozycji siedzącej i spojrzał w dół na zamkniętą w skafandrze dziewczynę. — Powinniśmy już wracać.

— Tylko zgadywałam.

— Wcale nie zgadywałaś. Cokolwiek to było, to na pewno nie zgadywanie.

11

Barron Neville wpatrywał się w nią oniemiały.

Selene spokojnie odwzajemniała jego spojrzenie. Panorama w jej oknach znowu się zmieniła. W jednym z nich widać było Ziemię w drugiej kwadrze.

— Dlaczego? — w końcu wydobył z siebie Neville.

— To był przypadek, naprawdę, pojęłam, o co mu chodzi i byłam zbyt rozentuzjazmowana, żeby się powstrzymać. Powinnam ci była to już dawno powiedzieć, ałe bałam się, że zareagujesz właśnie tak, jak przewidziałam.

— A więc on wie. Głupia!

Skrzywiła się. — Co takiego wie? Tylko to, co zgadnąłby prędzej czy później — nie jestem tak naprawdę przewodnikiem turystycznym — że jestem intuicjonistką. Intuicjonistką nie znającą wcale matematyki. Na Lunę, co z tego, że to wie? Jakie to ma znaczenie, że mam intuicję? Ile razy mówiłeś mi, że moja intuicja, nie poparta matematyczną ścisłością i obserwacją eksperymentalną, nie ma żadnej wartości? Ile razy mówiłeś mi, że nawet najbardziej sugestywne przeświadczenie może być mylne. Więc jaką wartość on miałby przypisywać prostej intuicji?

Neville był blady jak ściana, Selene zastanawiała się czy z gniewu, czy z obawy. — Z tobą jest inaczej. Twoja intuicja nigdy nie zawodzi.

— On o tym przecież nie wie.

— Ale się dowie. Skontaktuje się z Gottsteinem.

— Co może powiedzieć Gottsteinowi? Nadal nie ma pojęcia, o co nam tak naprawdę chodzi.

— Czyżby?

— Na pewno. — Wstała, oddaliła się kilka kroków. Odwróciła się do niego i krzyknęła: — Na pewno! Jak śmiesz sugerować, że mogłabym zdradzić ciebie i innych. Jeśli nie wierzysz w moją uczciwość, to przynajmniej zaufaj mojemu rozsądkowi. Nie ma sensu im tego mówić. Jaką korzyść by im to przyniosło, albo nam, jeśli wszyscy i tak mamy zginąć?

— Proszę, Selene! — Neville machnął ręką, krzywiąc się z niesmakiem. — Nie zaczynaj znowu.

— Nie! Słuchaj. Opowiadał mi o swojej pracy. Ty ukrywasz mnie jak jakąś tajną broń. Mówisz mi, że jestem bardziej cenna niż jakikolwiek przyrząd czy zwykły naukowiec. Bawisz się w konspirację nalegając, aby wszyscy myśleli, że jestem tylko przewodnikiem turystycznym i niczym więcej dlatego, żeby moje zdolności mogły być wykorzystywane tylko przez Lunarian. Przez ciebie. I co takiego chcesz osiągnąć?

— Osiągnęliśmy przecież coś. Jak długo pozostawałabyś na wolności, gdyby oni…

— W kółko to powtarzasz. A kogo uwięzili? Kogo zatrzymali? Masz jakieś dowody na konspirację, która cię niby otacza? Ziemianie nie dopuszczają ciebie i twojego zespołu do wielkich urządzeń badawczych raczej dlatego, że ich do tego nakłaniacie, niż z własnej złej woli. A wyszło to nam chyba na dobre, bo zmusiło nas do wynalezienia innych, bardziej czułych instrumentów.

— W oparciu o twoją intuicję teoretyczną.

Selene uśmiechnęła się. — Wiem. Ben bardzo chwalił pionizera.

— Ty i ten twój Ben. Co, u diabła, widzisz w tym żałosnym Ziemiaku?

— W imigrancie. Potrzebuję informacji. Czy ty mi udzielasz jakiejkolwiek informacji? Tak cholernie boisz się, że mnie przyłapią, iż nie pozwalasz, aby mnie widziano rozmawiającą z fizykiem. Pozostajesz tylko ty, a jesteś moim… To chyba tylko z tego powodu.

— Selene… — próbował mówić kojącym tonem, w jego głosie jednak było zbyt wiele niecierpliwości.

— Nie, nic mnie to nie obchodzi. Powiedziałeś mi, że to będzie moje zadanie, próbowałam się na nim skoncentrować i czasami myślę, że wpadłam na rozwiązanie — bez żadnych matematycznych obliczeń. Widzę je, wiem, co powinniśmy zrobić… po czym się wymyka. Ale jaki będzie z tego pożytek, jeśli Pompa i tak nas zniszczy… Czyż nie mówiłam ci, że nie ufam teorii wymiany intensywności pól?

— Jeszcze raz cię pytam — powiedział Neville — czy jesteś gotowa powiedzieć mi, że Pompa nas zniszczy? Nie żadne „może”, „mogłaby” zniszczyć, ale — zniszczy?

Selene potrząsnęła gniewnie głową. — Nie potrafię. To takie ulotne. Nie mogę powiedzieć, że tak się stanie. Ale czyż nawet „może” nie jest wystarczające?

— O Boże.

— Nie rób takiej miny. Nie drwij sobie z tego! Nigdy nie badałeś tej sprawy. Przecież mówiłam ci, że może być przetestowana.

— Jakoś się tym nie przejmowałaś do momentu, kiedy zaczęłaś słuchać tego Ziemiaka.

— Imigranta. Czy zajmiesz się przetestowaniem tej teorii?

— Nie! Mówiłem ci, że twoje wskazówki są bezużyteczne. Nie jesteś eksperymentatorem. To, co ci wydaje się dobre, niekoniecznie sprawdza się w rzeczywistym świecie przyrządów, przypadkowości i niepewności.

— W tak zwanym rzeczywistym świecie twego laboratorium. — Selene zaczerwieniła się z gniewu. Zacisnęła dłonie w pięści na wysokości podbródka. — Marnujesz tyle czasu, próbując osiągnąć doskonałą próżnię… Jakby nie wystarczyło tylko wyjść na

powierzchnię. Macie tam próżnię i temperaturę stu kilkudziesięciu stopni powyżej absolutnego zera. Dlaczego nie przeprowadzacie eksperymentów na powierzchni?

— Byłyby do niczego.

— Skąd wiesz? Nawet nie spróbujesz. Ben Denison to zrobił. Zadał sobie trud wymyślenia systemu, który można wykorzystać na powierzchni. Zmontował go, kiedy wyszedł na inspekcję baterii słonecznych. Chciał, żebyś z nim poszedł, a ty odmówiłeś. Pamiętasz? To bardzo prosty system, coś, co bez trudu mogę ci opisać, tak jak mi go przedstawił. Przetestował go w temperaturach dziennych i nocnych, i to wystarczyło, aby naprowadzić go na zupełnie nową drogę badań przy użyciu pionizera.

— Jak prosto brzmi to w twoich ustach.

— Bo to jest proste. Kiedy odkrył, że jestem intuicjonistką, rozmawiał ze mną jak równy z równym. Wyjaśnił mi powody, dlaczego myśli, że zmiany oddziaływań jądrowych akumulują się w katastrofalnym tempie w pobliżu Ziemi. Tylko kilka lat zostało jeszcze do czasu, kiedy Słońce wybuchnie i wyśle falę…

— Nie, nie, nie, NIE! — zaprotestował Neville. — Widziałem jego wyniki. Wcale nie zrobiły na mnie wrażenia.

— Widziałeś je?!

— Oczywiście. Czy sądzisz, że pozwoliłbym mu pracować w laboratorium, nie zapewniając sobie, że będę wiedział, co robi. Przejrzałem jego rezultaty. Są do niczego. Zajmuje się tylko minimalnymi odchyleniami, które spokojnie mieszczą się w granicach błędu. Jeśli chce sobie wierzyć, że te odchylenia są znaczące i chce, żebyś ty w to wierzyła, proszę bardzo. Ale żadna wiara nie uczyni ich bardziej znaczącymi, gdyż takimi nie są.

— A w co ty tak usilnie chcesz wierzyć?

— Ja chcę prawdy.

— Ale czyż nie zdecydowałeś już, czym jest twoja prawda? Chcesz Pompy na Księżycu, żeby uniezależnić się od powierzchni. Z założenia cokolwiek, co mogłoby temu się sprzeciwiać, nie jest prawdą.

— Nie mam zamiaru wdawać się w kłótnię. Chcę Stacji Pomp i chcę jeszcze czegoś więcej. Pompa bez tego nic nam nie da. Jesteś pewna, że nie powiedziałaś mu..

— Jestem pewna.

— Powiesz?

Selene obróciła się znowu w jego kierunku. Rytmicznie podskakiwała, znacząc każde odbicie gniewnym tupnięciem w podłogę.

— Nic mu nie powiedziałam — broniła się Selene. — Potrzeba mi jednak więcej informacji. Ty mi ich odmawiasz, a on może je posiadać

albo dojść do nich dzięki eksperymentom, których ty nie dokonujesz. Muszę z nim porozmawiać i dowiedzieć się, co nowego odkrył. Jeśli będziesz się w to wtrącał, nigdy nie będziesz miał tego, czego tak bardzo pragniesz. Nie musisz się obawiać, że odkryje to prędzej ode mnie. Ciągle jeszcze myśli w ziemskich kategoriach, nie zrobi ostatniego kroku. Ja go zrobię.

— Dobrze. I nie zapominaj o tym, co różni Księżyc od Ziemi. Tu jest twój świat. Ten człowiek, Denison, ten Ben, ten IMIGRANT, może zawsze wrócić na Ziemię. Ty nigdy nie będziesz mogła tam polecieć. Pozostaniesz na zawsze Lunarianką.

— Niewolnicą Księżyca.

— Nie niewolnicą — sprzeciwił się Neville. — A co do ogromnego niebezpieczeństwa eksplozji, jeżeli ryzyko związane z podstawowymi stałymi Wszechświata jest tak wielkie, dlaczego paraludzie, tak bardzo wyprzedzający nas technologicznie, nie zaprzestali pompowania?

Wyszedł.

Wpatrywała się w zamknięte drzwi, zaciskając szczęki. Po czym wyrzuciła z siebie: — Bo ich warunki są inne, zakuta pało.

Kopnęła w dźwignię opuszczającą łóżko, rzuciła się na nie i oddała się gniewnym rozmyślaniom. O ile była bliżej prawdziwego celu, do którego latami dążył Neville i reszta?

Wcale.

Energia! Wszyscy szukają energii! Magiczne słowo! Róg obfitości! Uniwersalny klucz do bogactwa… A przecież energia to nie wszystko.

Jeśli znajdzie się energię, to można znaleźć i to drugie. Jeśli ma się klucz do energii, to klucz do tego drugiego także powinien być oczywisty. Wiedziała, że klucz do tego drugiego byłby oczywisty, gdyby mogła pojąć jakieś subtelne ogniwo, które wyda się oczywistym, kiedy już znajdzie. (O Boże, chyba zaraziła się chroniczną podejrzliwością Barrona, skoro nawet we własnych myślach nazywa to „tym drugim”.)

Żaden Ziemianin nie dojdzie do tego subtelnego ogniwa, ponieważ nikt z nich nie ma powodu, żeby go szukać.

Ben Denison znajdzie go dla niej, wcale o tym nie wiedząc.

Z tym, że jeśli cały Wszechświat ma ulec zagładzie, to i tak nie ma to znaczenia.

12

Denison próbował opanować swe zażenowanie. Co rusz sięgał rękami do spodni, żeby je podciągnąć, mimo że ich na sobie nie miał. Jedyny jego ubiór stanowiły sandały i najskromniejsze z możliwych, niewygodne, ciasne majtki. Niósł jeszcze koc.

Selene, w równie obfitym stroju, zaśmiała się. — No, Benie, wyglądasz całkiem nieźle, za wyjątkiem może lekkiego nadmiaru ciała. Nie masz się co przejmować, to jest teraz w modzie. Wiesz, jeśli majtki cię cisną, zdejmij je.

— Nie! — wymamrotał Denison. Przesunął koc tak, żeby zakrywał mu brzuch. Selene zerwała go z niego.

— A teraz oddaj mi tamto. Co z ciebie za Lunarianin, jeśli się jeszcze trzymasz ziemskiej pruderii. Wiesz przecież, że drugą stroną pruderii często jest przerost zainteresowania sprawami seksu.

— Muszę się najpierw do tego przyzwyczaić.

— Mógłbyś zacząć od spoglądania na mnie raz na jakiś czas, nie prześlizgując się wzrokiem po mnie, jakbym była cała naoliwiona. Innym kobietom, jak zauważyłam, przyglądasz się dość skrupulatnie.

— Jeśli spojrzę na ciebie…

— Będziesz wyglądał na zbyt zaciekawionego i będziesz się krępował. Ale jeżeli będziesz się mocno starał, przywykniesz do tego, i przestaniesz na to zważać. Słuchaj, będę stała bez ruchu, a ty się przypatruj. Poczekaj, tylko zdejmę majtki.

Denison jęknął. — Selene, pełno tu ludzi, a ty się ze mnie nieznośnie naigrywasz. Proszę, nie zatrzymujmy się, jakoś się przyzwyczaję do tej nowej sytuacji.

— Dobrze, ale mam nadzieję, że zauważyłeś, iż ludzie, którzy koło nas przechodzą, nie zauważają nas wcale.

— Może nie patrzą na ciebie, ale na mnie patrzą. Nigdy chyba nie widzieli tak starego i zdeformowanego osobnika.

— Chyba tak — zgodziła się pogodnie Selene — ale i oni będą musieli się do tego przyzwyczaić.

Denison szedł zmarkotniały, świadomy każdego siwego włosa na swojej klatce piersiowej i każdego drgnięcia swego wydatnego brzucha. Poczuł ulgę dopiero wtedy, kiedy przejście się trochę wyludniło.

Rozglądał się z ciekawością, mniej speszony stożkowatymi wypukłościami piersi Selene i jej gładkimi udami niż przedtem. Korytarz zdawał się ciągnąć w nieskończoność.

— Jak daleko doszliśmy? — zapytał.

— Zmęczyłeś się? — powiedziała Selene ze skruchą. — Mogliśmy wziąć skuter. Ciągle zapominam, że jesteś z Ziemi.

— Mam nadzieję, że w końcu o tym zapomnisz. Czy nie byłoby to dla imigranta idealne rozwiązanie? Nie jestem wcale zmęczony. No, może prawie wcale. Trochę mi jednak zimno.

— To tylko wyobraźnia, Benie. Wydaje ci się, że powinno ci być zimno, bo jesteś nagi. Wyrzuć tę myśl z głowy.

— Łatwo ci mówić — westchnął. — Mam nadzieję, że poruszam się jak należy.

— Świetnie. Jeszcze cię nauczę kangurów.

— I zmusisz do uczestniczenia w wyścigach w ześlizgiwaniu się. Nie zapominaj, że jestem jednak w lekko zaawansowanym wieku. Ale na serio, ile już przeszliśmy?

— Ze trzy kilometry.

— O Boże! Ile kilometrów korytarzy tutaj macie?

— Obawiam się, że nie wiem. Korytarze w częściach mieszkalnych stanowią niewielki fragment całości. Są także korytarze w kopalniach, geologiczne, przemysłowe, mykologiczne… Będzie tego z kilkaset kilometrów.

— Masz mapę?

— Nie przy sobie, ale w tej okolicy nie potrzebuje żadnych map, znam ją bardzo dobrze. Błąkałam się tu, kiedy byłam dzieckiem. To są stare korytarze. Większość nowych — drążymy średnio trzy do czterech kilometrów korytarzy rocznie, tak mi się wydaje — znajduje się na północy. Za nic nie przeszłabym tamtych korytarzy bez mapy. A może nawet z mapą.

— Dokąd idziemy?

— Obiecałam ci niezwykły widok — nie, nie chodziło o mnie — i spełnię to. Jest to najbardziej niezwykłe miejsce na Księżycu, nie uwzględnione w zwyczajnych trasach turystycznych.

— Czyżbyście mieli na Księżycu kopalnię diamentów?

— Coś jeszcze lepszego.

Ściany korytarza stanowiły niewykończone szare skały, niewyraźnie, aczkolwiek wystarczająco dobrze oświetlone elektroluminescencyjnymi plamami. Panowała tam zupełnie znośna, stała temperatura. Dobrze pracujący system wentylacji nie powodował jednak nawet iluzji powiewu. Trudno byłoby się domyślić, że powierzchnia kilkadziesiąt metrów powyżej narażona była na cykliczne dwutygodniowe skwary i mrozy, zależnie od tego, w którym miejscu swej odwiecznej wędrówki po księżycowym niebie było Słońce.

— Czy korytarze są szczelne? — zapytał Denison nagle, nieprzyjemnie świadom faktu, że był nie tak znów głęboko pod dnem nieskończonego oceanu próżni.

— Jak najbardziej. Te skały nie przepuszczają powietrza. Ponadto korytarze są zabezpieczone. Jeśli w którejś części ciśnienie spada o

dziesięć procent, rozlega się hałas, jakiego w życiu nie słyszałeś, migają strzałki i znaki podające kierunek ewakuacji.

— Jak często się to zdarza?

— Rzadko. Nie przypominam sobie, aby ktokolwiek zginął z powodu braku powietrza w ciągu ostatnich przynajmniej pięciu lat. — Po czym nagle dodała, jak gdyby się broniła. — Na Ziemi też zdarzają się katastrofy naturalne.

Wielkie trzęsienie ziemi albo fala powodziowa może zabić tysiące ludzi.

— Brak mi argumentów. — Podniósł obie ręce do góry.

— Poddaję się.

— Trochę mnie poniosło… Słyszałeś? Zatrzymała się nasłuchując.

Denison także zaczął się przysłuchiwać, ale potrząsnął głową. Nagle się rozejrzał. — Jak tu cicho. Gdzie są wszyscy? Jesteś pewna, że się nie zgubiliśmy?

— To nie jest naturalna jaskinia z nieznanymi przejściami. Macie takie na Ziemi, prawda? Widziałam je na zdjęciach.

— Tak, większość z nich została wyżłobiona przez wodę w skale wapiennej. Ale tutaj takich nie ma.

— Więc nie możemy się zgubić — powiedziała Selene uśmiechając się. — Jeśli jesteśmy sami to raczej z powodu przesądów.

— Czego? — z niedowierzaniem zapytał Denison, marszcząc ze zdziwienia czoło.

— Nie rób tego — powiedziała. — Jesteś cały porysowany zmarszczkami. O, tak lepiej. Rozchmurz się. Wyglądasz znacznie lepiej niż wtedy, kiedy tu przyjechałeś. Grawitacja i ćwiczenia skutkują.

— Raczej dotrzymywanie kroku młodym nagim damom, które cechuje nieograniczona ilość wolnego czasu i osobliwy brak wszelkich zajęć, jeśli nie liczyć oprowadzania starych ziemskich ramoli.

— Znowu mnie traktujesz jak przewodnika. Wcale nie jestem naga.

— Jeśli o to chodzi, nagość jest nawet mniej przerażająca niż intuicjonizm… Ale mówiłaś coś o przesądach…

— To chyba nie jest prawdziwy przesąd, ale większość ludzi raczej unika tej części korytarzy.

— Ale dlaczego?

— Z powodu tego, co ci zaraz pokażę. — Ruszyli znowu.

— Czy teraz słyszysz?

Zatrzymała się. Denison wytężał słuch. — Chodzi ci o to ledwie słyszalne pluskanie. Plusk… plusk… O to ci chodzi?

Pobiegła przed siebie powolnymi lunariańskimi susami, jakby w filmie o zwolnionym tempie. Podążył za nią, próbując naśladować jej chód.

— Tutaj, tutaj…

Spojrzenie Denisona podążyło w kierunku, który Selene skwapliwie wskazywała palcem. — Dobry Boże, skąd się to bierze?

Ze stropu skąpy wała ciecz, która najwyraźniej była wodą. Sączyła się powoli, każda kropla wpadała do małej rynienki prowadzącej ku ścianie.

— Ze skał. Widzisz, na Księżycu jest woda. Większość wody wypalamy z gipsu, ilość wystarczającą na nasze potrzeby, ponieważ dobrze ją konserwujemy.

— Wiem, wiem. Nigdy nie udało mi się jeszcze skończyć kąpieli pod prysznicem. Nie rozumiem, jak potraficie dbać o czystość.

— Mówiłam ci już. Najpierw się nawilżasz. Potem zakręcasz wodę i rozsmarowujesz po całym ciele niewielką ilość detergentu. Wcierasz go… Benie, nie będę tego wszystkiego znowu powtarzała. Poza tym na Księżycu nie ma się czym ubrudzić… Ale nie o tym mieliśmy mówić. Istnieje jedno lub dwa miejsca z naturalnymi zbiornikami wody, a właściwie lodu, znajdującego się niedaleko powierzchni w cieniu gór. Jeśli trafiamy na takie, woda zaczyna cieknąć. To źródło sączy się od czasu, kiedy wydrążono ten korytarz, czyli jakieś osiem lat.

— Ale skąd te przesądy?

— Woda oczywiście jest bardzo ważnym bogactwem naturalnym, od którego uzależniona jest Luna. Pijemy ją, myjemy się, uprawiamy dzięki niej rośliny, otrzymujemy z niej tlen, dosłownie wszystko ma jakiś związek z wodą. Nic dziwnego, że woda ze źródeł wzbudza wielką cześć. Kiedy odkryto źródło, porzucono plany rozbudowy korytarza, do czasu aż woda przestanie cieknąć. Nawet ścian korytarza nie wykończono.

— To mi rzeczywiście wygląda na przesąd.

— No może… rodzaj podziwu. Nie sądzono, że przetrwa dłużej niż kilka miesięcy, takie źródła zwykle wysychają po tym czasie. Rok po odkryciu to źródło zaczęło się wydawać wieczne. Tak je zresztą nazwano: Wieczne Źródło. Nawet na mapach tak je oznaczono. Naturalnie ludzie zaczęli przywiązywać do niego wagę i powstało wierzenie, że jeśli ktoś będzie obecny, kiedy przestanie się sączyć, spadnie na niego nieszczęście.

Denison roześmiał się.

— Nikt tak na poważnie w to nie wierzy — Selene powiedziała ciepło — ale wszyscy wierzą troszeczkę. Wiesz, ono nie jest wieczne i kiedyś musi wyschnąć. Prawdę powiedziawszy, częstotliwość kapania wynosi jedną trzecią tej, jaką źródło miało w chwili odkrycia, czyli powoli się wyczerpuje. Ludzie sądzą, że gdyby przypadkiem wyschło w ich obecności, przyniosłoby im to pecha. W każdym razie, tak można racjonalnie wytłumaczyć ich niechęć do odwiedzania tego miejsca.

— Zakładam, że ty w to nie wierzysz.

— Czy wierzę w to, czy nie, nie ma znaczenia. Widzisz, po prostu wiem, że nie skończy się sączyć na tyle nagle, by można obciążyć kogokolwiek winą za to. Woda będzie kapała coraz rzadziej, i rzadziej, i nikt nie będzie w stanie powiedzieć, w którym dokładnie momencie przestanie. Więc czym się przejmować?

— Zgadzam się.

— Jednak martwię się o inne sprawy — gładko przeszła do innego tematu — i chciałabym o nich pomówić z tobą tutaj, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał. — Rozłożyła koc i usiadła na nim po turecku.

— To dlatego mnie tutaj przyprowadziłaś? — Denison położył się na boku twarzą do niej.

— O, widzisz, teraz możesz na mnie patrzeć bez trudu. Przyzwyczajasz się do mnie… Kiedyś na Ziemi człowiek prawie nagi nie był podobno niczym nadzwyczajnym.

— Były takie okresy i miejsca — przyznał Denison — do czasu kryzysu. Za mojego życia…

— Najlepsza dewiza w Lunie brzmi tak: jeśli wpadniesz między Lunarian, rób to co oni.

— Powiesz mi wreszcie, dlaczego mnie tu przyprowadziłaś, czy nie? Mam podejrzewać, że planujesz uwiedzenie?

— Uwiedzenie mogłabym przeprowadzić całkiem wygodnie w domu, dzięki. Chodzi o coś innego. Najlepiej byłoby o tym porozmawiać na powierzchni, ale wyjście zawsze wzbudza zbyt dużo zainteresowania. Odwiedzenie źródła nie wywołuje zbędnej ciekawości. To jedyne miejsce w mieście, gdzie nikt nie będzie nam przerywał. — Zawahała się.

— Więc? — zachęcił ją Denison.

— Barron się piekli.

— Nie dziwię się. Ostrzegałem cię, że tak zareaguje, jeśli powiesz mu, iż wiem o twojej intuicji. Czy koniecznie musiałaś mu o tym mówić?

— Nie da się długo ukrywać pewnych rzeczy przed swoim… partnerem. Chyba mnie już nie uważa za swoją partnerkę.

— Przykro mi to słyszeć.

— Już od jakiegoś czasu między nami się psuło. Nasz związek i tak trwał długo. O wiele bardziej martwi mnie to, że zaciekle odrzuca twoją interpretację eksperymentów, których dokonałeś po testach na powierzchni.

— Mówiłem ci, że tak będzie.

— Powiedział, że widział twoje rezultaty. Denison spojrzał na nią i mruknął coś pod nosem.

— Rozczarował mnie. Czy każdy wierzy tylko w to co chce? — spytała Selene.

— Tak długo, jak to możliwe. Czasami dłużej.

— A co z tobą?

— Pytasz, czy jestem człowiekiem? Oczywiście. Wierzę, że nie jestem taki stary. Wierzę, że jestem całkiem przystojny. Wierzę, że potrzebujesz mojego towarzystwa, bo myślisz, iż jestem czarujący… nawet kiedy próbujesz skierować rozmowę na fizykę.

— Nie! Mówię serio!

— Cóż, podejrzewam, że Neville powiedział ci, iż dane, które zgromadziłem mieszczą się w marginesie błędu, co każe wątpić w ich wiarygodność, i co nie mija się z prawdą… Ja jednak wolę wierzyć, że znaczą to, co od początku zakładałem.

— Dlatego tylko, że chcesz w to wierzyć?

— Nie tylko dlatego. Spójrz na to z innej strony. Załóżmy, że Pompa jest absolutnie nieszkodliwa, ale ja upieram się przy tym, że jest szkodliwa. W takim przypadku okażę się głupcem i moja reputacja naukowa będzie zszargana. Ale i tak już jestem głupcem w oczach ludzi, którzy się liczą, i nie mam naukowej reputacji.

— O co chodziło, Benie? Nieraz już nawiązywałeś do tamtej historii. Czy mógłbyś ją opowiedzieć?

— Zdziwisz się, jak mało jest tu do opowiedzenia. W wieku dwudziestu pięciu lat byłem jeszcze tak dziecinny, że bawiło mnie obrażanie głupca z tego tylko powodu, iż był głupcem. Nie był winny swej głupocie, toteż moja głupota była jeszcze większa. Moja obraźliwa uwaga wyniosła go na wyżyny, których nigdy bez niej by nie osiągnął…

— Mówisz o Hallamie?

— Oczywiście. Wspiął się, kiedy ja spadłem. Ostatecznie, wylądowałem na Księżycu.

— Czy to źle?

— Nie, myślę, że jest nawet dobrze. Powiedzmy, że udało się mu wyświadczyć mi przysługę… Wracając do tematu, wytłumaczyłem ci, że wierząc w szkodliwość Pompy nie mam nic do stracenia. Z drugiej strony, gdybym wierzył, że Pompa jest nieszkodliwa i mylił się, przyczyniałbym się do zniszczenia świata. Przyznaję, że mam już za sobą większą część swego życia i myślę, że mógłbym sobie wmówić, iż ludzkość nie dostarczyła mi specjalnych powodów, bym ją kochał. Jednakże tylko kilka osób mnie zraniło i musiałbym być bez sumienia, zabijając w odwecie wszystkich ludzi. A jeszcze, jeśli szukasz szlachetnych pobudek, weź pod uwagę moją córkę. Tuż przed moim wyjazdem na Księżyc złożyła podanie z prośbą o pozwolenie na dziecko. Prawdopodobnie je otrzyma i niedługo zostanę… za przeproszeniem — dziadkiem. Wolałbym, żeby mój wnuk miał szansę na normalne życie. Dlatego wolę wierzyć, że Pompa jest niebezpieczna i działać w oparciu o to założenie.

— O to mi właśnie chodzi — Selene podchwyciła ze wzburzeniem. — Czy Pompa w końcu jest niebezpieczna czy nie? Chcę znać prawdę, a nie to, w co każdy pragnie wierzyć.

— To ja cię powinienem o to spytać. Ty jesteś intuicjonistką. Co podpowiada ci twoja intuicja?

— Właśnie to mnie niepokoi. Nie potrafię się zdecydować. Wydaje mi się, że Pompa jest szkodliwa, ale może to wynika z tego, iż chcę w to wierzyć.

— Zgoda. Może tak jest. Dlaczego?

Uśmiechnęła się smutno i wzruszyła ramionami. — Fajnie byłoby, gdyby Barron się mylił. Kiedy myśli, że tylko on ma rację, staje się nie do zniesienia.

— Wiem. Chciałabyś ujrzeć jego twarz, kiedy będzie musiał uznać swoją porażkę. Doskonale znam to uczucie. Dla przykładu, gdyby Pompa była niebezpieczna i potrafiłbym to udowodnić, być może, uznano by mnie za zbawiciela ludzkości, a jednak przyznaję, że bardziej byłbym zainteresowany zobaczeniem miny Hallama. Nie jestem z tego bynajmniej dumny, więc podejrzewam, że będę raczej nalegał, aby uznano zasługi Lamonta, który w końcu też się przyczynił do moich odkryć. Ograniczyłbym swą przyjemność do wyobrażenia sobie twarzy Lamonta, patrzącego na minę Hallama. Odczułbym złośliwą satysfakcję, mimo że osiągniętą pośrednią drogą… Zaczynam pleść bzdury… Selene?

— Tak, Benie?

— Kiedy odkryłaś, że jesteś intuicjonistką?

— Nie pamiętam dokładnie.

— Studiowałaś fizykę, tak?

— Tak. I matematykę, ale nie byłam w niej nigdy za dobra. Szczerze mówiąc, z fizyki też nie byłam najlepsza. Udawało mi się zgadywać rozwiązania, kiedy byłam w rozpaczliwych sytuacjach; wiesz, zgadywałam to, co powinnam była obliczyć. Często wyniki się sprawdzały, a kiedy pytano mnie, jak do nich doszłam, nie potrafiłam tego zbyt dobrze wytłumaczyć. Podejrzewali mnie o oszukiwanie, ale nigdy nie mogli tego udowodnić.

— Czy wzięli pod uwagę intuicjonizm?

— Nie sądzę. Nawet ja na to nie wpadłam. Aż… Jeden z moich partnerów był fizykiem. Nawiasem mówiąc, ojciec mojego dziecka — dawca nasienia. Rozważał jakiś problem fizyczny i opowiedział mi o nim, kiedy leżeliśmy w łóżku już po wszystkim, chodziło po prostu o zabicie czasu. A ja powiedziałam: „Wiesz na co mi to wygląda?" i zaproponowałam mu rozwiązanie. Przetestował je, tak dla żartu, i okazało się, że się sprawdziło. Był to pierwszy etap budowy pionizera, o którym powiedziałeś, że jest lepszy od synchrotronu protonowego.

— To znaczy, że ty go wymyśliłaś? — Denison podstawił palec

pod strużkę sączącej się wody i wyglądało na to, że zastanawia się, czy jej nie spróbować. — Czy ta woda nadaje się do picia?

— Zupełnie sterylna — odparła Selene — spływa do centralnego zbiornika, gdzie jest wzbogacana w siarczany, węglany i kilka innych składników. Nie będzie ci smakowała.

Denison wytarł palec o slipy. — To ty wynalazłaś pionizera?

— Nie wynalazłam. Wpadłam na pomysł. Musiał zostać jeszcze przemyślany, zrobił to głównie Barron.

Denison potrząsnął głową. — Wiesz Selene, jesteś prawdziwym fenomenem. Powinnaś być pod obserwacją biologów molekularnych.

— Czyżby? Ta perspektywa jakoś mnie nie podnieca.

— Około pół wieku temu biologia, a w szczególności inżynieria genetyczna, święciła triumfy…

— Wiem. Nie wypaliło i wypadła z łask. Teraz jest nielegalna, to znaczy, badania zostały zabronione. Znam jednak ludzi, którzy nadal się tym zajmują.

— Możliwe. Pracują nad intuicjonizmem?

— Nie. Nie sądzę.

— A widzisz. O tym właśnie miałem powiedzieć. W szczytowej fazie inżynierii genetycznej próbowano otrzymać intuicjonizm. Prawie wszyscy wielcy uczeni mają zdolność intuicyjnego pojmowania rzeczy, sądzono więc, że istnieje jedna recepta na pomysłowość. Utrzymywano, że zwiększona zdolność intuicji jest wynikiem określonej kombinacji genów i spekulowano, jaka to może być kombinacja.

— Podejrzewam, że istnieje wiele możliwych kombinacji, które mają na to wpływ.

— A ja podejrzewam, że jeśli podpowiada ci to intuicja, znowu się nie mylisz. Byli także badacze utrzymujący, że tylko jeden gen albo grupka nielicznych powiązanych ze sobą genów ma szczególne znaczenie dla stworzenia kombinacji, którą można by nazwać genem intuicji… A potem cała koncepcja upadła.

— Tak jak mówiłam.

— Ale zanim do tego doszło — kontynuował Denison — poczyniono próby modyfikacji genów, aby zwiększyć intensywność intuicjonizmu i znaleźli się tacy, którzy utrzymywali, że częściowo się im udało. Zmodyfikowane geny weszły do ogólnej puli genetycznej, tego jestem pewien i, jeśli przypadkiem odziedziczyłaś… Czy twoi dziadkowie brali udział w badaniach genetycznych?

— O ile wiem, nie — odparła Selene — ale nie ręczę za to. Mam niejasne wrażenie, że jedno z nich mogło… Jeśli nie masz jednak nic przeciwko temu, nie chciałabym się w to wgłębiać. Nie chcę tego wiedzieć.

— Może to nie ma znaczenia. Cała dziedzina inżynierii

genetycznej stała się niepopularna w oczach opinii publicznej i nikt uznany za wynik zmian genetycznych nie byłby zbyt mile widziany… Intuicjonizm, mówią, dla przykładu, łączy się nierozerwalnie z pewnymi niepożądanymi cechami.

— O, dziękuję.

— To oni tak mówią. Posiadanie intuicji wzbudza zawiść i wrogość w innych. Nawet tak łagodny, przypominający świętego, intuicjonista Michael Faraday wzbudził nienawiść Humphry'ego Davy. Może wzbudzanie zawiści w innych jest jedną z takich cech. W twoim przypadku…

— Bez wątpienia wzbudziłam w tobie zawiść?

— Nie wydaje mi się. Ale co powiesz o Neville'u? Nie odezwała się ani słowem.

— Kiedy go poznałaś, byłaś już dobrze znaną intuicjonistką, tak?

— Niezbyt znaną, powiedziałabym. Niektórzy fizycy podejrzewali, kim jestem, tego jestem pewna. Jednak nie chcieli dzielić z nikim swoich zasług, tak samo jak ci z Ziemi, i wydaje mi się, że przekonywali się w duchu, iż cokolwiek im powiedziałam, było tylko zgadywaniem. Ale Barron wiedział, o co chodzi.

— Rozumiem.

Wargi Selene zadrżały. — Mam wrażenie, że chcesz powiedzieć: „To dlatego jest z tobą."

— Ależ nie, oczywiście, że nie. Jesteś wystarczająco atrakcyjna, by cię chcieć dla ciebie samej.

— Też tak sądzę, nie ulega jednak wątpliwości, że zainteresował się moim intuicjonizmem. Dlaczegóż by nie? Tyle, że nalegał, abym nadal pracowała jako przewodniczka. Powiedział, że jestem bardzo ważnym bogactwem naturalnym Księżyca i nie chciał, żeby mnie zmonopolizowała Ziemia, tak jak zrobiła to z synchrotronem.

— Dziwaczne rozumowanie. Ale może chodziło o to, że im mniej ludzi wiedziało o twoim intuicjonizmie, tym mniej będzie podejrzewać twój wkład w badania, które prowadzi.

— Mówisz tak jak Barron!

— Naprawdę? I możliwe, że się na ciebie coraz bardziej złości, kiedy intuicjonizm się sprawdza szczególnie dobrze.

Wzruszyła ramionami. — Barron jest podejrzliwy. Wszyscy mamy jakieś wady.

— Czy to roztropne z twojej strony przebywać ze mną sam na sam?

Selene ostro odpowiedziała: — Nie odbieraj tego źle, że go bronię. Jest pewien, że między nami nie dojdzie do zbliżenia seksualnego. Jesteś z Ziemi. W rzeczywistości, muszę ci to zdradzić, nawet zachęca mnie do spotykania się z tobą. Myśli, że mogę się od ciebie wiele nauczyć.

— Nauczyłaś się czegoś?

— Tak… Jednak, mimo że dla niego to może być główny powód do zachęcania mnie, żebym spędzała z tobą więcej czasu, przyczyna jest inna.

— Jaka?

— Sam dobrze wiesz — powiedziała — ale chciałbyś to usłyszeć — lubię twoje towarzystwo. Inaczej mogłabym wyciągnąć z ciebie wszystko, co potrzebuję, w znacznie krótszym czasie.

— Dobra, Selene. Przyjaźń?

— Przyjaźń.

— Czego się ode mnie nauczyłaś? Mogę wiedzieć?

— Zajmie mi to trochę czasu. Wiesz, że nie możemy założyć Stacji Pomp gdziekolwiek, ponieważ nie potrafimy zlokalizować paraświata, mimo że oni potrafili nas znaleźć. Być może dlatego im się udało, bo są znacznie bardziej inteligentni lub bardziej zaawansowani technicznie niż my…

— Co niekoniecznie znaczy to samo — mruknął Denison.

— Wiem. Dlatego powiedziałam „lub". Ale może problem nie wynika z naszej szczególnej głupoty czy zacofania.

Niewykluczone, że przyczyna tkwi w tym, iż oni są znacznie trudniejszym celem. Jeśli oddziaływania jądrowe w paraświecie są silniejsze, to gwiazdy są tam znacznie mniejsze niż u nas. Całkiem prawdopodobne, że również planety są mniejsze. Ich planetę jest po prostu trudniej zlokalizować niż naszą. Albo należy założyć — kontynuowała Selene — że opierają się na detekcji pola magnetycznego. Pole elektromagnetyczne planety jest znacznie większe niż sama planeta i łatwiej jest je umiejscowić. Co oznaczałoby, że chociaż potrafią zlokalizować Ziemię, nie mogą określić położenia Księżyca, który praktycznie nie ma pola magnetycznego. Prawdopodobnie dlatego nie udało się nam założyć Stacji Pomp tutaj. Co więcej, jeśli ich planety także mają bardzo małe pole magnetyczne, nie zdołamy ich odnaleźć.

— To brzmi bardzo optymistycznie.

— Dalej, weź pod uwagę, że międzyświatowa wymiana praw naturalnych, która osłabia oddziaływania silne w ich świecie i oziębia ich słońca, wzmacnia te oddziaływania u nas i doprowadzi do eksplozji naszych gwiazd. Co to może oznaczać? Przyjmijmy, że oni mogą magazynować energię bez naszej pomocy, ale tylko w bardzo mało wydajny sposób. W normalnych warunkach ten sposób byłby zupełnie niepraktyczny. Potrzebują nas, byśmy im pomogli skierować do nich skoncentrowaną energię, podstawiając nam wolfram 186 i przyjmując w zamian pluton 186. Ale załóżmy, że nasza gałąź Galaktyki imploduje, zamieniając się w kwazar. To spowodowałoby koncentrację energii w obszarze Układu Słonecznego znacznie większą

niż obecna, która mogłaby się jeszcze utrzymać przez milion lat.

Po sformowaniu się kwazaru nawet szalenie mała wydajność akumulacji energii zaspokoiłaby ich potrzeby. Nie będzie dla nich więc miało znaczenia, czy zginęliśmy, czy nie. Prawdę powiedziawszy, niewykluczone, że dla nich byłoby bezpieczniej, gdybyśmy zginęli w eksplozji. Możemy zakończyć pompowanie z różnych powodów, a oni nie mogą zrobić nic, żeby temu zapobiec. Po eksplozji stają się absolutnie wolni, nikt im nie będzie przeszkadzał… Dlatego ludzie, którzy pytają: „Jeśli Pompa jest taka niebezpieczna, dlaczego ci bardzo mądrzy paraludzie jej nie zatrzymają?" po prostu nie wiedzą, o czym mówią.

— Czy Neville też tak mówił?

— Tak.

— Ale parasłońce nadal będzie się oziębiało?

— Jakie to ma znaczenie? — powiedziała niecierpliwie Selene. — Dzięki Pompie będą zupełnie niezależni od własnego Słońca.

Denison zrobił głęboki wdech. — Nie mogłaś o tym wiedzieć, ale chodzą słuchy na Ziemi, że Lamont otrzymał wiadomość od paraludzi, iż wiedzą, że Pompa jest niebezpieczna, ale nie mogą jej zatrzymać. Nikt tego nie potraktował poważnie, ale może to prawda. Przyjmijmy, że Lamont otrzymał taką wiadomość. Może niektórzy z paraludzi byli na tyle ludzcy, że nie chcieli dopuścić do zniszczenia świata inteligentnych istot współpracujących z nimi, ale zostali powstrzymani przez tak zwaną trzeźwo myślącą większość.

Selene przytaknęła. — Możliwe… Wszystko to wiedziałam, a raczej wyczuwałam, zanim się pojawiłeś na Księżycu. A potem powiedziałeś, że nic pomiędzy liczbą jeden a nieskończonością nie ma sensu. Pamiętasz?

— Oczywiście.

— Różnice pomiędzy naszym światem i paraświatem tkwią przede wszystkim w oddziaływaniach jądrowych i te, jak dotąd, były badane. Ale istnieją jeszcze inne oddziaływania, dokładnie cztery. Oprócz oddziaływań silnych występują także oddziaływania elektromagnetyczne, słabe oraz grawitacyjne, stosunki ich intensywności do siebie to odpowiednio 130:1:10–10:10-42. Ale jeżeli istnieją cztery, dlaczego nie mogłaby istnieć nieskończona liczba oddziaływań, z których cała reszta byłaby zbyt słaba, by ją wykryć albo w jakikolwiek sposób wpływać na nasz Wszechświat.

— Jeżeli oddziaływania są zbyt słabe, by je zauważyć, albo by wywierać jakikolwiek wpływ, w takim razie według każdej rozsądnej definicji po prostu nie istnieją.

— W tym Wszechświecie może nie, ale kto wie, co istnieje, a co nie w paraświatach? Przy niezliczonej liczbie możliwych oddziaływań, z których intensywność każdego może się różnicować w

nieskończoność w porównaniu z jakimkolwiek innym przyjętym za standard, liczba Wszechświatów, jakie mogą istnieć, jest nieskończona.

— Prawdopodobnie jest to kontinuum, alef jeden raczej niż alef zero.

Selene skrzywiła się. — Co to znaczy?

— Nieważne. Mów dalej.

— Zamiast w takim razie współpracować z paraświatem, który się do nas wdarł i który może nie odpowiadać wcale naszym potrzebom, moglibyśmy znaleźć Wszechświat, który najlepiej z wszystkich możliwych będzie nam odpowiadał i najłatwiej go zlokalizować. Wymyślimy taki Wszechświat

— w końcu wszystko, co sobie wyobrazimy, musi istnieć

— i znajdziemy go.

Denison uśmiechnął się. — Selene, dokładnie o tym samym myślałem. Chociaż nie ma prawa mówiącego, że nigdy się nie mylę, bardzo mało prawdopodobne jest, aby ktoś tak błyskotliwy jak ja, mylił się, kiedy ktoś tak błyskotliwy jak ty zupełnie niezależnie dochodzi do tego samego wniosku… Wiesz co?

— Co?

— Zaczynam lubić tę cholerną księżycową kuchnię. A w każdym razie przyzwyczajam się do niej. Wróćmy do domu i zjedzmy coś, a potem weźmiemy się do roboty… I wiesz, jeszcze coś.

— Tak?

— Skoro mamy już razem pracować, co powiesz na pocałunek eksperymentalisty z intuicjonistką?

Selene zastanowiła się. Wreszcie powiedziała: — Nieraz się całowaliśmy i byliśmy całowani. Może jednak zrobić to jak kobieta z mężczyzną?

— Myślę, że jakoś temu podołam. Ale co mam zrobić, żeby nie wypadło niezręcznie? Jakie są księżycowe zasady całowania się?

— Zdaj się na instynkt — powiedziała wymijająco Selene. Denison ostrożnie odchylił swe ręce do tyłu i nachylił się ku Selene. Chwilę później objął ją.

13

…i potem odwzajemniłam jego pocałunek — powiedziała Selene z zadumą w głosie.

— O, naprawdę? — cierpko odezwał się Neville. — Poświęcenie wykraczające poza obowiązek.

— Czy ja wiem. Nie było tak źle. Właściwie (uśmiechnęła się do siebie) był taki delikatny. Bał się, że będzie niezręczny i odsunął ręce do tyłu, żeby mnie nie przydusić.

— Oszczędź sobie szczegółów.

— Dlaczego, czy cię to tak naprawdę obchodzi? — nagle wypaliła. — Twoje uczucie jest czysto platoniczne, czyż nie?

— Czy chcesz, żeby było inaczej? Teraz?

— Nie musisz tego robić na żądanie.

— Jak sądzisz, kiedy wyciągniesz z niego to, czego chcemy? — Tak szybko, jak to możliwe — powiedziała bezbarwnym głosem.

— Czy coś o tym wie?

— Interesuje go tylko energia.

— I uratowanie świata — ironicznie dorzucił Neville.

— Chce zostać bohaterem. Popisać się przed wszystkimi. I całować ciebie.

— Przynajmniej się do tego przyznaje. Do czego ty się byś przyznał?

— Do niecierpliwości — gniewnie odpowiedział Neville.

— Ogromnej niecierpliwości.

14

— Cieszę się — powiedział Denison — że minął już dzień.

Wyciągnął przed siebie rękę i patrzył na nią, osłoniętą grubą ochronną powłoką kombinezonu. — Słońce na Księżycu to jedna z rzeczy, do których nie zdążyłem i nie chcę się przyzwyczaić. Nawet ten kombinezon w porównaniu z tutejszym Słońcem wydaje mi się naturalny.

— Co ci się nie podoba w słońcu?

— Selene, nie mów mi, że tobie się podoba!

— Oczywiście, że nie. Nienawidzę go. Ale w końcu widzę je niezwykle rzadko. Ty będąc… Ty jesteś przyzwyczajony do Słońca.

— Nie takiego jak to na Księżycu. Ogromnej oślepiającej kuli na czarnym niebie. Gorącej, surowej, niebezpiecznej. Tutaj jest naszym wrogiem i dopóki znajduje się na niebie, nie potrafię się oprzeć wrażeniu, że nasze wysiłki zredukowania intensywności pola nic nie dadzą.

— To już przesądy, Benie — powiedziała Selene z wyczuwalną irytacją. — Słońce nie ma z tym nic wspólnego. A w ogóle znajdujemy się w cieniu krateru, więc jest tak, jakby była noc. Gwiazdy i tak dalej.

— Niezupełnie — zaprzeczył Denison. — Wystarczy spojrzeć na północ, aby zobaczyć poświatę Słońca. Nie cierpię patrzeć na północ, ale jakoś ten kierunek przyciąga moje oczy. Zawsze, gdy patrzę w tamtą stronę, czuję jak promieniowanie ultrafioletowe razi mnie w oczy.

— To tylko wyobraźnia. Po pierwsze, w odbitym świetle w zasadzie nie ma promieni ultrafioletowych, po drugie, przed radiacją chroni cię twój kombinezon.

— Nie przed żarem. Nie najlepiej przynajmniej.

— Ale jest noc.

— Tak — powiedział z zadowoleniem Denison — to lubię. — Rozglądał się z nieustannym zdziwieniem. Ziemia kontynuowała wędrówkę po niebie swoim utartym szlakiem, jaskrawy łuk światła odbijanego od jej tarczy wyginał się w kierunku południowo-zachodnim. Nad planetą znajdował się gwiazdozbiór Oriona, myśliwego wychodzącego na łów z jasno oświetlonej siedziby — Ziemi. Horyzont migotał w matowym świetle planety. — To piękne.

— Selene, czy pionizer coś wykazuje? — zapytał, wracając do rzeczywistości.

Lunarianka, obserwująca niebo bez komentarzy, podeszła do skomplikowanych przyrządów zgromadzonych w cieniu krateru w ciągu ostatnich trzech dni i nocy.

— Na razie nic — stwierdziła — ale to dobrze. Intensywność pola

utrzymuje się ciągle tuż powyżej pięćdziesięciu jednostek.

— Za wysoka — stwierdził Denison.

— Może być jeszcze obniżona. Jestem pewna, że wszystkie parametry są odpowiednie.

— Także pole magnetyczne?

— Co do pola magnetycznego mam wątpliwości.

— Jeżeli je wzmocnimy, cały przyrząd stanie się niestabilny.

— Nie powinien. Wiem, że tak nie będzie.

— Selene, ufam twojej intuicji, ale to są fakty. Naprawdę zaczyna tracić stabilność. Sprawdzaliśmy to.

— Wiem, Benie. Ale nie w nowej geometrii. Wytrzymywał nadzwyczajnie długo, przy pięćdziesięciu dwóch jednostkach. Z pewnością, gdyby eksperyment potrwał kilka godzin, a nie jak dotychczas minut, moglibyśmy dziesięciokrotnie wzmocnić pole magnetyczne na minuty, nie sekundy… Spróbujmy.

— Jeszcze nie — powiedział Denison.

Selene zawahała się, po czym odsunęła do tyłu i odwróciła. — Nadal nie tęsknisz za Ziemią, Benie, prawda?

— Nie. To trochę dziwne, ale mi jej nie brakuje. Myślałem, że to nieuniknione, że będę tęsknił za błękitnym niebem, zieloną trawą, szmerem płynącej wody, wszystkimi tymi naturalnymi obrazami kojarzącymi się z Ziemią. Nie brak mi niczego. Nie pojawiają się nawet w moich snach.

— Czasami to się zdarza. Istnieją Migowie, którzy utrzymują, że nie odczuwają żadnej tęsknoty za Ziemią. Stanowią mniejszość. Nikt jednak nie wie, co mają ze sobą wspólnego. Różnie próbowano wytłumaczyć ich postawę, począwszy od poważnych problemów emocjonalnych, kompletnej niezdolności do poddawania się uczuciom, skończywszy na emocjonalnym przesycie, obawie przed przyznaniem się do tęsknoty, aby się nie załamać.

— Mój przypadek jest dosyć prosty. Życie na Ziemi przez ostatnie dwadzieścia lat nie było dla mnie przyjemne, a tutaj przynajmniej pracuję w dziedzinie, w której mogę czegoś dokonać. A ty mi pomagasz… Co więcej, jesteś ze mną.

— To bardzo miło z twojej strony — Selene powiedziała z niewzruszoną powagą — że tak cenisz sobie moją pomoc i towarzystwo. Ale nie wydaje mi się, byś tak bardzo tej pomocy potrzebował. Czyżbyś udawał, że jej potrzebujesz, aby ze mną przebywać?

Denison zaśmiał się cicho. — Nie wiem, jaka odpowiedź byłaby dla ciebie bardziej pochlebna.

— Mów prawdę.

— Trudno określić prawdę, kiedy się tak bardzo ceni jedno i drugie. — Odwrócił się plecami do pionizera. — Intensywność pola

nadal się utrzymuje.

Światło Ziemi odbiło się od wizjera hełmu Selene.

— Barron twierdzi, że brak tęsknoty za Ziemią jest zupełnie naturalny i świadczy o zdrowym umyśle. Mówił, że chociaż ludzkie ciało zaadaptowało się do powierzchni Ziemi i wymaga przystosowania się do Księżyca, mózg ludzki tego nie potrzebuje. Jest tak bardzo jakościowo różny od mózgów innych gatunków, że można go uznać za zupełnie nowy. Właściwie nie miał czasu na ograniczenie się do ziemskich potrzeb i może, po pewnych modyfikacjach, funkcjonować w innych środowiskach. Barron powiedział, że zamknięcie w podziemiach Księżyca może faktycznie najlepiej odpowiadać potrzebom mózgu, bo Księżyc to jakby większa wersja czaszki.

— Wierzysz w to? — zapytał z rozbawieniem Denison.

— Kiedy Barron to mówi, brzmi to bardzo przekonywająco.

— Równie dobrze można by tłumaczyć rzekomy komfort jaskiń księżycowych potrzebą powrotu do łona. Właściwie — dodał w zamyśleniu — biorąc pod uwagę kontrolowaną temperaturę i ciśnienie, rodzaj i strawność jedzenia, mógłbym spokojnie obronić tezy, że kolonia lunarna — o przepraszam, Selene — że Luna City — jest zamierzoną rekonstrukcją środowiska płodowego.

— Nie wydaje mi się, by Barron zgodził się choćby z jednym słowem tego, co powiedziałeś.

— Oczywiście, że nie — przyznał Denison. Spojrzał na łuk Ziemi, przyglądał się odległym chmurom przy brzegach planety. W milczeniu sycił oczy widokiem. Mimo że Selene wróciła do pionizera, pozostał na miejscu. Patrzył na Ziemię otoczoną rojem gwiazd i na postrzępioną linię horyzontu. Co jakiś czas dostrzegał jakby obłoczki dymu w miejscach, gdzie spadały meteoryty.

Poprzedniej nocy księżycowej zaniepokojony zwrócił uwagę Selene na coś podobnego. Nie przejmowała się tym zupełnie.

— Ziemia przesuwa się lekko z powodu libracji Księżyca i raz na jakiś czas promień odbity od Ziemi, musnąwszy małe wzniesienie, pada na grudkę ziemi za nim. Wygląda to jak maleńka chmurka pyłu. To normalne. Nie ma co zwracać na to uwagi.

— Ale czy nie może być to czasami meteoryt? — Denison oponował. — Czy meteoryty nigdy nie trafiają w Księżyc?

— Oczywiście, że trafiają. Prawdopodobnie uderza w ciebie kilka za każdym razem, gdy wychodzisz na powierzchnię. Chroni cię przed nimi skafander.

— To zaledwie mikrometeoryty. Chodzi mi o meteoryty o zauważalnej wielkości, które mogłyby wzbijać pył. Takie, które mogą zabić.

— No cóż, spadają i takie, ale niewiele, a Księżyc jest duży.

Nikogo jeszcze nie zabiły.

Kiedy teraz obserwował niebo, wspominając tamtą rozmowę, ujrzał coś, co w toku swych rozmyślań wziął za meteoryt. Tyle, że coś, co świeciło mogło być meteorytem jedynie na Ziemi, która posiadała atmosferę, a nie na Księżycu pozbawionym powietrza.

Światełko na niebie musiało być wzbudzone przez człowieka, Denison nie zdążył jeszcze pozbierać myśli, kiedy przybrało już całkiem wyraźny kształt małej rakiety, schodzącej do lądowania niedaleko od niego.

Z rakiety wyszła jedna osoba w kombinezonie, pilot pozostał wewnątrz — ledwie widoczna ciemna sylwetka pośród świateł kontrolnych.

Denison czekał. Etykieta spotkań na zewnątrz wymagała, aby osoba dołączająca do grupy przedstawiła się pierwsza.

— Komisarz Gottstein — oznajmił głos przybyłego — chyba rozpoznał mnie pan po nieporadnym chodzie.

— Ben Denison — odpowiedział Denison.

— Tak myślałem.

— Szukał mnie pan?

— Oczywiście.

— Rakietą patrolową? Mógł pan przecież…

— Tak, mogłem użyć Wyjścia P-4, które znajduje się zaledwie tysiąc metrów stąd. Ale nie szukam tylko pana.

— Nie będę pytać, co pan przez to rozumie.

— Nie ma co owijać sprawy w bawełnę. Z całą pewnością nie sądził pan, że nie zainteresuję się faktem, iż prowadzi pan eksperymenty na powierzchni Księżyca.

— Nie było to żadną tajemnicą, każdy mógł się tym zainteresować.

— Ale jakoś nikt nie zna szczegółów tych eksperymentów. Z wyjątkiem może faktu, że mają coś wspólnego z Pompą Elektronową.

— Całkiem rozsądne założenie.

— Naprawdę? Wydawało mi się, że eksperymenty związane z parateorią, o ile miałyby mieć jakąkolwiek wartość, wymagają potężnych urządzeń. To nie tylko moja opinia, proszę zrozumieć, skonsultowałem się z ludźmi, którzy powinni się orientować w tej dziedzinie. A pan, co można łatwo stwierdzić, nie używa tych urządzeń. Toteż wpadłem na myśl, że może nie powinienem się interesować panem. Być może, podsuwając pana, odwrócono moją uwagę od innych, pracujących nad ważniejszymi zadaniami.

— Dlaczego miałbym być użyty do zmylenia pana?

— Nie wiem. Gdybym wiedział, mniej bym się tym przejmował.

— A więc byłem pod obserwacją. Gottstein parsknął śmiechem.

— O tak, od samego początku. Podczas gdy pracowaliście na

powierzchni, obserwowaliśmy całą okolicę w promieniu kilku kilometrów. Dziwne, ale wydaje się, że czynności pana i pańskiej towarzyszki ograniczają się do rutynowych odczytów i manipulacji przy instrumentach.

— Co w tym dziwnego?

— Bo to oznacza, że naprawdę myślicie, że czegoś dokonacie dzięki waszemu prowizorycznemu aparatowi — czymkolwiek jest. Wierzę, że jest pan osobą kompetentną, toteż pomyślałem, że warto by posłuchać, jak pan to wytłumaczy.

— Przeprowadzamy eksperyment parafizyczny, komisarzu, dokładnie tak, jak niesie plotka. Mogę jeszcze dodać, że jak dotąd z częściowym powodzeniem.

— Pomaga panu, jak mniemam, Selene Lindstrom L., przewodnik turystyczny.

— Tak.

— Bardzo niezwykły wybór pomocnika do eksperymentu fizycznego.

— Jest inteligentna, zaangażowana i niebywale atrakcyjna.

— I chce pracować z Ziemianinem?

— Chce pracować z imigrantem, który zostanie obywatelem kolonii, kiedy tylko spełni odpowiednie wymogi.

Selene podeszła do nich. Denison usłyszał jej głos w hełmofonie.

— Witam, komisarzu. Nie chciałam podsłuchiwać i wtrącać się do waszej rozmowy, ale nie można nie usłyszeć rozmowy w skafandrze kosmicznym, chyba że jest się poza zasięgiem mikronadajników.

Gottstein odwrócił się w jej kierunku. — Dzień dobry, pani Lindstrom. To nie jest poufna rozmowa. Czy interesuje się pani parafizyką?

— Tak.

— Nie przejmuje się pani niepowodzeniami eksperymentatora?

— Nie nazwałabym tego niepowodzeniami — powiedziała. — W każdym razie są one znacznie mniejsze niż to się wydaje doktorowi Denisonowi.

— Co? — Denison zakręcił się na pięcie, wzbijając tuman pyłu i omal się nie przewracając.

Cała trójka patrzyła teraz na pionizera i przestrzeń około dwóch metrów nad nim, gdzie niczym spora gwiazda błyszczało światło.

— Zwiększyłam intensywność pola magnetycznego, pole sił jądrowych pozostało stabilne, zwiększyłam je jeszcze trochę, i jeszcze…

— Przeciek! — krzyknął Denison. — Cholera, że też nie widziałem, jak do tego doszło.

— Przepraszam, Benie. Najpierw byłeś zagłębiony w rozmyślaniach, potem przyleciał komisarz, a nie potrafiłam się oprzeć

myśli, aby samej spróbować.

Gottstein wtrącił się do rozmowy. — Ale co to jest? — Energia spontanicznie wydzielana przez materię przeciekającą z innego Wszechświata. — Kiedy Denison to mówił, światełko zamrugało i kilkadziesiąt metrów dalej zajarzyła się następna gwiazda.

Denison rzucił się w kierunku pionizera, ale Selene z lunarną gracją pomknęła ku urządzeniu znacznie szybciej i znalazła się przy pionizerze pierwsza. Natychmiast wyłączyła zasilanie i odległa gwiazda zniknęła.

— Punkt przecieku jest niestabilny — stwierdziła.

— W małej skali to bez znaczenia, biorąc jednak pod uwagę, że możliwe są przesunięcia o całe lata świetlne, sto metrów to niebywała stabilność.

— Jednak nie wystarczająca.

— Pozwólcie, że zgadnę, o czym mówicie — wtrącił się Gottstein. — Mówicie, że materia może przeciekać to tu, to tam, gdziekolwiek w naszym Wszechświecie, na chybił trafił.

— Niezupełnie tak, komisarzu — sprostował Denison. — Prawdopodobieństwo wystąpienia przecieku maleje wraz ze wzrostem odległości od pionizera i to bardzo gwałtownie. Jest uzależnione od bardzo wielu czynników i sądzę, że kontrolujemy już dużą część z nich. Nadal jednak nie można wykluczyć przeskoku przecieku o kilkaset metrów, o czym zresztą mógł się pan przekonać.

— Mógł przenieść się gdzieś w okolicę miasta albo naszych hełmów, tak?

— Nie, nie — zaprzeczył Denison niecierpliwie. — Przy użyciu naszej metody przeciek jest ściśle uzależniony od gęstości materii w Wszechświecie. Szansa, że miejsce przecieku przeniesie się tam, gdzie gęstość materii jest zbliżona do jednej setnej gęstości atmosfery, która znajduje się w mieście lub w naszych hełmach, praktycznie nie istnieje. Trudno byłoby oczekiwać prób spowodowania przecieku gdzie indziej niż w próżni, dlatego właśnie pracujemy na powierzchni.

— Czyli to nie jest coś w rodzaju Pompy?

— To zupełnie co innego — powiedział Denison. — W Pompie Elektronowej zachodzi dwustronna wymiana materii, tutaj mamy do czynienia z jednostronnym przeciekiem. Ponadto Wszechświaty, w których ten proces zachodzi, uczestniczą w nim w różnych stopniach.

— Zastanawiam się, czy znalazłby pan dziś wieczorem czas na wspólną kolację, doktorze Denison?

— Tylko ja? — Denison zawahał się.

Gottstein próbował się ukłonić w kierunku Selene, ale zdołał jedynie wykonać niezręczny gest z powodu skafandra kosmicznego. — Byłbym zaszczycony towarzystwem pani Lindstrom, ale tym razem muszę porozmawiać z panem na osobności.

— Nie zastanawiaj się — powiedziała Selene energicznie do ciągle wahającego się Denisona. — Jutro mam dużo zajęć, a ty będziesz jeszcze musiał przemyśleć sprawę niestabilności przecieków.

— Dobrze, wobec tego… Selene, dasz mi znać, kiedy będziesz miała następny wolny dzień?

— Zawsze to robię. Do tego czasu na pewno się i tak spotkamy… Idźcie już. Ja zajmę się sprzętem.

15

Barron Neville przestępował z nogi na nogę, zachowanie to dyktowała ograniczona przestrzeń i księżycowa grawitacja. W większym pokoju, przy większej grawitacji, chodziłby pośpiesznie tam i z powrotem. Tutaj przeginał się z boku na bok, zataczając głową kółka.

— Jesteś pewna, że działa? Naprawdę, Selene? Absolutnie pewna?

— Tak — potwierdziła Selene. — Mówiłam ci to już dokładnie pięć razy.

Neville zdawał się nie słuchać. Powiedział cicho i gorączkowo: — Nie ma więc znaczenia, że był tam Gottstein? Nie próbował zatrzymać eksperymentu?

— Nie, nie próbował.

— Nic nie wskazywało, że może zechce użyć swej władzy, żeby…

— Barron, jakiej władzy? Czy Ziemia przyśle tu siły policyjne? Poza tym… przecież wiedzą, że nie mogą nas powstrzymać.

Neville przestał się kiwać, stał bez ruchu przez chwilę. — Nie domyślili się, o co nam chodzi?

— Nie, nie domyślili się. Kiedy nadleciał Gottstein, Ben spoglądał na gwiazdy. Wtedy spróbowałam wywołać przeciek, otrzymałam go i wzbudziłam nawet następny. Instrumenty Bena…

— Nie mów, że to jego instrumenty, czyż nie był to twój pomysł?

Selene pokręciła głową przecząco.

— Podałam mu tylko luźne sugestie, które rozwinął bez mojego udziału.

— Ale zdołasz teraz zrekonstruować jego przyrząd? Na Księżycu, nie jesteśmy chyba zdani na łaskę Ziemiaka?

— Myślę, że jestem w stanie zrekonstruować go na tyle, aby po wprowadzeniu niezbędnych poprawek nasi specjaliści doprowadzili go do stanu używalności.

— W porządku. Zaczynamy.

— Jeszcze nie. Cholera, Barron jeszcze nie teraz.

— Dlaczego nie?

— Potrzebujemy także energii.

— Przecież ją mamy.

— Nie całkiem. Punkt przecieku jest jeszcze bardzo niestabilny.

— Ale to się da załatwić, sama mówiłaś.

— Powiedziałam, że myślę, iż to się da załatwić.

— To mi wystarcza.

— Mimo wszystko lepiej będzie, jeśli Ben dopracuje szczegóły i ustabilizuje przyrząd.

Przez chwilę oboje milczeli. Szczupłą twarz Neville'a wykrzywiła z trudem powstrzymywana wrogość. — Nie wierzysz, że jestem w stanie sam to zrobić? Tak?

— No to może wyjdziesz ze mną na powierzchnię, aby popracować nad urządzeniem?

Kolejna chwila ciszy. Neville stracił pewność siebie. — Nie podoba mi się twój sarkazm. Nie chcę zbyt długo czekać.

— Nie możesz rozkazywać prawom natury. Ale nie sądzę, by to mogło zająć dużo czasu… A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym iść spać. Jutro czekają mnie turyści.

Neville odruchowo wykonał gest zapraszający ją do swojej sypialni. Zamarł jednak w pewnym momencie, widząc, że Selene wychodzi, nie dając po sobie nawet znać, że dostrzegła jego zamiar.

16

— Prawdę mówiąc, miałem nadzieję — powiedział Gottstein, uśmiechając się nad gęstą, kleistą masą, którą tu nazywano deserem — że będziemy się spotykać znacznie częściej.

— Pochlebia mi pan zainteresowaniem moją pracą — odparł Denison. — Jeżeli uda się opanować niestabilność przecieku, myślę, że moje dokonanie… i pani Lindstrom… okaże się znaczące.

— Mówi pan bardzo ostrożnie, jak przystało na naukowca… Nie obrażę pana, proponując lunarny ekwiwalent alkoholu, to jedyny element kuchni księżycowej, którego nie toleruję. Czy mógłby mi pan objaśnić w prostych słowach, co stanowi o wadze tego odkrycia?

— Spróbuję — powiedział Denison powściągliwie. — Zacznę może od paraświata. Występują tam silniejsze oddziaływania jądrowe niż u nas, dlatego w paraświecie stosunkowo małe masy protonów wchodzą w reakcję syntezy, umożliwiającą istnienie gwiazdy. Masy o wielkości naszych gwiazd eksplodowałyby tam, stąd zakłada się, że w paraświecie istnieje wiele więcej, ale za to mniejszych gwiazd niż w naszym.

Załóżmy teraz, że mamy do czynienia ze znacznie mniej intensywnym oddziaływaniem jądrowym niż to, które występuje w naszym Wszechświecie. W takim przypadku, ogromne masy protonów miałyby tak małą zdolność do wchodzenia w reakcję, że potrzebna byłaby niewyobrażalna masa wodoru, aby zaistnieć mogła gwiazda. Taki antyparaświat — innymi słowy, absolutna odwrotność paraświata — składałby się ze znacznie mniejszej liczby gwiazd, ale za to większych niż w naszym Wszechświecie. Co więcej, przy odpowiednio słabych oddziaływaniach jądrowych możliwe byłoby istnienie Wszechświata składającego się z jednej gwiazdy, zawierającej całą masę tego Wszechświata. Byłaby to gwiazda bardzo gęsta, ale stosunkowo nieaktywna, wydzielająca mniej światła niż nasze Słońce.

— Może się mylę, ale czyż nie taka była sytuacja w naszym Wszechświecie przed Wielkim Wybuchem, wtedy Wszechświat stanowił jedno ciało zawierające całą jego materię.

— Tak — przyznał Denison — właściwie antyparaświat, który przedstawiłem, niektórzy nazywają Zalążkiem Świata albo krócej protoświatem. Aby osiągnąć jednostronny przeciek konieczne jest znalezienie właśnie takiego protoświata. Paraświat, z którym utrzymujemy kontakt, to w gruncie rzeczy pusta przestrzeń sporadycznie upstrzona maleńkimi gwiazdami. Można go sondować i sondować, nie trafiając na nic.

— Jednak paraludzie nas dostrzegli.

— Prawdopodobnie dzięki naszemu polu magnetycznemu. Istnieją

powody, by sądzić, że w paraświecie nie występują zauważalne pola magnetyczne, co stawia nas w mniej korzystnej sytuacji. Z drugiej strony, jeżeli będziemy sondować protoświat, nie możemy nie trafić. Protoświat jest po prostu jednym ciałem, gdziekolwiek go przebijemy, trafimy na materię.

— Ale jak należy sondować?

Denison zawahał się. — Trudno to wytłumaczyć… W oddziaływaniach jądrowych pośredniczą cząsteczki zwane pionami. Intensywność oddziaływań zależy od masy pionów. Masa ta może, w określonych warunkach fizycznych, być zmieniona. Lunami fizycy skonstruowali instrument nazwany pionizerem, który temu właśnie służy. Zmniejszenie lub zwiększenie masy pionów powoduje, że to urządzenie staje się elementem innego Wszechświata, punktem styczności między Wszechświatami. Przez odpowiednie obniżenie masy pionów może się stać częścią protoświata i dokładnie o to nam chodzi.

— A w jaki sposób wysysamy materię z… Zalążka Świata?

— To akurat jest proste. W punkcie styczności dochodzi do samorzutnego przepływu. Materia wpływa tu, wnosząc ze sobą prawa swego Wszechświata. W momencie pojawienia się jest jeszcze stabilna. Stopniowo przenikają ją prawa naszego świata, wzmacniają się oddziaływania jądrowe, materia ta wchodzi w reakcję syntezy jądrowej, wydzielając ogromne ilości energii.

— Ale jeżeli jest supergęsta, dlaczego po prostu nie rozprzestrzeni się niczym obłok dymu.

— To również spowodowałoby wydzielenie energii, ale stan materii jest także uzależniony od pola magnetycznego. W tym szczególnym przypadku oddziaływania silne biorą górę, ponieważ pole magnetyczne jest kontrolowane przez nas. Wytłumaczenie tego z kolei zajęłoby mi dużo czasu.

— Dobrze, zatem świetlista kula, którą widzieliśmy, była materią z protoświata w trakcie syntezy jądrowej?

— Tak.

— Czy ta energia może mieć jakieś praktyczne zastosowania?

— Owszem. Kula, którą pan widział, zawierała mikrogram materii z protoświata. Nic, przynajmniej teoretycznie, nie stoi na przeszkodzie sprowadzaniu tej materii całymi tonami.

— W takim razie zastąpi Pompę Elektronową. Denison pokręcił przecząco głową.

— Nie. Używanie energii z protoświata także zmienia prawa natury Wszechświatów, w których zachodzi wymiana materii. Wraz z przenikaniem się praw Wszechświatów w protoświecie wzmacniają się oddziaływania jądrowe. A to oznacza, że w protoświecie powoli zwiększa się tempo reakcji syntezy jądrowej, co powoduje ogólne

ogrzewanie się go. Ostatecznie…

— Ostatecznie — dokończył Gottstein, krzyżując ręce na piersiach i marszcząc w zamyśleniu brwi — dojdzie do wielkiego wybuchu.

— Tak sądzę.

— Czy myśli pan, że dziesięć miliardów lat temu coś podobnego zaszło w naszym Wszechświecie?

— Kto wie. Kosmologowie zastanawiali się, dlaczego w takim a nie innym momencie eksplodował pierwotny zalążek kosmiczny. W jednym z rozwiązań proponowano model oscylującego Wszechświata, według którego Zalążek Świata wybuchł od razu po sformowaniu się. Tę możliwość jednak odrzucono i przyjęto, że zalążek musiał istnieć przez długi czas, po którym z nieznanych powodów nastąpiła destabilizacja.

— Która mogła być skutkiem podbierania energii przez inny Wszechświat?

— Być może, ale niekoniecznie przez jakiś czynnik inteligentny. Mogło to wynikać z przypadkowych przecieków.

— Czy po wielkim wybuchu nadal będziemy mogli czerpać energię z protoświata?

— Nie jestem pewien, ale w tej chwili nie jest to sprawa największej wagi. Najprawdopodobniej przeciek naszego pola oddziaływań jądrowych może jeszcze się ciągnąć przez miliony lat, zanim nastąpi punkt krytyczny. Z pewnością istnieją także inne protoświaty, może nawet nieskończona liczba.

— A co ze zmianami naszego Wszechświata?

— Oddziaływania jądrowe słabną. Bardzo powoli nasze Słońce ochładza się.

— Czy możemy używać energii z protoświata, aby wyrównać te zmiany?

— To nie będzie konieczne, komisarzu — gorąco zapewnił go Denison. — Podczas gdy oddziaływania jądrowe będą słabnąć z powodu pompy łączącej nas z zalążkiem, równocześnie będą rosnąć dzięki funkcjonowaniu zwykłej Pompy Elektronowej. Jeśli odpowiednio dostosujemy produkcję energii z obu pomp, to chociaż w protoświecie i paraświecie prawa natury będą się zmieniać, nie ulegną zmianie u nas. Będziemy tylko ogniwem łączącym Wszechświaty.

Nie musimy się obawiać o losy tych Wszechświatów. Paraludzie zdołają się dostosować do utraty aktywności swego słońca, które w gruncie rzeczy jest już dość zimne. A co do protoświata, nie ma żadnych powodów, aby sądzić, że rozwinęło się tam życie. Właściwie przez stworzenie warunków koniecznych do wielkiego wybuchu przyczynimy się do powstania nowego Wszechświata, który może da początek życiu.

Przez chwilę Gottstein milczał. Jego pulchna twarz nie zdradzała

żadnych emocji. Kiwał głową, jak gdyby śledził tok własnego rozumowania.

— Wie pan, Denison, myślę, że to postawi cały świat na głowie. Można teraz będzie bez żadnych przeszkód przekonać naukową elitę, że Pompa mogłaby zniszczyć świat.

— Nie istnieją już czynniki natury emocjonalnej przeciwdziałające akceptacji tego faktu. Przedstawiając problem, podamy równocześnie jego rozwiązanie.

— Czy zechciałby pan napisać pracę na ten temat, jeśli zagwarantuję szybką publikację?

— A może pan to zapewnić?

— Jeśli nie będzie można inaczej, wydamy ją jako dokument rządowy.

— Chciałbym zneutralizować niestabilność przecieku, zanim napiszę tę pracę.

— Oczywiście.

— I sądzę, że roztropnie byłoby zaaranżować, aby doktor Peter Lamont figurował w niej jako współautor. To on matematycznie uściślił tę teorię — czego ja bym nie potrafił.

Poza tym, dzięki jego pracy wybrałem właśnie taki kierunek badań. Aha, i jeszcze jedno, panie komisarzu…

— Tak.

— Sugerowałbym, żeby uwzględniono także naukowców lunarnych. Jeden z nich, Barron Neville, mógłby wystąpić jako trzeci autor.

— Ale dlaczego? Czy nie wprowadza pan niepotrzebnych komplikacji?

— Dzięki ich pionizerowi to wszystko stało się możliwe.

— Można o tym nadmienić w odpowiednim miejscu… Czy doktor Neville rzeczywiście z panem współpracował przy tym eksperymencie?

— Pośrednio. — Denison spuścił wzrok i strzepnął jakiś niewidoczny pyłek z nogawki swoich spodni. — To byłoby dyplomatyczne posunięcie. Musimy umiejscowić protopompę na Księżycu.

— Dlaczego nie na Ziemi?

— Po pierwsze, konieczna jest próżnia. W protopompie zachodzi jednostronny transfer, a nie dwustronny jak w Pompie Elektronowej, i warunki odpowiednie do zainicjowania każdego z tych procesów są w obu przypadkach inne. Powierzchnia Księżyca zapewnia dostęp do naturalnej wielkiej próżni, której wygenerowanie na Ziemi stwarzałoby ogromne problemy.

— Jednak to jest możliwe?

— Po drugie — nie przerywał Denison — Ziemia znalazłaby się

pomiędzy dwoma źródłami kolosalnej energii z różnych Wszechświatów, stąd moglibyśmy się obawiać spięcia, tak jak się zdarza, gdy dwa przewody pod prądem są zbyt blisko siebie. Oddzielenie ich o ponad trzysta tysięcy kilometrów próżni — Pompa Elektronowa działałaby tylko na Ziemi, a protopompa na Księżycu — byłoby idealnym, a właściwie niezbędnym rozwiązaniem. A jeśli mamy działać na Księżycu, mądrze byłoby uwzględnić uczucia fizyków lunarnych. Powinniśmy uznać ich wkład.

Gottstein uśmiechnął się.

— Czy to rada pani Lindstrom?

— Jestem pewien, że poradziłaby właśnie tak, ale jest to na tyle rozsądna myśl, że wpadłem na nią zupełnie niezależnie.

Gottstein wstał, przeciągnął się, podskoczył w miejscu ze dwa albo trzy razy w zwolnionym tempie, jakie narzucała księżycowa grawitacja. Zgiął kilka razy nogi w kolanach i zapytał: — Czy kiedykolwiek pan tego próbował, doktorze?

Denison zaprzeczył potrząśnięciem głowy.

— Ma to jakoby polepszać krążenie w kończynach dolnych. Robię to zawsze, gdy czuję, że zdrętwiały mi nogi. Niedługo składam wizytę na Ziemi i staram się nie przywykać za bardzo do tutejszej grawitacji… Czy możemy porozmawiać o pani Lindstrom?

— O co chodzi? — Denison odpowiedział zmienionym głosem.

— Jest przewodnikiem turystycznym?

— Tak. Zdaję się, że już pan o tym wspominał.

— I jak mówiłem, dziwne wydaje się, że fizyk wybrał ją na pomocnika.

— W rzeczywistości jestem tylko amatorem, stąd nic dziwnego, że mam pomocnika-amatora. Gottstein przestał się uśmiechać.

— Darujmy sobie słowne gierki, doktorze. Zadałem sobie trochę trudu, żeby jak najwięcej się o niej dowiedzieć. Jej dokonania są naprawdę godne podziwu, albo raczej byłyby, gdyby ktokolwiek się w nich zechciał zorientować. Podejrzewam, że jest intuicjonistką.

— Wielu z nas jest intuicjonistami — odparował Denison. — Jak sądzę, w pewnym sensie pan także jest intuicjonistą.

— Jest jednak różnica. Pan jest doświadczonym naukowcem i ja, mam nadzieję, jestem doświadczonym administratorem… Jednak pani Lindstrom, mimo że jest wystarczająco dobrym intuicjonistą, aby służyć panu pomocą w rozwiązywaniu problemów fizyki wyższego rzędu, nadal jest wodnikiem turystycznym.

Denison zawahał się.

— Brakuje jej formalnego wykształcenia, komisarzu. Posiada intuicję wysokiej próby, ale nie potrafi jeszcze świadomie jej kontrolować.

— Czy przypadkiem nie jest produktem niegdysiejszego programu

badań genetycznych?

— Nie wiem. Jednak nie zdziwiłoby mnie to.

— Czy ufa pan jej?

— Dlaczegóż by nie? Pomogła mi.

— Wie pan, że jest żoną Barrona Neville?

— Są związani emocjonalnie, jak sądzę, nie prawnie.

— Tu na Księżycu nie ma związków, które my moglibyśmy nazwać prawnymi. Czy to ten Neville, którego chciał pan na trzeciego autora pańskiej pracy?

— Tak.

— Czy to tylko zbieg okoliczności?

— Nie. Neville zainteresował się moim przyjazdem i wydaje mi się, że poprosił Selene, aby mi pomagała.

— Powiedziała to panu?

— Powiedziała, że wzbudziłem jej zainteresowanie. Myślę, że to chyba naturalne.

— Czy nie wydawało się panu, że ona i Neville mogą w tym mieć jakiś ukryty cel?

— Czym mógłby się on różnić od naszych? Selene pomagała mi bez żadnych zastrzeżeń.

Gottstein zmienił pozycję, powzruszał ramionami, jakby wykonywał jakieś ćwiczenie gimnastyczne.

— Neville z pewnością wie, że kobieta, z którą łączy go silna więź emocjonalna, jest intuicjonistką. Czy nie mógłby jej wykorzystać? Z jakiego powodu miałaby pozostawać przewodniczką, jeśli nie dlatego, żeby maskować swoje możliwości — w jakimś celu.

— Wydaje mi się, że Neville często rozumuje w podobny sposób. Jakoś jednak trudno mi uwierzyć w tę zbyteczną konspirację.

— Skąd pan może wiedzieć czy zbyteczną… Kiedy mój statek patrolowy unosił się nad powierzchnią Księżyca tuż przed lądowaniem, obserwowałem pana z góry. Nie stał pan przy pionizerze.

Denison zastanowił się.

— Nie, nie stałem. Patrzyłem na gwiazdy, zdarza mi się to dość często, kiedy jestem na powierzchni.

— A co robiła pani Lindstrom?

— Nie widziałem. Powiedziała, że wzmocniła pole magnetyczne i w końcu doszło do przecieku.

— Czy często sama manipulowała przy sprzęcie?

— Nie. Ale rozumiem jej impuls.

— I czy podczas tego powinna wystąpić gwałtowna emisja materii?

— Nie rozumiem.

— Sam za bardzo nie wiem, o co chodzi. Widziałem malutki cień wzbijający się nad powierzchnię. Nie mam pojęcia, co to było.

— Ja też.

— Czy nie przychodzi panu na myśl nic, co mogłoby mieć związek z eksperymentem i powodowałoby…

— Nie.

— Wobec tego, co robiła pani Lindstrom?

— Nie wiem…

Na chwilę zaległa kłopotliwa cisza. Na koniec komisarz odezwał się: — Dobrze, pan się będzie starał skorygować niestabilność przecieku i myślał o napisaniu pracy. Ja nadam tej sprawie bieg na Ziemi, w czasie wizyty na planecie poczynię odpowiednie starania, aby umożliwić wydanie pańskiej pracy, oraz powiadomię rząd.

Najwyraźniej było to zakończenie rozmowy. Denison wstał, a komisarz rzucił odchodzącemu: — I niech pan pomyśli o doktorze Neville i pani Lindstrom.

17

Tym razem kula radiacyjna była większa i jaśniejsza. Denison wyczuł jej ciepło przez osłonę hełmu i cofnął się. Najprawdopodobniej emitowała oprócz światła także promienie rentgenowskie i chociaż osłony powinny je wchłonąć, nie było sensu się narażać.

— Nie ma już żadnych wątpliwości — wymamrotał. — Wyciek jest już stabilny.

— Tak, to pewne — podsumowała Selene.

— No to wyłączamy urządzenia i wracamy do miasta.

Denison odczuł dziwne przygnębienie. Skończyły się wątpliwości i gorączkowe podniecenie. Od tej chwili nie ma szansy na porażkę. Rząd zainteresował się ich badaniami, które coraz bardziej wymykają mu się z rak.

— Chyba mogę już zacząć pisać pracę.

— Chyba tak — potwierdziła ostrożnie Selene.

— Rozmawiałaś z Barronem?

— Mhm.

— Jakieś zmiany w nastawieniu?

— Żadnych. Nie chce się przyłączyć. Ben…

— Tak?

— Myślę, że rozmowy z nim nie mają sensu. Nie chce współpracować z rządem ziemskim pod żadnym pozorem.

— Wyjaśniłaś mu sytuację?

— Dogłębnie.

— I mimo to nie chce?

— Zgodził się spotkać z Gottsteinem, kiedy ten wróci z Ziemi. Będziemy musieli poczekać do tego czasu. Może Gottstein zdoła go przekonać, ale wątpię w to.

Denison wzruszył ramionami, chociaż gest ten był zupełnie niewidoczny w skafandrze kosmicznym. — Nie rozumiem go.

— A ja tak — powiedziała cicho Selene.

Denison nie zareagował na jej stwierdzenie. Przepchnął Pionizera i towarzyszące mu urządzenia w zagłębienie między skałami i zapytał: — Gotowa?

— Gotowa.

W milczeniu zbliżyli się do Wejścia P-4. Denison schodził po drabinie wejściowej. Selene zsuwała się za nim, przyhamowując na kolejnych stopniach drabiny. Denison już się tego nauczył, ale był zbyt zniechęcony, schodził tradycyjnym sposobem, jakby buntując się podświadomie przeciw łatwości, z jaką się przystosował do Księżyca.

Zdjęli skafandry w komorze przejściowej i umieścili je w szafkach z pewnym ociąganiem, nie wiedząc, jak poradzić sobie z nową

sytuacją.

— Zjesz ze mną obiad? — zapytał Denison.

— Jesteś zdenerwowany — odezwała się Selene zaniepokojona. — Coś nie w porządku?

— Tak reaguję na sukces. Co z obiadem?

— Oczywiście, że zjem.

Obiad zjedli w jej mieszkaniu. Nalegała na to Selene: — Chciałabym z tobą porozmawiać poważnie, a w restauracji to byłoby raczej trudne.

Podczas gdy Denison żuł powoli coś, co przypominało z lekka cielęcinę o smaku orzeszków ziemnych, Selene powiedziała: — Benie, nie odzywasz się, jesteś taki już od tygodnia.

— Bynajmniej — zaprzeczył, marszcząc brwi.

— Ależ tak. — Spojrzała mu w oczy z zatroskaniem. — Poza fizyką nie jestem pewna mojej intuicji, ale sądzę, że chcesz mi coś powiedzieć.

Denison wzruszył ramionami. — Na Ziemi robią wokół naszego odkrycia dużo hałasu. Gottstein wykorzystał swoje kontakty jeszcze przed wyjazdem na Ziemię. Doktor Lamont stał się idolem tłumów. Chcą, żebym wrócił, kiedy tylko skończę pracę.

— Na Ziemię?

— Tak. Chyba także zostałem bohaterem.

— Należy ci się.

— Oferują kompletną rehabilitację — powiedział Denison zamyślony. — Teraz mogę otrzymać stanowisko na każdym uniwersytecie czy w każdej agencji rządowej na Ziemi.

— Czy nie tego chciałeś?

— Tego, jak sądzę, chciał Lamont i dostanie to. Ale ja tego nie chcę.

— Czego więc ty chcesz?

— Chcę zostać na Księżycu.

— Dlaczego?

— Ponieważ tu znajduje się forpoczta ludzkości, a ja chcę być jej członkiem. Chcę pracować przy zakładaniu protopomp, a te budowane będą na Księżycu. Chcę rozwijać parateorię, używając urządzeń, które ci się przyśnią i dzięki tobie zostaną stworzone, Selene… Chcę być z tobą, Selene. Czy zostaniesz ze mną?

— Jestem równie zainteresowana parateorią jak ty.

— Ale czy Neville nie odciągnie cię teraz od badań?

— Barron miałby mnie odciągnąć? — powiedziała urażonym tonem. — Czyżbyś chciał mnie obrazić, Benie?

— W żadnym razie.

— Wobec tego chyba cię nie rozumiem. Sugerujesz, że pracuję z tobą dlatego, że tak polecił mi Barron?

— A nie?

— Tak, to prawda. Nie dlatego jednak jestem tutaj. To mój własny wybór. Jemu może się zdawać, że wykonuję jego rozkazy, ale robię to tylko wtedy, kiedy jego rozkazy zgadzają się z moją wolą, tak jak w twoim przypadku. Nie podoba mi się jego przeświadczenie, że może mi rozkazywać i nie podoba mi się także, iż ty tak myślisz.

— Jesteście partnerami seksualnymi.

— Byliśmy, zgadza się, ale co to ma do rzeczy? Używając takiego argumentu, równie dobrze ja mogłabym rozkazywać jemu.

— Czyli możesz ze mną pracować, Selene?

— Oczywiście — powiedziała chłodno — jeśli zechcę.

— A zechcesz?

— Na razie tak. Denison uśmiechnął się.

— Przez cały miniony tydzień obawiałem się, że możesz się nie zgodzić. Bałem się, że zakończenie eksperymentu oznacza koniec spotykania się z tobą. Przepraszam, Selene, nie chciałbym cię zanudzać sentymentalnymi tekstami o przywiązaniu starego Ziemiaka…

— W twoim umyśle nie ma nic ze starego Ziemiaka, Benie. Istnieją inne więzi niż seksualne. Lubię być z tobą.

Nastąpiła przerwa, uśmiech znikał stopniowo z twarzy Denisona, po chwili wrócił jednak znowu, odrobinę wymuszony. — Cieszę się w imieniu mojego umysłu. — Spojrzał w bok, lekko potrząsnął głową, po czym odwrócił się, unikając jej wzroku. Selene przyglądała mu się badawczo z wyraźnym niepokojem. — Selene, przeciek międzyświatowy to coś więcej niż energia. Podejrzewam, że myślałaś o tym.

Cisza wydłużała się aż do bólu, w końcu Selene wykrztusiła: — O, więc…

Przez chwilę patrzyli na siebie. Zapadło pełne zażenowania milczenie.

18

— Nie zdążyłem się jeszcze przyzwyczaić do Księżyca — zaczął Gottstein — ale to nic w porównaniu z tym, ile kosztowało mnie przywyknięcie na nowo do Ziemi. Denison, niech pan nawet nie marzy o wracaniu. Nigdy się to panu nie uda.

— Ani mi się śni, komisarzu — odpowiedział Denison.

— W pewnym sensie, szkoda. Zostałby pan jednogłośnie obrany imperatorem. Co do Hallama…

Denison wtrącił tęsknie: — Dużo bym dał, żeby zobaczyć jego twarz.

— Lamont, oczywiście, w pełni wykorzystał nową koniunkturę. Jest teraz w centrum uwagi.

— Nie mam nic przeciwko temu. Zasłużył sobie na to… Czy sądzi pan, że Neville do nas dołączy?

— Bez wątpienia. Już jest w drodze… Niech pan posłucha

— głos Gottsteina nabrał konspiracyjnego tonu — zanim przyjdzie, może by się pan poczęstował tabliczką czekolady?

— Czego?

— Tabliczką czekolady. Z migdałami. Całą. Mam kilka. Twarz Denisona, początkowo zdradzająca zmieszanie, nabrała wyrazu zrozumienia. — Prawdziwej czekolady?

— Tak.

— Oczyw… — Zacisnął zęby. — Nie, komisarzu.

— Nie?!

— Nie. Jeśli teraz spróbuję czekolady, przez kilka minut, kiedy będzie się rozpływać w moich ustach, będzie mi brak Ziemi; wszystkiego, co jest z nią związane. Nie mogę sobie na to pozwolić. Nie chcę tego… Niech pan jej nawet nie wyjmuje. Nie chcę jej poczuć ani widzieć.

Komisarz wyglądał na zbitego z tropu.

— Ma pan rację. — Po czym pospiesznie zmienił temat.

— Ziemia jest bardzo rozentuzjazmowana. Rzecz jasna, postaraliśmy się, by Hallam zachował dobre imię. Utrzyma swą pozycję, ale nie będzie miał już żadnych wpływów.

— On się tak nie przejmował losem innych — powiedział z rezygnacją Denison.

— Nie o niego chodzi. Legendy nie można ot tak sobie rozbić, w pewnym sensie odzwierciedla ona stan nauki. Dobre imię nauki jest ważniejsze niż imię Hallama.

— Nie podoba mi się taka zasada. Nauka musi ponosić konsekwencje swoich błędów.

— Nie miejsce i czas na… O, przybył doktor Neville. Gottstein

ukrył rozdrażnienie pod maską wymuszonej obojętności. Denison przesunął krzesło przodem do wejścia.

Barron Neville wszedł z ponurym wyrazem twarzy. Jego postaci jakimś sposobem brakowało lunarnej delikatności.

Krótko przywitał się z obecnymi, usiadł, założył nogę na nogę. Najwyraźniej oczekiwał, że Gottstein zacznie.

— Miło mi pana zobaczyć, doktorze Neville — rozpoczął Gottstein. — Pan Denison powiedział mi, że nie zgodził się pan na dołączenie swego nazwiska do pracy, która, jak sądzę, przejdzie do kanonu dzieł z zakresu protofizyki.

— Nie było potrzeby — odparł Neville. — To, co dzieje się na Ziemi, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

— Czy słyszał pan o eksperymentach związanych z protoświatem? Rozumie pan jego implikacje?

— Oczywiście. Znam sytuację równie dobrze jak panowie.

— Zatem daruję sobie zbędne wprowadzenia. Wróciłem właśnie z Ziemi, doktorze, ustalono już plan działania. Założymy trzy duże stacje protopomp w trzech różnych punktach Księżyca, tak aby jedna zawsze była w cieniu nocnym. Przez połowę czasu w cieniu będą dwie. Stacje znajdujące się w cieniu będą nieustannie generować energię, której większość będzie po prostu wypromieniowywana w przestrzeń kosmiczną. Nie chodzi teraz o to, aby gromadzić energię dla jakiś praktycznych celów, ale raczej o przeciwdziałanie zmianom intensywności pola sił jądrowych, spowodowanym przez Pompę Elektronową.

— Przez kilka lat — wszedł mu w słowo Denison — będziemy się starali produkować więcej energii na Księżycu, aby osiągnąć w naszym regionie Wszechświata stan początkowej równowagi.

Neville pokiwał głową. — Czy Luna City będzie mogła z niej korzystać?

— Jeśli zajdzie taka konieczność. Sądzimy, że baterie słoneczne powinny prawdopodobnie wam wystarczyć, ale nic nie stoi na przeszkodzie, byście mogli uzupełniać niedobory energii.

— To bardzo miło z waszej strony — powiedział Neville, nie siląc się na ukrywanie ironii. — A kto będzie budował i obsługiwał stacje?

— Pracownicy z Księżyca — odpowiedział Gottstein.

— Pracownicy z Księżyca, tylko oni — powiedział Neville. — Ziemianie byliby zbyt niezręczni, żeby wydajnie pracować na Księżycu.

— Zdajemy sobie z tego sprawę — przyznał Gottstein. — Mamy nadzieję, że mieszkańcy Księżyca podejmą współpracę.

— A kto będzie decydował, ile energii generować, ile przeznaczyć na lokalne potrzeby, ile wypromieniować? Kto będzie zarządzał całym kompleksem?

— Rząd — powiedział Gottstein. — To są sprawy wagi ogólnoplanetarnej.

— Widzi pan, Lunarianie będą odwalać całą robotę, a Ziemianie będą kierować, tak?

— Nie. Wszyscy najzdolniejsi z nas będą pracować i wszyscy zdecydujemy, kto najlepiej potrafi kierować stacjami — powiedział Gottstein ze spokojem.

— To, co pan powiedział — stwierdził Neville — sprowadza się do tego, że i tak my będziemy pracować, a wy decydować… Nie, komisarzu. Odpowiedź brzmi — nie.

— To znaczy, że nie zbudujecie protopomp?

— Zbudujemy je, komisarzu, z tym, że to będą nasze protopompy. To my będziemy decydować, ile energii wydzielić i co z nią zrobić.

— To będzie bardzo mało efektywne. Siłą rzeczy będziecie musieli cały czas kontaktować się z rządem Ziemi, ponieważ energia protopomp będzie musiała równoważyć energię Pomp Elektronowych.

— Postaramy się, żeby tak mniej więcej było, ale mamy jeszcze inne zamiary. Teraz już możecie się o nich dowiedzieć. Energia nie jest jedynym elementem Wszechświata, podlegającym prawu zachowania — w tym akurat przypadku — energii, która daje nieograniczone możliwości, gdy Wszechświaty wchodzą z sobą w kontakt.

— Istnieje szereg praw zachowania — wtrącił Denison. — To nic nowego.

— Cieszę się bardzo, że pan to wie — wycedził Neville, rzucając mu nienawistne spojrzenie. — Analogicznemu prawu podlegają momenty pędu. W sytuacji, gdy na obiekt zanurzony w polu grawitacyjnym nie działają inne siły poza grawitacją, podlega on spadaniu swobodnemu i zachowuje swą masę. Aby ruszyć w kierunku innym niż kierunek swobodnego spadania, musi w tymże kierunku przyspieszyć, ale żeby to mogło nastąpić, jego część powinna przyspieszyć w dokładnie odwrotnym kierunku.

— Tak jak w statku kosmicznym — powiedział Denison — który musi wyrzucać pewną masę w jednym kierunku, aby mógł się poruszać w kierunku przeciwnym.

— Wiem, że pan to rozumie, doktorze Denison — powiedział Neville — wyjaśniam to jednak panu komisarzowi. Ubytek wyrzucanej masy może być zminimalizowany, jeśli jej prędkość jest bardzo wielka, ponieważ moment pędu jest równy masie pomnożonej przez jej prędkość. Bez względu na to, jak wielka byłaby prędkość, część masy musi być wyrzucona. Jeśli masa, która ma ulec przyspieszeniu jest ogromna, to także masa, która musi być wyrzucona będzie ogromna. Jeśli na przykład Księżyc…

— Księżyc! — wybuchnął Gottstein.

— Tak, Księżyc — spokojnie potwierdził Neville. — Jeśli Księżyc miałby być wyprowadzony ze swojej orbity i posłany w przestrzeń kosmiczną Układu Słonecznego, prawo zachowania pędu sprawiałoby, że byłoby to przedsięwzięcie na kolosalną skalę i chyba zupełnie niepraktyczne. Jeśli jednak moment pędu zostanie przeniesiony do protoświata, Księżyc może przyspieszać z każdą odpowiednią szybkością bez utraty masy. To jakby płynąć barką w górę rzeki, mówiąc obrazowo — taką ilustrację widziałem w jednej z książek o Ziemi, którą kiedyś czytałem.

— Ale dlaczego? Dlaczego mielibyście odrywać Księżyc od Ziemi?

— Wydaje mi się to oczywiste. Po co nam przytłaczająca obecność Ziemi? Posiadamy potrzebną nam energię, mamy wygodny świat i możliwości wygospodarowania jeszcze więcej miejsca na całe wieki. Dlaczego nie mielibyśmy podążyć własną drogą? I tak właśnie zrobimy. Przyszedłem tu, żeby wam oznajmić, iż nie powstrzymacie nas od tego, i nalegać byście tego nawet nie próbowali. Przeniesiemy moment pędu do protoświata i wyrwiemy się z orbity. My, mieszkańcy Księżyca, sami doskonale wiemy, jak zbudować protopompy. Będziemy wykorzystywać tyle energii, ile nam potrzeba i produkować nadwyżki, aby neutralizować zmiany spowodowane przez wasze stacje.

— To bardzo miło z waszej strony — powiedział ironicznie Denison — że będziecie produkować tę nadwyżkę ze względu na nas, ale o czymś pan, zdaje się, zapomina. Jeśli nasze Pompy spowodują eksplozję Słońca, nastąpi to na długo, nim zdążycie opuścić nawet wewnętrzną część Układu Słonecznego i obrócicie się w dym, gdziekolwiek będziecie.

— Możliwe — powiedział Neville — niemniej jednak to my będziemy produkować nadwyżki, żeby do tego nie dopuścić.

— Ale nie możecie tego zrobić — zaprotestował rozgorączkowany Gottstein. — Nie możecie odlecieć. Jeśli się oddalicie za bardzo, protopompy nie będą już neutralizować wpływu Pomp Elektronowych. Tak, Denison?

Denison wzruszył ramionami.

— Kiedy znajdą się za Saturnem, mogą się pojawić problemy. Minie jednak wiele lat, zanim dolecą tak daleko i do tego czasu zdążymy skonstruować stacje kosmiczne na byłej orbicie Księżyca i założyć własne stacje zalążkowe. Właściwie nie potrzebujemy Księżyca. Mógłby sobie odlecieć. Tyle, że nie odleci.

Neville uśmiechnął się krótko. — Dlaczego pan tak myśli? Nikt nas nie może zatrzymać. Ziemianie nie zdołają nam narzucić swojej woli.

— Nie odlecicie, bo to nie ma sensu. Dlaczego ciągnąć ze sobą cały Księżyc? Wybudowanie odpowiednich akceleratorów dla masy

wielkości Księżyca zajmie lata. Lepiej zbudujcie statki kosmiczne. Olbrzymie rakiety o napędzie zasilanym energią z protopomp i niezależnych ekosystemach. Posiadając silniki, niwelujące działanie momentu pędu, będziecie mogli zdziałać cuda. Chociaż zbudowanie takich statków zajmie dwadzieścia lat, mogą one przyspieszać znacznie szybciej niż Księżyc. Wyprzedziłyby go po roku lotu, nawet gdyby ruszył w drogę w tej chwili. Statki kosmiczne mogą zmieniać kurs w ułamku tego czasu, który potrzebowałby Księżyc na wykonanie takiego samego manewru.

— A niezrównoważone protopompy? Jakie skutki wywołają we Wszechświecie?

— Energia zużywana przez statek, a nawet kilka statków, będzie znacznie mniejsza niż wymagana przez całą planetę i będzie się rozpraszała po ogromnej przestrzeni Wszechświata. Miną miliony lat, nim zajdzie jakakolwiek zauważalna zmiana. Doktorze Neville, niech pan o tym pomyśli, czy możliwości swobodnego manewrowania nie byłyby dla was korzystniejsze. Księżyc będzie się poruszał tak wolno, że równie dobrze może sobie tu zostać.

— Nigdzie się nam nie spieszy, chcemy tylko być z dala od Ziemi.

— Taki sąsiad jak Ziemia ma także dobre strony, na przykład, ciągły napływ imigrantów, wymianę kulturalną. Nad głowami macie świat z dwoma miliardami mieszkańców. Chcecie to wszystko odrzucić?

— Z przyjemnością.

— Czy to opinia wszystkich mieszkańców Księżyca? Czy tylko pańska? Jest pan trochę inny… nadwrażliwy. Nigdy nie wychodzi pan na powierzchnię. Inni Lunarianie wychodzą. Nie lubią jej za bardzo, ale wychodzą. Wnętrze Księżyca nie jest ich łonem, tak jak w pańskim przypadku. Nie jest ich więzieniem — jak dla pana. Pańska psychika jest nieco bardziej neurotyczna, niż innych Lunarian. Jeśli oderwie pan Księżyc od Ziemi, stanie się on więzieniem dla całej reszty. Stanie się planetą-więzieniem, z której nikt — już nie tylko pan — nie będzie mógł się wyrwać, choćby tylko spojrzeć na inną zamieszkałą planetę. Być może właśnie tego pan pragnie.

— Chcę samodzielności, wolnego świata, nie uzależnionego od czynników zewnętrznych.

— Może pan przecież wybudować nieograniczoną liczbę statków. Bez trudności będzie pan mógł udać się w przestrzeń kosmiczną z prędkością podświetlną, kiedy tylko osiągnie pan przeniesienie momentu pędu do protoświata. Będziecie mogli eksplorować cały Wszechświat. Czy nie chciałby pan takiego statku?

— Nie — powiedział z widocznym niesmakiem Neville.

— Naprawdę? A może raczej nie potrafiłby pan go zaakceptować? Musi pan wziąć ze sobą cały Księżyc, gdziekolwiek pan poleci?

Dlaczego inni muszą godzić się na pańskie potrzeby?

— Ponieważ tak będzie — powiedział Neville.

Głos Denisona nie zmienił się, ale poczerwieniały mu policzki. — Kto dał panu wyłączne prawo do decydowania o tym? Wielu mieszkańców Księżyca może mieć inne zdanie.

— To już nie pana sprawa.

— Właśnie, że tak. To moja sprawa. Jestem imigrantem, który będzie się starał o obywatelstwo lunarne. Nie chcę, żeby za mnie decydował ktoś, kto nie potrafi nawet wyjść na powierzchnię i kto pragnie, żeby jego osobiste więzienie stało się więzieniem dla wszystkich. Na zawsze opuściłem Ziemię, ale tylko po to, by zamieszkać na Księżycu, około trzystu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów od mojej rodzinnej planety. Nie sądziłem, że odlecę gdzieś w nieskończoność.

— To niech pan wraca na Ziemię — powiedział obojętnie Neville. — Ma pan jeszcze czas.

— A co z innymi mieszkańcami Księżyca? Co z innymi imigrantami?

— Decyzja już zapadła.

— Nie zapadła… Selene!

Wyszła z pokoju obok. Jej oczy wyrażały ostry sprzeciw. Neville rozprostował nogi. Postawił obie stopy płasko na podłodze.

— Jak długo tam czekałaś, Selene? — zapytał Neville.

— Jeszcze zanim tu przyszedłeś, Barron — odpowiedziała. Neville spoglądał to na nią, to na Denisona, wydusił z siebie: — Wy dwoje…

— Nie wiem, co rozumiesz przez to „wy dwoje” — powiedziała Selene — Ben wpadł na pomysł z momentem pędu już jakiś czas temu.

— Selene nie jest temu winna — powiedział Denison. — Komisarz dostrzegł coś, że wystrzeliło nad powierzchnię, kiedy Selene spowodowała przeciek. Stwierdziłem, że Selene mogła testować coś, o czym w ogóle nie wiedziałem i w końcu wpadłem na moment pędu. Po tym…

— Tak, wtedy już pan wiedział — wtrącił Neville. — To nie ma znaczenia.

— Ma znaczenie, Barronie — powiedziała Selene. — Rozmawiałam o rym z Benem. Stwierdziłam, że nie zawsze muszę akceptować twoje decyzje. Może nigdy nie polecę na Ziemię. Chyba nawet bym nie chciała. Ale podoba mi się jej widok na niebie. Nie chcę pustego nieba. Skonsultowałam się z innymi członkami grupy. Nie wszyscy chcą odlecieć. Większość chciałaby zbudować statki i pozwolić odlecieć tym, którzy się na to zdecydują. Reszta chce pozostać na Księżycu.

Neville nabrał w płuca powietrza.

— Skonsultowałaś się?! Jakim prawem…

— Nieważne już jakim. Zostaniesz przegłosowany.

— Dlatego że… — Wstał i ruszył groźnie w kierunku Denisona.

— Proszę, niech pan nie daje się ponosić emocjom, doktorze — ostrzegł komisarz. — Jest pan, co prawda, z Luny, ale nie sądzę, aby mógł pan pokonać nas obu.

— Troje — uzupełniła Selene — a ja do tego jestem także z Luny. Barronie, to ja do tego doprowadziłam, nie oni.

— Niech pan posłucha, Neville — zaczął tłumaczyć Denison. — Ziemi nie obchodzi, czy Księżyc pozostanie na orbicie, czy odleci. Ziemia może wybudować stacje kosmiczne. Ale obchodzi to obywateli Luna City. Obchodzi to Selene, mnie i innych. Nie odcinamy panu drogi od przestrzeni kosmicznej, od ucieczki, wolności. Za dwadzieścia lat każdy, kto zechce, będzie mógł opuścić Księżyc i odleci z panem, o ile się pan zdecyduje opuścić macierzyńskie łono Luny. Reszta pozostanie.

Neville usiadł powoli. Na jego twarzy malowała się klęska.

19

We wszystkich oknach pokoju Selene widać było Ziemię.

— Jego wniosek został odrzucony w głosowaniu i to znaczną większością.

— Wątpię jednak, czy Neville się podda. Jeśli podczas budowy pomp dojdzie do tarć z Ziemią, nastroje społeczeństwa lunarnego mogą się zmienić.

— Może nie będzie żadnych tarć.

— Może. W historii nie ma happy endów, są tylko przeszkody, które należy pokonać. Tę udało się nam przejść bezpiecznie. Wkrótce, jak sądzę, staniemy wobec innych. Kiedy statki zostaną zbudowane, napięcie na pewno znacznie opadnie.

— Pożyjemy, zobaczymy.

— Ty zobaczysz.

— Ty też, Benie. Nie przesadzaj ze swoim wiekiem. Masz tylko czterdzieści osiem lat.

— Czy odlecisz jednym ze statków, Selene?

— Nie. Będę już za stara i zresztą nie chciałabym stracić Ziemi z oczu. Może mój syn poleci… Benie.

— Tak.

— Złożyłam podanie o pozwolenie na drugiego syna. Przyjęto je. Czy zechciałbyś być dawcą?

Podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy. Nie unikała jego spojrzenia.

— Sztuczne zapłodnienie?

— Oczywiście… Kombinacja naszych genów powinna być interesująca.

Opuścił wzrok. — Pochlebiasz mi.

Selene powiedziała, jakby się broniąc: — To tylko zdrowy rozsądek, Benie. Dobra kombinacja genów jest bardzo ważna. Nie ma chyba nic złego w naturalnej inżynierii genetycznej.

— Nie, oczywiście.

— Nie znaczy to, że nie mam jeszcze innych powodów… Lubię cię, Benie.

Denison kiwnął głową, nic nie mówiąc. Selene prawie z rozdrażnieniem kontynuowała: — Miłość to coś więcej niż seks.

— Zgadzam się. Kocham cię, nawet bez seksu.

— A seks to coś więcej niż akrobatyka.

— Z tym także się zgadzam.

— A w ogóle… Cholera, możesz przecież spróbować się nauczyć.

— Jeśli zgodzisz się być moją nauczycielką. Niepewnie przysunął się do niej. Nie odsunęła się. Przestał się wahać.

notes

1

Opowieść zaczyna się od rozdziału szóstego. To nie pomyłka. Mam po temu szczególne powody. Wiec, czytelniku, nie przejmuj się, czytaj i baw się dobrze (przyp. autora)

2

Pompa nie zatrzymać nie zatrzymać my nie zatrzymać pompy my nie słyszeć niebezpieczeństwo nie słyszeć wy zatrzymać proszę wy zatrzymać niebezpieczeństwo niebezpieczeństwo niebezpieczeństwo zatrzymać zatrzymać wy zatrzymać pompa.